

Spencer LaVyrle

Serce w listopadzie

Lorna i Jens - oboje piękni i młodzi - zakochują się w sobie gorąco. Ale ona jest córką bogaczy, on zaś synem ubogich imigrantów i pomocnikiem kucharki. Taki romans ma raczej niewielkie szanse na szczęśliwe spełnienie. Jednak jest coś, co pozwala młodym zachować nadzieję: Jens potrafi zbudować najszybszy jacht świata, natomiast ojciec Lorny marzy o zwycięstwie w regatach. Nieświadomy uczuć łączących córkę ze służącym, zgadza się sfinansować budowę łodzi. I pewnie wszystko potoczyłoby się jak w bajce, gdyby nie niecierpliwość zakochanych: owoc ich namiętności przyjdzie na świat wcześniej, niż Jens zakończy prace przy jachcie. Rodzina Lorny uczyni wszystko, by nie dopuścić do skandalu i na zawsze rozdzielić kochanków...

Rozdział 1

White Bear Lake, Minnesota, 1895 r.

W jadalni Rose Point Cottage rozbrzmiewał gwar rozmów. Przy olbrzymim, mahoniowym stole pod gazowym żyrandolem zasiadało osiemnaście osób; bez pośpiechu spożywano trzecie danie, składające się z mrożonych szparagów obłożonych marynowanymi ziarenkami nasturcji, bułeczek w kształcie łabędzi i kawałków masła, uformowanych w liście lilii. Stół, przykryty obrusem z irlandzkiego lnu, ozdobionym herbem Barnettów, zastawiony był porcelaną z Wedgwood Queen's i srebrami od Tiffany'ego. Na jego środku pyszniło się pięćdziesiąt róż Bourbon Madame Isaac Pereirę, pochodzących z ogrodów posiadłości; lekki, wieczorny wietrzyk, wpadający przez okna otwarte na jezioro, roznosił ich mocny zapach po całej jadalni.

Ściany pokrywała tapeta od Williama Morrisa, drukowana w kiście winogron i liście akantu na bordowym tle.

Boazeria z rubinowoczerwonego drewna czereśniowego sięgała wysokości ramion i tworzyła wokół okien, szerokich na blisko trzy metry, bogate ramy; z każdego rogu do zebranych uśmiechał się rzeźbiony aniołek.

U szczytu stołu zasiadał Gideon Barnett: tęgi mężczyzna z siwiejącym, sumiastym wąsem i podbródkami przywodzącymi na myśl gęsty pudding. Naprzeciwko siedziała jego żona, Levinia. Była równie tęga jak małżonek; jej piersi wznosiły się wysoko, niczym pełne wiatru żagle. Włosy, stosownie do swojej pozycji, spiętrzyła w strzelisty diadem na

czubku głowy; po bokach uczesała je w nieskazitelne, srebrzyste zwoje, podtrzymywane licznymi grzebieniami i ozdobione różą z jedwabnej organdy. Tego wieczoru pozwolono zasiąść do stołu również czwórce dzieci Barnettów, w wieku od dwunastu do osiemnastu lat, oraz Agnes i Henriecie, niezamężnym siostrzyczkami Gideona, dwóm rezydentkom. Poza nimi w kolacji uczestniczyła cała elita, członkowie White Bear Yacht Club, znajomi Barnettów. Wszyscy oni - podobnie jak gospodarze - na lato przenieśli się z Saint Paul do wiejskich rezydencji. Kolacja miała być świętowaniem zwycięstwa: Minnetonka Yacht Club, robiąc wiele wrzawy wokół mało jeszcze popularnego sportu, wyzwał White Bear Yacht Club na potrójne regaty. Wyścigi miały się odbywać co roku. Pierwszy odbył się dzisiaj. Dla towarzystwa, w którym żeglowanie stało się niemal obsesją, którego członkowie w gorliwej pogoni za doskonałością bliscy byli szaleństwa, popołudniowa porażka miała smak nie mniej gorzki niż przegrany proces.

- Do wszystkich diabłów! - wybuchnął komandor Gideon Barnett, uderzając pięścią w stół. - Trudno uwierzyć, że żaden z nas nie wygrał!

Wciąż miał na sobie białe płócienne spodnie i niebieski sweter z dużymi białymi literami WBYC na piersiach.

- „Tartar” jest szybszy od „Latawca” i wszyscy o tym wiedzą! - Barnett znów uderzył w stół, aż zadźwięczały kieliszki.

Levinia uniosła lewą brew i rzuciła mężowi karcące spojrzenie: szkło jest od Waterforda, z kompletu na dwadzieścia cztery osoby.

- Powinniśmy zwiększyć powierzchnię żagli - ciągnął Gideon.

- Zwiększyć? - zdziwił się jego przyjaciel, Nathan DuVal. - Mamy ich już dwieście cztery metry! Pięciometrowy jacht więcej nie udźwignie i dobrze o tym wiesz, Gid.

- W takim razie powinniśmy uszyć je z jedwabiu, żeby

zmniejszyć ciężar. Od początku mówiłem, że powinniśmy wypróbować jedwab.

Nathan był spokojniejszy niż Gideon.

- To nie żagle zawiodły, Gid, tylko kil. „Tartar” - tłumaczył cierpliwie - sprawia wrażenie zbyt ciężkiego.

- W takim razie zmniejszymy kil! W przyszłym roku, zapamiętaj sobie moje słowa, zmniejszymy płetwę kilową i wygramy!

- Pozostaje tylko pytanie, jak to zrobić.

- Jak? - Gideon Barnett wyrzucił obie ręce w górę. - Nie wiem jak, ale nie chcę przegrać dziesięciu tysięcy dolarów na rzecz tych przeklętych tłumoków z Minnetonki; tym bardziej, że to oni rzucili nam wyzwanie!

- Nikt cię nie zmuszał, żebyś stawiał aż tyle pieniędzy, Gideonie - zauważyła Levinia. Mogłeś dać sto dolarów.

Zakłady były jednak równie przyjemne jak same regaty. Członkowie klubu zebrali dziesięć tysięcy dolarów i z radością je postawili.

Za plecami Barnetta pojawił się służący i cicho spytał:

- Czy skończył pan szparagi, sir? Gideon machnął ręką i warknął:

- Tak, możesz je zabrać. Potem odwrócił się do żony: -Levinio, każdy z zasiadających przy tym stole ma równy udział w regatach i żaden nie chce przegrać; szczególnie zaś z tą bandą. Wszystkie gazety w Ameryce śledzą to, co się tutaj dzieje, a Tim robi zdjęcia.

Miał na myśli Tima Iversena, zdolnego fotografa i członka klubu, który od początku prowadził jego kronikę.

- Mniejsza o pieniądze, ale muszę pamiętać o tym, że jestem komandorem klubu, a poza tym nie znoszę przegrywać.

Pozostaje pytanie: skąd wziąć łódź, która pokona ich jachty?

Córka Barnettów Lorna, siedząca mniej więcej w połowie długości stołu, już od dłuższego czasu z najwyższym trudem zachowywała milczenie. Teraz nie wytrzymała.

- Moglibyśmy wynająć braci Herrshoff, żeby zaprojektowali i zbudowali jacht - oświadczyła.

Wszyscy spojrzeli na piękną osiemnastolatkę, zapatrzoną w ojca. Kasztanowe włosy miała uczesane na „dziewczę Gibsona”; luźno opadające kosmyki i loki wijące się na szyi były o wiele bardziej pociągające niż skomplikowany diadem matki. Dziewczyna czesała się tak od ostatnich wakacji, kiedy to sam pan Charles Dana Gibson, gość Rose Point Cottage, zabawiał ją długimi rozmowami na temat dziewczęcych fryzur swego pomysłu, które miały pokazywać, że kobiety również mogą cieszyć się wolnością i prezentować osobowość, nie tracąc przy tym nic ze swojej kobiecości. Już na początku jego wizyty, Lorna zmieniła nie tylko styl uczesania, ale zrezygnowała też z wyszukanych jedwabii i turniur na rzecz bardziej swobodnych, krótkich bluzek noszonych ze spódnicami; tak ubrana była również dzisiejszego wieczoru.

Kiedy patrzyła na ojca, jej piwne oczy lśniły wyzywająco.

- Możemy, papo?

- Bracia Herrshoff? - spytał ojciec. - Z Providence?

- Tak. Z pewnością stać nas na nich.

- Co ty możesz wiedzieć o braciach Herrshoff?

- Umiem czytać, papo. Niemal w każdym magazynie „Outing” widuję to nazwisko. Znasz kogoś lepszego?

Lorna Barnett doskonale wiedziała, że ojcu nie podoba się jej zainteresowanie sportami tak męskimi, jak żeglarstwo i tenis. Gdyby miało być tak, jak chciał ojciec, Lorna przez cały wieczór siedziałaby cicho, jak przystało damie.

Lorna jednakże uważała prawdziwe damy za osoby niezdanie nudne. Co więcej, w ten sposób brała pośrednio odwet na ojcu. Dobrze wiedziała, że ma pretensje do siebie z powodu jej zainteresowania sportem, rozbudził je wszak pan Gibson, a to właśnie ojciec zaprosił go do Minnesoty. I ledwie pojawił się ów młody artysta o radykalnych przekonaniach na temat wyzwolenia Amerykanek, a Lorna już przejęła zwyczaje i stroje „chłopczycy”.

Gideon zaperzył się wtedy:

- To oburzające! Moja córka biega po korcie tenisowym,

świecąc kostkami! Namawia swoje przyjaciółki do stworzenia kobiecego oddziału White Bear Yacht Club. A przecież każdy głupiec wie, że miejsce kobiety jest w salonie!

Teraz zaś, podczas uroczystej kolacji i w obecności wszystkich znajomych, córka Gideona zuchwale zaproponowała sposób rozwiązania męskich problemów.

- Znasz kogoś lepszego? - powtórzyła pytanie. Ojciec wpatrywał się w nią bez słowa.

Dziewczynę poparł młody DuVal, Taylor, siedzący u jej boku.

- Musisz przyznać, Gideonie, że w jej słowach jest sporo racji.

Barnett skierował wzrok na Taylora. Ten dwudziestoczteroletni mężczyzna przypominał ojca nie tylko z wyglądu; miał taki sam - ogromny - talent do interesów. Był młodzieńcem wytwornym i rokującym wielkie nadzieje.

Spojrzenia panów zgromadzonych wokół stołu skrzyżowały się. Byli tu oprócz gospodarza i obu DuValów jeszcze Percy Tufts, George Whiting i Joseph Armfield - najpotężniejsi w White Bear Yacht Club i najbogatsi w Minnesocie. Ich olbrzymie majątki zrodziły się z dochodów z kolei, kopalni rud żelaza czy młynów, a w przypadku Gideona - z handlu drewnem. Lorna miała rację: mogli sobie pozwolić na zapłacenie braciom Herrshoff za zbudowanie niepokonanej łodzi, nawet gdyby ich żony były temu przeciwnie.

Żony nie zamierzały się jednak sprzeciwić. To, co mówiła Levinia, nie miało większego znaczenia. Podobnie zresztą jak innym żonom z tego kręgu, i jej podobał się rozgłos, jakim cieszył się klub męża. Każda z obecnych przy stole pań rozumiała, że jej wielkość mierzy się przede wszystkim długością cienia rzucanego przez małżonka, żadna więc nie miała zamiaru sprzeciwić się pomysłowi zlecenia budowy łodzi ludziom najbardziej znanym w branży.

- To jest do zrobienia. Moglibyśmy dać im zlecenie - powiedział Barnett.

- W Nowej Anglii zawsze potrafili budować statki.
- Będą rozumieli pożytek z wprowadzenia jedwabnych żagli.
- Możemy zatelegrafować do nich jutro!

- Pod koniec lata dostaniemy rysunki, a samą łódź w maju przyszłego roku, tuż przed sezonem.

Wcześniejsze zniechęcenie ustąpiło miejsca podnieceniu. Mężczyźni zajęli się omawianiem rozmaitych możliwości i wszystkie twarze się rozchmurzyły.

Tymczasem ze stołu zebrano naczynia po trzecim daniu. Za plecami Levinii pojawił się służący.

- Danie główne, proszę pani.

Levinia zmarszczyła brwi i spojrzała na niego; stał nieruchomo, trzymając w rękach przykryty talerz ze złotą obwódką.

- Postaw, na miłość boską - poleciła szeptem.

Jens Harken pochylił się i z wysokości kilku centymetrów upuścił na stół gorący talerz. Wysoka, srebrna pokrywa zsunęła się na bok i zadźwięczała niczym dzwon.

Levinia znów spojrzała na służącego. Podobnie jak pozostałe żony w tym pokoju, i ona może pozostawać cieniem męża dla większości ludzi, ale dla swojej służby jest królową. Zmieszana świadomością, że braki w wyszkoleniu personelu źle świadczą o pani domu, ostrym głosem spytała:

- Gdzie jest Chester?

- Pojechał do domu, proszę pani. Jego ojciec zachorował.

- A Glynnis?

- Boli ją ząb, proszę pani.

- A ty kim jesteś?

- Jens Harken, proszę pani; pomocnik kucharki. Levinia spąsowiała. Pomocnik kucharki na tak ważnym przyjęciu! Gospodyni dostanie za swoje!

- Zdejmij pokrywę.

Służący uniósł ją, odsłaniając pieczoną cyranekę, obłożoną karczochami i brukselką. Wszystko to otaczała idealnie

owalna rama składająca się z zapieczonych na brązowo ziemniaków.

Levinia przyjrzała się temu dziełu sztuki, wzięła widelec, nakłuła kaczkę i powiedziała:

- Podawać.

Jens spokojnie wyszedł przez wahadłowe drzwi. Ledwie zamknął je za sobą, puścił się pędem przez długi korytarz ku drzwiom, prowadzącym do kuchni.

- Do diabła, kilometr korytarza i wszystko tylko po to, żeby zapachy nie docierały do jadalni? Ci bogacze to wariaci!

Hulduh Schmitt, kucharka, podała mu dwa talerze i przykazała: -Idź!

Jeszcze osiemnaście razy musiał przebiec korytarzem, wyhamowując przed drzwiami jadalni i starając się uspokoić oddech, zanim wszedł do pokoju, żeby postawić talerze przed gośćmi. Za każdym razem słyszał strzępy rozmów: o skończonych regatach; o tym, dlaczego „Tartar” przegrał;

o tym, co zrobić, żeby wygrać w przyszłym roku, i czy to żagiel, niewłaściwe rozłożenie worków napełnionych piaskiem, czy też może wynajętego kapitana należy obarczyć odpowiedzialnością za dzisiejszą przegraną. Wszyscy byli rozgorączkowani i szczerze pragnęli pokonać klub Minnetonka.

Jens Harken wiedział, jak to osiągnąć.

- Hulduh, znajdź mi kawałek papieru! - krzyknął, wpadając do kuchni z ostatnią parą srebrnych pokryw.

Hulduh odsunęła od ust okrągłą miedzianą formę. Dmuchała w nią delikatnie, żeby wyjąć lody, nie niszcząc ich kształtu.

- Papier? Po co?

- Znajdź mi kartkę, proszę; i ołówek. Jeśli to dla mnie zrobisz, o nic nie pytając, zrezygnuję jutro z wolnego dnia.

- Jasne, a mnie wyrzucą z pracy - mruknęła Niemka

i wróciła do przerwanej czynności. Potem zsunęła doskonale uformowane lody na półmisek obłożony migdałowymi

bezami. - Po co ci papier i ołówek? Masz, włóż to do lodówki - poleciła drugiej pomocnicy.

Dziewczyna wzięła deser, położyła na podstawce w metalowym pojemniku wypełnionym rozdrobnionym lodem i szybko zamknęła przykrywkę.

Jens wrzucił wysokie pokrywy od talerzy do zlewu i popędził w drugi kąt kuchni, żeby ująć w dłonie pulchną, czerwoną twarz kucharki.

- Pani Schmitt, proszę...

- Jesteś nieznośny, Jensie Harken - narzekała kobieta. - Nie widzisz, że muszę jeszcze wyjąć lody z dziesięciu form, zanim pani zadzwoni?

- Pomożemy pani, prawda? Do roboty! - zwrócił się Jens do Ruby i Coleen, pomocnic kucharki, po czym zdjął z półki okrągłą formę. - Jak długo mamy dmuchać?

- Ach, wszystko zniszczycie, a ja stracę posadę! - Pani Schmitt wyjęła mu z rąk miedziane naczynie i zaczęła odkręcać podstawę. - Na ścianie wisi lista dla gospodyni; możesz oderwać kawałek kartki, chociaż nie mam pojęcia, co takiego chcesz zapisywać w trakcie najważniejszego przyjęcia w roku.

- Ma pani rację! Dzisiejsze przyjęcie może okazać się najważniejsze w tym roku. Szczególnie dla mnie. Jeśli tak się stanie, obiecuję pani dozągoną miłość i wdzięczność, kochana, uroczą pani Schmitt.

Hulduh Schmitt, jak zawsze, uległa jego wdziękowi. Machnęła tylko ręką, a jej twarz zrobiła się jeszcze bardziej czerwona.

- Och, daj spokój - powiedziała; kawałkiem muślinu zakryła dziurkę po odkręconej podstawie i zaczęła dmuchać.

Jens starannie oddał czysty skrawek papieru i napisał pięknymi literami:

Wiem, dlaczego przegraliście regaty. Mogę zapewnić zwycięstwo w przyszłym roku.

- Pani Schmitt, proszę zaczekać! Niech mi pani da ten talerz.

Wyrwał jej talerz z rąk, położył na nim swój liścik i przykrył go jedną z puszystych bez tak, że wystawał tylko rożek.

- Teraz proszę nałożyć lody.

- Na ten papier? Chyba oszalałeś. Oboje stracimy pracę. Co tam napisałeś?

- Nieważne; niech pani położy lody na talerzu.

- Nie ma mowy, Jensie Harken; nigdy w życiu. Jestem kucharką. Jestem odpowiedzialna za wszystko, co wychodzi z tej kuchni i mówię ci, że nie będzie żadnych deserów z ukrytymi w nich listami.

Jens zrozumiał, że jeśli nie powie prawdy, nie przekona kucharki.

- Niech będzie; to dla pana Barnetta. Napisałem, że wiem, co zrobić, żeby wygrać przyszłoroczne regaty.

- Znowu łodzie. Ty i te twoje łodzie.

- Nie zamierzam skończyć w kuchni. Pewnego dnia ktoś mnie posłucha.

- Tak, jasne; a ja wyjdę za mąż za gubernatora i zostanę wielką damą.

- Nie miałby z panią źle, pani Schmitt - zażartował Jens. - Nie miałby źle.

Pani Schmitt rzuciła mu dobrze znane, wyniosłe spojrzenie.

Zrozumiał, że samymi pochlebstwami nie osiągnie celu, obiecał więc:

- Gdyby były jakieś kłopoty, wszystko wezmę na siebie. Powiem, że podłożyłem tę kartkę, chociaż pani mi zabroniła.

Dylemat rozstrzygnęła Levinia Barnett, pociągając za jedwabny sznur. Nad drzwiami kuchni zadzwonił mosiężny dzwonek. Pani Schmitt wpadła w popłoch.

- Widzisz, co narobiłeś! Przez twoją gadaninę nie przygotowałam lodów. Idź już, idź! Bierz pierwsze talerze i módl się, żeby wystarczyło mi tchu do skończenia pracy.

W jadalni Levinia nie spuszczała oka z Harkena, chłopca do wszystkiego. Po pierwszym *faux pas* wszystko poszło jednak jak trzeba. Lody, mimo upału, zachowały właściwe kształty, służący zaś wnosząc i ustawiając deser na stole, zachowywał się bez zarzutu. Brzoskwińskie lody pokrywała cienką warstwą polewa o smaku morelowym, bezy były odpowiednio kruche i ładnie podpieczone, a talerze lodowato zimne. Obecne na kolacji panie nie doszukają się w potrawach nawet najdrobniejszych niedoskonałości.

Jakby czytając w myślach gospodyni, Cecilia Tufts powiedziała:

- Wyborny deser, Levinio. Gdzie znalazłaś taką kucharkę?

- To ona znalazła mnie. Czternaście lat temu przesłała mi przez posłańca kilka swoich doskonałych tortów. Od tego czasu pracuje u mnie, ale ostatnio straszy, że odejdzie; ma już dobrze po pięćdziesiątce. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

- Doskonale cię rozumiem. W dzisiejszych czasach każdy, kto potrafi odróżnić własne łokcie od kości na zupe, szuka sobie posady guwernantki. Niełatwo znaleźć pomoc kuchenną, która...

- Levinio! Czy mogę zamienić z tobą słowo?

Ton głosu męża spowodował, że Levinii serce podskoczyło do gardła. Spojrzała ponad bukietem róż i zobaczyła grymas niezadowolenia na twarzy Gideona.

- Teraz, Gideonie?

- Tak, teraz!

Odsunął gwałtownie krzesło. Rumieniec pokrył szyję Levinii i sięgnął kącika ust, do których przyłożyła właśnie lnianą serwetkę.

- Przepraszam - szepnęła i w ślad za mężem wyszła przez drzwi dla służby. Dla służby! Na oczach wszystkich przyjaciółek!

W wąskim korytarzu bez okien panował mrok. Rozpraszała go tylko jedna gazowa lampa. W powietrzu unosiła

się woń gotowanej brukselki, która szczęśliwie jednak nie docierała do jadalni.

- Gideonie, co...

- Levinio, co u diabła się tutaj dzieje?

- Mów ciszej, Gideonie. Umieram ze wstydu. Mój własny mąż w trakcie kolacji wyprowadza mnie przez drzwi dla służby! Mamy przecież bibliotekę i salonik; w tych pokojach...

- Ciężko pracuję, żebyś miała pieniądze na jedwabie, lody i na utrzymanie dwóch wielkich domów. Czy mam jeszcze pilnować kuchni?

Gideon wepchnął żonie do ręki poplamioną przez truskawki karteczkę.

- Znalazłem to w swoim deserze! Levinia przymknęła oczy.

- W deserze? To niemożliwe, Gideonie.

- Mówię ci, że była w moim deserze! Ktoś z kuchni musiał ją podłożyć. Kuchnia to twoje królestwo, Levinio. Kto za to odpowiada?

- Ja... ależ... - Pani Lovik.

Pani Lovik była gospodynią; to ona przyjmowała ludzi do pracy w kuchni i do sprzątanía.

- Musi odejść!

- Ależ Gideonie...

- Kucharka również! Jak ona się nazywa?

- Pani Schmitt; Gideonie...

Pan Barnett popędził w stronę kuchni; żona nie miała wyboru, musiała pójść za nim.

- Ten, kto to napisał, również musi odejść. Nie sądzę, żeby kucharka czy gospodyni miały czelność twierdzić, że wiedzą, jak wygrać regaty, których White Bear Yacht Club nie wygrał.

Otworzył drzwi do kuchni i ryknął:

- Pani Schmitt! Która to pani Schmitt?

W kuchni znajdowały się cztery osoby; trzy z nich umierały ze strachu. Gideon wbił wzrok w czwartą, która pozo-

stała spokojna. Był to ten sam tępak, który wcześniej upuścił talerz Levinii.

-Pytam jeszcze raz: która z was jest panią Schmitt? -ryknął.

Kobieta okrągła jak forma do lodów, o twarzy czerwonej jak rozpalony węgiel w kuchni, szepnęła:

- Ja, proszę pana.

Gideon przeszył ją wzrokiem.

- Czy pani jest za to odpowiedzialna?

Jej wykrochmalony czepek drżał, kiedy ścisnęła dłonie pod opiętym, niezbyt czystym fartuchem sięgającym ziemi.

- Nie, proszę pana. Ja to zrobiłem - odezwał się Jens.

Gideon przeniósł spojrzenie na winowajcę. Pozwolił, żeby przez dziesięć długich sekund wszyscy mogli obserwować pogardę malującą się na jego twarzy, po czym przemówił:

- Harken, tak?

- Tak, proszę pana.

Młody człowiek nie drżał ze strachu. Stał spokojnie obok zlewu, z wyprostowanymi ramionami i rękami opuszczonymi wzdłuż bioder. Przystojna twarz lśniła od potu; jedna strużka spłynęła ze skroni na brodę. Miał niebieskie oczy o szczerym spojrzeniu i jasne włosy. Był starannie ogolony; Levinia wymagała tego od wszystkich mężczyzn zatrudnionych w domu.

- Zwalniam cię - oznajmił Gideon. - Zabieraj rzeczy i wynoś się natychmiast.

- Dobrze. Jeśli jednak chce pan wygrać regaty, powinien pan mnie wysłuchać..

- Nie; to ty mnie wysłuchasz! - Rozgniewany Gideon przeszedł kilka kroków po kamiennej posadzce i dźgnął

Harkena palcem wskazującym w pierś. - Ja jestem właścicielem tego domu, a ty tu pracujesz! Nie powinienes odzywać się do mnie, dopóki cię nie zapytam. Nie będziesz przynosił wstydu mnie i mojej żonie, podkładając jakieś papiery do deseru! I to w dniu, kiedy gościmy u siebie po-

łowę mieszkańców White Bear Lake! I, do diabła, nie będziesz mnie pouczał, jak pływać jachtem! Rozumiesz?

- Dlaczego? - spytał spokojnie Jens. - Chyba chce pan wygrać?

Gideon odskoczył do tyłu z zaciśniętymi pięściami, aż Levinia musiała odsunąć się na bok.

- Niech go pani stąd wyprawi w ciągu godziny, Schmitt i niech się pani zbiera razem z nim. Prześlę pani tygodniową zapłatę.

Harken przyskoczył do Gideona i złapał go za ramię.

- Tu nie winien ani materiał na żagle, ani kapitan, ani balast. Pan DuVal ma rację. Chodzi o płetwę kilową.

Jed-nomasztowce, na których się ścigaliście, musiały pruć wodę, a potrzebna jest łódź, która będzie ślizgała się po powierzchni. Mógłbym taką zaprojektować.

Barnett odwrócił się powoli, z wyrazem wyższości na twarzy.

- Ach, to ty! Słyszałem o tobie. Harken puścił ramię Barnetta.

- Sądzę, że tak, proszę pana.

- Wszystkie kluby w Minnesocie wyrzuciły cię za drzwi.

- Tak, proszę pana; tak samo niektóre na wschodnim wybrzeżu. Jednak pewnego dnia ktoś mnie posłucha, a ja zbuduję mu łódź, przy której najszybszy jednomasztowiec na świecie będzie powolny jak ślimak.

- Powiem ci tak, chłopcze: masz w sobie coś, chociaż potrafisz człowieka zirytować. Chciałbym tylko wiedzieć, co robisz w mojej kuchni?

- Człowiek musi coś jeść.

- W takim razie jedz gdzie indziej. Nie chcę cię więcej widzieć na oczy!

Barnett wyszedł na korytarz, a za nim podążyła Levinia. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, pociągnęła go za rękaw.

- Gideonie, zatrzymaj się!

Jej krzyk słyhać było wyraźnie w jadalni; Lorna zauważyła, że goście wymieniają zażenowane spojrzenia.

Wszystko, co nastąpiło potem, słyhać było dokładnie, bowiem goście przestali jeść; Lorna nie odrywała wzroku od drzwi.

- Gideonie, powiedziałam, żebyś się zatrzymał!

Mąż jej nie posłuchał, więc Levinia złapała go za łokieć i przytrzymała.

- Levinio, goście czekają.

-Ach tak! Teraz przypomniałeś sobie o gościach, ale najpierw wystawiłeś mnie przed nimi na pośmiewisko. Przed nimi i przed służbą! Jak śmiesz, Gideonie Barnett, upokarzać mnie w obecności służby! Nie pozwolę, żebyś zwolnił panią Schmitt tylko dlatego, że zdenerwował cię jej pomocnik. Jest najlepszą kucharką, jaką kiedykolwiek miałam! Levinia tak mocno ścisnęła Gideona za ramię, że ten poczuł ból.

Skrzywił się i syknął:

- Auu! Levinio, nie możemy zatrudniać ludzi....

- Nie możemy pozwolić, żeby nasi ludzie widzieli, jak ignorujesz moje decyzje. Jeśli zaczną myśleć, że nie jestem panią we własnym domu, przestaną mnie szanować. Jak wtedy będę zarządzać kuchnią? Zamierzam tam wrócić i powiedzieć pani Schmitt, że może zostać; jeśli ci się to nie podoba...

Sprzeczka była coraz głośniejsza. Wreszcie Lorna, czerwona ze wstydu, nie mogła tego dłużej znieść. Co też mama i papa sobie myślą, wszczynając podczas uroczystej kolacji kłótnię w korytarzu prowadzącym do kuchni?

- Przepraszam - powiedziała spokojnie i wstała. - Proszę sobie nie przeszkadzać i dokończyć deser.

W chwili, kiedy pchnęła wahadłowe drzwi, Gideon krzychał:

- Levinio, guzik mnie to...

- Mamo! Tato! Co się tu dzieje? - spytała Lorna, ledwie drzwi się za nią zamknęły. - Wszyscy goście wpatrują się w te drzwi i wiercą na krzesłach! Nie rozumiecie, że słyszą

każde wasze słowo? Nie mogę uwierzyć, że jak dzieci kłócicie się tutaj o personel kuchenny! Co was napadło?

Gideon obciągnął sweter i przyjął pozę pełną godności.

- Za chwilę przyjdę. Zechciej, Lorno, zaprosić gości do salonu i zagraj im coś na pianinie.

Dziewczyna spojrzała tak na rodziców jakby powariowali i wróciła do jadalni.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Gideon odezwał się spokojniejszym już głosem:

- Dobrze, Levinio, niech zostanie.

- Pani Lovik też. Nie mam zamiaru przez całe lato szkolić nowej gospodyni.

- Dobrze, dobrze... - Gideon uniósł obie ręce, poddając się. - One mogą zostać, ale musisz powiedzieć temu... temu...

- drżącym palcem wskazał na drzwi kuchni - parwe-niuszowi, że w ciągu godziny ma wynieść się z mojego domu, bo inaczej każę wyprawić jego skórę i ozdobię nią sień, rozumiesz?

Levinia odpłynęła bez słowa, z dumnie uniesioną głową.

W kuchni wszyscy mówili jednocześnie. Kiedy Levinia otworzyła drzwi, gwar natychmiast ucichł. Pomoce kuchenne przerwały zmywanie naczyń i dygnęły. Harken i pani Schmitt, stojący przy skrzyni z lodem i zajęci ostrą sprzeczką również umilkli. Temperatura w tym pomieszczeniu przekraczała pięćdziesiąt stopni Celsjusza; było parno, wszystko przenikał silny zapach brukselki. Levinia pomyślała, że gdyby sama musiała gotować, chyba wolałaby jeść wszystko na surowo.

- Mój mąż postąpił zbyt porywczo, pani Schmitt. Mam nadzieję, że pani nie obraził. Jedzenie przygotowane na dzisiejszy wieczór było doskonałe i chciałabym, żeby została pani u nas.

Pani Schmitt pociągnęła nosem i przestąpiła z nogi na nogę. Brzegiem brudnego fartucha otarła pot z górnej wargi.

- Nie wiem, proszę pani. Tak sobie myślałam, że może już czas skończyć z tą ciężką pracą i zająć się matką. Ona

zbliża się do osiemdziesiątki i od śmierci ojca jest sama. Odłożyłam trochę pieniędzy i, mówiąc prawdę, nie czuję się młoda.

- Ależ bzdura. Jest pani tak żwawa, jak w dniu, kiedy panią zatrudniłam. Bez trudności przygotowała pani tę wspaniałą kolację.

Pani Schmitt zrobiła coś, co się jej jeszcze nigdy nie zdarzyło: usiadła w obecności swojej pani. Osunęła się na małeńki stołeczek; znaczna część jej wielkiego ciała zwisała, przypominając suflet wyjmowany z pieca.

- Nie wiem - powiedziała kręcąc głową. - Od dmuchania w formy do lodu zakręciło mi się w głowie. Wszystko w takim pośpiechu... Czasem dostaję palpacji serca...

- Proszę panią, pani Schmitt. - Levinia złożyła dłonie, jak artystka śpiewająca arię. - Ja... Nie wiem, co ja bym bez pani zrobiła teraz, w środku lata, na wsi? Gdzie znaleźć kogoś na pani miejsce?

Pani Schmitt oparła się o zniszczony stół tłustą ręką, przyglądała się pracodawczyni i myślała. Levinia mocniej ścisnęła dłonie.

Pani Schmitt zerknęła na Ruby i Colleen, obserwujące tę scenę z nadziewu. Jednym machnięciem ręki, bez słowa, nakazała im wrócić do pracy.

Levinia powiedziała:

-Może przekonam panią, jeśli podniosę pensję o trzy dolary tygodniowo.

- Och, to bardzo miłe, proszę pani, ale nie pomoże mi w pracy; tym bardziej, że on ma odejść.

Kucharka pokazała kciukiem na stojącego za nią Harkena.

- Chętnie zatrudnię dodatkową pomoc do kuchni. -Prawdę mówiąc, proszę pani, ja, podobnie jak pani, nie mam ochoty szkolić kogoś nowego. Przyjmę podwyżkę i dziękuję pani, ale jeśli mam zostać, to on też zostaje. Tak dobrego pracownika jeszcze nie miałam w swojej kuchni. Chętnie robi wszystko, co trzeba. Dzisiaj mi pomógł, cho-

ciężko nie musiał. Zajmuje się wszystkimi cięższymi pracami: przenoszeniem, podnoszeniem, myciem jarzyn...

Przecież pani wie, że niedługo zaczniemy robić przetwory. Kotły są takie ciężkie.

Levinia miała wrażenie, że gorset mocniej wpił się jej w żebra. Spojrzała surowo na Harkena i podjęła nieoczekiwaną decyzję.

- Dobrze, ale nie wolno ci pokazywać się mojemu mężowi na oczy. I musisz mi obiecać, Harken, że już nigdy nie zrobisz czegoś takiego, jak dzisiaj.

- Tak, proszę pani, już nigdy.

- Wolno ci przebywać tylko w kuchni i w warzywniku, zrozumiałeś?

Harken w odpowiedzi lekko się uklonił.

-Sprawa załatwiona. Pani Schmitt, chcę, żeby rano przygotowała pani przysmak pana Barnetta: jaja na miękko w łódkach ze szpinaku.

- Będą jaja na miękko, proszę pani.

Levinia wyszła z kuchni, nie mówiąc już ani słowa. Przemierzając duszny, źle oświetlony korytarz czuła, jak serce wali jej z przerażenia na myśl o tym, że ośmieliła się sprzeciwić Gideonowi. Będzie wściekły, kiedy się o tym dowie, ale kuchnia jest jej królestwem! On ma politykę, pracę, żeglowanie i polowania, a cóż pozostaje dla niej, oprócz pochwał, których nie szczędzą jej przyjaciółki, kiedy służba wnosi idealne w kształcie lody albo egzotyczne jarzyny? Przed drzwiami prowadzącymi do jadalni Levinia stanęła, poprawiła gorset, dotknęła dłonią czoła i stwierdziła, że po wizycie w kuchni jest pokryte kropelkami potu. Z kieszeni ukrytej w fałdach sukni wyjęła chusteczkę, otarła czoło, poprawiła włosy, po czym ruszyła na spotkanie gości.

O dobrej atmosferze nie było co marzyć. Wszyscy wprawdzie udawali, że nie słyszeli nic z tego, o czym mówiono w korytarzu prowadzącym do kuchni, ale w rzeczywi-

stości usłyszeli prawie wszystko. Kobiety, stale rywalizujące o miano najlepszej pani domu, wymieniały uwagi głosami przyciszonymi i pełnymi poczucia wyższości.

Lorna znad pianina obserwowała matkę. Zauważyła sztuczny spokój, z jakim kazała Daphne i Theronowi iść do łóżek. Widziała, że nadal jest wzburzona i z trudem to ukrywa. Co mogło być tego przyczyną? Czyżby ten przystojny, jasnowłosy służący? Ciekawe, kto to taki? I kto odpowie za to, że chłopak nie przyuczony do podawania posiłków znalazł się w jadalni? Pragnąc odwrócić uwagę zebranych od matki, Lorna powiedziała:

- Zaśpiewajmy wszyscy „Po balu”.

Taylor DuVal natychmiast stanął za nią, położył dłonie na jej ramionach i zaśpiewał wesoło. Taylor był dobrym kolegą; zawsze przyjmował propozycje Lorny. Jednak pozostali goście nie zwrócili na nich uwagi, więc Lorna zamknęła zeszyt z nutami. Zabawianie gości postanowiła zostawić matce, sama zaś zaproponowała Taylorowi wyjście na werandę.

Jenny aż podskoczyła:

- Ja też idę!

Lorna nie była z tego zadowolona. Szesnastoletnia siostra to prawdziwa plaga. Dopiero w tym roku Levinia pozwoliła Jenny dłużej uczestniczyć w przyjęciach, a ta natychmiast zaczęła polować na Taylora. Nie dość, że przy każdej okazji robiła do niego słodkie oczy, to jeszcze powtarzała Levinii wszystkie ich rozmowy.

-Nie czas, żebyś poszła do łóżka? - spytała złośliwie Lorna.

- Mama powiedziała, że mogę zostać do północy. Lorna spojrzała na Taylora. Stojący za plecami Jenny młodzieniec wruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce.

- Dobrze, możesz iść.

Weranda ciągnęła się przez całą długość budynku od frontu; panujący w jej wnętrzu mrok rozpraszało światło padające z okien salonu i saloniku. Ustawiono na niej wi-

klinowe krzesła, stoliki i szeslongi. Od leżących tu przez zimę w wilgoci poduszek pachniało pleśnią; z wonią stęchlizny mieszał się zapach róż, pnących się po drewnianej kracie.

Majątek położony był na północnym cyplu wyspy Mani-tou. Dom wzniesiono bardzo blisko brzegu, ale z trzech stron otaczało go płaskie podwórze, tylko z tyłu rozciągały się ogrody i warzywniki. Była tam też szklarnia, w której ogrodnicy latem i zimą hodowali dla Levinii kwiaty. W ciepłe letnie wieczory płynęły stamtąd słodkie wonie. Był czerwiec. Ogrody stały w kwiatkach, szumiały sprowadzone z Włoch fontanny. Księżyc już wzeszedł i leżał teraz na wodzie jak złota trąbka. W oddali słychać było silniki „Don Kichote”, z pluskiem wpływającego do miejskiego portu. Na pokładzie znajdowali się amatorzy koncertu, wracający z Ramley Pavilion, położonego po drugiej stronie jeziora. Blżej krył się w mroku prywatny port Rose Point. Na drobnych falach ledwo dostrzegalnie kołysał się samotny maszt.

Tego wieczoru nikt jednak nie zwracał uwagi na romantyczny nastrój. Skoro tylko młodzi znaleźli się w cieniu, Jenny ścisnęła dłoń Lorny.

- Lorna, powiedz mi, co stało się w kuchni? Czy papa tam poszedł?

- Nie możemy o tym rozmawiać w obecności Taylora, Jenny. Zapominasz o dobrym wychowaniu.

- Nie przeszkadzajcie sobie - wtrącił Taylor. - Jestem przecież przyjacielem rodziny.

- No, Lorna, powiedz.

- Nie wszystko wiem; słyszałam tylko, że papa chciał wyrzucić kucharkę, a mama mu na to nie pozwoliła.

- Kucharkę? Dlaczego? Jedzenie bardzo wszystkim smakowało.

- Nie wiem. Papa nigdy w życiu nie był w kuchni, tym bardziej podczas przyjęcia. Mama była na niego wściekła.

Wrzeszczeli na siebie, jakby chcieli się pozabijać.

- Wiem. Wszystko było słyhać w jadalni. Prawda, Taylor?

Lorna powtórzyła to, co usłyszała, ale ani ona, ani siostra i tak nie mogły nic zrozumieć. Całe to zajście dziwiło Lornę nie mniej niż Jenny, nie mogły jednak dłużej rozmawiać, ponieważ na werandę wyszedł Iversen. Tim zapalił fajkę i rozmowa zeszła na temat zdjęć z regat i tego, które z nich gazeta zechce wykorzystać.

Wkrótce przyłączyło się do nich więcej osób, więc siostry nie miały już okazji rozmawiać o kłótni rodziców. Lorna nie mogła przestać o tym myśleć. Razem z Jenny poszła na górę, zanim jeszcze Gideon i Levinia pożegnali ostatnich gości.

- Czy mama wspomniała o scenie, którą urządzili w kuchni? - spytała szeptem Jenny, gdy wchodziły po schodach.

-Nie.

- To znaczy, że nadal nie wiesz, o co poszło?

- Nie, ale zamierzam się dowiedzieć.

Na górze Lorna pocałowała młodszą siostrę w policzek.

- Dobrej nocy, Jen.

Dziewczęta udały się do swoich pokoi. Jenny spała razem z Daphne, ale Lorna miała już własną sypialnię. Chociaż sufit był wysoki, a okna wielkie, w pokoju było duszno. Lorna zdjęła kolczyki i położyła je na toalecie. Nie rozebrała się, zdjęła tylko buty, które rzuciła obok krzesła, po czym usiadła i czekała, aż ucichną wszystkie głosy. Kiedy zdobyła pewność, że wędrówki papy, mamy i Jenny do łazienki skończyły się wreszcie, uchyliła drzwi sypialni, przez chwilę nasłuchiwała, po czym wymknęła się na korytarz. Wszędzie panowała cisza. Lampy w korytarzu zgaszono. Ciotki udały się na górę trochę wcześniej i z pewnością już smacznie spały.

W ciemnościach dziewczyna na palcach minęła schody główne i poszła ku kręconym przeznaczonym dla służby, w samym końcu korytarza. Prowadziły one z sypialń na dru-

gim piętrze prosto do kuchni; drzwi na pierwsze piętro zawsze były zamknięte.

Lorna otworzyła je i zmarszczyła nos, kiedy poczuła zapach brukselki. Mimo wszystko zeszła na dół.

Kiedy otworzyła drzwi do kuchni i zajrzała do środka, zobaczyła cztery osoby: dwie pomocnice, kucharkę - panią Schmitt - i tego Harkena, który podczas kolacji upuścił talerz mamy. Pomocnice odkładały na miejsce ostatnie naczynia. Pani Schmitt kroił szynkę, a Harken zamiatał podłogę. Zanim ją spostrzeżono, Lorna przez chwilę obserwowała młodzieńca. Pomyślała, że jest bardzo przystojny.

W końcu uświadomiła sobie, że wpatrywanie się w pomocnika kucharki nie jest stosowne, więc powiedziała:

- Dobry wieczór.

Wszyscy stanęli jak rażeni gromem. Pani Schmitt pierwsza przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Dobry wieczór, panienko.

Lorna weszła do środka i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- O której wolno wam iść spać?

- Właśnie kończymy, panienko.

Lorna spojrzała na sześciokątny zegar wielkości półmiska, wiszący na ścianie.

- Za dwadzieścia pierwsza.

- Jutro mamy wolne, panienko. Zaraz po śniadaniu będziemy mogli pójść do kościoła. Musimy tylko przygotować zimny bufet na obiad i kolację.

-Och... tak, oczywiście... - uśmiechnęła się Lorna. -Nie wiedziałam, że tak długo pracujecie.

- To się zdarza tylko wtedy, kiedy państwo wydają przyjęcie, panienko.

W kuchni zapadła krępująca cisza. Pomocnice stały, trzymając w rękach miedziane czajniczki. Harken przestał zamiatać i znieruchomiał, oparty na kiju szczotki.

- Czy mogę czymś panience służyć? - spytała wreszcie kucharka.

-Hmm... och, nie! Zastanawiałam się tylko... - Lorna zrozumiała, że się pomyliła. Pytanie, z którym przyszła, nawet kucharka uzna za impertynenckie. Jak można pytać tych zmęczonych, spoconych ludzi, czym doprowadzili ojca do furii? - Na górze jest tak gorąco. Chciałabym dostać trochę soku owocowego.

- Jeszcze nie wycisnęliśmy pomarańczy na jutro, ale zostało trochę koktajlu. Nalać panience?

W skład koktajlu wchodziły szampan i rum; Lornie nie pozwalano go pić.

- To w zasadzie prawie sama mięta i zielona herbata, panienko - dodała kucharka.

- W takim razie chętnie przyjmę filiżankę. Kucharka poszła po napój. Pod jej nieobecność odezwał się Harken:

- Jeśli wolno mi pozwolić sobie na taką impertynencję, panienko, to sądzę, że chciała panienka dowiedzieć się, co spowodowało tyle zamieszania?

Pierwszy raz Lorna spojrzała młodemu człowiekowi prosto w oczy: były tak błękitne, jak plamy pojawiające się pod powiekami komuś, kto ośmielił się spojrzeć na błyskawicę.

Harken nie spuścił wzroku, dziewczyna była bowiem tak piękna, że nie zamierzał odmawiać sobie przyjemności patrzenia na nią.

- To na mnie tak się złościł - oznajmił. - O to, że do lodów ojca panienki włożyłem karteczkę.

- Karteczkę? Do lodów ojca? - Lorna ze zdumienia zapomniała zamknąć usta.

Jens znów zaczął zamiatać.

- Naprawdę?

Rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Tak, panienko.

- Włożyłeś karteczkę do lodów mojego ojca?

Kąciki jej ust zaczęły drgać. Kiedy Lorna wybuchnęła śmiechem, pomoce kuchenne niepewnie spojrzały po so-

bie. Dziewczyna zasłoniła usta dłońmi i śmiała się niepoohamowanie, aż dźwięczały naczynia. W końcu opanowała się i zapytała jeszcze raz:

- Mojemu ojcu? Gideonowi Barnettowi? Harken ponownie przerwał zamiatanie. -Tak.

- Co tam napisałeś?

- Że wiem, jak wygrać przyszłoroczne regaty.

Lorna tym razem zapanowała nad śmiechem, ale pozwoliła, żeby w jej oczach zaśniło rozbawienie.

- Co na to powiedział?

- „Jesteś zwolniony”.

-Och... - Lorna z trudem opanowała się, kiedy zrozumiała, że dla Harkena ta sytuacja z pewnością nie jest zabawna.

- Przykro mi.

- Nie ma powodu. Uratowała mnie pani Schmitt. Powiedziała, że beze mnie tu nie zostanie.

- To znaczy, że nie zostałeś wyrzucony? Chłopak pokręcił głową.

Lorna przyjrzała mu się badawczo.

- Czy rzeczywiście wiesz, jak mój ojciec mógłby wygrać przyszłoroczne regaty?

- Tak, ale on nie chce mnie wysłuchać.

- Oczywiście, że nie; ojciec nikogo nie słucha. Udzielanie mu rad jest bardzo niebezpiecznym przedsięwzięciem.

- Teraz już wiem.

- Powiedz mi, jak możemy wygrać regaty?

- Zmieniając kształt kadłuba. Mógłbym to zrobić. Mógłbym...

Pani Schmitt wróciła z filiżanką napoju przezroczystego i jasnego jak chryzolit.

- Proszę, panienko.

- Och, dziękuję.

Lorna ujęła filiżankę w obie dłonie. Nie wiedzieć czemu, kiedy znalazła się blisko kucharki, dobre wychowanie dało o sobie znać i dziewczyna zrozumiała, że nie powinna

omawiać spraw rodzinnych z personelem kuchennym, nawet jeśli żeglowanie bardzo ją interesuje. Zerknęła na pomocnice, nadal stojące nieruchomo, przejęte jej najściem. Nagle zrozumiała, że przez nią ci ludzie jeszcze później położą się spać.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała pogodnie. - Dobrej nocy.

Pomoce kuchenne dygnęły i zaczerwieniły się.

- Dobrej nocy, pani Schmitt.

- Dobrej nocy, panienko. I po krótkiej przerwie:

- Dobrej nocy, Harken.

Lorna znów zajrzała w jego niebieskie oczy. Chłopak nie uśmiechnął się ani też nie zmieszał; zachował pozę pełną szacunku, jak przystało pomocnikowi kucharki w obecności lepszych od siebie. Kiwnął w odpowiedzi głową, a kiedy dziewczyna wychodziła, przyjrzał się jej od czubka głowy po pięty i mocniej ścisnął kij szczotki. Musiałby być idiotą, żeby nie zwrócić uwagi na tak urocze zjawisko.

Lorna podeszła do schodów dla służby i już położyła rękę na klamce, kiedy zatrzymał ją głos młodego człowieka:

- Czy mogę spytać, panienko, kim panienka jest? Mówią, że jest was trzy.

Lorna obejrzała się przez ramię.

- Jestem Lorna, najstarsza.

„Lorna; najstarsza” - powtórzył w myślach Jens.

- Ach - powiedział cichutko. - Dobranoc, panienko Lorno. Życzę spokojnych snów.

Rano dziewczyna nie czuła się jednak wypoczęta. Czy mogło być inaczej, skoro niebieskie oczy przeszkadzały jej zasnąć? Skoro przystojny służący miał śmiałość podsunąć papie liścik i pouczać go, jak wygrać regaty? Skoro wydarzenia minionego wieczoru poróżniły papę i mamę jak nigdy dotąd i wszyscy ich przyjaciele od rana będą mówili tylko o tym? Skoro pierwszy raz w życiu Lorna spróbowała koktajlu i dostała lekkiego zawrotu głowy? Skoro na krót-

ką, cudowną chwilę przejęła rolę gospodyni, grała gościom na pianinie, a na werandzie wymieniła z Taylorem liściki i była przekonana, że gdyby znalazła się z nim przez chwilę sama, pocałowałby ją?
Jak młoda, osiemnastoletnia kobieta mogła spać w ciepłą, letnią noc, kiedy życie napierało na jej pierś jak skrzydła napierają na kokon, gdy poczwarka przemieniała się w motyla?

Rozdział 2

Levinia założyła w ubieralni obszerną białą koszulkę z długimi rękawami i mimo upału zapięła się pod samą szyję. Dopiero potem wyszła zza parawanu, wystrojona na noc. Mattie, jej pokojówka, czekała przy toalecie.

Levinia usiadła bez słowa. Mattie wyjęła różę i grzebień, rozczesała włosy Levinii i zaplotła je luźno w pojedynczy warkocz, związała jego koniec i spytała:

- Czy coś jeszcze, proszę pani?

Levinia podniosła się; nadal wyglądała po królewsku, chociaż korona zniknęła. Bardzo rzadko dziękowała służbie. Zapłata stanowiła, jej zdaniem, wystarczające podziękowanie. Co więcej: dziękowanie rodzi samozadowolenie, a z samozadowolenia bierze się lenistwo. Levinia uniosła więc kąciki ust w skąpym uśmiechu i powiedziała tylko:

- To wszystko, Mattie; dobranoc.

- Dobranoc, proszę pani.

Levinia stała sztywna, jak posąg, dopóki drzwi się nie zamknęły. Potem uniosła koszulkę i zajęła się drapaniem głębokich, czerwonych śladów, które na jej brzuchu zostawił gorset. Drapała się aż do krwi, pomrukując z zadowolenia. Później zapięła na guziki pasek przy bawełnianych pantalonach, zdmuchnęła lampkę i weszła do sypialni.

Gideon siedział na łóżku i palił cygaro z takim wyrazem twarzy, jakby miał ochotę zdusić je na czole żony.

- Czy musisz tutaj kopcić to coś? Śmierdzi palonym nawozem.

- To moje łóżko, Levinio! Jeśli chcę, mogę tu palić.

Levinia położyła się na boku, odwrócona do Gideona plecami, i okryła się kołdrą po same pachy, chociaż nawet stopy miała spocone. Za nic nie położy się na kołdrze. Zawsze, gdy to robiła, mąż obmacywał ją i szturchał, żeby znów to z nią zrobić. Po raz tysięczny Levinia zastanawiała się, ile lat musi skończyć mężczyzna, żeby mu się odechciało. Gideon nadal zatruwał dymem cygara powietrze, ponieważ wiedział, że Levinia tego nie znosi i ponieważ on nie lubił, żeby żona wygrywała z nim tak, jak dzisiejszego wieczoru.

„Dobrze - pomyślała Levinia - mogę podjąć tę rękawicę”.

- Sądzę, że powinieneś wiedzieć, Gideonie - oznajmiła - że pani Schmitt zgodziła się zostać, postawiła jednak jeden warunek: bym pozwoliła jej zatrzymać Harkena. Wyraziłam zgodę.

Za jej plecami mąż zakrztusił się i zaczął kaszleć. -Ty... co?

- Powiedziałam Harkenowi, że może zostać. Skoro pani Schmitt postawiła taki warunek, musi tak być.

Gideon chwycił żonę za ramię i przewrócił na plecy.

- Po moim trupie!

Levinia przyglądała mu się, cały czas przytrzymując kołdrę.

-Poniżyłeś mnie dzisiaj, Gideonie. Wystawiłeś na pośmiewisko, wybuchnąłeś gniewem w trakcie przyjęcia, a wszystko dlatego, że od nikogo nie chcesz przyjąć rady. Mówię ci o tym, bo nie chcę stracić twarzy wobec wszystkich przyjaciół. Ludzie się dowiedzą, jak zawsze. Nasi służący powiedzą służbie DuValów, a ich służba służącym Tuftsów i wkrótce wszyscy na wyspie będą wiedzieli, że Levinia Barnett nie ma władzy nawet nad personelem zatrudnianym w swoim domu. Dlatego pani Schmitt zostaje i Harken zostaje. Jeśli masz zamiar robić z tego sprawę i kopicie w sypialni, to pójdę do ubieralni i prześpię się na krześle.

- Chciałabyś nie dotykać mnie nawet przez sen!
- Puść mnie, Gideonie. Jest okropnie gorąco!
- Zawsze jest okropnie gorąco albo jesteś okropnie zmęczona, albo okropnie się boisz, że dzieci usłyszą, bądź też, że usłyszą nas moje siostry! Zawsze znajdzie się jakaś wymówka!
- Co cię napadło?

Gideon zdarł z Levinii kołdrę, wsunął rękę pod koszulę i zaczął rozpinać guziki przy majtkach.

- Pokażę ci, co mnie napadło!
- Gideonie, proszę, przestań! Jest tak gorąco, a ja jestem strasznie zmęczona.
- Nic mnie to nie obchodzi. Raz na trzy miesiące mężczyzna ma do tego prawo, Levinio, a dzisiaj mija właśnie trzeci miesiąc.

Kiedy Levinia zrozumiała, że nie uda się go powstrzymać, przestała stawiać opór. Dostawszy, czego chciał, Gideon zsunął się z żony, westchnął i zasnął spokojnie jak dziecko. Levinia długo jeszcze leżała z zaciśniętymi ustami i lodem w sercu.

* * *

Agnes i Henrietta Barnett we wspólnej ubieralni również korzystały z parawanu. Henrietta przebrała się pierwsza. Uważała to za swoje święte prawo: ostatecznie urodziła się pierwsza. Henrietta miała sześćdziesiąt dziewięć lat, a Agnes sześćdziesiąt siedem. Henrietta przez całe życie starała się chronić młodszą siostrę przed kłopotami i nic nie było w stanie zmienić tego stanu rzeczy.

- Pospiesz się, Agnes, i zgaś wreszcie tę lampę. Jestem zmęczona.
- Muszę jeszcze wyszczotkować włosy, Etto.

Agnes podeszła do toaletki, zawiązując pod szyją nocną koszulę. Henrietta oparła się na dwóch wysoko ułożonych poduszkach i próbowała nie zwracać uwagi na różowawe światło gazowej lampy. Przysłuchiwała się krzątaniu

Agnes, jak zwykle guzdrzącej się przy toalecie, niewrażliwej na to, że przez nią nikt w pokoju nie może zasnąć. Agnes usiadła, wyjęła z rudosiwych włosów celuloidowe spinki i zaczęła się czesać. Przy kloszu lampy kręcił się komar, pobzykując cienko, ale kobieta nie zwracała na niego uwagi, tylko czesała się i czesała, przechylając głowę na bok. Oczy miała jasnoniebieskie, a brwi pięknie zarysowane, tak jak wtedy, kiedy miała dwadzieścia lat; dzisiaj ich mahoniową czerń przyprószyła już lekko siwizna. Agnes kości miała drobne, rysy delikatne. W ciągu czterdziestu lat jej dorosłego życia mężczyźni często oglądali się za nią. Ostatnio jej głos zaczął lekko drżeć, a w oczach pojawił się nowy wyraz.

- Wydaje mi się, że młody DuVal jest zadurzony w Lornie - powiedziała.

- Miły Boże, Agnes. Tobie się zdaje, że każdy młody mężczyzna jest zadurzony w każdej dziewczynie, z którą go widziano.

- Myślę się, że on naprawdę jest zadurzony. Widziałaś, jak wychodzili dzisiaj na werandę?

Henrietta poddała się i otworzyła oczy.

- Nie tylko widziałam, ale też słyszałam. Jeśli chcesz wiedzieć, to ona go zaprosiła i zamierzam porozmawiać o tym z Leviną. Nie mam pojęcia, dokąd zdąży ten świat, skoro osiemnastoletnie dziewczęta poczynają sobie dzisiaj tak odważnie! To nie wypada!

- Nasza Lorna nie jest już dzieckiem, Etto. Jest kobietą. Ja miałam tylko siedemnaście lat, kiedy oświadczył mi się kapitan Dearsley.

Henrietta podskoczyła na łóżku, odwróciła się twarzą do ściany i poprawiła poduszkę.

- Och, ty i twój kapitan Dearsley! Nigdy nie przestaniesz o nim mówić.

- Nigdy nie zapomnę tego wieczoru. Był w mundurze, złote warkocze na epoletach lśniły w świetle księżyca, a...

- ...a jego dłonie w białych rękawiczkach przypominały

płynące łabędzie - dokończyła za siostrę Henrietta. - Agnes, jeśli jeszcze raz będę musiała tego słuchać, to przysięgam, że zwymiotuję.

Henrietta obejrzała się przez ramię. - Zgaś lampę i chodź tutaj.

Agnes, rozmarzona, nadal czesała włosy.

- Ożeniłby się ze mną, gdyby wrócił z wojny z Indianami. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Miałabym dzisiaj piękny dom, służbę, trzech synów i trzy córki. Najstarszego nazwałabym Malcolm, a dziewczynkę Mildred. Rozmawiałam z kapitanem Dearsleyem o dzieciach. Mówił, że chciałby mieć dużą rodzinę; ja też chciałam. Dzisiaj nasz Malcolm miałby ponad czterdzieści lat, a ja byłabym babcią. Wyobraź sobie, Etto: ja w roli babci.

Henrietta skrzywiła się, zdenerwowana.

- Och... - westchnęła Agnes. Odłożyła szczotkę i zaczęła wiązać włosy w kucyk.

- Zapleć włosy - rozkazała Henrietta.

- Dzisiaj jest zbyt gorąco.

- Agnes, dama powinna mieć na noc zaplecione włosy. Kiedy się tego wreszcie nauczysz?

- Gdybym wyszła za mąż za kapitana Dearsleya, z pewnością często nie miałabym czasu, żeby zapleść warkocz.

Prosiłby mnie, żebym rozpuściła włosy i na pewno bym mu nie odmówiła.

Agnes związała włosy, zgasiła lampę i podeszła do okna wychodzącego na szklarnię i na rozległy różany ogród Le-vinii, rozsiewający odurzający zapach. Odsunęła zasłonę, posłuchała przez chwilę szumu fontanny, po czym głęboko zaczerpnęła powietrza i na bosaka powędrowała do rzeźbionego łóża, żeby położyć się u boku siostry.

Przez ścianę dochodziły stłumione głosy.

- O jej - szepnęła Agnes. - Zdaje się, że Gideon i Levi-nia jeszcze się kłóca.

Nagle burkliwe głosy umilkły; teraz siostry słyszały rytmiczne skrzypienie łóżka.

Henrietta uniosła głowę, przez chwilę nasłuchiwała, po czym przewróciła się na bok i przykryła głowę poduszką. Agnes natomiast leżała na plecach, wpatrzona w cienie nocy, i z tęsknym uśmiechem na ustach przysłuchiwała się dobiegającym zza ściany odgłosom.

* * *

W pokoju po drugiej stronie korytarza Jenny Barnett siedziała po turecku na łóżku swojej siostry, Daphne.

Dziewczęta były ubrane w koszule nocne. Zgasiły światło. Jenny zapomniała już o kłótni między mamą i papą.

- Lorna ma szczęście - zaczęła jak zwykle.

Położyła się na plecach i uniosła rękę, żeby skubać swoje włosy. Jedną nogę spuściła z łóżka i machała bosą stopą.

- On jest bardzo przystojny.

- Powiem jej o wszystkim.

- Nie, nie powiesz; jeśli to zrobisz, to ja powiem, że paliłaś za szklarnią.

- Nie paliłam!

- Paliłaś. Theron cię widział. Widział cię z Betsy Whiting.

- Zabiję go!

Jenny nie przestawała machać stopą.

- Nie uważasz, że Taylor ma piękne wąsy i brodę?

- Uważam, że wąsy wyglądają głupio.

Jenny odwróciła się na brzuch i oparła policzek na splecionych dłoniach.

- Wąsy Taylora nie wyglądają głupio - westchnęła. - Ach, oddałabym wszystko, żeby być Lorną. Theron mówił, że

Taylor w zeszłym tygodniu pocałował ją w ogrodzie różanym, kiedy wracali z tańców.

- Fe! Ja nie pocałowałabym Taylora DuVala! Żadnego chłopaka! Chłopcy są wstrętni.

- A ja pocałowałabym Taylora. Nawet z otwartymi ustami.

- Z otwartymi ustami?

Jenny Barnett, za takie gadanie pójdziesz do piekła. Jenny znów usiadła ze skrzyżowanymi nogami. Odchyliła głowę do tyłu, aż końce włosów sięgnęły jej poniżej talii, złączyła dłonie i wyciągnęła je ku sufitowi, wypinając młode piersi pod karczkiem koszuli.

- Nie pójde do piekła. Sissy powiedziała, że wszyscy dorośli tak się całują i wkładają sobie do ust języki.

- Powtórzę wszystko mamie!

Jenny opuściła ramiona i oparła je za plecami o materac.

- Dobrze, powtórz. Sissy mówi, że wszyscy tak robią. Sissy Tufts, rówieśnica Jenny, była jej najlepszą przyjaciółką.

- Skąd Sissy o tym wie?

- Sissy to robiła. Z Mitchellem Armfieldem. Mówiła, że to było bardzo podniecające.

- Kłamiesz. Nikt nie zrobiłby czegoś tak odrażającego.

- Och, Daphne... Jesteś jeszcze dzieckiem.

Jenny zsunęła się z łóżka. Odchyliła ramiona i na palcach, jak balerina biegnąca po scenie do swojego księcia, ruszyła przez pokój w stronę okna.

Przy oknie opadła na ławkę, zalaną światłem księżyca, gęstym jak śmietana. Jak spoczywająca primadonna, otoczyła ramionami kolana i oparła na nich brodę.

- Nieprawda! Jestem tylko dwa lata młodsza od ciebie! Jenny kołysała się na pośladkach.

- Wiem tylko, że jeśli jakiś chłopak zechce mnie pocałować, spróbuję tego. Jeśli zechce włożyć mi język do ust, to i tego spróbuję.

- Naprawdę myślisz, że Lorna robiła to z Taylorem? Jenny przestała się kołysać, postawiła obie stopy na ławce i dłońmi otuliła bosc palce.

- Theron widział ich przez lunetę.

- Ach, Theron i jego głupia luneta. Żałuję, że ciocia Agnes mu ją podarowała. Wszędzie ją nosi, wyciąga i pokazuje moim znajomym, złośliwie rechocąc. Czasem zgryźli-

wie dodaje: „To oko dużo wie”. To żenujące. Przez chwilę dziewczęta myślały o tym, jak głupi są dwunastoletni bracia i zastanawiały się, kiedy przyjdzie czas na ich pierwsze pocałunki. Milczenie przerwała Jenny.

- Daph? -Co?

- Jak myślisz, co zrobić z nosem, kiedy się człowiek całuje?

- Skąd mam wiedzieć?

- Nie sądzisz, że nos będzie przeszkadzał?

- Nie wiem. Kiedy ciotki mnie całują, nigdy mi nie przeszkadza.

- To co innego. Chłopcy całują dłużej.

Przez moment zastanawiały się nad tym problemem w milczeniu. Po chwili Jenny powiedziała:

- Daph? -Co?

- Może chłopcy już próbowali to z nami robić, a my nic nie zauważyłyśmy?

- Musiałybyśmy zauważyć.

- Skąd wiesz, że zauważymy? Uważam, że powinniśmy spróbować.

Daphne zrozumiała siostrę, ale nie zamierzała się na to godzić.

- O, nie! Znajdź sobie kogoś innego!

- Ależ Daphne, pewnego dnia ty też będziesz całowała chłopców. Chcesz być głupia jak ptak dodo, nie mieć o tym zielonego pojęcia?

- Wolę być głupia jak dodo, niż ćwiczyć z tobą całowanie.

- Daj spokój, Daphne.

- Zwariowałaś. Zbyt długo gapiłaś się na Taylora DuVal. -To będzie nasza tajemnica. Do końca życia nikt się o tym nie dowie.

- Nie - uparła się Daphne. - Nie zgadzam się.

- Pomyśl tylko: David Tufts zechce cię pocałować i zde-

rzycie się nosami, a kiedy spróbuje włożyć ci język do ust, zachowasz się jak głupia gęś.

- Skąd wiesz o Davidzie?

- Theron nie tylko Lornę szpieguje z tą swoją lunetą.

- David Tufts nigdy nie będzie próbował mnie pocałować. Nieustannie mówi o swojej kolekcji owadów.

- Może jeszcze nie w tym roku, ale kiedyś pewnie zechce. Daphne pomyślała chwilę i uznała, że w słowach Jenny może być jakieś ziarenko prawdy.

- No dobrze. Ale nie będę się przytulała!

- Oczywiście, że nie. Zrobimy to tak, jak Sissy i Mitchell. Oni siedzieli na huśtawce.

- Co mam robić? Podejść i usiąść koło ciebie?

- Jasne.

Daphne wyszła z łóżka i usiadła pod oknem, obok siostry. Bosymi stopami dziewczęta dotykały podłogi. Ich plecy oświetlał księżyc. Popatrzyły na siebie, zachichotały i zamilkły, zmieszane. Żadna się nie poruszyła.

- Jak myślisz, powinniśmy zamknąć oczy, czy co? - spytała Daphne.

- Chyba tak. Głupio byłoby to robić z otwartymi oczami; to tak, jakby zaglądać w oczy rybie, którą zdejmuje się z haczyka.

- No, zróbmy to wreszcie - powiedziała Daphne. - Szybciej. Jest mi głupio.

- Dobrze. Zamknij oczy i schyl lekko głowę. Przechyliły głowy i dotknęły się ustami, po czym szybko odskoczyły od siebie i otworzyły oczy.

- Co o tym myślisz? - spytała Jenny.

- Jeśli na tym polega całowanie, to wolę poprzestać na oglądaniu kolekcji owadów Davida Tuftsa.

- To wcale nie było podniecające. Jak sądzisz, może powinniśmy spróbować jeszcze raz i dotknąć się językami?

Daphne nie wyglądała na zadowoloną.

- Dobrze, ale najpierw wytrzymaj sobie język do sucha w koszulę.

- Dobry pomysł.

Siostry zaczęły szarpać koszule i energicznie wycierać języki. Potem szybko przechyliły głowy, zacisnęły oczy i pocałowały się tak, jak - ich zdaniem - należy to robić. Po dwóch sekundach Daphne parsknęła śmiechem.

- Przestań! - zdenerwowała się Jenny. - Nie strzelaj we mnie swoimi bakteriami!

Odsunęła się od siostry i po chwili sama zaczęła się śmiać, aż przewróciła się na plecy.

Daphne splunęła w zwiniętą koszulę i zaczęła wycierać sobie język, jakby zjadła truciznę.

- Fe! To było okropne! Jeśli tak ma wyglądać całowanie, to wołałabym zjeść całą kolekcję owadów Tuftsa!

Siostry śmiały się tak szczerze, że trzymały się za brzuchy. Skulone na poduszkach, uniosły w górę stopy, wystawiając je na podmuch ciepłego powietrza, wpadającego przez otwarte okna. Były jak młode sylfidy*, czające się na granicy kobiecości, jeszcze zbyt nieśmiałe, by ją przekroczyć, ale już świadome, że wkrótce się to stanie; ufne, że w stosownym czasie będą gotowe. Nieudany próbny pocałunek odchodził już w przeszłość, stając się mglistym wspomnieniem, którym w przyszłości podzielią się ze swoimi dziećmi.

Minęło sporo czasu, zanim Jenny powiedziała, patrząc na odległe gwiazdy:

- Wydaje mi się, że trzeba to robić z chłopcem.

- Chyba tak - zgodziła się Daphne, również wpatrzona w gwiazdy.

* * *

W pokoju Therona Barnetta jeszcze syczała lampa, otoczona morskimi ozdobami. Chłopiec leżał na plecach, na łóżku o szczytach w kształcie kół statku parowego. Kostkę

*sylfida, czyli żeński sylf - w mitologii germańskiej zwiewna istota napowietrzna; termin używany przenośnie do określania dziewcząt pełnych lekkości i gracji (przyp. red.)

prawej nogi oparł na uniesionym kolanie lewej. Koszula nocna osunęła mu się na biodra. W ręce trzymał mosiężną lunetę. Przepatrywał nocne powietrze, wydając przy tym pompatyczne dźwięki. Zimą poznał historię amerykańskiej wojny domowej. Był zafascynowany bitwą między „Monitorem” a „Merrimackiem”.

- Wrrr! - naśladowując głos pracującej maszyny, chłopiec opuścił lunetę i przekręcił się na brzuch. Brodę wbił w brzeg materaca, podniósł dwie bosc stopy i przez chwilę młócił nimi powietrze, potem skrzyżował nogi, zaczął wydawać dziwne pomruki, aż wreszcie zajął się składaniem i rozkładaniem lunety. Nagle poderwał się, uklęknął pośrodku łóżka, przymknął jedno oko i przez lunetę popatrzył na tapetę. Dostrzegł brygantynę ze zwiniętymi żaglami.

- Halo tam! Brygantyna „Theron”, dziesięć stopni na bakburcie!

Theron nie miał pojęcia, co znaczą jego słowa. Obejrzał przez lunetę pokój i stwierdził, że jego statek otoczyła cała armia.

- Do broni! Wszyscy na pokład!

Wroga artyleria trafiła jego statek i Theron przewrócił się, zaciskając powieki i drżąc. Jego palce powoli puściły lunetę.

Leżał wyciągnięty na zmiętej pościeli, kiedy usłyszał chichot w pokoju sióstr. Stał na łóżku, zgasił lampę, odsunął zasłonę i skierował lunetę na wykuszowe okno w pokoju sióstr, wysunięte podobnie jak jego okno, ale u sióstr panowała ciemność. Chłopiec zobaczył tylko białe zasłony i ciemne szyby w oknie.

Zawiedziony faktem, że on, Czarny Barnett, budzący przerażenie i znienawidzony jankeski szpieg, nie będzie mógł dzisiaj zaobserwować żadnych krwawych scen, odłożył lunetę i ziewając, bosy powędrował do łóżka.

Niedzielny rytuał w Rose Point Cottage zaczynał się od śniadania o ósmej rano. Lorna obudziła się o szóstej trzydzięci, spojrzała na zegarek i wyskoczyła z łóżka.

Pani Schmitt powiedziała, że pomoce kuchenne będą wolne zaraz po przygotowaniu śniadania. To znaczy, że Lorna musi złapać Harkena przed ósmą, jeśli chce usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania.

O siódmej czterdzieści pięć, uczesana i ubrana do kościoła, Lorna znów zeszła schodami dla służby i wkroczyła do kuchni. Glynnis, posługująca w jadalni, wyszła właśnie z pokoju kredensowego, niosąc stos czystych talerzy. Pani Schmitt gotowała jajka, jedna z pomocnic, rudowłosa, osączała szpinak, a druga siekała zioła. Harken klęczał na jednym kolanie i specjalnym szpikulcem rozdrabniał lód na kawałku materiału.

- Przepraszam - powiedziała Lorna.

Kiedy minął moment pierwszego zaskoczenia, pani Schmitt rzekła:

- Przepraszam, panienko. Śniadanie jeszcze nie jest gotowe, ale dokładnie o ósmej wszystko będzie stało na kredensie.

-Och, nie przychodzę po śniadanie. Chcę rozmawiać z Harkenem.

Harken wrzucił kawał lodu do miski i podniósł się powoli, wycierając ręce w spodnie.

- Słucham, panienko - powiedział grzecznie.

- Chcę, żebyś mi wyjaśnił, jak mój ojciec może wygrać przyszłoroczne regaty.

- Teraz, panienko?

- Tak, jeśli można.

Pani Schmitt spojrzała najpierw na Harkena, potem na zegar.

- Z najwyższą przyjemnością spełniłbym tę prośbę, panienko, ale Chester jeszcze nie wrócił, a śniadanie ma być podane o ósmej. Muszę pomóc pani Schmitt.

Teraz Lorna spojrzęła na zegar.

- Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym. Może porozmawiamy później? To bardzo ważne.

- Oczywiście, panienko.

- Po kościele?

- Prawdę mówiąc... hm... - Harken chrząknął i przestąpił z nogi na nogę. Kciukiem nacisnął ostrze szpikulca do lodu.

Pani Schmitt, znów zajęta gotowaniem jajek, wtręciła: -On ma dzisiaj wolne, panienko. Wybierał się na ryby.

Dziewczęta - zwróciła się do posługaczek - skończcie już ze szpinakiem i ziołami, szybko.

Dziewczyny zaczęły nakładać szpinak do foremek w kształcie łodzi i Lorna zrozumiała, że przeszkadza im w pracy.

Powiedziała do Harkena:

- Oczywiście nie będę ci zabierała wolnego dnia, jednak bardzo chciałabym poznać twój plan. Nie zajmę ci więcej niż kilka minut. Będziesz łowił nad jeziorem?

- Tak, panienko. Z panem Iversenem.

- Z naszym panem Iversenem? Z Timem?

- Tak, panienko.

- Świetnie! Zaraz po kościele wezmę jednomasztowiec i popłynę do Tima. Porozmawiamy chwilę. Na łowienie ryb zostanie ci całe popołudnie. Zgadzasz się?

- Oczywiście, panienko.

- Dobrze. Do zobaczenia u Tima. Przy płynę, kiedy tylko uda mi się wymknąć.

Lorna wyszła. Pani Schmitt zerknęła na Harkena. Ubijała właśnie sos serowy i jej podwójny podbródek trząsł się przy tym jak korale indora.

- Uważaj, co robisz, Jensie Harken. Niewiele brakowało, a straciłbyś pracę. Drugi raz już cię nie uratuję.

- Co miałem zrobić? Odmówić?

- Nie wiem, ale to panna z dobrego domu, a ty pracujesz w kuchni i nie powinniście mieć ze sobą nic wspólnego. Dobrze zrobisz, jeśli będziesz o tym pamiętał.

- Nie umówiłem się przecież na tajną schadzkę. Będzie z nami Iversen.

Pani Schmitt prychnęła i z łoskotem rzuciła drewnianą łyżkę.

- Radzę ci tylko, żebyś uważał na to, co robisz, młody człowieku. Masz dwadzieścia pięć lat, a ona osiemnaście; to mi nie wygląda dobrze.

* * *

Podczas śniadania Lorna doznała rozczarowania. Okazało się, że kawę podała Glynnis, a nie Harken. Papa i mama milczeli. Jenny, Daphne i Theron byli senni, ponieważ poprzedniego wieczoru położyli się później niż zwykle. Ciotka Henrietta cały czas pouczała ciotkę Agnes ile wolno jej zjeść i przestrzegała przed mocno przyprawioną kielbasą, od której można dostać niestrawności. Ciocia Agnes, jak zwykle, rozmawiała ze służącą.

- Dziękuję, Glynnis - powiedziała, kiedy ta podała jej kawę. - Jak twój ząb?

Levinia wbiła w Agnes surowe spojrzenie, ale ciotka nie zauważyła tego i uśmiechnęła się do dziewczyny. Glynnis miała nie więcej niż osiemnaście lat, dziobatą cerę i nos przypominający dobrze wyrośniętą babeczkę.

- Lepiej, proszę pani; dziękuję.

- Macie wiadomości od Chestera?

- Nie, proszę pani.

- Przykro mi, że jego ojciec zachorował.

- Tak, proszę pani; to już staruszek. Chester mówi, że ma siedemdziesiąt siedem lat.

Levinia chrząknęła i podniosła filiżankę, by głośno odstawić ją na spodek.

- Śniadanie mi wystygnie, jeśli nie pospieszysz się z kawą, Glynnis.

- Tak jest, proszę pani.

Glynnis zaczerwieniła się i szybko wróciła do swoich obowiązków.

Kiedy wyszła z pokoju, pierwsza odezwała się Henrietta.

- Wielkie nieba, Agnes, mogłabyś już przestać traktować służbę jak przyjaciół. To doprawdy żenujące.

Agnes podniosła na nią niewinne spojrzenie.

- Nie wiem dlaczego. Spytałam tylko biedną dziewczynę o bolący ząb. Chester tak długo u nas służy. Nie obchodzi cię, że jego ojciec zachorował?

- Oczywiście, że nas to obchodzi, Agnes - wtrąciła się Levinia. - Henrietta chciała tylko powiedzieć, że śniadanie to nie jest czas, a jadalnia to nie miejsce na prowadzenie rozmów ze służbą.

- Kiedy ja bardzo lubię z nimi rozmawiać, Levinio - odparła Agnes. - Glynnis to nadzwyczaj miła dziewczyna. Daphne, poproszę o masło.

Levinia uniosła lewą brew i wymieniła z Henriettą pełne niezadowolenia spojrzenia.

Lorna podeszła do kredensu i nałożyła sobie świeżych truskawek. Popatrzyła na lód w misie z rżniętego szkła i przypomniała sobie Harkena, piętnaście minut temu na klęczkach rozdrabniającego go ostrym szpikulcem. Wróciła do stołu i powiedziała:

- Jeśli nikt nie będzie dzisiaj korzystał z jednomasztowca, to ja chciałabym wypłynąć po kościele. Papo, mogę? Gideon dotąd nie odezwał się nawet jednym słowem. Zapytany jednak, krojąc i dziobiąc na talerzu kawałek kielbasy, odparł:

- Nie pochwalam uprawiania tego sportu przez kobiety i dobrze o tym wiesz, Lorno.

Włożył do ust kawałek kielbasy. Na wąsach zostało mu trochę tłuszczu. Lorna skoncentrowała uwagę na tym widoku, starając się zapanować nad uczuciami. Gdyby miało być tak, jak chce ojciec, nosiłaby gorset i siedziała w cieniu, przyglądając się przepływającemu obok życiu, jak jej matka. Lorna potrafiła stawić ojcu czoło, ale wiedziała też, że perswazja zapewniała zwykle lepsze wyniki. Kobiety z rodziny Gideona mogły osiągnąć wszystko, czego pragną,

wszakże pod warunkiem, że ojciec był przekonany, iż to on podjął decyzję.

- Będę trzymała się blisko brzegu i nawet na chwilę nie zdejmę kapelusza.

- Spodziewam się, że będziesz miała na głowie kapelusz - wtrąciła ciotka Henrietta. - i to z ostrą szpilką!

Ciotka Henrietta zawsze przestrzegała bratanice, żeby upinały kapelusze ostrymi szpilkami. Przypominała, że to ich jedyna broń. Lorna często zastanawiała się, co takiego mężczyźni zrobili cioci Henriecie, że chce się przeciw nim zbroić. Zresztą, co mężczyźni mógłby zrobić Lornie na środku jeziora White Bear Lake w słoneczne niedzielne popołudnie?

- Wezmę ostrą szpilkę - odparła z fałszywą uległością. - Powiedzcie mi tylko, o której mam być w domu.

Gideon otarł wąsy, sięgnął po kawę i przyjrzał się córce. Lorna zauważyła, że ma kwaśną minę.

- Możesz wziąć łódkę.

Swego czasu Lorna pokłóciła się z ojcem nie na żarty, kiedy ten dowiedział się od Theron, że namówiła Mitchella Armfielda na lekcje żeglowania.

- Łódkę? - jęknęła. - Ależ, papo...

- Albo łódka, albo nic. Daję ci dwie godziny. I masz zabrać koło ratunkowe. Gdybyś zaplątała się w te spódnice, jak kotwica pociągnęłyby cię na dno.

- Dobrze, papo - zgodziła się Lorna. Do matki powiedziała: - Jeśli pozwolisz, wezmę ze sobą koszyk i zjem obiad na łódce.

W niedzielę nie stanowiło to problemu. Na służbie pozostawało tylko kilka osób, a zimny obiad i kolację przygotowywano wcześniej.

- Dobrze - zgodziła się Levinia - ale niepokoi mnie, że będziesz na wodzie sama.

- Ja mogę z nią popłynąć! - zgłosił się Theron.

- Nie! - krzyknęła Lorna.

- Mamo, proszę, zgódź się.

- Mamo, w zeszłym tygodniu zabrałam go do miasta, chociaż wolałam być sama. Poszedł też ze mną i z Taylorem na koncert. Czy zawsze muszę go ciągnąć ze sobą?

- Lorna ma rację. Tym razem możesz zostać w domu. Lorna odetchnęła i pospieszyła się, żeby skończyć śniadanie przed wszystkimi.

- Powiem pani Schmitt.

Przełknęła resztę kawy i wybiegła, nie dając rodzicom czasu na zmianę zdania.

Jens Harken był w kuchni, kiedy Lorna wetknęła tam głowę. Klęczał przed pojemnikiem na lód i wyciągał spod niego garnek, do którego skapywała woda. Kiedy otworzyła drzwi, chłopak obejrzał się i napotkał jej wzrok. Oczy miał równie niebieskie jak wczoraj, twarz równie ładną, ramiona równie szerokie.

Wstał, podnosząc szeroki garnek, pełny rozkołysanej wody, bez słowa kiwnął głową na powitanie i podszedł do tylnych drzwi, żeby wylać wodę do ogródka.

- Pani Schmitt?! - zawołała Lorna, wyciągając szyję, żeby rozejrzeć się po kuchni. Pani Schmitt wyszła szybkim krokiem z pokoju kredensowego, gdzie pod nieobecność Chestera przeliczała srebrne sztućce.

- Ach, to znowu panienka.

-Tak - uśmiechnęła się Lorna, świadoma, że swoją dodatkową prośbą skróci tych kilka wolnych godzin, przysługujących personelowi kuchni raz w tygodniu.

Harken wrócił i uklęknął, żeby podstawić garnek na skapującą wodę.

- Chciałam prosić, żeby pani przed wyjściem zapakowała mi jedzenie do koszyka. Trochę z tego, co przygotowano na obiad. Zjem w łódce.

- Oczywiście, panienko.

- Proszę zostawić koszyk przy tylnych drzwiach. Zabiorę go stamtąd.

- Dobrze. Włożę trochę ciasta z porzeczkami; panienka bardzo je lubi.

Lorna była zakłopotana. Nigdy w życiu nie mówiła pani Schmitt, że lubi ciasto z porzeczkami.

- Skąd pani o tym wie?

- Od służby, panienko. Znam chyba wszystkie ulubione potrawy panienki i innych domowników.

Lorna znów się uśmiechnęła.

- Bardzo dziękuję, pani Schmitt. Mam ochotę na ciasto z porzeczkami. Życzę pani miłego popołudnia.

- Dziękuję, panienko; mam nadzieję, że będzie przyjemnie.

Lorna wyszła, nie spoglądając więcej na Harkena, ale kiedy już drzwi zamknęły się za nią, oddała się wielce nie-stosownym myślom o silnych rękach wystających z podwiniętych rękawów, przypominających zgrubienia na dębowych konarach, którymi pali się w kominku, i o oczach, które niejeden raz zwracały się ku niej, chociaż chłopak nie przerywał pracy.

* * *

W południe Lorna zabrała koszyk i wyruszyła w drogę. Na głowie miała przypięty świeżo zaostrzoną szpilką słomkowy kapelusz, z którego na jej plecy spływały błękitne wstążki, pasujące kolorem do satynowej spódnicy w paski. Na stopach miała pantofle Prince Alberts z białej tkaniny, z elastycznymi wstawkami, pozwalającymi uniknąć kłopotliwego zapinania licznych guziczków. Lorna odpłynęła od brzegu nie dalej niż na sześć metrów, odłożyła wiosła, podciągnęła spódnicę, zdjęła buty, pończochy i podwiązki i wpakowała to wszystko do koszyka. Potem podniosła wiosła i skierowała się ku przeciwległemu brzegowi, do domku Tima Iversena.

Tim Iversen należał do tych nielicznych ludzi, których wszyscy lubią. Jego zawód pomógł mu przekroczyć granicę oddzielającą klasy wyższe od niższych, bowiem fotografował jednych i drugich. Nie był człowiekiem bogatym, ale miał nad jeziorem White Bear Lake chatę, którą własno-

ręcznie zbudował z okrągłaków, zanim jeszcze bogaci ludzie zaczęli tu stawiać eleganckie letnie rezydencje. Chata Tima nazywała się Birch Lodge i była otwarta dla wszystkich. Iversen nie tylko żeglował z bogaczami, ale też polował, łowił ryby, brał udział w życiu towarzyskim i prowadził kronikę, w której na zdjęciach uwieczniał związane z tym wydarzenia, od kiedy White Bear stało się modnym miejscem zabaw najbogatszych.

Również klasa pracująca miała w Timie przyjaciela. Reporter wywodził się z niższych warstw i nie zamierzał zrywać z nimi kontaktu. Był bezpretensjonalny i, prawdę mówiąc, niezbyt piękny. Jeszcze jako chłopiec stracił lewe oko, trafiony w nie jedną ze strzał, sporządzanych z drutów gorsetu. Teraz nosił szklane oko, ale drugie, zdrowe, służyło mu na tyle dobrze, że stał się fotografem wszystkich klas. Otworzył studio w Saint Paul i zdobył sobie spore uznanie jako stereofotograf. Przemierzał świat z kamerą o dwu obiektywach i robił podwójne zdjęcia do stereoskopów, stojących w tych czasach na każdym ganku w Ameryce i dostarczających popularnej w całym kraju rozrywki.

Kiedy jednak Lorna zbliżała się do pomostu Iversena, nigdzie nie było widać jego kamery. On sam i Harken stali na płyciźnie, trzymając przeciwległe końce włóku. Lorna puściła wiosła i włożyła pończochy i buty, zanim podплыnęła bliżej. Kiedy znów chwyciła za wiosła, obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Tim macha do niej ręką. Harken, oburącz trzymając sieć, przyglądał się nadplywającej łódce.

Kiedy podplywała bliżej brzegu, mężczyźni czekali w wodzie sięgającej kolan. Harken chwycił linkę i przyciągnął łódkę do pomostu. Tim przywitał gościa:

- Cóż za miła niespodzianka, panno Lorno.

Lorna podniosła się, balansując w kołyszącej się łodzi.

- To przecież żadna niespodzianka, Iversen. Harken z pewnością uprzedził pana, że przyplęnę.

- Rzeczywiście - roześmiał się Iversen i wskoczył na pomost, żeby podać Lornie rękę - ale dobrze wiem, co pani

ojciec myśli o żeglujących kobietach, podejrzewałem więc, że może pani mieć kłopoty.

- Jak pan widzi, musiałam zadowolić się łódką - odparła Lorna. Z pomocą Iversena wspięła się na pomost. - Musiałam też obiecać, że za dwie godziny będę z powrotem.

Do tej chwili ani razu nie spojrzała na Harkena. Teraz jednak popatrzyła na chłopca, stojącego w wodzie i przywiązanego łódkę.

- Dzień dobry - powiedziała.

Uniósł głowę i rzucił jej krótkie spojrzenie. Jasne włosy były odkryte, spodnie mokre prawie do bioder. Wymięta biała koszula nie miała kołnierzyka, a na ramionach ugniały ją czerwone szelki. Jens zacisnął węzeł i odpowiedział grzecznie:

- Dzień dobry, panienko.

- Przeszkodziłam wam w zarzucaniu sieci.

- Nie szkodzi - Obejrzał się na porzucone sieci i na wiadro i dodał: - Skończymy później.

Lorna ruszyła rozgrzanym pomostem, a za nią poszedł Iversen, zostawiając na deskach mokre ślady stóp. Harken brodził przez wodę, obok Lorny, tylko trochę niżej. Spotkali się na piaszczystym brzegu. Słońce grzało, woda była prawie nieruchoma. Nawet klony w pobliskim lesie wyglądały na przywiędłe, a stojące przy brzegu wierzby zdawały się spuszczać do wody spragnione języki. Tylko koniki polne ani na chwilę nie przerywały swego koncertu.

Lorna spytała Tima:

- Czy pan Harken powiedział panu, że chcę się dowiedzieć, jak wygrać regaty?

- Tak. A czy powiedział pani, że już przedstawił swój pomysł kilku członkom White Bear Yacht Club, którzy uznali go za szaleńca?

Lorna znów spojrzała na wysokiego, jasnowłosego młodzieńca.

- Czy rzeczywiście, panie Harken?

- Możliwe; ja jestem innego zdania.

- Co pan właściwie proponuje?
- Całkiem nowy kształt łodzi.
- Proszę mi pokazać.

Kiedy pierwszy raz spojrzeli sobie prosto w oczy, Harken zastanawiał się, dlaczego ta piękna dziewczyna interesuje się statkami. Czy potrafi go zrozumieć? Na prośbę żeglarzy bardziej od niej doświadczonych sporządził szkice, ilustrując swój pomysł, a jednak nie uwierzyli mu. Co więcej: jeśli jej ojciec dowie się o tym potajemnym spotkaniu, będzie to równoznaczne z utratą pracy, przed czym ostrzegała go Hulduh Schmitt. Dziewczyna patrzyła z napięciem spod słomkowego kapelusza; nad jej brwiami lekko lśnił pot; również pod pachami bluzki ciemniały jego plamy. Lorna była szczuplutka jak witka, ale miała obfity biust, odziedziczony po matce. Mężczyzna musiałby mieć dwoje szklanych oczu, żeby tego nie zauważyć, a także uroczej twarzyczki. Jens Harken znał jednak swoje miejsce. Mógł przestrzegać zasad dobrego wychowania i okazywać Lornie szacunek, jak przystało pomocnikowi kucharki, ale nie mógł odmówić sobie przyjemności opowiedzenia jeszcze jednej osobie o łodzi swoich marzeń. Jego pomysł jest doskonały. Był tego tak pewien, jak faktu, że nie wypada stać bosu na brzegu jeziora przed panną Lorną Barnett, wystrojoną w spódnicę w pasy i słomkowy kapelusz. Kto wie, może właśnie ona mu pomoże? Nie jest przecież wykluczone, że osoba tak na pozór nieodpowiednia, jak ta znudzona, bogata panna, zrobi coś w tej sprawie. Na wszelki wypadek, zakładając, że jej intencje mogą być jednak szlachetne, Jens postanowił pokazać dziewczynie plany.

- Dobrze - powiedział, podnosząc wiadro z rybkami. Wszedł do wody, opróżnił wiadro i ponownie napełnił je wodą.
- Uwaga - ostrzegł Lornę, po czym chlusnął na piasek; woda błyskawicznie wsiąkła, tworząc gładką tablicę. Z rosnącego opodal krzaka Jens ułamał patyk, wrócił z nim do Lorny i kucnął, opierając się na jednej pięcie.

- Panienska trochę pływała, prawda? - spytał, zanim zaczął rysować.
 - Tak, trochę; kiedy udało mi się wymknąć z domu. Jens uśmiechnął się, nie odrywając wzroku od piasku.
 - Na takiej łodzi pływa teraz pani ojciec. To jest jedno-żaglowiec. Wie panienska, jak to wygląda od spodu? - Narysował głęboki kadłub z płetwą kilową. - Takie dno oznacza, że cała część kadłuba odtąd dotąd - narysował linię powierzchni wody - musi pokonywać opór wody. Na jachtach używanych do wyścigów stale zwiększa się powierzchnię żagli. Dla przeciwwagi zaś na dno daje się coraz więcej żelaza i ołowiu. Gdy to nie wystarcza i statek nadal nie może zachować równowagi, zabiera się na pokład worki z piaskiem, które załoga przesuwa z jednego boku na drugi, kiedy statek się przechyla; widzi panienska?
 - Tak, wiem o co chodzi z tymi workami z piaskiem.
 - Dobrze; teraz proszę sobie wyobrazić...
- Harken uklęknął i zaczął szybko rysować drugi statek.
- Łódź płaskodenna, maleńka, dosłownie ślizgająca się po wodzie. Nie musi pokonywać jej oporu. Taka jest różnica między płaskim kadłubem, ślizgającym się po powierzchni, a kadłubem wypornościowym. Zmniejszamy powierzchnię żagli, możemy więc zmniejszyć ciężar kadłuba. Statek o długości jedenastu i pół metra z kadłubem wypornościowym ważyłby, powiedzmy... osiemset szesnaście kilogramów, a taki sam z płaskim dnem ważyłby tylko dwieście pięćdziesiąt kilogramów. *Tyle* zyskujemy na wadze.
 - Jeśli nie będzie ołowianego balastu, co można zrobić, żeby statek się nie przewrócił?
 - Zmienić kształt.
- Jens rzucił Lornie krótkie spojrzenie i naszkicował trzeci rysunek.
- Proszę sobie wyobrazić łódź o kształcie rozdeptanego cygara. Odległość między pokładem a dnem kadłuba będzie wynosiła mniej niż jeden metr.
 - Tak nisko?

- To jeszcze nie wszystko. Pozbędziemy się długiego bukszprytu. Nie będzie potrzebny, ponieważ nie będziemy musieli umocowywać halslin nadmiernie wielkich żagli. Użyjemy o wiele mniejszych żagli.

- Czy statek z dziobem zwisającym tuż nad poziomem wody nie zacznie od dzioba tonąć?

-Nie.

- Trudno będzie przekonać o tym mojego ojca.

- Możliwe, wiem jednak, że mam rację! Kadłub będzie niski, ale wybrzuszony - Jens wskazał na piasku kształt przypominający rozplaszczone cygaro. - Przy ostrym kursie łódź wejdzie w ślizg tak, że tylko niewielka część kadłuba będzie zanurzona. Zupełnie inaczej niż w starych modelach, one mają kadłub zanurzony głęboko w wodzie, co niewiarygodnie zwiększa ich ciężar.

Jens przerwał dla zaczerpnięcia oddechu, usiadł na piętach, ręce oparł na biodrach i popatrzył Lornie prosto w oczy. Jego oczy w jasnym letnim słońcu świeciły jak widoczne w górze niebo. Z podniecenia oddychał szybciej niż normalnie.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Nie umiem tego wyjaśnić. Po prostu wiem.

- Uczył się pan? -Nie.

- Więc skąd?

Jens odwrócił spojrzenie, wyrzucił patyk, którym rysował, i zatarł ręce.

- Jestem Norwegiem. My mamy to we krwi. Zacząłem żeglować, kiedy byłem małym chłopcem. Uczył mnie mój ojciec, a ojca nauczył mój dziadek.

- Gdzie?

- Najpierw w Norwegii, a potem tutaj.

- Jesteście imigrantami? Jens kiwnął głową.

- Miałem wtedy osiem lat.

A więc stąd ten dziwny akcent. Jens mówił płynnie po angielsku, ale przyglądając się jego twarzy, Lorna dostrze-

gła wyraźne i czyste nordyckie rysy: prosty nos, wysokie czoło, kształtne usta, jasne włosy i niepokojąco niebieskie oczy.

- Czy pański ojciec zgadza się z panem? Jens spojrzał na nią.

- Mam na myśli łódź - dodała dziewczyna.

- Mój ojciec nie żyje.

- Przepraszam.

Jens znów podniósł patyk i wetknął go w piasek.

- Zmarł, kiedy miałem osiemnaście lat. Zginął w pożarze stoczni w New Jersey. Pracowałem tam. Ja też tam pracowałem i próbowałem ich przekonać, ale wyśmiali mnie, jak wszyscy.

- A matka?

- Też nie żyje. Zmarła wcześniej niż ojciec. Ale mam w New Jersey brata. - Jens znów się uśmiechnął, tym razem figlarnie. - Powiedziałem mu, że pojedę do Minnesoty i znajdę kogoś, kto mnie zechce wysłuchać, a kiedy już zostanę bogatym i sławnym projektantem najszybszych jachtów, zaproszę go tutaj, żeby ze mną pracował. Brat jest żonaty i ma dwójkę małych dzieci; jemu nie jest łatwo spakować się i przenieść na nowe miejsce. Zobacz panienka, że kiedyś go tu ściągnę.

Obydwoje klęczeli, skoncentrowani na rozmowie, nieświadomi mijającego czasu. Jego ręka spoczywała na patyku, wetkniętym w piasek, ona oparła dłonie na udach. Jego oczy były pełne słońca, jej - ocieniało rondo słomkowego kapelusza. Lorna wyglądała bardzo kobieco w wysoko zapiętej bluzce z obszernymi rękawami. On zaś bardzo męsko w wymiętej koszuli, szelkach, z bosymi stopami. Przez krótką chwilę byli tylko parą urodziwych ludzi, z prawdziwą przyjemnością rozkoszujących się swoim pięknem. Potem wróciło im poczucie przyzwoitości i Harken spuścił wzrok.

- Brudzi sobie panienka spódnicę, panno Lorno.

- Och - spojrzała w dół - to tylko piasek. Otrzepię się, kiedy spódnica wyschnie. Tak... - Pochyliła się nad rysun-

kiem i przejechała palcem po jego konturach. - Niech mi pan powie, Harken, ile kosztowałoby zbudowanie takiej łodzi?

-Nie mam dość własnych pieniędzy. A klubu nie udało mi się przekonać do wyłożenia potrzebnej kwoty. -Ile?

- Około siedmiuset dolarów, jak sędzę.

- To rzeczywiście dużo.

- Szczególnie, że oni są przekonani, iż statek przechyli się na bok i zatoni.

- Muszę przyznać, że i mnie pewne rzeczy trudno zrozumieć. Proszę mi to jeszcze raz wytłumaczyć tak, żebym mogła przekonać ojca.

Na twarzy Harkena pojawiło się zaskoczenie.

- Mówi panienska poważnie?

- Zamierzam spróbować.

- Powie mu panienska, że przyплыnęła tutaj, żeby ze mną porozmawiać?

- Nie. Powiem mu, że rozmawiałam o tym z panem Iver-senem i że on jest przekonany, że to się uda.

- Panienska jest odważną młodą damą. Lorna wzruszyła ramionami.

- Raczej nie. Proszę mi powiedzieć, panie Harken, czy słyssał pan o pisarzu, Charlesie Kingsleyu?

- Niestety, nie.

-Pan Kingsley utrzymuje, że kobiety cierpią na liczne problemy zdrowotne z trzech zasadniczych powodów: ciszy, bezruchu i gorsetów. Postanowiłam odrzucić wszystkie te rzeczy, żeby zachować zdrowie. Mojemu ojcu to się nie podoba, ale czasem nudzi go nieustanne karcenie mnie i wtedy mogę robić, co chcę. Kto wie, może tak będzie i z tą sprawą? Proszę, panie Harken, żeby pan jeszcze raz wyjaśnił mi, jaki ma być ten statek.

Jens mówił już od dłuższego czasu, gdy nagle w pobliżu rozległ się niegłośny wybuch. Obydwoje drgnęli i podnieśli głowy. Iversen stał w chmurze dymu. Wysuwał właśnie gło-

wę spod czarnego płaszcza, przykrywającego ustawiony na trójnogu aparat fotograficzny.

- Panie Iversen, co pan robi? - krzyknęła Lorna.

- Czuję, że te malowidła na piasku przejdą do historii. Uwieczniłem je więc dla potomnych.

Lorna wstała.

- Nie wolno panu tego robić. Iversen się uśmiechnął.

- Proszę się nie martwić. Nie pokażę tego pani ojcu. No, chyba że po wszystkim, kiedy już Jens zbuduje swoją łódź i szczęśliwie przepłynie jezioro. Tyle mogę pani obiecać.

Lorna uspokoiła się i znów przysiadła na piętach.

- Dobrze. Musi pan obiecać, że do tego czasu zdjęcie pozostanie dobrze ukryte. Zna pan mojego ojca. Po tym wszystkim, co było wczoraj, nie jest życzliwie nastawiony do pana Harkena. Gdyby przyszło mu do głowy, że ośmieliłam się przyplłynąć tutaj, żeby z nim rozmawiać, dostałby apopleksji. Będę musiała go przekonać, że pan, panie Iversen, popiera Harkena i jest pan przekonany, że łódź będzie udana. Czy mogę?

- Jestem przekonany, że to będzie udany jacht.

Lorna spojrzała na Iversena, potem na Harkena i znów na Iversena.

- Więc dlaczego pan nic nie powiedział?

- Mówiłem, ale oni nie słuchali. Pani wie, jaki ze mnie marny żeglarz.

Iversen był znany z tego, że przegrywa wszystkie regaty, w których bierze udział. Raz zdarzyło się nawet, że przyplłynął za swoją łodzią; twierdził, że szybciej znajdzie się na mecie popychając ją, niż żeglując. Jego jacht nosił optymistyczne imię „Możliwe”.

Lorna wstała i podeszła do Iversena.

- Zgodzi się pan spróbować jeszcze raz? Ze mną? I z Harkenem, jeśli papa zechce z nim rozmawiać?

- Chyba tak.

- Och, dziękuję, panie Iversen, dziękuję! - Podniecona

dziewczyna uściskała fotografa, ale opanowała się szybko. -Och, przepraszam. Proszę nie mówić o tym mamie. Iversen roześmiał się.

- Ani cioci Henriecie.

Kiedy śmiech Iversena ucichł, zapadło milczenie.

- Dobrze! - powiedziała wreszcie Lorna. - Zabrałam ze sobą koszyk z jedzeniem, a jestem już bardzo głodna. Czy panowie zechcą towarzyszyć mi w tym skromnym posiłku?

- Z kuchni pani Schmitt? - spytał Iversen, unosząc brwi. - Pyta pani kawalera? Nie trzeba mi tego powtarzać dwa razy.

Harken podniósł się i nic nie mówiąc stał obok swoich rysunków. Lorna obejrzała się na niego.

- Panie Harken?

Nikt nie musiał Harkenowi mówić, że piknik z tą dziewczyną jest w najwyższym stopniu niestosowny. Jednak był z nimi Iversen i chodziło tylko o jedną, potajemnie wykradzioną godzinę, o której ojciec dziewczyny nigdy się nie dowie. Co więcej, jutro Jens Harken wróci do kuchni, a Lorna Barnett do gry w krykieta i wkrótce oboje zapomną o tym nieprawdopodobnym spotkaniu w gorące czerwcowe popołudnie.

- Z przyjemnością - odparł Harken.

Rozdział 3

Iversen przyniósł indiański koc i rozłożył go w cieniu, pod brzozaami rosnącymi niedaleko chaty. Lorna wyjęła z koszyka plastry szynki, bułeczki z masłem, jajka, świeże truskawki, marynowaną skórkę arbuza i ciasto z porzeczkami. Ułożyła jedzenie na brzegu spódnicy, otaczającej ją jak przewrócony namiot w biało-niebieskie pasy.

- Tutaj jest o wiele przyjemniej, prawda? - spytała.

Harken starał się rozkoszować jedzeniem, a nie wyglądem dziewczyny, ale nie było to łatwe. Lorna uniosła ręce i wyjęła szpilkę z kapelusza, po czym zdjęła sam kapelusz i rzuciła go na trawę obok koca. Z przyjemnością poruszyła oswobodzoną szyją.

- W cieniu jest cudownie.

Uniosła ramiona, żeby nieco rozluźnić mocno splecione włosy. W tej pozycji jej piersi wysunęły się mocniej do przodu, a obszerne białe rękawy bluzki przykryły uszy.

Po chwili dziewczyna opuściła ręce, podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Harkena. Chłopak natychmiast odwrócił głowę.

- Proszę! - powiedziała Lorna, zacierając ręce i pochylając się, żeby nałożyć jedzenia. - Truskawki, szynka, jajka...

Panowie, co zjecie na początek? Podnosząc talerzyk, spojrzała na Iversena.

- Wszystkiego po trochu. Lorna podała talerzyk Timowi.

- A pan, panie Harken?

- Wszystkiego po trochu, ale bez skórki arbuza.

- Marynaty są wyborne.

Lorna wybierała jaja i truskawki, a Jens przyglądał się jej dłoni, poruszającej się nad kolorowym jedzeniem. Lorna wytwornie unosiła mały palec.

- Zmieniłaby pani zdanie, gdyby pomagała pani Schmitt przy marynowaniu. Cała kuchnia okropnie wtedy śmierdzi.

Dziewczyna oblizywała kciuk i palec wskazujący; kiedy podawała Harkenowi talerz jedną ręką, powoli wyjmowała palce drugiej z ust.

- Pomagał pan przy marynowaniu tych skórek?

- Zwykle pomagam przy marynatach. Myję owoce i jarzyny i dźwigam kociołki. Są zbyt ciężkie dla kobiet. Dziękuję, panienko.

Jens zaczął jeść, a Lorna, patrząc na marynowaną skórkę arbuza, zastanawiała się nad tym, że nawet nie wie, jak wygląda garnek do marynowania, jaki jest ciężki i co było potrzebne do przygotowania tego prostego dania.

- Co jeszcze pan robi? Chłopak spojrzął jej w oczy.

- Jestem w kuchni pomocnikiem. Robię to, co mi każą.

- No tak, ale co?

- Na przykład, dzisiaj ogrodnik miał wolne, więc o piątej trzydzieści zebrałem truskawki, potem...

- O piątej trzydzieści?

- Pani Schmitt jest przekonana, że truskawki są najśodsze, jeśli zbierze się je, zanim słońce osuszy rosę. Potem umyłem truskawki, przyniosłem drewno i rozpałem ogień, pomogłem wyczyścić srebra używane wczoraj wieczorem, bo Chester jeszcze nie wrócił, wycisnąłem sok z pomarańczy, przyniosłem z lodówki świeżą bryłę lodu i odłupałem z niej trochę, żeby położyć pod truskawki. Potem opróżniałem naczynia, do których skapuje woda, przyniosłem ze schowka koszyk, umyłem go, a po śniadaniu zamiotłem podłogę w kuchni, zmyłem wodą werandę od strony ogrodu

i podlałem warzywnik. Aha, jeszcze pomagałem pani Schmitt spakować jedzenie do koszyka. Lorna patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Wszystko to zrobił pan dzisiaj rano? W dzień wolny od pracy?

Harken miał usta pełne chleba i szynki. Przełknął i powiedział:

- Dla mnie dzień wolny zaczyna się dopiero po śniadaniu.

- Rozumiem. Zdążył pan to wszystko zrobić, zanim ja wstałam z łóżka!

Lorna pomyślała przez chwilę, po czym spytała:

- Dlaczego ogrodnik ma wolne przed śniadaniem?

- Zdaje mi się, że tak się umówił z pani matką.

- Umówił się? Jaką umowę ma pan na myśli?

Harken bawił się jedzeniem na talerzu. Nie miał ochoty wdawać się w opowieści o tym, do czego potrafią posunąć się damy, kiedy zależy im na pracowniku.

- Wie pani - odezwał się Iversen - że wszystkie damy rywalizują o to, żeby mieć najpiękniejszy ogród.

- No... tak.

- Wie też pani, że Smythe pochodzi z Anglii.

- Tak. Jego ojciec był ogrodnikiem u samej królowej Wiktorii. Pamiętam, jak dużo matka o tym mówiła, kiedy go zatrudniła.

- Umowa, jaką zawarli, kiedy pani Barnett przyjmowała go do pracy - powiedział Harken - daje mu prawo do wolnego od ósmej wieczorem w sobotę aż do świtu w poniedziałek.

- Teraz rozumiem. Dlatego w niedzielę rano pan zbiera owoce i jarzyny.

- Tak, panienko.

- Jednak cała chwała z powodu posiadania najlepszych w White Bear Lake owoców i kwiatów spada na moją matkę, chociaż ona nic przy tym nie robi. Przyznam się wam, że zawsze wydawało mi się dziwne, że każda kobieta uważa

za punkt honoru być właścicielką najpiękniejszego ogrodu, a jednocześnie sama nie wykonuje w nim nawet najdrobniejszych prac.

- Tak samo jest z mężczyznami i jachtami - powiedział Harken. - Są właścicielami łodzi, ale zatrudniają kapitanów.

- Tylko na najważniejsze regaty, jak te wczorajsze - sprostowała Lorna.

- A to dlatego, że Island Yachting Association na to pozwala - wtrącił Tim.

- Mimo wszystko to dziwne, że nie chcą sami stawać na kapitańskich mostkach - ciągnął Harken. - Gdybym ja miał łódź, chciałbym być kapitanem.

- Wydaje mi się, że ma pan rację. Nie ma wielkiej różnicy między mamą wynajmującą ogrodnika, a właścicielem statku zatrudniającym kapitana.

Tak rozpoczęła się żywa dyskusja na temat zalet i wad zatrudniania kapitanów, po której cała trójka poświęciła się wspomnianiu wczorajszych regat.

Lorna schyliła się, wybrała truskawkę i odgryzła kawałek.

- A pan, Tim - skierowała ku fotografowi nadgryziony owoc - o własnych siłach zdobył sławę.

- Chodzi pani o „Możliwość”? Panno Lorno, będę wdzięczny, jeśli nie będzie mi pani psuła uroczego popołudnia takimi uwagami.

Wszyscy roześmiali się, a Lorna powiedziała:

- Miałam na myśli fotografię, a nie żeglarstwo. Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że pańskie zestawy stereofotograficzne będą sprzedawane w sieci sklepów Sears i Roebuck?

- Tak, to prawda.

- Och, Tim, musi pan być z siebie dumny! Pomyśleć tylko, że pańskie dzieła ogląda się praktycznie na każdym ganku w całej Ameryce! Proszę opowiedzieć nam o zdjęciach i o miejscach, które pan fotografował.

Tim opowiedział o targach Chicago World's Fair, które fotografował dwa lata temu i o jeszcze kilku wyjątkowych miejscach, takich jak Grand Canyon czy Klondike. Zapalił fajkę i oparł się o drzewo. Lorna, dziubiąc kawałek ciasta z porzeczkami, spytała, dokąd wybiera się zimą, kiedy już zamknie swoją letnią chatę. Odparł, że może do Egiptu, fotografować piramidy.

Lorna westchnęła.

- Piramidy... ach... - Odłamała następny kawałek ciasta z porzeczkami i zjadła go, nieświadoma tego, jak uroczo wygląda, zasłuchana w opowieści Tima, wyprostowana wśród zwojów sztywnej spódnicy, skubiąca ciasto, ilekroć przypominała sobie o nim.

Harken siedział po turecku, oparłszy łokcie na kolanach, skubał źdźbło trawy i podziwiał profil dziewczyny i jej ruchy. W pewnej chwili Lorna powiedziała do Iversena:

- Może pojedzie pan do New Jersey? Pan Harken ma tam brata.

Obejrzała się i uśmiechnęła do Jensa. Chłopak zapomniał odwrócić wzrok, a dziewczyna świadomie tego nie zrobiła. Harken przestał rozgniatać kciukiem trawę i na moment obydwójce poddali się dziwnemu uczuciu, drżącemu w nich jak pieśń koników polnych wokół.

Iversen, oparty o pień drzewa, pykał pachnącą fajkę z wrzośca i przyglądał się im, aż się wypaliła; wtedy stuknął nią o wystający korzeń, żeby wyrzucić popiół.

Lorna drgnęła; uprzytomniła sobie, że przez dość długi czas ignorowali Tima. Teraz sięgnęła po pierwszą rzecz, która nawinęła się jej pod rękę: okrągłą puszkę.

- Czy ktoś chce jeszcze kawałek ciasta, zanim je spakuję?

Podsunała puszkę Iversenowi.

- Nie, dziękuję.

- Panie Harken?

- Nie, dziękuję; to miało być ciasto dla panienki - powiedział Jens. Z trudem oderwał od niej wzrok. Popatrzył

na Iversena; jego przysłonięte wąsami i schowane za pustą fajką usta były przyjemnie uśmiechnięte, ale twarz miała taki wyraz, jakby jej właściciel znał jakąś tajemnicę. Harken zrozumiał, że najwyższy czas skończyć z głupotami.

- No, Tim, będziemy dzisiaj łowić ryby czy nie? Lorna podskoczyła, jakby ją ktoś ukłuł.

- Ależ ja wam przeszkadzam.

Na klęczkach zaczęła zamykać puszki i słoiki i wkładać je do koszyka.

- Ależ nie, panno Lorno.

Harken uklęknął, żeby jej pomóc. Dzięki temu znalazł się jeszcze bliżej niej niż wtedy, gdy klęczeli nad rysunkami na plaży. Lorna pachniała ciepłem, kobiecością. Jens czuł jej zapach, kiedy poruszała się, wkładała kapelusz, przypinała go szpilką, zamykała koszyk, wstawiała i otrzepywała wymiętą spódnice. Oboje równocześnie sięgnęli po koszyk.

- Zaniosę go - powiedział Jens. Spodziewał się, że Iversen wstanie i pójdzie z nimi, ale on nie ruszył się z miejsca.

- Zamierzasz przesiedzieć tam cały dzień, czy odprowadzisz panią do łódki? - spytał Harken.

- Zaniosę koc - powiedział Iversen i wstał. - Do widzenia, panno Lorno.

Ucałował jej dłoń i dodał:

- Życzę szczęścia w rozmowach z ojcem.

Potem zajął się wytrzepywaniem koca, a Jens i Lorna odwrócili się i odeszli, ramię przy ramieniu. Z chłodnego cienia wyszli na palące słońce i ruszyli po sypkim piasku do drewnianego pomostu.

Jens chciałby powiedzieć wiele, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Dziewczyna mówiła, że musi być w domu za dwie godziny, nie spieszyła się jednak, choć minęło znacznie więcej czasu. Sprawiała wrażenie, że w ogóle nie ma ochoty wsiadać do łodzi. Jens patrzył na nią, ona zaś uparcie patrzyła pod nogi. Dopiero kiedy znaleźli się koło łódki, Lorna odwróciła się i popatrzyła Jensowi prosto w twarz tak, że nie mógł odwrócić spojrzenia.

- To było uroczę popołudnie - powiedziała cicho, z wyraźnym żalem, że muszą się już rozstać. - Dziękuję.

- To ja dziękuję za piknik, panno Lorno. - Wprawdzie ja przywiozłam jedzenie, ale to pan je przygotował.

- Z najwyższą przyjemnością - odparł Jens.

- Po rozmowie z ojcem dam panu znać. Harken skinął głową.

Minęło pięć długich sekund.

- Do widzenia - powiedziała Lorna.

- Do widzenia, panienko.

Lorna podała Jensowi dłoń i przez chwilę, kiedy wchodziła do łódki, poznawali się dotykiem. Jej skóra była miękka jak ircha, jego twarda. Dziewczyna usiadła i Jens podał jej koszyk. Potem uklęknął, żeby odczepić linę i sięgnął do burty, by odepchnąć łódkę. Zanim zdążył to zrobić, Lorna uniosła głowę i ich twarze przez chwilę znalazły się bardzo blisko siebie.

- Czy jutro rano też będzie pan zbierał truskawki? - spytała.

Serce Jensa biło bardzo mocno, kiedy odpowiadał:

- Tak, panienko.

- To znaczy, że dostanę je na śniadanie - powiedziała. Jens odepchnął łódkę.

Stał na pomoście i patrzył, jak wypływa rufą do przodu, a potem zręcznie odwraca łódkę i znów pokazuje mu swoją twarz. Przez pięć długich pociągnięć wiosłami patrzyli na siebie, aż Lorna w końcu przeniosła spojrzenie w bok i zawołała:

- Do widzenia, panie Iversen!

Ukryty w cieniu drzewa Iversen odpowiedział:

- Do widzenia, panno Lorno!

Lorna nie uśmiechnęła się już ani nie pomachała do Harkena. Chłopak nie widział jej oczu, ukrytych w cieniu kapelusza, wiedział jednak, że patrzą na niego. Wpatrywał się w malejącą twarz, aż jej rysy rozmyły się w oddali.

Kiedy odprowadził pannę Lornę i wrócił z pomostu, Iversen wyjął fajkę z ust, spojrzał na niego swoim jedynym okiem i powiedział tylko:

- Uważaj, Jens.

* * *

Jens Harken nie zamierzał pozwalać sobie na nieostrożność. Mimo że strzelali z Lorną Barnett do siebie spojrzeniami, nie był aż tak głupi, żeby ciągnąć z nią choćby niewinny flirt. Za bardzo zależało mu na pracy i na kontaktach z ludźmi, którzy mogą pozwolić sobie na własny jacht i mają czas, żeby żeglować. Co ta dziewczyna sobie myśli, bawiąc się pomocnikiem kucharki? Na pewno ma zalotników, którzy w przyszłości będą równie bogaci jak jej ojciec, a teraz kręcą się koło niej i wpisują swoje nazwiska do jej karnetów. Są bogato ubrani, mają własne łodzie, potrafią wejść na ganek z prawdziwą gracją; matka Lorny wita ich nadstawiając policzek, a ojciec częstuje kosztowną brandy.

Jens był pewien, że młody mężczyzna, który wczoraj wieczorem siedział obok Lorny, jest jednym z takich zalotników.

Co jednak miał sądzić o wydarzeniach dzisiejszego dnia?

Lorna nie wyglądała na dziewczynę płochą. Jej fascynacja Jensem rosła szybko w ciągu dnia, podobnie jak jego fascynacja nią, ale to był raczej jeszcze jeden powód, żeby poważnie traktować ostrzeżenie Tima. Lepiej okazać więcej zainteresowania Ruby, pomocy kuchennej, która ostatnio wodzi za nim oczami. Jednak kędzierzawe rude włosy Ruby i piegi czyniły ją dlań odpychającą. Włosy Lorny były czarne jak heban i tworzyły wokół jej twarzy piękną ramę, ciemniejszą przy samej skórze. Kiedy wychodziła z łódki, była rozgrzana i drobniutkie loczki przyklejały się jej do skroni i szyi i łaskotały w uszy. Harkenowi zawsze się wydawało, że wielkie panie myślą tylko o tym, jak się ochłodzić.

Jednak Lorna w upalny dzień przepłynęła łódką jezioro, zdjęła kapelusz, wygładziła włosy i podzieliła się zawartością piknikowego koszyka z kimś, komu powinna okazywać co najmniej obojętność.

Leżąc w części domu przeznaczony na mieszkania dla służby, Jens próbował wymazać obraz Lorny ze swojej pamięci. Pościel kleiła mu się do ciała.

Obrócił się na drugi bok, przewrócił poduszkę chłodną stroną do góry i zamknął oczy, ale Lorna znów pojawiła się w jego myślach: wchodziła do łódki, przyjmowała z jego ręki koszyk z resztkami jedzenia, unosiła do góry twarz w kształcie serca i pytała, czy nazajutrz Jens znów zbierze dla niej na śniadanie truskawki. Przypomniawszy sobie, jak odgryzła kawałek truskawki i trzymając w ręce nadgryziony owoc wyciągnęła dłoń do Tima; cudowne stworzenie o oczach brązowych jak żółędzie i czarującym uśmiechu.

Może ona też nie może spać, wspominając dzisiejsze popołudnie?

* * *

Panna Lorna rzeczywiście nie mogła spać. Leżała na plecach, z rękami pod głową i wpatrywała się w cienie, rzucane na sufit przez klosz lampy. Kiedy wypływała łódką, nie miała pojęcia co przyniesie popołudnie.

Jens Harken.

Przypomniała sobie jego imię, którego nie ośmieliłaby się wypowiedzieć, ponieważ nazywając go po imieniu, przekroczyłaby granicę, której nawet ona, osoba bardzo niezależna, nie śmiała przekroczyć. Jednak powtarzanie tego imienia, choćby tylko w myślach, sprawiało jej przyjemność.

Jens Harken, chłopak do wszystkiego... Wielki Boże, co ją napadło?

Popłynęła do Tima, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o łodziach, ponieważ ten temat ją fascynował. Nie pozwalał jej żeglować, ale wiedziała, że pewnego dnia będzie to

robiła. Założy klub dla kobiet; dlaczego nie miałyby pływać na całkiem nowych łodziach, lekko sunących po wodzie? Papa jest zbyt dumny, żeby wysłuchać Harkena, ale Lorna nie.

Papa. Piekielnie uparty człowiek. Na początku myślała, że sprawi sobie przyjemność, jeśli namówi ojca do zmiany zdania i wysłuchania Harkena. Może uda jej się zaskarbić sobie jego przychylność, jeśli plan Harkena się uda i White Bear Yacht Club wygra regaty? Kiedy jednak uklękła na piasku i popatrzyła na duże, silne dłonie Harkena, rysujące statki, myślała o czymś innym.

Jak to możliwe, żeby człowiek bez wykształcenia wiedział tak wiele? Siłą swojej wiary przekonał ją, że jego plan się powiedzie. Była pewna, że przez cały ten czas, jaki spędzili razem, Jens tylko raz zapomniał o dzielącej ich różnicy klasowej: kiedy rzucił się na piasek i mówił o rozkładzie żagli. Podniosła wtedy głowę i spytała go, skąd o tym wie, a on odpowiedział: „Sam nie wiem” i Lorna pomyślała sobie: „Ależ on rzeczywiście nie wie!”. W tym momencie zrodziła się jej fascynacja tym młodym mężczyzną.

Uklękła przy nim, zaglądając w niebieskie oczy i myślała: „On może to zrobić. Wiem, że może”. Za tą myślą nadbiegła następna: „On jest niesłychanie przystojny”.

Starła się nie okazywać swego zainteresowania, ale jego oczy i twarz co chwila przykuwały jej uwagę. Piękny, prosty nos, jasna cera nie skażona zarostem. Lorna była przyzwyczajona do bród: wszyscy mężczyźni, których знаła, nosili brody. Wygolona twarz Harkena byłaby wystarczająco zaskakującą nowością, nawet gdyby nie był tak przystojny. Był też silny; to dlatego, że dźwiga w kuchni bryły lodu, ciężkie kotły i kto tam wie, co jeszcze.

Od jak dawna Harken tu jest? Czy pracował u nich zimą, w mieście? Czy pracował w willi nad jeziorem rok temu? A wcześniej? Dlaczego go nie spytała? Nagle zapragnęła wiedzieć o nim wszystko: jacy byli jego rodzice, podróż przez ocean, dzieciństwo, lata spędzone na wscho-

dnim wybrzeżu, a przede wszystkim, od jak dawna jest w ich kuchni, dotyka pokarmów, które podają Lornie i sreber, którymi ona wkłada jedzenie do ust.

Ta myśl przywróciła ją do rzeczywistości.

Gwałtownie poderwała się w ciemnościach, spuściła nogi z łóżka i obydwoma rękami podrapała się w głowę, burząc fryzurę. Boże, żeby te świerszcze przestały wreszcie hałasować. Żeby nie było tak parno. Żeby powiał wiatr! Lorna podniosła włosy z rozgrzanego karku, głośno westchnęła i bezsilnie opuściła ramiona.

Musi przestać myśleć o Jencie Harkenie. Jeśli chce się zakochać, powinna zakochać się w Taylorze DuValu. Mama i papa życzyliby sobie, żeby wyszła za niego za męża. Lorna już od dłuższego czasu była tego świadoma, chociaż rodzice nigdy o tym nie mówili. Co więcej, jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu Lorna nie mogła doczekać się chwili, kiedy pocałuje Taylora na werandzie. Teraz zaś marzy o pomocniku kucharki. Musi wybić sobie te myśli z głowy!

Przewróciła się na bok, ułożyła głowę na poduszce, zgięła jedno kolano i uniosła koszulę nocną, żeby chłodniejsze powietrze miało dostęp do ciała.

Nie mogła zasnąć. Nie mogła też przestać myśleć o Jencie Harkenie.

** *

Rano zasnęła i nie zdążyła na śniadanie. Weszła do cichej i pustej jadalni. Ze stołu zdjęto już obrus, a na kredensie nie było truskawek, zebranych rano przez Jensa Harkena. Wysprzątaný pokój pachniał olejkiem cytrynowym.

Pośrodku koronkowej serwety stały świeże kwiaty, co świadczyło o tym, że Levinia wstała dużo wcześniej. Lorna zerknęła na drzwi prowadzące do kuchennego korytarza. Mogłaby pójść i poprosić o coś do jedzenia. Miałaby doskonały pretekst do spotkania Harkena, jednak tym samym stworzyłaby niebezpieczne wrażenie, iż nabrała zwyczaju odwiedzania kuchni.

Poszła zatem do salonu. Przy dębowym sekretarzyku siedziała matka i pisała listy. Salon lśnił w przedpołudniowym świetle. Wykończony był perkalem w kolorach kości słoniowej i brzoskwini. Francuskie okna zostawiono szeroko otwarte i ze słonecznej werandy od wschodu wpadł miły orzeźwiający powiew.

- Dzień dobry, mamó.

Levinia uniosła głowę, ale zaraz wróciła do pisania.

- Dzień dobry, moja droga.

- Gdzie są wszyscy?

- Ojciec wrócił do miasta. Ciotki odpoczywają w cieniu na werandzie z tyłu domu, a dziewczęta poszły do Betsy Whiting. Nie wiem, gdzie jest Theron. Miał przy sobie lunetę, sądzę więc, że siedzi gdzieś na drzewie i brudzi ubranie.

- Czy ojciec wróci dzisiaj?

- Nie, dopiero jutro.

- Niech to licha, dlaczego?

- Prosiłam, żebyś nie używała tego wulgarnego zwrotu, Lorna. Jaka to sprawa jest tak ważna, że nie może poczekać do jutra?

- Nic szczególnego. Chciałam z nim porozmawiać. Lorna podeszła do drzwi, ale Levinia zatrzymała ją.

- Chwileczkę, Lorno. Ja też chcę z tobą porozmawiać. Lorna odwróciła się i zaczęła tłumaczyć:

- Mamó, wiem, że wczoraj obiecałam wrócić za dwie godziny, ale na jeziorze było bardzo przyjemnie i...

- Nie o to chodzi. Zamknij drzwi, moja droga.

Lorna, mocno zaniepokojona, przez chwilę przyglądała się matce, zanim zamknęła drzwi i podeszła bliżej sekretarzyka.

- Chodzi o sobotę - powiedziała Levinia.

- O sobotę?

Lorna przysiadła na skraju sofy.

- Zauważyłam to ja, zauważyła ciotka Henrietta, więc pewnie wszyscy inni również.

- Co zauważyłaś?

- Że zaprosiłaś Taylora na werandę. - Matka nie skończyła jeszcze mówić, a Lorna już zaczęła przewracać oczami. - Lorno, tak nie wolno.

- Mamo, w pokoju było co najmniej piętnaście osób!

- Tym bardziej powinnaś pamiętać o dobrych manierach.

-Ależ mamo...

- Jesteś najstarsza, Lorno. Dajesz przykład swoim siostram i prawdę mówiąc, moja droga, już od roku martwi mnie, że odrzucasz wszystko, co uchodzi za przyzwoite. Rozmawialiśmy o tym, ale, jak mówi ciotka Henrietta...

- Och, do diabła z ciotką Henrietta! - Lorna wyrzuciła w górę ręce i skoczyła na równe nogi. - To ona naopowiadała ci tych bzdur, jak sądzę. Co jej dolega?

- Ćśś! Lorno, mów ciszej!

Lorna ściszyła głos i odwróciła się, stając z matką twarzą w twarz.

- Chcesz wiedzieć, co dolega ciotce Henriecie? Ona nienawidzi mężczyzn, ot co. Ciocia Agnes mi powiedziała. Henrietta miała adoratora i była zaręczona, ale on rzucił ją dla innej i od tego czasu ciotka nie znosi mężczyzn.

- Może tak było, ale poruszając sprawę twojego zachowania wobec Taylora, ciotka miała na względzie wyłącznie twoje dobro.

- Mamo, wydawało mi się, że lubisz Taylora.

-Lubię, moja droga. Oboje z ojcem lubimy Taylora. Prawdę mówiąc, często rozmawialiśmy o tym, że byłby dla ciebie doskonałym mężem.

Podejrzenia Lorny okazały się słuszne.

Matka wpatrywała się w blat biurka. Uniosła pióro i kilkakrotnie dotknęła nim suszki.

- Nigdy z tobą o tym nie rozmawiałam, ale masz już osiemnaście lat, a Taylor poświęca ci ostatnio wiele uwagi.

Mimo wszystko, Lorno, żeby wyciągać go na werandę, kiedy w pokoju są jego rodzice...

- Nie wyciągałam go! W domu panował niezdolny upał, a mężczyźni bez przerwy palili cygara. Zresztą, cały czas była z nami Jenny.

- Czego chcesz nauczyć Jenny, inicjując takie miłosne *tete-a-tete*?

- Miłosne... Mamo, ja nie biorę udziału w miłosnych *tete-d-tete*

- Theron widział jedno z takich spotkań przez lunetę.

- Theron!

- Przedwczoraj, kiedy wróciliście z Taylorem z koncertu.

- Chętnie wcisnęłabym mu tę jego lunetę do gardła!

- Nie wątpię - powiedziała Levinia, unosząc brwi i odkładając pióro.

Lorna usiadła na poręczy sofy i powiedziała po prostu:

- Mamo, Taylor mnie pocałował. Czy to coś złego?

- Nie, nie sądzę. Kiedy jest się młodym i zakochanym, to normalne, ale nie wolno ci...

Levinia przerwała i wbiła wzrok w swoje dłonie, jakby szukała tam właściwego określenia. Chrząknęła. Na jej twarzy pojawił się rumieniec, a kostki u rąk zbiały.

- Czego mi nie wolno, mamo?

Nie odrywając wzroku od dłoni, Levinia powiedziała głosem bliskim szeptu:

- Pozwolić, żeby cię dotykali. Lorna poczuła, że i ona się rumieni.

- Mamo! - szepnęła zmieszana. - Nigdy bym na coś takiego nie pozwoliła!

Levinia spojrzała córce w oczy.

- Musisz zrozumieć, Lorno, że matce bardzo trudno przychodzi o tym mówić, ale moim obowiązkiem jest cię ostrzec.

Mężczyźni będą próbowali różnych rzeczy.

Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Lorny.

- Nawet Taylor. To bardzo porządny młodzieniec, ale i on będzie próbował różnych rzeczy. Musisz wtedy natychmiast uciekać. Musisz wrócić do domu, albo... albo prosić, żeby cię odprowadził. Rozumiesz?

- Tak, mam - odparła posłusznie Lorna. - Możesz mi wierzyć, że tak właśnie zrobię.

Levinia odetchnęła. Usiadła wygodniej i położyła dłonie na kolanach. Rumieniec powoli zniknął z jej twarzy.

- A więc załatwiłyśmy tę niemiłą sprawę. Czy mogę liczyć na to, że w przyszłości pozostawisz Taylorowi inicjatywę w zalotach?

- Mam, nie jestem nawet pewna, czy on się o mnie naprawdę stara.

- Och, ależ oczywiście, że tak. Czekał tylko, aż osiągniesz pełnoletność. Sądzę, że teraz sprawy potoczą się szybko. Niewiele pozostało do powiedzenia. W trakcie rozmowy stało się jasne, że Levinia i Gideon są przychylni DuValo-wi, przez co atmosfera w pokoju zrobiła się napięta.

- Czy mogę już iść, mam?

- Tak, oczywiście. Muszę skończyć listy.

Lorna opuściła salonik, czując w głowie zamęt. Co właściwie powiedziała mama? Że całowanie się jest rzeczą przyjętą? Że mężczyźni będą usiłowali przekroczyć granice przyzwoitości, dotykając Lorny? Gdzie? Ostrzeżenia mamy były bardzo mętne, ale rumieńce na jej twarzy ostrzegały wyraźnie, że na ten temat nie powie nic więcej. Jedno było jasne: skoro mamie nie podobało się, że Lorna prosiła Taylora, żeby wyszli na werandę, to z pewnością wpadłaby w szal, gdyby się dowiedziała, że jej córka umówiła się z pomocnikiem kucharki i zjadła z nim obiad pod drzewami.

Lorna postanowiła, że będzie się trzymała z daleka od kuchni.

Poza tym poniedziałek nie przyniósł nic ciekawego. Zajęcia stosowne dla osób płci żeńskiej nudziły Lornę. Można było zająć się ogrodem, wklejać zdjęcia do albumu, zbierać muszelki, motylki albo gniazda ptaszków, czytać, wyszywać, pójść na zakupy, wypić lemoniadę na werandzie, iść na tańce albo grać na pianinie.

Lorna pomyślała, że gra w tenisa byłaby o wiele przyjemniejsza, ale jej przyjaciółka, Phoebe Armfield, pojechała pociągiem do Saint Paul na zakupy, siostry zaś poszły do Betsy Whiting. Po wczorajszym spóźnieniu Lorna bała się ukradkiem wypłynąć jednomasztowcem na jezioro. Pozostawała łódka, ale kiedy na drugim brzegu nie czekali Tim ani Jens Harken, wyprawa wydawała się mało interesująca.

Po lekkim obiedzie, podczas którego zastanawiała się, czy to Jens zebrał i umył jarzyny, zdrzemnęła się w hamaku. Po południu grała z siostrami w krykieta, a przed samą kolacją dopadła Theron w jego pokoju i ostrzegła, że jeśli nadal będzie ją szpiegował, rozbije mu lunetę na głowie.

Chłopak zachichotał i zaśpiewał: - Lorna uwodzi Taylora! Lorna uwodzi Taylora! - po czym zbiegł po schodach, uciekając przed siostrą.

Późnym popołudniem Lornie przyszła z pomocą Phoebe Armfield. Nadeszła brzegiem jeziora od strony domu Armfieldów i powiedziała:

- Chodź! Zobaczysz, co dzisiaj kupiłam!

Letnia posiadłość Armfieldów zajmowała powierzchnię siedmiu hektarów, a dom liczył siedemnaście pokoi. Ojciec Phoebe był potentatem górniczym w drugim pokoleniu. Rodzina dorobiła się majątku, sprzedając hutom rudy żelaza w okresie budowy kolei.

Phoebe przygotowała się na wizytę przyjaciółki. Drzwi jej szafy stały otworem i zawieszono były nowymi sukniami. Jedną kupiła specjalnie na zapowiedziane przez klub żeglowne przy księżycu, a drugą na tańce na pokładzie wycieczkowego parowca „Dispatch”, które miały się odbyć w następnym weekend.

- Pójdę z Jackiem.

Jackson Lawless miał odziedziczyć po ojcu wszystkie sklepy z artykułami żelaznymi w Saint Paul. Willa rodziny Lawlessów znajdowała się w Wildwood, po drugiej stronie jeziora.

- A ty idziesz z Taylorem? - spytała Phoebe. Była filigra-

nową dziewczyną z włosami w kolorze cynamonu i żywym usposobieniem.

- Nie wiem. Chyba tak.

- Jak to, nie wiesz? Chyba Taylor ci się podoba?

- Oczywiście, że się podoba; ale jest zawsze i wszędzie tam, gdzie nasze rodziny. Nawet gdyby mi się nie podobał, trudno byłoby od niego uciec.

- Jeśli nie będziesz go chciała, powiedz mi. Uważam, że jest bardzo miły, a tata twierdzi, że jest też mądry. Przejmie po ojcu miliony i szybko je pomnoży.

- Phoebe, czy nie miewasz czasem dość tego, że twój ojciec ma miliony?

Phoebe ze zdumieniem popatrzyła na Lornę. Powiesiła suknię na drzwiach szafy i rzuciła się na łóżko, wprawiając je w gwałtowne drgania.

- Lorno Barnett, czy chcesz powiedzieć, że wolałabyś być biedna?

Lorna położyła się na plecach obok przyjaciółki i zapatrzyła na szydełkowy baldachim nad łóżkiem.

- Sama już nie wiem, co mówię. Mam dzisiaj zły humor. Pomyśl jednak: gdyby nasi ojcowie nie mieli tych pieniędzy, nie interesowałyby ich z kim się przyjaźnimy, czy kobietom wypada żeglować i grać w tenisa. Mam dość tego, że mój ojciec ciągle mnie poucza, co mam robić. Matka też!

- Wiem. Ja też mam tego dosyć. - Phoebe nagle sposepniała. - Czasem jestem taka, jak ty. Chciałabym coś zrobić! Pokazać, że skończyłam osiemnaście lat i nie muszę przestrzegać ich głupich zasad.

Lorna popatrzyła na przyjaciółkę i nagle poczuła, że nie potrafi dłużej zachować tajemnicy.

- Zrobiłam coś - wyznała drżącym z emocji głosem.

- Co? Lorno Barnett, powiedz! Co zrobiłaś? Lorna usiadła. Jej oczy lśniły.

- Powiem ci, ale musisz mi obiecać, że nie powtórzysz tego nikomu. Gdyby mój ojciec się dowiedział, oddałby mnie do zakonu.

- Obiecuję, że nic nie powiem.

Phoebe uczyniła na piersiach znak krzyża i niecierpliwie pochyliła się do przodu.

- Co zrobiłaś?

- Byłam na pikniku z pomocnikiem naszej kucharki.

- Naprawdę?!

- Och, nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Był z nami Tim Iversen i rozmawialiśmy o statkach; ale, Phoebe, to było takie podniecające! Harken sądzi, że potrafi...

- Harken?

- Jens Harken; tak się nazywa. On sądzi, że potrafi zaprojektować całkiem nowy rodzaj jachtu. Twierdzi, że będzie o niebo lepszy od wszystkiego, co dziś pływa po wodzie, ale nikt z klubu nie chce go słuchać. W sobotę wetknął do deseru ojca karteczkę, na której napisał właśnie to, co mówię, a papa się wściekł i urządził tę godną ubolewania scenę.

- A więc o to poszło! Wszyscy na wyspie o tym mówią. Lorna opowiedziała całą historię, zaczynając od kłótni matki z ojcem w korytarzu prowadzącym do kuchni, a kończąc na przyznaniu się do zamiaru wstawienia się u ojca za Harkenem. Kiedy skończyła, Phoebe spytała:

- Lorna, chyba nie zamierzasz się z nim więcej spotykać?

- O Boże, nie! Powiedziałam ci, że chcę tylko namówić papę, żeby go wysłuchał. Poza tym, dzisiaj rano mama rozmawiała ze mną o Taylorze. Obydwoje z ojcem uważają, że będzie dla mnie doskonałym mężem.

- Oczywiście. Sama tak mówiłaś.

Lorna nie odrywała wzroku od baldachimu.

- Phoebe, czy mogę cię o coś spytać?

- Oczywiście.

Phoebe zmartwiła się nagłą zmianą nastroju przyjaciółki i dotknęła jej dłoni.

- Lorno, o co chodzi?

Lorna nadal wpatrywała się w baldachim.

- Chodzi o coś, co mama powiedziała mi dzisiaj rano i...

To bardzo dziwne. - Lorna z niepokojem popatrzyła na przyjaciółkę. - Czy Jack cię pocałował? Phoebe zaczerwieniła się.

- Kilka razy.

- Czy... czy dotykał ciebie?

- Dotykał? Oczywiście, że tak. Za pierwszym razem, kiedy mnie całował, trzymał ręce na moich plecach, a za drugim razem przytulił mnie.

- Wydaje mi się, że mamie nie o to chodziło. Powiedziała, że mężczyźni starają się dotykać kobiet... nawet Taylor... i że jeśli tego spróbuje, muszę natychmiast wracać do domu. Matka była strasznie speszona, kiedy o tym mówiła. Twarz miała czerwoną i nabrzmiałą; bałam się, że oderwie jej się guzik przy kołnierzyku. Nie wiem, co miała na myśli. Pomyślałam, że może... może ty wiesz?

Phoebe zmieniła się na twarzy.

- Coś musi w tym być, Lorno, ponieważ moja matka rozmawiała ze mną wiosną i tak samo jak twoja była czerwona na twarzy, i rozglądała się po pokoju, unikając mojego spojrzenia.

- Co powiedziała?

- Powiedziała, że teraz jestem młodą damą i kiedy jestem gdzieś z Jackiem, muszę mieć skrzyżowane nogi.

- Skrzyżowane nogi!? A co to ma do rzeczy?

- Nie wiem. Jestem tak samo zdziwiona jak ty.

- Chyba że...

Obu przyjaciółkom jednocześnie przysłała do głowy zdumiewająca myśl.

Popatrzyły na siebie z niedowierzaniem.

- Och nie, Lorno; to niemożliwe.

Przez chwilę obie zastanawiały się nad tą myślą, po czym Phoebe zażądała:

- Powtórz, co powiedziała twoja matka. Nawet nie zauważyły, kiedy zaczęły szeptać.

- Powiedziała, że Taylor może próbować mnie dotknąć i że nie mogę na to pozwolić. A twoja matka?

- Że kiedy jestem z Jackiem, muszę mieć skrzyżowane nogi.

Lorna przyłożyła do ust oba palce wskazujące i szepnęła:

- Rety, chyba nie o to im chodziło?

- Oczywiście, że nie o to. Dlaczego mężczyźni mieliby to robić właśnie tam?

- A dlaczego nasze matki były czerwone na twarzy?

- Nie wiem.

- Dlaczego mówimy szeptem? Phoebe wzruszyła ramionami.

Po chwili zastanowienia Lorna powiedziała:

- Mogłabyś spytać Mitchella.

- Oszalałaś! Pytać brata?

- Rzeczywiście, to nie jest dobry pomysł.

- Mitchell może nauczyć nas żeglowania, jeśli uda nam się wymknąć z domu, ale wolałabym umrzeć w nieświadomości, niż pytać go o coś podobnego.

- No dobrze; powiedziałam już, że to nie był dobry pomysł. Kogo więc mogłybyśmy spytać?

Nikt nie przychodził im do głowy.

- Jednak - podsunęła Lorna - to ma coś wspólnego z całowaniem.

- Ja też tak sądziłam, ale mama nie przestrzegła mnie przed całowaniem.

- Moja też nie, choć dowiedziała się, że to robiłam. Ten smarkacz Theron szpiegował nas i powiedział o wszystkim mamie. Od tego się zaczęło.

- Lorno, czy widziałaś, żeby twoi rodzice się całowali?

- Wielkie nieba, nie! A ty?

- Raz. Byli w bibliotece i nie wiedzieli, że stoję w drzwiach.

- Czy coś mówili?

- Mama powiedziała: „Joseph, dzieci”.

- „Joseph, dzieci?” Tylko tyle? Phoebe wzruszyła ramionami.

- Czy on jej dotykał?

- Trzymał ją za ramiona.

Zapadła cisza; przyjaciółki popatrzyły na swoje spódnice, potem spojrzały po sobie. Lorna pierwsza położyła się na plecach. Phoebe poszła w jej ślady. Długo milczały zapatrzone w baldachim nad łóżkiem, zanim Lorna powiedziała:

- Ach, to takie dziwne. - I tajemnicze. Lorna westchnęła.

I Phoebe westchnęła.

Obie zastanawiały się, kiedy rozwikłają tę tajemnicę.

Rozdział 4

W dniu, na którego wieczór zaplanowano żeglowanie przy księżycu, padał deszcz, co zmusiło Lornę do odłożenia rozmowy z ojcem na sobotę. Tim Iversen miał przyjść na tańce na pokładzie parowca „Dispatch”.

Lorna ubrała się w suknię z organdy w kolorze różowych petunii. Baskinkę zdobiła gipiurowa koronka, a od góry spływały urocze paski, tworzące na ramionach fale i spotykające się w kilku punktach niżej, w talii, zarówno z przodu, jak i z tyłu. Spódnica, dopasowana z przodu, układała się w fałdy opadające do tyłu, gdzie tworzył się miniaturowy tren.

Ernesta, pokojówka usługująca dzieciom, była beznadziejna przy układaniu włosów, szczególnie gdy chodziło o koczki w stylu Gibsona. Lorna poświęciła wiele godzin, żeby nauczyć się tej sztuki, więc sama stroiła się na tańce, a Ernesta zostawiła przygotowanie kolacji dla Theron.

Jenny i Daphne przyniosły taborety i usiadły po obu stronach Lorny, przyglądając się, jak starsza siostra kończy układanie włosów. Nie odrywały od niej wzroku, kiedy za pomocą szczypiec wyczarowywała wokół twarzy i na karku mnóstwo drobnych loczków. Lorna pociągała je i krzywiła się, kiedy puszczone zwijały się jak sprężyna. Na koniec wilgotnym palcem dotknęła mydła i przykleiła sobie dwa loczki do skóry.

- Ach, Lorna, ty to masz szczęście - powiedziała Jenny.

- Kiedy skończysz osiemnaście lat, też będziesz mogła chodzić na tańce.

- Ale muszę na to czekać jeszcze całe dwa lata - jęknęła Jenny.

Daphne skrzyżowała ręce w okolicy serca i udając, że mdleje, spytała:

- Ale na kogo będzie zastawiać sidła, kiedy DuVal będzie już twoim mężem?

- Zamknij się, Daphne Barnett! - odparowała Jenny.

- Dziewczęta, przestańcie i pomóżcie mi wpiąć to we włosy.

Lorna podniosła wiązkę wykonanego z jedwabiu pachnącego groszku, ozdobioną perłami. Jenny wpięła siostrze ozdobę we włosy, podczas gdy Lorna zakładała perłowe kolczyki i spryskiwała sobie szyję wodą kolońską o zapachu kwiatów pomarańczy.

Efekt końcowy zdumiał nawet Daphne, która mruknęła z zazdrością:

- Ach, Lorna, nic dziwnego, że Taylor DuVal robi do ciebie słodkie oczy.

Lorna wstała i poklepała Daphne po pulchnych policzkach, nosem prawie dotykając jej nosa.

- Daph, jesteś bardzo miła.

Młodsze siostry przymilały się starszej, kiedy ta szła, zamiatając podłogę usztywnionym taftą trenem, żeby stanąć przed dużym lustrem. Lorna przycisnęła spódnice do brzucha i okręciła się, żeby sprawdzić, jak będzie wyglądał tren.

- Chyba jest dobrze?

Jenny podeszła do lustra, przewracając oczami. Naśladując siostrę uniosła wyimaginowaną suknię i wdzięcznie chyląc ramiona zanuciła:

- Tralala... chyba jest dobrze. Potem spoważniała i dodała:

- Będiesz najpiękniejszą dziewczyną na statku, Lorno. Przestań udawać, że o tym nie wiesz.

- Komu zależy na urodzie? Wolałabym być odważna, wysportowana i interesująca. Wolałabym założyć pierwszy ko-

biący klub żeglarski w Minnesocie albo polować na tygrysy w Afryce. Gdybym umiała to robić, nikt nie mówiłby: To Lorna Barnett; jest piękna. Mówiliby: To Lorna Barnett; żegluje nie gorzej od mężczyzn i poluje z najlepszymi. Słyszałaś, że trzyma na kominku dwanaście pucharów, a nad nimi wisi łeb tygrysa? Taka chciałabym być.

- Życzę szczęścia; gdyby papa dowiedział się, że pojechałaś do Afryki na polowanie, powiesiłby nad swoim kominkiem twoją głowę. Tymczasem musisz zadowolić się na tańcach rolą partnerki Taylora DuVala.

Lorna poklepała Jenny po policzku.

- Jesteś bardzo miła. Powiem Taylorowi, że gdybyś miała osiemnaście lat, pozwoliłabyś mu zapisać się na kilka tańców, zgoda?

- Lorna Barnett, nie śmiałybyś powiedzieć czegoś podobnego Taylorowi! Umarłabym ze wstydu, gdybyś pisnęła mu chociaż słówko!

Śmiejąc się Lorna wzięła wachlarz z kości słoniowej i tanecznym krokiem wybiegła z pokoju.

W korytarzu natknęła się na ciotkę Agnes, wychodzącą właśnie z sypialni.

- Och, moja mała Lorna. Zatrzymaj się na chwilę i pozwól, że na ciebie popatrzę. Wzięła Lornę za rękę i odsunęła je nieco na bok.

- Wyglądasz uroczo. Nasza dorosła panna wybiera się na tańce.

Lorna okręciła się przed ciotką.

- Na statku.

- Jak sądzę, idziesz z młodym DuValem? - Ciotka Agnes mrugnęła porozumiewawczo.

- Tak. Spotkamy się w porcie.

- To przystojny młodzieniec. Spodziewam się, że kiedy cię zobaczy, zeche zapisać się na wszystkie tańce.

- A powinnam mu na to pozwolić? - zażartowała Lorna. Ciotka Agnes miała figlarną minę.

- To zależy od tego, kto jeszcze będzie chciał z tobą za-

tańczyć. Kiedy kapitan Dearsley zalecał się do mnie, tańczyłam z innymi tylko po to, żeby nie nabrał nadmiernej pewności; a przecież nikt nie tańczył tak dobrze jak on.

Agnes zamknęła oczy i zaczęła w zachwycie kołysać głową. Jedną ręką trzymała się za serce, drugą balansowała w powietrzu.

- Ach! Tańczyliśmy walca, aż cały pokój zdawał się wirować, a złote frędzle na epoletach kapitana Dearsleya drżały. Uśmiechaliśmy się do siebie i czuliśmy, że skrzypce grają tylko dla nas.

Lorna zajęła miejsce kapitana Dearsleya i zatańczyła z ciotką walca, mruczając pod nosem melodię. Wirowały uśmiechając się lekko. Suknia Lorny szeleściła.

- Och, ciociu Agnes. Założę się, że byłaś królową balu.

- Raz miałam suknię podobną do twojej i kapitan Dearsley powiedział, że wyglądam w niej jak pączek róży. Kiedy włożyłam ją pierwszy raz, on był ubrany na białą i założę się, że każda dziewczyna chciała znaleźć się na moim miejscu.

Rozmawiając, ciągle tańczyły.

- Jakie miałaś buty?

- To nie były buty, tylko pantofelki. Na wysokim obcasie, z białej satyny.

- A włosy?

- Wówczas były ciemnokasztanowe, spięte nad uszami w dwa koczki. Kapitan Dearsley mówił czasem, że przegląda się w nich zachodzące słońce, a niektóre promienie odbijają się od nich i wracają na niebo.

- Agnes, puść dziewczynę! - rozległ się nagle czyjś głos. Rodzice czekają na nią przy drzwiach!

Lorna przerwała taniec, odwróciła się i zobaczyła na schodach ciotkę Henriette.

- Wspominałyśmy z ciocią Agnes dawne bale.

- Słyszałam. Znów ten kapitan Dearsley. Szczerze mówiąc, Agnes, Lorna nie interesuje się twoimi głupimi fantazjami.

- Ależ tak!

Ciotka Agnes złożyła dłonie, jakby chciała je załamać.

- Chciałabym, żeby ciocia szła dzisiaj na tańce ze swoim kapitanem Dearsleyem - powiedziała Lorna. - Taylor wpisałby się do cioci karnetu; niech ciocia tylko pomyśli, jak cudownie byłoby wymienić się partnerami podczas walca!

Ciotka Agnes pocałowała Lornę w policzek.

- Jesteś kochana, Lorno, ale na ciebie już czas. Życzę udanego wieczoru.

- Nie wątpię, że będzie udany. Co ciocia będzie dzisiaj robiła?

- Przygotowałam trochę kwiatów do zasuszenia. Może nakręcę szafę grającą i posłucham płyt?

- Miłego wieczoru. Powiem Taylorowi, że pozdrawia go pączek róży. - Lorna skłoniła się z gracją, zginając się w tali. - Bardzo dziękuję za taniec.

Mijając wiecznie skrzywioną ciotkę Henriette, Lorna powiedziała:

- Niech ciocia zatańczy dzisiaj z ciocią Agnes.

Ciotka Henrietta prychnęła, jakby chciała wydmuchać nos.

* * *

Lorna pojechała na tańce odkrytym landem, z rodzicami. Podróż trwała tylko kilka minut. Manitou Island miała półtora kilometra długości i około dwudziestu hektarów powierzchni. Z lądem łączył ją krótki, łukowato wygięty drewniany most. Kilkanaście metrów za mostem zaczynał się ciąg imponujących hoteli, a dalej widać było miasteczko White Bear Lake.

Kiedy przejeżdżali przez most Manitou, uderzenia końskich kopyt odbijały się melodyjnym echem, które umilkło, gdy tylko skręcili na południe, w Lake Avenue. Wieczór był wspaniały, złocisty. Pod drzewami otaczającymi jezioro wyciągały się ku lazurowej wodzie nęcące paski cienia. Na

niebie wisiały białe rybitwy, przypominające latawce, a po zatoce White Bay ślizgały się żaglowce.

Lorna przyglądała im się, kiedy Gideon, w urzędowym, czarnym stroju, z dłońmi złożonymi na mosiężnej laseczce, zauważył:

- Matka mówiła mi, że rozmawiała z tobą o Taylorze.

- Rzeczywiście.

- Teraz wiesz, co o nim sądzimy. Rozumiem, że Taylor będzie ci towarzyszył na dzisiejszych tańcach?

-Tak.

- Doskonale.

- To nie znaczy, że będę tańczyła tylko z nim, papo. Gideon zrobił srogą minę.

- Nie chcę, żebyś robiła coś, co mogłoby nasunąć Taylorowi podejrzenie, że nie chcesz za niego wyjść.

- Wyjść za męża? Papo, on nie prosił mnie o rękę.

- W każdym razie jest ambitnym i przystojnym młodzieńcem.

- Nie mówiłam, że nie jest ambitny albo że jest brzydki. Powiedziałam tylko, że oboje z mamą spodziewacie się po nim więcej, niż obiecał.

- Ten młody człowiek dotrzymuje ci towarzystwa na wszystkich wieczorkach. Nie martw się, poprosi o rękę.

Lornie zależało na tym, żeby nie irytować ojca, więc przezornie zostawiła ten temat w spokoju. Tymczasem znaleźli się już prawie na miejscu.

Dziennik „Saint Paul Globe” doniósł ostatnio, że w miasteczku White Bear Lake zamieszkuje więcej bogaczy, niż w jakimkolwiek innym mieście w Stanach Zjednoczonych. Scena, którą Barnettowie ujrzeli, kiedy ich lando dojechało na miejsce, mogłaby posłużyć za ilustrację do tego artykułu. Członkowie klubu wynajęli na wieczorne tańce parowiec „Dispatch”. Statek czekał już w porcie hotelu „Chateau-gay”. Pod dachem balkonu widokowego zebrały się tłumy.

Hotel królował nad Lake Avenue; z jego okien rozciągał się imponujący widok na jezioro. Pomalowany był na biało,

a okiennice miał zielone. Posiadał też olbrzymią werandę, wychodzącą na zacieniony trawnik, usiany hamakami i żelaznymi ławeczkami. Dzisiaj scenerię tę upstrzyły żywymi kolorami damskie suknie. Towarzyszący paniom mężczyźni nosili stroje w kolorach pingwinów.

Na ulicy woźnice w liberiach wstrzymywali doborowe pary koni i podstawiali wychodzącym z powozów drewniane schodki. Uderzenia kopyt mieszały się z miarowym stukotem silnika „Dispatcha”. Lokaje w liberiach pospiesznie zbierali do woreczków końskie odchody, żeby nie raziły delikatnych nozdrzy dam i żeby żadna z nich nie pobrudziła sobie trenu. Z górnego pokładu „Dispatcha” popłynęły dźwięki skrzypiec i obojów; niewielka orkiestra zagrała „The Band Played On”, dając sygnał, że można wchodzić na pokład.

Taylor dostrzegł Lornę w chwili, kiedy wychodziła z powozu. Zostawił rodziców i z szerokim uśmiechem ruszył ku niej trawnikiem.

- Lorna! - powiedział. - Wyglądasz uroczo.

Wziął jej dłoń, osłoniętą rękawiczką, i złożył na niej pocałunek. Był dżentelmenem w każdym calu, dlatego szybko puścił rączkę Lorny i przywitał się z jej rodzicami.

- Panie Barnett! Pani Barnett! Wyglądacie państwo dzisiaj wspaniale. Mama i tata są na trawniku.

Starsi Barnettowie odeszli, a Taylor znów wziął Lornę za rękę.

- Panno Barnett - w jego oczach pojawił się błysk uznania - wygląda pani doskonale: jak lody z owocami i śmietanką, różowo-białe i smakowicie pachnące.

- Kwiat pomarańczy. Ty też wyglądasz i pachniesz znakomicie.

- Drzewo sandałowe - odparował Taylor i oboje roześmiali się głośno.

Taylor podał Lornie ramię.

Był partnerem bez wątpienia atrakcyjnym. Lorna zauważyła, że kiedy wchodzili na pokład, przyglądała im się niejedna para oczu. Ciemnobrażowa broda i wąsy Taylora

były idealnie przystryżone i nie przykrywały całkowicie zdecydowanej szczęki i zmysłowych ust. Nos miał kształtny, choć leciutko zakrzywiony; trudno to było zauważyć w pełnym słońcu, stawało się widoczne dopiero kiedy padał na niego cień; zresztą dodawało mu to swoistego uroku. Oczy DuVal miał piwne; ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku zaczesał do tyłu, nad kształtnymi, chociaż dużymi uszami.

- Ciotka Agnes przesyła ci serdeczne pozdrowienia - powiedziała Lorna. Chciałaby tu być.

- Jest urocza.

- Tak; przed wyjściem zatańczyłam z nią w korytarzu walca.

Taylor roześmiał się i powiedział:

- Jeśli wolno, to pozwolę sobie powiedzieć, że pani, Lor-no Barnett, też jest urocza.

Ramię przy ramieniu weszli na pokład. Była tam już Phoebe z Jackiem Lawlessem. Podeszła, żeby przywitać się i musnąć policzek Lorny. Kiedy Taylor ujął dłoń Phoebe, żeby ją przywitać, dziewczyna zarumieniła się i oświadczyła:

- Daję słowo, wszyscy się za wami oglądają. Uśmiechnęła się do Lorny, ale o wiele dłuższy uśmiech posłała Taylorowi.

- Mam nadzieję, że mimo wszystko nie zapomnisz, Taylor, że również my, zwykłe dziewczyny, chciałybyśmy dzisiaj potańczyć.

Taylor odparł:

- Proszę zatem o coś do pisania.

Schwycił ołówek wiszący u karnecika Phoebe; Jack w rewanżu wpisał się do karnetu Lorny, po czym zaproponował, żeby przejść na wyższy pokład, gdzie orkiestra zaczęła właśnie grać „Beautiful Dreamer”.

Na górze oślepiło ich chylące się już ku zachodowi słońce. Dwa razy zabrzmiał dzwon pokładowy i chwilę później statek, turkocząc i chwiejąc się, odbił od brzegu. Podniosła się błękitna chmura spalin, ale kiedy znaleźli się nieco dalej od brzegu, powietrze się oczyściło. Powiew wiatru poru-

szał lokami Lorny i marszczył jej suknię. Dziewczyna przysłoniła ręką oczy i zaczęła wypatrywać Tima, ale dostrzegła go dopiero kiedy statek skręcił na wschód i słońce przestało świecić jej w oczy.

- Tim! - zawołała, machając ręką i kierując się w jego stronę.

- Dobry wieczór, panno Lorno - przywitał ją, wyjmując z ust fajkę. Jedyńm okiem przyjrzał się jej od stóp do głowy; szklane oko spoglądało gdzieś ponad balustradą na rufie.

- Och, Tim, tak się cieszę, że pan tu jest.

- Chyba mówiłem, że będę?

- Tak, ale plany można zmienić. Dzisiaj porozmawiamy z ojcem, prawda?

- Jakaż pani niecierpliwa.

- Tim, proszę ze mnie nie żartować. Zrobimy to dzisiaj?

- Oczywiście. Jens nie mniej od pani jest ciekaw reakcji Gideona.

- Tim, porozmawiamy z ojcem dopiero kiedy zajdzie słońce i nieco się ochłodzi; papa nienawidzi upału. Do tego czasu zdaży wypić kilka kieliszków, co złagodzi jego wieczną chęć do spierania się. Zgoda?

Tim odchylił się do tyłu.

- Czy wolno spytać, panno Lorno, jaki pani ma w tym interes? Już wcześniej zauważyłem, że wydaje się pani niezmiernie spragniona tego, żeby ojciec zmienił zdanie na temat młodego Harkena.

Oczy Lorny zrobiły się okrągłe i pełne najprawdziwszej niewinności. Dziewczyna otworzyła usta, zamknęła je i znów otworzyła. Starła się zachować spokój i robiła, co mogła, żeby powstrzymać rumieniec rozlewający się na policzkach. W końcu odparła:

- Załóżmy, że on ma rację i że jego statki będą najszybsze.

- Czy aby na pewno jest to jedyny powód, dla którego interesuje się pani tą sprawą?

- Ależ oczywiście. Czy mógłby być inny?

- Czyżbym był w błędzie? Wydawało mi się, że w niedzielę zauważyłem między wami odrobinę wzajemnej fascynacji.

Lorna mimo wysiłków, by do tego nie dopuścić, spłonęła rumieńcem.

- Och, Tim, na miłość boską, niech pan nie wygaduje głupstw. On jest pomocnikiem kucharki.

-Właśnie. Czuję się w obowiązku przypomnieć pani o tym, ponieważ jestem przyjacielem i pani ojca, i Jensa Harkena.

- Wiem. Proszę, Tim, niech pan nie wspomina o pikniku.

- Przecież obiecałem.

- Zna pan mojego ojca - powiedziała Lorna, błagalnie pociągając Tima za rękaw. - Wie pan, jak traktuje dziewczęta. Dla niego jesteśmy tylko powiewnym, pustogłowym materiałem na żony. Chciałabym, żeby chociaż raz spojrzął na mnie tak, by było jasne, że zauważył, iż mam w głowie rozum, że mam swoje marzenia i aspiracje większe niż tylko złapanie męża, prowadzenie domu i wychowywanie dzieci. Tak żyje moja mama. Ja chciałabym żeglować. Papa nie pozwala. Chciałabym pójść do szkoły. Papa mówi, że to zbędne. Chciałabym pojechać do Europy. On mówi, że mogę tam spędzić miodowy miesiąc. Rozumie pan, Tim? Nie ma na ziemi nic takiego, co pozwoliłoby kobiecie przypodobać się papie. Mam nadzieję, że może uda mi się to zmienić, jeśli ojciec wysłucha Harkena i sfinansuje budowę jego jachtu. Gdyby wygrał regaty, może papa zobaczyłby mnie w innym świetle?

Tim przytulił dłoń, szarpiąc go za rękaw. Lorna poczuła ciepło jego fajki.

- Niech pani da mi znać, kiedy będzie gotowa do rozmowy z Gideonem.

Lorna uśmiechnęła się i puściła rękaw Tima. Pomyślała, że fotograf jest rzeczywiście sympatycznym mężczyzną.

Tańczyła z Taylorem, Jackiem, Percym Tuftsem i z ojcem Phoebe; potem z Taylorem, raz z Timem, znów z Taylorem, z bratem Phoebe, Mitchellem. Ten ostatni spytał, jak jej idzie żeglowanie i obiecał, że w każdej chwili może udzielić następnej lekcji. Mitchell był o dwa lata młodszy od Lorny, ale dziewczyna wyczuła, że jest nią zainteresowany. Zdziwiło ją to. Dotąd Mitchell był dla niej tylko młodszym bratem Phoebe, wiecznie płaczącym się pod nogami, trochę jak Theron. Tymczasem Mitchell wyrósł, jego ramiona zrobiły się szerokie; próbował nawet zapuścić brodę. Kiedy odprowadzał Lornę do Taylora, mocno ścisnął jej dłoń.

Słońce skryło się za fioletową chmurą o świecących, różowych i złotych brzegach. Powietrze zrobiło się chłodniejsze. „Dispatch” powoli przesunął się kolejnymi odnogami jeziora.

Lorna znów tańczyła z Taylorem, a ojciec przyglądał się im, wyraźnie zadowolony. Ze względu na niego, Lorna uśmiechała się do swojego partnera, zastanawiając się jednocześnie, czy łódź o płaskim dnie utrzyma się na wodzie, ile czasu zajmie budowa, czy Jens Harken na pewno wie, o czym mówi, co też może teraz robić w Rose Point Cottage, czy może uwodzi jakąś pomoc kuchenną i gdzie mógłby się w tym celu udać.

Zerkając ponad ramieniem Taylora, Lorna zauważyła, że Tim Iversen podszedł do Gideona i wdał się z nim w rozmowę. Kiedy taniec się skończył, poprosiła:

- Czy mógłbyś odprowadzić mnie do papy, Taylorze? Pozwól mi opuścić dwa tańce, a potem przyjdź po mnie.
- Oczywiście.

Kiedy szli w stronę Gideona, w ciemnościach palce Taylora przesunęły się najpierw po wypukłości nad biodrem Lorny, a potem znalazły się niebezpiecznie blisko prawego pośladka. Policzki Lorny oblał rumieniec i poczuła dziwne mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Podskoczyła, kiedy Taylor szepnął jej do ucha:

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym spytał twojego ojca, czy pozwoli mi odprowadzić cię do domu?
 - Oczywiście, że nie - odparła Lorna. Była przerażona, że przed chwilą doświadczyła właśnie dotykania, przed którym ostrzegała ją matka i zaskoczona, że wszystko to dzieje się niemalże na oczach jej ojca. Spodziewała się, że coś podobnego może mieć miejsce wyłącznie w ustronnym miejscu.
 - Panie Barnett - spytał Taylor - czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebym odwiózł dzisiaj Lornę do domu?
- Gideon wyjął cygaro z ust i chrząknął.
- Absolutnie nic, mój chłopcze.
 - Niedługo wrócę - powiedział Taylor do Lorny i zniknął.
 - Rozmawialiśmy z pani ojcem o ostatnich regatach, odezwał się Tim.
- „Serdeczne dzięki, Tim” - pomyślała Lorna.
- Zdaje się, że Tim słyszał o szalonym pomysle pomocnika naszej kucharki - powiedział Gideon. - Ten chłystek podobno wie, jak zbudować szybszą łódź. Tim twierdzi, że pływał z tym chłopakiem.
 - Tak, wiem. Rozmawialiśmy o tym z Timem w niedzielę.
 - Słyszałem o tym. Przepłynęłaś jezioro.
 - Dzień był tak piękny, że nie mogłam się powstrzymać. Miałam dość jedzenia, więc zjadłam obiad z Timem. Rozmawialiśmy o pomysle Harkena.
- Tim podjął temat.
- Ten człowiek mówi, że płaskodenna łódź będzie sunąć po wodzie, Gideonie. To wydaje mi się całkiem rozsądne. Jeśli łódź nie będzie musiała pokonywać oporu wody, z pewnością okaże się szybsza od zwykłych jednomasztowców. Na twoim miejscu posłuchałbym tego Harkena.
 - Mimo że wszyscy go wyśmiali?
 - Inni wyśmiali, ale jeśli ty go wysłuchasz i jego pomysł da się zrealizować, udowodnisz, że jesteś mądrzejszy od wszystkich - wtrąciła Lorna. - W końcu to ty jesteś koman-

dorem klubu. Jeśli jego łódź będzie tak dobra, jak się to wydaje możliwe, zdobędziesz sobie nieśmiertelną sławę. Gideon pykał cygaro i myślał. Lubił, gdy przypominano mu, że jest komandorem, chyba że przypominano mu o tym w taki sposób, jak ostatnio czyniły to gazety, w których wymieniano go jako komandora przegranego klubu. Liczne artykuły, ozdobione zdjęciami autorstwa Tima, ukazały się nawet na wschodnim wybrzeżu.

- Papo, posłuchaj - przekonywała Lorna. - Rozejrzyj się wokół siebie. Na tym statku znajduje się więcej bogactwa, niż bylibyś zdolny wydać przez całe życie. Jaki pożytek z tych pieniędzy, jeśli nie dają radości? Nawet nie zauważysz, że ubyło ci kilkaset dolarów, a przecież tyle będzie kosztowała budowa statku. Nawet jeśli zatonie, to co? Harken zapewniał Tima, że statek się nie przewróci. Kadłub ma być cedrowy i nie obity metalem, a maszty puste w środku, więc łódź będzie się unosić na wodzie. On mówił, że się uda, pięcioosobowa załoga doskonale sobie z nią poradzi i worki z piaskiem w ogóle nie będą potrzebne!

Ponieważ milczenie się przedłużało. Tim dodał:

- On mówi, że jedenastometrowy jacht będzie ważył około dwustu pięćdziesięciu kilogramów, a nie ponad osiemset, jak dotąd. Wyobraź sobie, Gideonie, na co byłoby stać tak lekką łódź, nawet przy słabym wietrze.

- Chcemy cię namówić, papo, żebyś z nim porozmawiał.

- On ci to wytłumaczy o wiele lepiej niż ja, Gid.

- Jeśli uznasz jego pomysły za bezsensowne, nie dasz mu pieniędzy. Wiesz jednak, że to jest jakaś szansa na wygraną w przyszłym roku.

Gideon chrząknął i strzepnął do wody popiół z cygara.

- Pomyślę o tym - powiedział i zrobił ruch ręką, jakby chciał zrzucić ze spodni niewidoczny okruszek. - Teraz idź sobie i daj mi spokój, Lorno. Przyszliśmy tutaj na tańce. Zatańcz z Taylorem.

Lorna uśmiechnęła się i dygnęła dla żartu.

- Tak jest, papo. Do zobaczenia, Tim.

Kiedy odeszła, Gideon powiedział do Tima:

- Ta dziewczyna coś knuje, ale nie mam pojęcia, co.

* * *

„Dispatch” przybił do brzegu piętnaście po jedenastej. Na werandzie hotelu paliły się gazowe latarnie. Członkowie klubu zeszli na ląd i podzielili się na mniejsze grupki. Niektórzy, wśród nich rodzice Lorny i Taylora, postanowili napić się czegoś i zjeść deser w hotelu „Chateaugay”. Lorna pożegnała się z Phoebe.

- Powóz już jest - powiedział Taylor i wziął swoją partnerkę pod ramię.

- Czy będziesz musiał wracać po rodziców? - spytała Lorna.

- Nie. Przyjechaliśmy osobno.

Powoli poszli ulicą, deptając po kałużach światła latarń. Za ich plecami ucichło sapanie i stukanie silnika spalinowego. Wiszące przed hotelem hamaki wyglądały jak kokony, opuszczone przez swych mieszkańców. Zapach jeziora mieszał się z wonią koni, kiedy zbliżali się do rzędu śpiących zwierząt, uwiązanych do pojazdów. Taylor pomógł Lornie wejść do powozu, po czym podszedł do konia, dociągnął popręg i dopiero potem sam wskoczył na siedzenie.

- Zrobiło się chłodno - powiedział, odwracając się i sięgając do tyłu. - Chyba podniosę budę.

Chwilę później światło księżyca znikło, a zapach skóry zrobił się mocniejszy. Nad ich głowami rozłożyła się buda. Taylor szarpnął lejce, ale konie nie miały ochoty ruszać w drogę.

- Stary Tulip jest dzisiaj rozleniwiony. Nie lubi, kiedy się go budzi. - Taylor spojrzał na Lornę. - Nie przeszkadza ci to?

- Wcale. Noc jest cudowna.

Wlekli się na wyspę Manitou w tempie wybranym przez Tulipa; czasem kryli się w głębokim cieniu, czasem oświetlał ich księżyc i wówczas stanik Lorny robił się lawendowy.

Dotarłszy na wyspę, znaleźli się w alei wysadzonej starymi wiazami. Tylko ta jedna droga przecinała wyspę, dzieląc położone na niej posiadłości na północne i południowe. Przez zadrzewione podwórka widać było tyły wielkich domów otoczonych trawnikami. Minęli dom Armfieldów, ale zanim dojechali do Rose Point, skręcili w ścieżkę tak wąską, że gałęzie krzewów zaczepiały za szprychy kół.

- Taylor, dokąd jedziemy?

- Przed siebie; gdzieś, skąd będzie widać wodę. Prrr, Tulip.

Wóz zatrzymał się na małej polance; między wierzbami widać było wodę, a na lewo od nich odwróconą tyłem oficynę. Gdzieś w pobliżu zarżał koń.

- Zdaje się, że jesteśmy za stajniami Armfieldów? Taylor zaciągnął hamulec i uwiązał lejce.

- Tak - powiedział. - Gdybyśmy bardzo chcieli, moglibyśmy między drzewami dostrzec światło w sypialni Phoebe. Taylor przeciągnął się i położył rękę na oparciu obitego skórą siedzenia. Lorna wychyliła się do przodu, żeby poszukać światła w pokoju Phoebe.

- Nic nie widzę.

Taylor uśmiechnął się i jednym palcem musnął nagie ramię Lorny.

- Taylor, tu są komary.

- Możliwe, ale za to nie ma młodszego rodzeństwa. Delikatnie wciągnął Lornę pod budę, ujął jej lewą dłoń i zaczął powoli zdejmować rękawiczkę. To samo zrobił z prawą dłonią, po czym ścisnął ją i zajrzał Lornie w oczy.

- Taylor - szepnęła. Serce waliło jej jak oszalałe. - Powinnam wrócić do domu.

- Kiedy tylko zechcesz - szepnął Taylor i zasłonił głową światło księżyca. Otoczył Lornę ramionami i dotknął jej ust w pierwszym pocałunku. Brodę miał miękką, usta ciepłe, a pierś twardą. Lorna objęła go ramionami. Czują, że chłopak unosi ją i przesuwa, aż wreszcie dopasowali się do siebie. Taylor szerzej otworzył usta. Żar i wilgoć jego języka sprawi-

ły, że myśli o komarach i świetle w oknie Phoebe wyparowały Lornie z głowy. W złączonych ustach zaczęło dziać się coś cudownego. Prawa ręka Taylora spoczęła powyżej biodra Lorny, stanowiąc przeciwwagę dla penetrującego jej usta języka. Odległe zakamarki ich świadomości odnotowały szczekanie psa; bliżej, pod budą, pojawiły się przepowiedziane komary. Bzyczały i siadały na nich, ale nie zwracali na nie uwagi.

Kiedy wreszcie, z wielką niechęcią, przerwali pocałunek, brakowało im tchu w piersiach. Siedzieli dotykając się czołami i nosami.

- Czy wybaczysz mi, że uprowadziłem cię do lasu? - spytał Taylor.

- Och, Taylor, jeszcze nigdy mnie tak nie całowałaś.

- Miałem na to ochotę. Kiedy zobaczyłem cię, wysiadającą z powozu ojca, wiedziałem, że dzisiaj tu przyjedziemy.

Jak myślisz, ile czasu nasi rodzice będą jedli deser?

- Nie wiem - szepnęła Lorna.

Usta Taylora znów się zbliżyły, a jej tym razem wyszły im naprzeciw. Podczas drugiego pocałunku jego palce przesuwają się po żebrach Lorny w górę i w dół, jakby chciał ją rozgrzać. To, myślała Lorna, nie może być dotykaniem, jakie miała na myśli matka, ponieważ jest bardzo delikatne i wcale nie budzi chęci ucieczki.

Taylor przerwał pocałunek z pomrukiem łagodnego niezadowolenia. Objął Lornę w tali i przesunął tak, żeby księżyc nie świecił mu w twarz. Odchylił się na siedzeniu, przyciągając Lornę do swej piersi.

- Lorno Barnett - powiedział z ustami przy jej szyi - jesteś najpiękniejszym z bożych stworzeń żyjących na tej ziemi i pachniesz tak przyjemnie, że mam ochotę cię zjeść.

Polizał jej szyję, co zaskoczyło Lornę tak, że aż zachichotała.

- Taylor, przestań.

Próbowała go odepchnąć, ale jego język zostawił na jej skórze ciepłą, wilgotną plamkę i spotęgował zapach perfum. Lorna przestała się opierać i zamknęła oczy.

- To musi smakować wprost obrzydliwie - powiedziała z wysiłkiem.

Przechyliła głowę, nadstawiając się Taylorowi i poczuła, że głęboko w jej wnętrzu rodzi się przyjemność. To pobudziło jej czujność. Taylor ugryzł ją lekko, potem chwycił wargami płatek jej ucha i ssał go przez chwilę, po czym znów wrócił do jej ust.

- Rzeczywiście okropnie - mruknął.

Dziewczyna godziła się na wszystko. Rozchyliła usta, otwierając się na podniecające wrażenia. Pocałunek z otwartymi ustami... Jaki cudowny i urzekający pomysł. Dłonie Taylora zaczęły wędrówkę po jej staniku, kciuk zahaczył o dolną część piersi, wzbudzając cudowne dreszcze.

Lorna oderwała swe usta od ust Taylora i szepnęła drżącym głosem:

- Muszę wracać do domu... proszę...

- Tak - szepnął w odpowiedzi, ustami szukając jej ust i nie przestając dotykać jej piersi. - Ja też.

- Taylor, proszę...

Opierał się jeszcze, ale komar usiadł na jego czole i zaczął szukać krwi.

Kiedy Taylor wyciągnął rękę, żeby zabić natręta, Lorna uwolniła się z jego objęć.

- Taylor, chcesz, żebym po powrocie do domu dostała lanie?

- Oczywiście, że nie. - Taylor wyprostował się i przejechał dłońmi po włosach. - Masz rację.

Lorna wygładziła spódnicę, obciągnęła stanik, dotknęła włosów i spytała:

- Nie jestem rozczochrana?

Taylor odwrócił jej twarz ku sobie. Jednym spojrzeniem obrzucił jej fryzurę i usta.

- Nikt się niczego nie domyśli - odparł.

Kiedy Lorna spróbowała się odsunąć, przytrzymał ją i kciukiem pogładził brodę.

- Jesteś taka nieśmiała - powiedział. - To interesujące.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Panno Barnett - zażartował - może pani liczyć na to, że będę często szukał pani towarzystwa.

Lorna spojrzała na niego z uwielbieniem, jakim młoda kobieta potrafi darzyć mężczyznę, który pierwszy raz wprowadził ją do królestwa cielesnych upojeń; z uwielbieniem należnym temu, który stał się jej pierwszym nauczycielem.

- Panie DuVal - odparła - mam nadzieję, że tak będzie.

Rozdział 5

We wtorek po tańcach na pokładzie „Dispatcha” do kuchni dostarczono mały woreczek z drobnymi monetami od Levinii Barnett z poleceniem, żeby je umyć wodą z mydłem. Jens Harken zajmował się tym, kiedy do kuchni weszła gospodyni, Mary Lovik.

Była szczupłą, czarnowłosą kobietą o twarzy zawsze wykrzywionej w surowym grymasie. Bezlitosne oczy sprawiały, że przypominała łasicę. Nosiła biały czepek o kształcie sufletu, różniący się od czepków innych służących licznymi fałdkami i niewielkim rozmiarem. Sukienkę miała szarą, a fartuch tak mocno nakrochmalony, że przy każdym kroku niemal dźwięczał.

Pani Lovik poruszała się wśród swoich podwładnych zawsze z wyrazem godności na twarzy. Pospołu z Chesterem Poorem, lokajem, zajmowała w społeczności służących miejsce najwyższe. Wszyscy inni stali poniżej i pani Lovik doświadczała przyjemności, przypominając im o tym przy każdej okazji.

- Harken! - krzyknęła trzaskając drzwiami. - Pan Barnett oczekuje ciebie w swoim gabinecie.

Ręce Harkena znieruchomiały w mydlanej wodzie.

- Mnie?

- Tak, ciebie! Czy widzisz tu jeszcze kogoś o nazwisku Harken? Pan Barnett nie lubi czekać; pospiesz się!

- Dobrze, proszę pani; tylko skończę myć monety.

- Ruby może to zrobić. Ruby, umyj resztę monet pani Barnett i dopilnuj, żeby nie zabrakło ani pensa.

Harken wrzucił monety do garnka i sięgnął po ręcznik, żeby wytrzeć dłonie.

- Czy pani wie o co chodzi, Lovik?

- Dla ciebie pani Lovik. Nie mam pojęcia, czego chce pan, chociaż nie będę zdziwiona, jeśli wyrzuci cię za to gadanie o statkach. Pani Schmitt! Czy pani pomocnice nie mają nic lepszego do roboty, tylko stać i gapić się, kiedy ktoś tu wejdzie? Do pracy, dziewczęta. Ruby, masz brudny fartuch. Zmień go natychmiast. Harken, ruszaj się!

Ledwie zdążył się ruszyć, pani Lovik znów zaczęła: -Na miłość boską, odwiń rękawy i zapnij kołnierzyk.

Nie możesz iść do gabinetu pana jak jakieś kuchenne popychadło.

Zapinając kołnierz Harken odparował:

- Przecież jestem kuchennym popychadłem, pani Lovik, i pan o tym wie.

- Nie interesuje mnie, co masz do powiedzenia, Harken. Mogę tylko dodać, że gdybym ja miała w tej sprawie coś do powiedzenia, to nie byłoby cię tu po tym wyczynie z lodami.

- Ale w tej sprawie nic pani nie miała do powiedzenia, prawda? - uśmiechnął się Harken bezwstydnie, wskazał ręką korytarz prowadzący do jadalni i dodał: - Pani pierwsza, pani Lovik.

Pomknęła przed nim z zadartym nosem, potrząsając białym czepkiem. Odprowadziła go do głównych schodów i kiwnęła ręką, żeby wszedł na górę.

- Na piętrze. Wracaj prosto do kuchni, kiedy tylko pan cię zwolni.

Na piętrze.

Boże, jakie schody! Jeszcze nigdy po nich nie wchodził; nie widział też takiej mahoniowej poręczy ani cherubinów na słupkach. Małe naguski, dzierzące w dłoniach lampy gazowe, uśmiechały się do niego, kiedy szedł po tureckim dywanie w niebiesko-czerwono-złoty wzór. Na górze znajdowało się wychodzące na podwórko łukowate okno ze szkła

ołowiowego i kolejna para aniołków, podtrzymujących lampy. Na piętrze Harken zobaczył korytarz ciągnący się w prawo i w lewo od schodów, z długimi szeregami drzwi po obu stronach. Harken nie miał pojęcia, gdzie szukać gabinetu pana Barnetta.

Skręcił w lewo i minął jakąś sypialnię; w bujanym fotelu spała starsza siwowłosa pani z książką na kolanach. Harken przypomniał sobie, że w dniu przyjęcia obsługiwał ją. Cichutko poszedł dalej i zajrzał do łazienki z podłogą wyłożoną białymi i zielonymi płytami, z porcelanowym sedesem i dębowym zbiornikiem na wodę, zawieszonym wysoko na ścianie. Umywalka stała na podwyższeniu, a wielka wanna w kształcie sań opierała się na lwich łapach. W łazience pachniało kwiatami, a przez okno z białą firanką zaglądało słońce.

Dalej był pokój syna Barnettów. Na tapecie widniały żaglowce na niebieskim tle. Harken domyślił się, że skręcił w niewłaściwą stronę, ale postanowił zajrzeć do pozostałych pokoi wiedząc, że podobna okazja może mu się więcej nie trafić. Kiedy podszedł do następnych drzwi, stanął jak wryty.

Na szeszlengu siedziała Lorna Barnett, z magazynem w ręce. Na dziewczynę z dwóch stron padało światło z okien znajdujących się na przeciwległych ścianach. Włosy miała nie uczesane, stopy bose, a kolana podciągnięte tak, że tworzyły podpórkę dla magazynu. Ubrana była w bladola-wendową spódnicę i białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem, rozpiętym w to upalne popołudnie tak, że widać było obojczyki.

Lorna podniosła wzrok, kiedy Harken stanął w drzwiach. Na moment obydwójce zamarli w bezruchu.

- Harken? - szepnęła w końcu. Oczy miała szeroko otwarte.

Opuściła kolana i, zmieszana, przykryła spódnicą bosc stopy.

- Co tu robisz?

- Przepraszam, że przeszkadzam, panienko Lorno, ale szukam gabinetu pana Barnetta. Powiedziano mi, że jest na górze.

- W drugim skrzydle. Przedostatnie drzwi po prawej stronie.

- Dziękuję. Teraz znajdę bez problemu - powiedział Harken i odwrócił się.

- Czeka! - zawołała Lorna; odrzuciła magazyn i spuściła nogi na podłogę. Podeszła do drzwi i wysunęła głowę na korytarz.

- Ojciec chce cię widzieć?

- Tak, panienko.

W oczach Lorny rozbłysło podniecenie.

- Założę się, że chce rozmawiać o statku! Och, Harken, jestem nawet pewna.

- Nie wiem, panienko. Pani Lovik powiedziała tylko, że mam pójść do gabinetu pana. Kazała mi postarać się, żebym nie wyglądał jak kuchenne pomiotło. - Harken zerknął na spodnie z wilgotnymi plamami i na szorstką, białą koszulę, którą czarne szelki podzieliły na trzy pola. - Chyba mi się nie udało.

- Ach, pani Lovik - machnęła ręką Lorna. - Kwaśna jak cytryna. Nie zwracaj na nią uwagi. Skoro papa chce cię widzieć, to znaczy, że daliśmy mu do myślenia. Jestem przekonana, że chodzi o jacht. Pamiętaj, że papa najbardziej pragnie wygranej. Najbardziej. Nie umie przegrywać. Spróbuj go przekonać; może jeszcze zobaczymy twoją łódź.

- Postaram się, panienko.

- Nie daj się zastraszyć - przykazała, grożąc palcem. - Ojciec będzie próbował, ale nie daj się.

- Tak, panienko.

Harken przez cały czas miał na twarzy pokorny uśmiech. Lorna była rozentuzjasmowana jak dziecko. Jej włosy, ciemne i gęste, sterczały na wszystkie strony, jakby czytając mierzwiła je palcami. Jej uroda pozostawała jednak nie mniej olśniewająca niż w oprawie kapeluszy, loków

i gorsetu. Harken nagle przypomniał sobie, że Lorna nie nosi gorsetu; myśl, że dzisiaj nie ma też pończoch ani butów, sprawiła mu przyjemność. Bez wątpienia Lorna była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w swoim życiu.

- Nie chcę, żeby ojciec panienki musiał na mnie czekać - powiedział.

- Słusznie.

Lorna oparła się rękami o framugę i wychyliła lekko do przodu:

- To tam, te zamknięte drzwi.

- Tak. Dziękuję - powiedział Jens i odwrócił się.

- Harken? - szepnęła dziewczyna.

Jens zatrzymał się i spojrzał na nią pytająco.

- Życzę szczęścia - szepnęła.

- Dziękuję, panienko.

Kiedy dotarł do drzwi gabinetu Gideona, obejrzał się i zobaczył Lornę nadal wyglądającą na korytarz. Dziewczyna pomachała do niego, a on w odpowiedzi uniósł dłoń, po czym zapukał. Stał i czekał, aż Gideon rozkazał:

- Wejść!

Jens Harken wszedł do środka. Przy biurku pod wysokimi oknami siedział Gideon Barnett. Po obu stronach miał półki z książkami. W gabinecie pachniało dymem cygar i skórą, chociaż świeży, popołudniowy podmuch rozwiewał szkarłatne zasłony przy oknach. Pokój oświetlały promienie słoneczne wpadające ukośnie i nie docierające do biurka, ale złocące grzbiety książek w jednym kącie, lśniące też na drewnianej podłodze. W tych zaś kątach, do których nie docierało słońce, czaiła się ciemność. Na niskim stoliku stał globus i czarna, lakierowana skrzynka; wokół leżały oprawne w skórę książki. Przy stole stały wygodne krzesła.

- Harken - odezwał się lodowatym tonem Barnett.

- Dzień dobry panu.

Harken podszedł do biurka, ale nie usiadł, chociaż w pokoju były cztery wolne krzesła.

Gideon włożył do ust cygaro i mocno ścisnął je zębami. Ściągnął usta i w milczeniu przyglądał się stojącemu przed nim młodzieńcowi. Dym uniósł się w górę i wypłynął przez okno. Barnett pykał cygaro i czekał, kiedy młody człowiek okaże lęk. Harken stał jednak swobodnie, z rękami opuszczonymi po bokach; na brzuchu miał mokrą plamę.

- Tak! - warknął wreszcie Barnett i wyjął cygaro z ust-Twierdzisz zatem, że potrafisz budować jachty?

- Tak, proszę pana.

- Szybkie jachty?

- Tak, proszę pana.

- Ile już zbudowałeś?

- Dużo. W stoczni w Barnegat Bay.

Gideon Barnett nie dał po sobie poznać, że zrobiło to na nim wrażenie: Barnegat Bay w New Jersey było matecznikiem żeglarstwa. We wszystkich magazynach można było znaleźć artykuły o tamtejszych stoczniach.

Barnett zaczął obracać w ustach wilgotny koniuszek cygara zastanawiając się, co zrobić z chłystkiem, który nie chce się bać.

- Zbudowałeś chociaż jeden podobny do tego, o którym opowiadasz?

- Nie, proszę pana.

- Skąd więc możesz wiedzieć, że łódź się nie przewróci i nie zatonie?

- Wiem, że nie zatonie.

-Wiesz - zadrwił Barnett. - To niezbyt przekonująca podstawa do wyłożenia fury pieniędzy.

Harken nie poruszył się i nie odpowiedział. Jego twarz pozostała spokojna, a oczy bez zmrużenia wpatrywały się w starszego pana. Barnett poczuł, że spokój młodego człowieka irytuje go.

- Pewni ludzie nalegają, żebym cię wysłuchał. Harken nadal milczał, co obudziło w Barnetcie przemożną chęć wprowadzenia go z równowagi.

- No, powiedz coś, chłopcze! - wybuchnął.

- Mogę to narysować, jeśli zna się pan na rysunkach kadłubów.

Barnett nieomal zakrzuszył się własną śliną, ale zapanował nad chęcią wyrzucenia szczeniaka na zbity pysk. Pomocnik kucharki ośmiela się wątpić w to, czy on, Gideon Barnett, komandor White Bear Yacht Club, zna się na rysunkach kadłuba! Cisnął ołówek na leżącą na biurku stertę białego papieru.

- Masz! Rysuj!

Harken zerknął na ołówek, na Barnetta i znów na ołówek. Wreszcie wziął go do ręki i zaczął rysować.

- Zechce pan przejść na tę stronę, proszę pana, czy też ja mam pójść do pana?

Barnett zacisnął szczęki, ale zrezygnował z okazji do zademonstrowania swojej wyższości i obszedł biurko. Tymczasem Harken rysował, wolną ręką oparty o biurko.

- Przede wszystkim musi pan rozumieć, że jest tu mowa

o dwóch zupełnie różnych łodziach. Nie chodzi mi o łódź balastową. Mam na myśli łódź ślizgającą się po wodzie: lekką, płaską, tylko nieznacznie zanurzoną, gdy jest w ruchu.

Rysował szkice, przekroje w różnych płaszczyznach, porównywał dwa jachty o całkiem odmiennych kształtach i wyjaśniał, że dziób łodzi uniesie się, kiedy łódź będzie płynąć

1 że opór wody stanie się wówczas o wiele mniejszy. Będzie też można pozbyć się balastu, ponieważ żagle zostaną odpowiednio zmniejszone. Mówił o ich rozkładzie oraz o tym, że mają o wiele mniejszy wpływ na szybkość jednomasztowca niż kształt kadłuba. Mówił o łodzi o płaskim dnie, bez balastu poniżej stępki; o czymś, czego nigdy dotąd nie budowano.

- Jeśli nie będzie balastu, w jaki sposób łódź zachowa równowagę? - spytał Gideon.

- Załoga będzie wystarczającym balastem.

- I to wystarczy, żeby łódź się nie przewróciła?

- Łódź będzie miała jeszcze miecze. Harken znów zaczął rysować.

- Zamiast balastu da się dwa miecze, czy też, jeśli pan

woli, płetwy boczne. Stosownie do potrzeby będzie się je podnosiło bądź opuszczało. W przeszłości spuści się miecz od zawietrznej, w celu zmniejszenia dryfu. Przy zmianie halsu podniesie się tamten, a spuści ten: jeden idzie w górę, a drugi w dół. Widzi pan?

Barnett myślał przez chwilę, przyglądając się rysunkom.

- Potrafisz przygotować rysunki?

- Tak, proszę pana.

- A zbudować łódź?

- Tak, proszę pana.

- Bez żadnej pomocy?

- Prawie. Będę potrzebował kogoś do pomocy przy układaniu wręgi i poszycia.

- Nie mogę dać ci pomocnika.

- Znajdę kogoś, jeśli pan mu zapłaci.

- Ile to będzie kosztowało?

- Cała łódź? Około siedmiuset dolarów. Barnett zastanowił się.

- Ile potrzebujesz czasu?

- Trzy miesiące. Najwyżej cztery, ale to z wykończeniem wnętrza i malowaniem. Będę potrzebował jedynie materiału, narzędzi i szopy do pracy, to wszystko. Sam mogę zbudować kocioł na parę.

Barnett popatrzył na rysunki, zdusił cygaro w popielniczce, podszedł do okna i stanął, spoglądając na jezioro.

- Jedyne, czego nie jestem w stanie zrobić samodzielnie, to okucia i żagle. Żagle można zamówić w Chicago

- powiedział Harken. Barnett odwrócił głowę. - Jacht zbuduję do jesieni, żagle wykona się zimą. Sam go otakuję. Będzie gotowy na wiosnę, przed początkiem sezonu.

Harken odłożył ołówek i stanął wyprostowany, przyglądając się Barnettowi i skrawkowi błękitnej wody za jego plecami.

Barnett nie odzywał się, więc Harken mówił dalej:

- Dużo żeglowałem, proszę pana. Mój ojciec żeglował, a przed nim jego ojciec i tak dalej, aż do czasów wikingów,

jak sędzę. Wiem, że to się uda, tak jak wiem, dlaczego kocham wodę.

W pokoju zapadła cisza. Barnett przyglądał się Harkenowi.

- Jesteś pewny siebie, chłopcze.

- Niech pan to nazwie, jak pan chce, ale ja wiem, że ta łódź będzie pływała.

Barnett założył ręce za plecy, stanął na palcach, opadł na pięty i powiedział:

- Pomyślę nad tym.

- Tak, proszę pana - odparł spokojnie Harken. - Teraz lepiej wrócę już do kuchni.

Podchodząc do drzwi gabinetu czuł na plecach spojrzenie Barnetta; wiedział, że jest obserwowany i oceniany. Wyczuwał też niechęć, jaką starszego pana napawała myśl o zaufaniu służącemu. Dostrzegł w swoim pracodawcy obsesyjne pragnienie przodowania we wszystkim, czego się podejmuje. Panna Lorna powiedziała, że jej ojciec nie umie przegrywać, i była to prawda. Jens Harken zastanawiał się, w jaki sposób Gideon Barnett okazałby swoją wdzięczność, gdyby zlecił mu budowę jachtu i wygrał na nim regaty.

Wrócił do kuchni najkrótszą drogą. Przechodząc korytarzem zauważył, że drzwi pokoju panny Lorny są zamknięte.

W kuchni wszyscy siedzieli przy stole.

Popijali miętową herbatę i posilali się ciastem. Kiedy Jens wszedł, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

- Co ci powiedział?

- Pozwoli ci zbudować łódź?

- Byłeś w jego gabinecie?

- Jak tam jest?

- Chwileczkę! Chwileczkę! - Harken uniósł ręce, żeby uciszyć wrzawę. - Powiedział, że pomyśli o tym. To wszystko.

Napięcie szybko zniknęło.

- Dałem mu do myślenia - pocieszył zebranych Jens.

- Jak jest w jego gabinecie? - spytała Ruby. Jens opisy-

wał właśnie wygląd pokoju, kiedy drzwi wychodzące na schody dla służby otworzyły się i panna Lorna Barnett kolejno raz wtargnęła do kuchni.

- Co ci powiedział, Harken? - spytała bez tchu. Ubranie nadal miała wymięte, ale pozapinała guziki, a na nogi włożyła buty. Przeszła przez kuchnię i stanęła wśród służby przy zniszczonym, kuchennym stole, jakby pracowała tu cały dzień. Nie przeszkadzało jej, że wszyscy na nią patrzą. Oczy, pełne światła, w jasnym słońcu miały kolor herbaty, policzki zarumieniły się od szybkiego marszu po schodach, wargi rozchyliły z podniecenia.

- Spytał mnie, czy potrafiłbym zbudować szybki jacht, a ja odparłem, że tak. Poprosił, żebym zrobił rysunki, a potem powiedział, że pomyśli o tym.

- To wszystko? - Podniecenie Lorny opadło, a po chwili zamieniło się w gniew. Och, jakież on jest uparty!

Machnęła w powietrzu zaciśniętą pięścią.

- Próbowałeś go przekonać?

- Starałem się. Nie mogłem przecieżyć się z nim bić.

- Nikt nie może. Mój ojciec nie ruszy się ani o krok, jeśli tak postanowi. - Lorna westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Ach.

W kuchni zapadła niezręczna cisza. Żadna z pomocnic nie wiedziała, jak zachować się w obecności kogoś z państwa.

Pani Schmitt powiedziała:

- Popijamy herbatę miętową, panienko, i jemy ciasto. Ma panienka ochotę?

Lorna zerknęła na stół.

- Och, tak, z przyjemnością.

-Ruby, przynieś szklanekę, a ty, Coleen, więcej mięty. Glynnis, podaj tacę. Harken, daj trochę lodu dla panienki.

Wszyscy zaczęli się krzątać, wykonując polecenia kucharki. Lorna została przy stole sama. Glynnis poszła do pokoju kredensowego i wróciła z talerzem ze złożonymi brzegami i ze srebrną tacą. Druga pomocnica kucharki, Coleen, umyła miętę i ubiła ją w móżdżerzu. Jens wziął szpi-

kuleć do lodu i machnął nim w powietrzu. Ten widok przyciągnął uwagę Lorny. Kawalki lodu rozprysły się jak diamenty i rozsypały po podłodze. Ruby podsunęła szklankę i z palców Harkena zsunął się do niej kawałek lodu. Pani Schmitt ustawiała to wszystko na tacy, kiedy zauważyła, że Lorna nadal stoi przy stole i czeka.

- Poślę Ernestynę z tacą do pokoju panienki; albo na werandę, jeśli panienka woli.

Lorna spojrzała na Harkena, potem na stół i spytała:

- Czy mogłabym zjeść tutaj?

- Tutaj, panienko?

- Tak. Zdaje się, że wy tutaj jecie. Mogłabym zjeść z wami?

Pani Schmitt odparła, starając się ukryć zdziwienie:

- Jeśli panienka chce, proszę bardzo. Lorna usiadła.

Pani Schmitt postawiła tacę, wszystko, co na niej było -talerzyk ze złożonymi brzegami, srebrny widelczyk, łyżeczkę z długą rączką, kryształową szklankę - na zniszczonym blacie stołu, na którym stała zastawa używana przez personel kuchenny: ciężkie białe talerze, zwykłe szklanki i ciężkie widelce, wbite w nie dojedzone kawalki ciasta. Na środku stołu stała miska ze słoniną, obok niej miska z solą, garnek pełen noży kuchennych, mosiężny pojemnik pełen sznurków do wiązania jarzyn i miska ogórków, które trzeba będzie obrać na kolację. W kuchni zapadła cisza.

Ruby z wahaniem postawiła na stole dzbanek z herbatą i cofnęła się.

Lorna uniosła widelczyk. Wszyscy przyglądali się jej, ale nikt nie śmiał podejść do krzesła. Odkroiła kawałek ciasta i zamarła bez ruchu. Była tak zawstydzona, jak chyba nigdy w życiu. Podniosła wzrok i posłała Harkenowi błagalne spojrzenie.

- Dobrze! - Jens nagle ożył, klasnął w ręce i zatarł dłonie. - Ja też chętnie zjem jeszcze jeden kawałek ciasta, pani Schmitt. Napiję się też herbaty.

Wyciągnął stołek, usiadł obok Lorny i sięgnął po dzbanek, żeby nalać sobie herbaty.

- Czas na kawałek ciasta - odparła kucharka i wszyscy poszli w ślady Harkena. Ruby przyniosła herbatę i spytała Harkena:

- Chcesz lodu?

- Nie, dziękuję.

Jens napełnił wszystkie szklanki po tej stronie stołu, po której usiadł i podał dzbanek innym. Wkrótce wszyscy znów siedzieli na swoich miejscach i rozmawiali.

- Jak się czuje ojciec Chestera? Czy ktoś ma jakieś wiadomości?

- Trochę lepiej. Chester mówi, że wraca mu apetyt.

- A pani matka, pani Schmitt? Zdaje się, że zamierza pani spędzić z nią niedzielę?

Na rozmowie i jedzeniu ciasta upłynęło dziesięć miłych minut. Lorna siedziała obok Harkena, obserwując każdy jego ruch, kiedy pochłaniał wielki kawał ciasta. Zjadłszy, Jens podwinął rękawy koszuli, oparł się łokciami o stół i cicho beknął w zwiniętą dłoń. Żartował z Glynnis, która podobno złowiła wielkiego samogłowa. Odchylając się nieco, żeby obdarować uśmiechem Ruby, która napełniała jego szklankę, przypadkowo trącił Lornę w ramię. Spytał panią Schmitt, kiedy znów zrobi pieczeń z kluskami. W odpowiedzi kucharka zaczęła żartować z uwielbianego ryby Norwega, który prosi o ciężką, niemiecką potrawę. Wszyscy śmiali się serdecznie. Kiedy żartował z panią Schmitt, jego kolano niechcący dotknęło pod stołem kolana Lorny.

- Przepraszam - powiedział spokojnie i odsunął się. Chwilę później pani Schmitt spojrzała na zegar.

- Trzeba namoczyć ogórki, umyć karczochy, pociąć ziemniaki. Czas leci.

Wszyscy wstali. Lorna powiedziała:

- Serdecznie dziękuję za ciasto i herbatę. Były wyśmienite.

- Gorąco zapraszam, kiedy tylko panienka będzie miała ochotę.

Ponownie wszelki ruch w kuchni ustał. Nikt nie wiedział, jak się zachować, kiedy pani Schmitt nakazała zabrać się do pracy w obecności panienki. Lorna uśmiechnęła się do kucharki, krótkim uśmiechem obdarzyła pozostałych i ruszyła w stronę drzwi, prowadzących na schody dla służby. Jens otworzył jej drzwi. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy, kiedy wychodziła.

- Do widzenia, panienko.

- Dziękuję, Harken.

Kiedy zamknął za nią drzwi, wszyscy byli zajęci pracą, z wyjątkiem Ruby, która przyglądała mu się z dezaprobatą. Kiedy przechodził obok niej, szepnęła:

- Dlaczego nie spytała ojca o to, co ci powiedział? To byłoby o wiele rozsądniej sze, niż przybieganie tutaj i wypytywanie ciebie.

- Pilnuj swoich spraw, Ruby - odparł Jens i poszedł po karczochy, czekające na wózku przy tylnym wejściu.

* * *

W następny weekend odbyły się regaty członków White Bear Yacht Club. Wzięły w nich udział dwadzieścia dwa żaglowce. Gideon Barnett włożył klubowy niebieski sweter i osobiście doprowadził „Tartara” na metę, zajmując drugie miejsce.

Potem, w siedzibie klubu, siedząc nad szklaneczką rumu, narzekał przed Timem Iversenem:

- Przegrałem sto dolarów na rzecz Percy'ego Tuftsa. Tim zapalił fajkę i oznajmił:

- Przecież znasz wyjście.

- Nie myśl, że już zapomniałem o tej sprawie - odparł Gideon.

Rozmyślał nad nią do następnego wieczoru. Potem postanowił porozmawiać z Levinią. Znajdowali się w sypialni, przygotowani do snu. Gideon stał przed zimnym komin-

kiem, ubrany w krótkie spodenki i koszulę. Palił ostatnie cygaro. Bardzo zaskoczył żonę, kiedy oznajmił:

- Levinio, będziesz musiała postarać się o nowego pomocnika dla kucharki. Zlecę Harkenowi zbudowanie jachtu.
- To wykluczone, jeśli pani Schmitt znów zagrozi odejściem.
- Nie zagrozi.
- Skąd wiesz?

Levinia wdrapała się na materac i ułożyła na poduszkach.

- To czasowa zmiana. Zajmie mu to trzy, najwyżej cztery miesiące; potem wróci do kuchni, na swoje miejsce.

Zamierzam porozmawiać z nim z samego rana.

- Och, Gideonie, to duży kłopot.
- Będziesz musiała się tym zająć.

Gideon zdusił cygaro w popielniczce i położył się.

Levinia zastanawiała się przez chwilę, czy próbować dalszego oporu, ale obawiała się, że może powtórzyć się to, co miało miejsce ostatnio, kiedy sprzeciwiła się mężowi. Przełknęła więc złą nowinę i pogodziła z faktem, że będzie musiała poświęcić nieco swego czasu na znalezienie zastępcy Harkena.

Następnego ranka, około dziewiątej, Jens Harken ponownie został wezwany do gabinetu Gideona Barnetta. Tym razem pokój był pełen miękkiego, słonecznego światła. Jednak Barnett, skrupowany w trzyczęściowym garniturze, z wiszącym na brzuchu złotym łańcuszkiem od zegarka, wyglądał tak samo gburowato i srogo jak zwykle.

- Zgoda, Harken, daję ci trzy miesiące. Masz mi zbudować jacht, który pobije przeklętych tragarzy worków z piaskiem z Minnetonka i wszystkich innych, zrozumiałeś?

Harken z trudem ukrył uśmiech.

- Tak, proszę pana.
- Kiedy skończysz, wracasz do kuchni.
- Oczywiście.

- Powiedz pani Schmitt, że nie zabieram cię na zawsze. Nie chcę żadnych awantur z jej strony.
 - Tak, proszę pana.
 - Możesz urządzić sobie warsztat w szopie za szklarnią. Powiadomię Matthew Lawlessa, że daję ci *carte blanche* na zakup wszelkich narzędzi, jakie będą potrzebne. Wsiadaj do pociągu i jedź do Saint Paul natychmiast, skoro tylko załatwisz wszystko w kuchni. Steffens odwiezie cię na stację. Sklepy żelazne są na ulicy Fourth i Wabasha. Jeśli chodzi o drewno, to również dostajesz *carte blanche* w mieście, u Tahyersa. Wiesz, gdzie to jest?
 - Tak, proszę pana. Jeśli to panu nie przeszkadza, część drewna chciałbym kupić za własne pieniądze; chodzi o to, które będzie potrzebne do wykonania szablonu.
- Barnett wylądał na zaskoczonego.
- Dlaczego?
 - Chciałbym zatrzymać szablon dla siebie.
 - Zatrzymać?
 - Tak, proszę pana. Mam nadzieję, że kiedyś zbuduję własną łódź i mógłbym użyć tego samego szablonu.
 - Dobrze. Jeśli chodzi o narzędzia potrzebne do sporządzenia rysunków...
 - Mam wszystko, co mi będzie potrzebne, proszę pana.
 - Dobrze. - Barnett przybrał najsurowszą z min i wyprostował się. - Od tej chwili podlegasz bezpośrednio mnie, rozumiesz?
 - Tak, proszę pana. Czy w stosownym czasie będę mógł wynająć kogoś do pomocy?
 - Tak, ale tylko na kilka tygodni, kiedy będzie to absolutnie konieczne.
 - Rozumiem.
 - Możesz jeść razem z personelem kuchennym, jak dotąd. Oczekuję, że będziesz pracował nie mniej niż dotąd.
 - Również w niedzielę, proszę pana? Barnetta dotknęło to pytanie, ale odparł:
 - Zgoda, niedziele masz wolne.

- Jeśli chodzi o wyjazd do miasta, proszę pana, to wolałbym najpierw rzucić okiem na szopę, jeśli można.
- Powiedz Steffensowi, kiedy będzie ci potrzebny.
- Dobrze. Co z biletem na pociąg, proszę pana? Barnett zacisnął usta. Dolna warga, przysłonięta wąsami, drżała.
- Nie przestajesz naciskać, aż człowiekowi trudno się powstrzymać, żeby nie wyrzucić cię za drzwi, Harken.
Ostrzegam cię, kuchciku - pogroził mu cygarem - nie próbuj posuwać się zbyt daleko, bo wylądujesz na ulicy. Potem z kieszeni kamizelki wyjął monetę i rzucił ją na biurko.

- Masz na pociąg i wynoś się.

Harken wziął pięćdziesięciocentówkę i pomyślał, że musiałby stracić rozum, żeby płacić z własnej kieszeni, by ten bogaty człowiek był jeszcze bogatszy. Miał własne plany i do ich realizacji będzie potrzebował każdej pięćdziesięciocentówki, jaką uda mu się oszczędzić, nie zamierza bowiem spędzić w kuchni całego życia. Co więcej, zdążył już poznać swojego pracodawcę: był to człowiek zajmujący wysoką pozycję i pragnący podziwu znajomych, obawiał się więc plotkującej służby. Gideonowi przyniosłoby ujmę, gdyby rozeszła się wiadomość, że każe swoim pracownikom jeździć koleją na ich koszt.

Bez śladu zażenowania Harken włożył srebrną monetę do kieszeni.

- Dziękuję panu - powiedział i wyszedł.

W kuchni nowinę przyjęto z radością i smutkiem jednocześnie. Coleen, drobna Irlandka, żartowała:

- Ooo! Zaczynamy ocierać się o szlachetnie urodzonych, budować dla nich zabawki?

Pani Schmitt zawodziła:

- Trzy miesiące! Co oni sobie myślą? Gdzie ja znajdę dobrego pracownika na trzy miesiące? Wszystko będę musiała robić sama.

Ruby na boku dogadywała:

- Najpierw wpuścili go do gabinetu, teraz pozwalają

włóczyć się po ogrodzie. Uważaj, Jens, bo nie jesteś z ich sfery, a ona dobrze o tym wie. Zastanów się nad tym, dlaczego robi do ciebie słodkie oczy.

- Masz przywidzenia, Ruby - odparł.

* * *

Czuł się jak nowo narodzony, kiedy w słoneczny dzień wyszedł do ogródka, w którym rosły zioła. Boże, czy zioła pachniały kiedyś równie mocno? Czy słońce zawsze było tak oślepiające?

Znow będzie budował statki!

Obszedł ogród kwiatowy, do którego służba nie miała wstępu, a potem ten, w którym hodowano kwiaty cięte; tam pachniało petuniami. Za ogrodami znajdowała się szklarnia, w której zimą rosły owoce i jarzyny, a latem sadzonki. Za szklarnią szpaler topoli osłaniał zadbane warzywnik. Przechodząc tamtędy, Harken zauważył w oddali ogrodnika w słomianym kapeluszu, pracującego między dwoma rzędami trawy wyższej od człowieka. Smythe był zgorzkniałym staruszkiem, ale Harken miał tak dobry humor, że bez namysłu zawołał:

- Witaj, Smythe. Jak się mają twoje porzeczki? Smythe odwrócił się i lekko uśmiechnął. Harken podszedł i zatrzymał się, żeby chwilę porozmawiać.

- Ach, to ty... Porzeczki? Owocują.

Harken gotów był się założyć, że Smythe nigdy w życiu nie uśmiechnął się od ucha do ucha. Angielskie maniere nie pozwalały na to. Ogrodnik miał pociągłą twarz, opadające powieki, a nos długi i nierówny jak korzeń chrzanu.

- Mam nadzieję, że w połowie tygodnia będę mógł jej dać kilka litrów.

Personel kuchenny dobrze znał czarne porzeczki Smythe[^] i upodobanie pani domu do tych owoców. Smythe wymyślił sposób na opóźnianie ich dojrzewania. Przykrywał owoce kwitnącą trawą i zdejmował ją dopiero wtedy, kiedy

Levinia zapragnęła porzeczek. Dzięki temu krzaki owocowały przez dwa miesiące.

- Mogę jedną zjeść? - Harken zerwał ciemną porzeczkę i wrzucił ją do ust, zanim Smythe zdążył odpowiedzieć.

-Mmmm... pyszne. Tak, zna się pan na swojej pracy.

- Panie Harken! Wie pan, że te porzeczeki nie są przeznaczone dla personelu kuchennego. Pani bardzo wyraźnie to zaznaczyła.

- Och, przepraszam - odparł lekko Harken - ale chwilowo nie pracuję w kuchni. Idę właśnie do tej szopy wśród drzew, żeby zbudować nową łódź dla pana. Tego lata często będę tędy przechodził.

Odwrócił się. Odchodząc rzucił jeszcze przez ramię:

- Dziękuję za porzeczeki, Smythe.

W radosnym nastroju szedł wśród rzędów przedziwnych warzyw. Były tam brokuły, pory, francuska pnąca fasolka, olbrzymie karczochy, przypominające selery wielkości człowieka. Mijał też jarzyny bardziej pospolite: ziemniaki, rzepę, marchew, szpinak. Szpinaku mył, jak mu się wydawało, całe sterty. „Trzy miesiące - pomyślał. - Przez trzy miesiące nie będę musiał myć tego świństwa! Jeśli jacht okaże się tak szybki, jak myślę, może już nigdy do tego nie wrócę!”

Minał drzewa owocowe, krzaki leszczyny i pole truskawek, pełne skrzydlatych rabusiów. Zebrał sobie garść owoców i jedząc je minął szpaler topoli, żeby wejść w chłód lasu.

Drewniana szopa najwyraźniej nigdy nie była malowana. Wypaczone drzwi skrzypnęły, kiedy wchodził do środka. Zobaczył podłogę z surowych desek, dwa brudne okna na przeciwległych ścianach, rozpadającą się przecinarkę z zerwanym postronkiem, kilka worków kiełkujących ziemniaków, zardzewiałą żelazną ławkę ogrodową, stosy gazet, jakieś beczki, kosze i mnóstwo odpadków, świadczących o tym, że w szopie mieszkają myszy i wiewiórki.

Dla Jensa Harkena był to jednak prawdziwy raj. Panował tu chłód, pachniało ziemią, nie było zlewu, pojemni-

ków z lodem, parujących czajników ani wyniosłych gospodyń, wydających polecenia. Nie było pani, wysyłającej swoje monety do mycia, żeby jej palce nie musiały dotykać brudu pozostawionego przez prostaków. Nie było chrzantu, piekącego w oczy podczas ucierania, ani kaczek do skubania, miedzi do polerowania, królików do obdzierania ze skóry.

Przez trzy miesiące będzie mógł pracować nad tym, co lubi najbardziej, a jedynymi towarzyszami będą mu zwierzęta i ptaki ćwierkające na drzewach.

Przyjrzał się krokwiom, badając, które są wystarczająco zdrowe, żeby można zawiesić na nich kółko podnośnika. Wybrał miejsce, w którym rurę pieca wystawi za ścianę. Jest co prawda jeszcze czerwiec, ale pod koniec września będzie potrzebne ogrzewanie. Niezależnie od tego, czy uda mu się skończyć pracę w ciągu trzech miesięcy, czy nie, śnieg spadnie wcześniej.

Sprawdził okna; po kilku zdecydowanych pchnięciach udało się je otworzyć. Do środka wpadł wiatr, przynosząc ze sobą zapach lasu. Jens wyobraził sobie, jak ten powiew napina żagle, jego żagle, na jego lśniącej piękności bez balastu, wyobraził sobie, jak łódź sunie do przodu, lekko muskając wodę, prawie nie pozostawiając śladu. Palce go swędziały na myśl o gładkiej powierzchni desek i o wysokim świerku, z którego zrobi maszt. Tęsknił za zapachem jasnego dębu, miękącego w zbiorniku z parą, za odgłosem młotka przybijającego wręgi do ramy, za dumą, jaką poczuje, gdy wytwór jego wyobraźni przybierze realne kształty.

Stał z rękami zgiętymi w łokciach, opuszkami palców dotykając parapetu znajdującego się na wysokości ramion i przyglądał się zielonym drzewom, białej gołębicy i wiewiórkom. Potem trzasnął obiema dłońmi w parapet i powiedział z przekonaniem:

- Zobaczcie. Wszyscy zobaczcie.

Rozdział 6

Wyprawa do miasta przyprawiła go o zawrót głowy, dała poczucie wolności.

Wezwał Steffensa i powóz, zajął w nim miejsce zarezerwowane dla uprzywilejowanych i poprzysiągł sobie, że pewnego dnia będzie miał własny pojazd i gniadosza. Kiedy wsiadał do pociągu na stacji w White Bear Beach, cieszył się myślą, że normalnie o tej porze pomagałby w kuchni przygotować lekki obiad. Wsiadając trzydzieści minut później na ruchliwym dworcu w Saint Paul i wędrując do sklepu Lawlessa z artykułami metalowymi zrozumiał, że Gideon Barnett, chociaż skąpy, dał mu szansę, na jaką czekał i że teraz tylko od niego, Jensa Harkena, zależy, czy dobrze ją wykorzysta.

Wybrał najlepsze narzędzia, od ostrzałki do ołówków poczynając, a kończąc na silniku do napędzania piły. Kiedy już ustalono termin dostarczenia zamówionych towarów, przez godzinę spacerował po ulicach. Oparł się nęcącemu zapachowi dobrze przyprawionej polskiej kiełbasy, rozchodzącemu się z wózka ulicznego sprzedawcy i zaoszczędził pięć centów, zadowolając się zabraną z domu kanapką z zimną wołowiną. Zaglądał do okien, przypatrywał się pojazdom na ulicach i podziwiał pojawiające się co jakiś czas jedwabne turniury. Miasto podniecało go, ale kiedy wsiadł do pociągu, by wrócić do White Bear Lake, nadzieja związana z tym, co może przynieść przyszłość sprawiła, że wspomnienia uroków Saint Paul zbladły.

W White Bear prosto ze stacji udał się do składu drewna i zamówił wszystko, co mogło mu być potrzebne do czasu ukończenia rysunków. Potem poszedł nad jezioro. W środku tygodnia żagli na nim było niewiele, ale ich widok i tak sprawił mu przyjemność.

W Rose Point przebrał się w ubranie robocze, zabrał wszystko, co było mu potrzebne do zrobienia porządków i poszedł przemienić szopę w warsztat.

Kiedy szeroko otworzył podwójne drzwi i wkroczył do chłodnego wnętrza, znów poczuł to samo uniesienie, którego doświadczył rano; pewność, że dokona tu czegoś ważnego. Wyniósł spleśniałe ziemniaki i gazety, spalił śmieci, a to, czego nie spalił, zgromadził w jednym kącie. Wymiótł mysie gniazda i żołądź i zabrał się za mycie okien. Stał właśnie na beczce i czyścił szyby, kiedy od drzwi dobiegł go pełen nagany głos Lorny Barnett.

- Harken, gdzie się podziewałeś?

Stała z rękami na biodrach; w świetle słońca, sączącym się między gałęziami, widać było tylko jej sylwetkę.

Szczegóły niknęły w cieniu. Rękawy wydawały się wielkie jak poduszki, a spódnica z krótkim trenem kształtem przypominała dzwon. Harken widział różową obwódkę wokół ubrania Lorny, włosy upięte w kok i nic więcej.

- Pani ojciec posłał mnie do miasta, panienko.

- i nic mi o tym nie powiedział. Zanim wstałam, już go nie było w domu; nikt nie wiedział, gdzie ty się podziewałeś.

Będziesz budował swoją łódź, prawda?

- Tak, panienko.

Lorna uniosła pięści w geście triumfu.

- *Eureka!*

Harken zaśmiał się i zeskoczył z beczki. Wrzucił mokrą szmatę do wiadra z wodą, a drugą, którą wycierał szyby do sucha, przewiesił przez ramię.

- Sam miałem ochotę to zrobić, kiedy mi o tym powiedział. Lorna weszła do środka, zamiatając spódnicą brudną podłogę.

- Będiesz pracował tutaj?

Stała kilkanaście centymetrów od Harkena; teraz mógł dokładnie widzieć jej piękną twarz.

- Tak. Mogę kupić wszystko, czego potrzebuję, w sklepie metalowym Lawlessa i w składzie drewna u Thayera.

Pojechałem do miasta, żeby zamówić narzędzia. Panno Barnett - spojrzał w dół, na podłogę - pobrudzi sobie panienka spódnicę. Wprawdzie zamiotłem tu, ale czysto nie jest.

Dziewczyna uniosła brzeg spódnicy i otrzepała go.

- Och, nie szkodzi!

Kiedy opuściła spódnicę, z podłogi podniósł się kurz i roz-szedł zapach kwiatów pomarańczy.

- Sama nie wiem, dlaczego nadal noszę te beznadziejne spódnice z trenami. Pan Gibson twierdzi, że wyszły z mody.

- Kim jest pan Gibson? Lorna zrobiła udręczoną minę.

- Och, proszę cię, Harken, przecież nie przyszedłem tutaj rozmawiać o długości spódnic. Powiedz mi, co jeszcze mówił papa?

Lorna była uroczym stworzeniem, ale Jens odsunął się na przyzwoitą odległość.

- Powiedział, że daje mi trzy miesiące na zbudowanie łodzi i że potem mam wrócić do kuchni.

Lorna przysunęła się bliżej.

- Co jeszcze? -Nic.

- Och, Harken, to przecież niemożliwe!

- No... - Pomyślał chwilę, po czym dodał: - Powiedział, żebym uprzedził panią Schmitt, że zabiera mnie z kuchni tylko na określony czas i że nie chce mieć więcej awantur.

Lorna zaśmiała się.

Miała na sobie suknię w różowo-białe paski, z wysokim kołnierzem i mankietami z białej koronki. Dopasowany stanik w talii zbiegał się w jednym punkcie nieco poniżej pasa, co nadawało figurze dziewczyny krągłości dojrzałego owocu. Ilekroć Harken się odsuwał, Lorna podchodziła bli-

zej. W końcu przestał *się* cofać; gdyby wyciągnął rękę, mógłby jej dotknąć.

- Czy wolno mi o coś spytać, panienko?

- Ależ oczywiście.

- Dlaczego nie pójdzie panienka z tymi pytaniami do ojca?

- Ba! - Lorna machnęła ręką. - Odpowiedziałby takim tonem, jakby kazał wyrzucić zepsute jedzenie. Zniszczyłby mi całą radość. On nadal gniewa się na ciebie.

- Zauważyłem.

- Poza tym, lubię ciebie.

Harken zaśmiał się nerwowo, spojrział na podłogę, potem na Lornę.

- Czy zawsze jest pani taka szczerą?

- Nie - odparła. - Dużo czasu spędzam z Taylorem DuVal. Znasz Taylora? Nie, nie sędzę. W każdym razie można powiedzieć, że zalecamy się do siebie, ale nigdy mu nie powiedziałam, że go lubię.

- Ale lubi go pani?

Lorna zastanawiała się chwilę.

- Na swój sposób. Ale Taylor nie ma w sobie wiary takiej, jaką na przykład masz ty. Pochodzi z rodziny młynarzy. To nudny temat: zbiory pszenicy, spodziewane ceny na rynku, dostawcy bawełnianych worków. Oczywiście, kiedy już jesteśmy razem, rozmawiamy też o wielu innych sprawach, ale zwykle są to te same tematy: moja rodzina, jego rodzina, tańce w klubie, tańce w Ramley Pavilion.

- Czy on bierze udział w regatach?

- Jego rodzina. „Kite” należy do nich.

- Widziałem go, jest ciężki.

W oczach Lorny pojawiły się figlarne ogniki.

- Wszystkie łodzie okażą się ciężkie w porównaniu z tą, którą ty zbudujesz?

Stali tak przez chwilę, uśmiechając się do siebie, wyobrażając sobie, jak może wyglądać nowa łódź, pierwszy raz spuszczone na wodę. Przez jedną lekkomyślną chwilę za-

stanowili się nad tym, co jeszcze mogłoby się w tym czasie wydarzyć.

Lorna Barnett była najbardziej uroczym stworzeniem, jakie Harken spotkał w swoim życiu. Zdecydował się zaufać jej.

- Czy mogę coś panience powiedzieć?

- Wszystko.

- Kiedy ta łódź popłynie, moja noga nie postanie więcej w kuchni.

- Doskonale, Harken. Mnie też się wydaje, że to nie jest miejsce dla ciebie.

Stali tak blisko siebie, że Lorna widziała zdecydowanie w jego oczach, a Jens - wsparcie w jej; tak blisko, że on czuł woń jej perfum, a ona zapach octu ze szmaty, którą on zarzucił sobie na ramię; tak blisko, że oboje uświadomili sobie, jak bardzo jest to niestosowne, ale zignorowali tę myśl.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

- Chcę mieć własną stocznię.

- Skąd weźmiesz pieniądze?

- Oszczędzam. Chcę ściągnąć z New Jersey brata.

- Tęsknisz za nim?

- Nie mam innej rodziny.

- Pisujesz do niego?

- Prawie co tydzień, a on zawsze odpowiada. Lorna uśmiechnęła się.

- W tym tygodniu będziesz miał o czym pisać, co, Harken?

On również się uśmiechnął. Przez chwilę cieszyli się swoim zwycięstwem i tym, że są razem. Las stał cichy, nawet ptaki nie świergotały, tylko w drugim końcu szopy bzy-czała mucha. Zielonkawe światło rzucało na podłogę i jedną ze ścian cienie w kształcie liści, dzięki czemu deski i bale wyglądały jak pokryte koronkowymi deseniami.

Milczenie i przyglądanie się wzajemne trwały już zbyt długo, Jens odezwał się więc spokojnym głosem:

- Nie sędzę, żeby ojciec panienki pochwalał tę wizytę.

- Ojciec pojechał do miasta. Matka drzemie z lodem na czole. Zresztą, zawsze byłam trudnym dzieckiem i oni o tym wiedzą. Muszę przyznać, że wychowanie mnie nie było łatwym zadaniem.

- Dlaczego wcale mnie to nie dziwi?

Lorna uśmiechnęła się w odpowiedzi. Znów zapadła cisza; żadne z nich nie wiedziało, jak ją zapełnić. Dziewczyna spojrzała na swoje dłonie.

- Chyba powinnam już iść. Musisz wracać do pracy.

- Ja też tak sądzę.

- Najpierw jednak muszę ci coś powiedzieć. Chodzi mi o to, co było wczoraj.

- Wczoraj?

- Kiedy zeszłam do kuchni i jadłam z wami ciasto. Zbyt późno zrozumiałam, że stawiam wszystkich w niezręcznej sytuacji. Chciałam ci podziękować, Harken, za wyrozumiałość.

- Bzdury, panienko. Ma panienka prawo tam przebywać. -Nie.

Koniuszkami czterech palców Lorna dotknęła nagiej skóry tuż powyżej dłoni Jensa. Trwało to tylko moment; uświadomiwszy sobie swój kolejny błąd, Lorna szybko cofnęła dłoń i zacisnęła ją w pięść.

- Mówiłam, że jestem trudna. Czasem zrobię coś, czego później żałuję. Kiedy pani Schmitt postawiła przede mną srebrną tacę z ciastem, ze srebrnymi sztuczkami i serwetką z najlepszego lnu... Oddałabym wszystko, żeby znaleźć się wtedy gdzie indziej. Dostrzegłeś to i zrobiłeś, co mogłeś, żebyśmy nie musiały się wstydzić. Po prostu nie pomyślałam, Harken. W każdym razie dziękuję za szybką reakcję.

Mógł upierać się, że to nieprawda, ale oboje wiedzieli, jak było.

- Drobiazg, panienko - odparł. - Muszę przyznać, że trochę łatwiej rozmawiać mi z panienką tutaj, gdzie nie ma tamtych. One... - przerwał nagle, jakby pożałował, że w ogóle zaczął to zdanie.

- One co?
- Nic, panienko.
- Oczywiście, że coś. One co?
- Panienko, proszę. Znow dotknęła jego ręki.
- Harken, bądź szczery. Co one?

Jens westchnął; zrozumiał, że nie wykręci się sianem.

- Czasem źle interpretują zamiary panienki.
- Co mówiły o moich zamiarach?
- Nic konkretnego.

Zaczerwienił się, odwrócił spojrzenie i zaczął szarpać ścierkę, zawieszoną na ramieniu.

- Nie jesteś szczery.

Kiedy spojrzenie Harkena zwróciło się ku Lornie, był w nim wyraz wystudiowanej uległości dobrze wyszkolonego służącego.

- Zechce mi panienka wybaczyć, ale pan Barnett wyznaczył mi krótki termin i muszę wracać do pracy.

Już dawno Lornie nie zdarzyło się wpaść w złość tak wielką i tak szybko.

- Jesteś taki sam jak on! - krzyknęła. - Mężczyźni potrafią doprowadzać mnie do szału! Mogę cię zmusić, żebyś mi powiedział, wiesz? Praktycznie jesteś moim pracownikiem!

To niespodziewane wielkopańskie zachowanie tak onieśmieliło Jensa, że stał bez ruchu i bez słowa. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie, potem rozczarowanie.

- Tak, wiem.

Odwrócił się, żeby nie zobaczyła rumieńców, które pojawiły się na jego policzkach. Wyjął z wiadra ścierkę, wykręci ją, po czym bez słowa wszedł na beczkę.

Złość opuściła Lornę równie szybko, jak ją opanowała. Była przerażona swoim bezmyślnym wybuchem. Podeszła do pracującego Harkena i spojrzała na niego.

- Och, Harken, nie chciałam.
- Nie szkodzi, panienko.

Lorna podeszła jeszcze bliżej.

- Nieprawda. To... tak jakoś wyszło... proszę... Wyciągnęła dłoń, jakby chciała dotknąć jego nogi, ale cofnęła ją szybko.

- Proszę, wybacz mi.

- Nie ma potrzeby wybaczać. Panienska miała rację. Nie spojrział na nią i nie przerwał pracy.

- Harken?

Nie chciał słyszeć prośby w jej głosie. Zawzięcie pracował.

Lorna czekała, ale jego uraza była oczywista, a bariera między nimi stawała się tak namacalna, jak drewniane ściany szopy. Lorna nie wiedziała, jak naprawić wyrządzoną szkodę.

- W takim razie - powiedziała żalonym głosem - dam ci już spokój. Przepraszam, Harken.

Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, kiedy wyszła. Wyksztąpił się w nim jakiś zmysł ostrzegający, kiedy dziewczyna zjawiała się w pobliżu. W ciszy, która nastąpiła po jej wyjściu, emocje ucichły; Harken stał na drewnianej beczce, opierając się o ramę okna, ze zwisającą szmatą w rękę. Odwrócił głowę i spojrział przez lewe ramię na rozświetloną smugę kurzu, wzbitego przez jej halki. Potem znów popatrzył na gałęzie i zielone liście.

Westchnął ciężko i zszedł z beczki. A więc i ona jest taka sama, jak jej rodzice: arystokratka. Nie powinien o tym zapominać. Może Ruby miała rację: Lorna Barnett jest tylko znudzona, bogatą dziewczyną, zabawiającą się pomocnikiem kucharki.

Jens z rozmachem cisnął szmatę do wiadra, rozchlapując brudną wodę na podłogę. Potem z całej siły kopnął wiadro. Do końca dnia był zdenerwowany i niezadowolony. Wieczorem poszedł z Ruby na spacer i pocałował ją w ogródku z ziołami, przed drzwiami kuchni. Miał przy tym wrażenie, że całuje małego cocker spaniela, niezgrabnego i trudnego do opanowania.

Później, już w łóżku, myślał o Lornie Barnett. Ta cholerna kobieta powinna trzymać się z dala od jego szopy!

* * *

Lorna zrobiła to: przez trzy dni trzymała się z dala. Czwartego dnia nie wytrzymała.

Dochodziła trzecia po południu. Jens pracował przy stole, skleconym z desek i kozłów do cięcia drewna. Na sztywnym, pakowym papierze rysował długą, wygiętą linię.

Skończył pracę i odchylił się, żeby obejrzeć owoc swoich wysiłków, i wtedy poczuł na sobie jej spojrzenie. Zerknął za siebie i zobaczył ją: stała w drzwiach, nieruchoma jak posąg, w niebieskiej bluzce z obszernymi rękawami i z rękami założonymi do tyłu. Serce mu podskoczyło do gardła.

- No tak - powiedział.

Lorna nie poruszyła się. Ręce nadal trzymała z tyłu.

- Czy mogę wejść? - spytała pokornie.

Jens przyglądał się jej przez chwilę, w jednej ręce trzymając ołówek, w drugiej przyrząd do rysowania.

- Jak panienka chce - odparł i zabrał się do pracy. Lorna ostrożnie weszła do środka i w pozie pełnej pokory stanęła po drugiej stronie stołu.

- Harken? - odezwała się bardzo cicho. -Co?

- Nie spojrzysz na mnie?

- Skoro panienka każe.

Posłusznie podniósł wzrok. Na jej rzęsach lśniły olbrzymie łzy. Dolna warga była wydęta i drżąca.

- Bardzo, bardzo przepraszam - szepnęła. - Już nigdy tego nie zrobię.

Miły Jezu, czy ta kobieta nie wie, jak na niego działa? Stoi tu jak mała dziewczynka, z rączkami założonymi do tyłu, ze łzami wielkości winogron w czarujących oczach. Tego Jens się nie spodziewał. Serce mu zadrżało, a mięśnie napięły się. „Panno Lorno Barnett - pomyślał - jeśli panienka wie, co dla niej dobre, niech stąd czym prędzej ucieka”.

- Ja też przepraszam - odparł. - Zapomniałem się.
- Nie, nie... - Wyciągnęła rękę z za pleców i dotknęła papieru, jak jakiegoś amuletu. - To moja wina; chciałam cię zmusić, żebyś powiedział coś, czego nie chciałeś mówić. Potraktowałam cię jak kogoś gorszego.
- Miała panienka rację. Jestem tylko służącym.
- Nie. Pracujesz dla mojego ojca. Jesteś moim przyjacielem i przez trzy dni byłam nieszczęśliwa, myśląc o tym, że zniszczyłam naszą przyjaźń.

Jens nie powiedział, że i on czuł się bardzo nieszczęśliwy. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wiele wysiłku kosztowało go, żeby pozostać na swoim miejscu, z drugiej strony stołu.

Lorna odezwała się bardzo cicho, jakby mówiła do leżącego przed nią rysunku:

- Wydaje mi się, że wiem, co mówią dziewczyny w kuchni. Nietrudno zgadnąć - spojrzała na niego. - Że flirtuję z tobą, tak? Zabawiam się, grając na uczuciach pomocnika kucharki?

Jens nie odrywał spojrzenia od ołówka.

- Ruby taka jest; niech się panienka tym nie martwi.
- Ruby to ta ruda, prawda? Kiwnął głową.
- Była bardzo niezadowolona, kiedy przyszłam do kuchni. Zauważyłam to.

Harken się nie odezwał, więc spytała:

- Czy ona jest twoją dziewczyną?
- Chodziliśmy razem na spacer w wolne dni.
- A więc jest.
- Sądzę, że chciałaby być moją dziewczyną. To wszystko.
- A więc przyniosłam ci wstyd, kiedy pojawiłam się w kuchni i uparłam się, żeby zjeść tam ciasto.
- Mój ojciec zawsze mówił, że nikt nie może przynieść wstydu drugiej osobie, tylko sobie samemu. Powiedziałem już, że panienka ma prawo przebywać w kuchni i mówiłem poważnie.

Po pełnej znaczenia ciszy, kiedy Jens przyglądał się wykresowi, a Lorna Barnett Jensowi, dziewczyna oświadczyła cichym głosem:

- Nie zabawiam się tobą.

Jens podniósł oczy. Lorna stała wyprostowana, opierając palce na jego szorstkim stole. Jej piersi rysowały się tak gładko i wdzięcznie, jakby je osobiście narysował za pomocą przywiezionych z Kopenhagi narzędzi. Włosy miała zebrane do góry, a kilka loczków zwisało nad twarzą. Co za twarz... Taka szczera i piękna, i otwarta; miał ochotę ująć ją w dłonie i całować drżące usta, aż znów zaczną się uśmiechać.

Powiedział jednak spokojnie:

- Nie, panienko.

- Mam na imię Lorna. Kiedy zaczniesz używać mojego imienia?

- Już go używałem.

- Nie chodzi o panienkę Lornę. Lorna.

Mimo że dziewczyna czekała, nie chciał powtórzyć jej imienia. Ta formalność była barierą niezbędną i Jens, dla dobra własnego i Lorny, nie chciał jej przekraczać.

W końcu powiedziała:

- Czy to znaczy, że otrzymałam przebaczenie?

- Zapomnijmy o tym.

Lorna próbowała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło. Jens próbował oderwać od niej wzrok, ale i jemu nie wyszło. W milczeniu stawili czoła niemądremu, narastającemu wzajemnemu pociagowi. Harken zrozumiał, że jedno z nich musi okazać się rozsądne i pierwszy odwrócił spojrzenie.

- Chciałaby panienka zobaczyć moje rysunki?

- Bardzo.

Obeszła stół i stanęła tuż przy łokciu Jensa, przynosząc ze sobą znany mu zapach kwiatów pomarańczy i ledwo widoczny na samym krańcu jego pola widzenia obraz wy-krochmalonego niebieskiego ubrania.

- Jeszcze nie są skończone - wyjaśnił - ale można już dostrzec zarys łodzi.

Lorna sięgnęła po kawałek papieru, na którym Harken w ciągu dwudziestu minut sporządził dla jej ojca prowizoryczny szkic.

- Tak będzie wyglądała?

- Mniej więcej.

Lorna przyglądała się przez dłuższą chwilę, a potem sięgnęła po większą kartkę, z bardziej dokładnym rysunkiem, nad którym Jens aktualnie pracował. Kartka była przypięta do stołu.

- Czy zawsze rysujesz do góry nogami?

- Tak je buduję i dlatego tak rysuję.

- Budujesz do góry nogami?

- Tutaj... widzi panienka? - Pokazał na jedną z kilku linii, pionowo przecinających rysunek. - Ten kształt będzie się powtarzał mniej więcej co siedemdziesiąt centymetrów, przez całą długość łodzi. To będzie stało na nóżkach, podtrzymujących całość. Nazywamy to przekrojem albo podstawkami; jest to podstawa szablonu. Ten szablon zadecyduje o kształcie łodzi. Tak... widzi panienka?

Rysował w powietrzu obiema rękami, ale widział, że dziewczyna nie potrafi sobie tego wyobrazić.

- Trudno to zobaczyć na płaskim rysunku, ale zrobię też rzut boczny kadłuba i na nim będzie widać wszystkie sekcje. Wtedy łatwiej da się to zobaczyć.

- Ile czasu ci to zajmie?

- Dokończenie rysunków? Około półtora tygodnia.

- I potem możesz zaczynać budowę?

- Nie; wtedy mogę zacząć modelowanie.

- Co to jest modelowanie?

-Modelowanie? To jest... - przerwał, żeby pomyśleć. -To nadawanie statkowi opływowej linii.

- Co to znaczy: nadawać opływową linię?

- To znaczy dopilnować, żeby nie było żadnych wybrzuszeń, nierówności, żeby łódź była gładka i równa.

„Jak ty” - pomyślał.

- Jak owoc - powiedział. - Powierzchnia kadłuba, od

jednego dowolnie wybranego punktu do drugiego, musi być gładka. Wtedy cały statek jest gładki.

Lorna Barnett spoglądała na Jensa Harkena, na jego profil, na czarne szelki biegnące ostrym łukiem, na linię jego ramienia i ręki, opartej łokciem o stół.

„Gładki - pomyślała. - Rzeczywiście bardzo gładki”.

Miała ochotę przejechać dłonią po tej kształtnej głowie i silnych ramionach. Uznała jednak, że lepiej będzie, jeśli wyjdzie z szopy. Widziała, że przeszkadza mu w pracy.

- Lepiej, żebym dała ci spokojnie pracować. Odsunęła się od niego i przeszła na drugą stronę stołu.

- Czy mogę tu czasami przychodzić?

Harken chciał powiedzieć: „Nie, trzymaj się ode mnie z daleka”, ale nie mógł odmówić jej prawa przebywania w szopie, a siebie pozbawić przyjemności widywania jej; jednak równie mocno nie chciał spędzić reszty życia w kuchni.

- Będę czekał na panienkę - odparł.

Przychodziła często i przeszkadzała mu nie tylko wówczas, gdy była przy nim, ale także potem, kiedy już odeszła.

Przyglądała się rysunkom, zadawała pytania, przysiadła na żelaznej ławce i rozmawiała z nim, a czasem

przyglądała mu się w ciszy tak przenikliwej, że Jens odczuwał ją jak dotknięcie. Przyszła w piątek, kiedy rysunki były już prawie gotowe. Zobaczyła, jakie Jens poczynił postępy, a potem zaczęła kręcić się przy ławce. Przykryła zardzewiałe siedzenie kawałkiem papieru, usiadła, podciągnęła kolana i otoczyła je ramionami.

- Lubisz zespoły muzyczne? - spytała niespodziewanie.

- Zespoły muzyczne? Tak, lubię.

- Jutro przyjeżdża pan Sousa.

- Tak, widziałem plakaty.

- Chodzi mi o to, że będzie jutro tutaj, w Rose Point. Mama po wieczornym koncercie urządza dla niego przyjęcie i pan Sousa zostanie u nas na noc.

- A więc idzie panienska na koncert? Lorna oparła brodę na kolanach. -Aha.

- Pan DuVal też tam będzie? -Aha.

- Mam nadzieję, że będzie się panienska dobrze bawiła.

- Ty też będziesz na koncercie?

- Nie. Oszczędzam pieniądze.

- Słusznie. Żeby budować jachty.

Pozwoliła mu przez chwilę rysować, a potem zapytała:

- Kiedy zaczniesz budować łódź?

- Mniej więcej za dwa tygodnie.

- Pomogę ci.

Była wystarczająco daleko, żeby Jens mógł sobie pozwolić na przyjemność popatrzenia na nią.

- Czy zastanawiała się panienska nad tym, co będzie, jeśli kiedyś przyjdzie tu ojciec panienski i zastanie ją w szopie?

Spodziewam się, że kiedyś zechce zobaczyć, jakie czynię postępy.

- Będzie bardzo zły i skarci mnie, a ja odpowiem, że mam prawo tu przebywać; nie wyrzuci ciebie, bo bardzo chce mieć tę łódź, a tylko ty możesz mu ją zbudować.

- Najwyraźniej panienska jest tego całkiem pewna.

- A ty nie? -Nie.

Lorna zamyśliła się, oparła głowę policzkiem na kolanie i patrzyła na Jensa.

- Czy twój brat jest do ciebie podobny?

- Nie.

- Jaki jest?

- On ciężko haruje, a ja biegnę. On zostaje na wschodzie, gdzie jest bezpieczny i ma pracę, a ja przyjeżdżam tutaj, gdzie nie ma pracy. Ale on zna się na statkach.

- Tak jak ty? Martwi się o gładką linię?

Jens pokręcił tylko głową, jakby chciał powiedzieć: „Dziewczyno, nie mogę z tobą wytrzymać”.

- Czy z wyglądu jest do ciebie podobny?

- Tak mówią.

- To znaczy, że jest przystojny. Jens zarumienił się.

- Panno Barnett, wydaje mi się, że nie wypada...

- Ach, posłuchajcie go! Panno Barnett! I jakim tonem! Założę się, że teraz przyjdzie mi wysłuchać kazania.

Jens zszedł z beczki, obszedł stół, chwycił Lornę za łydki i postawił jej stopy na ziemi.

- Wstać! - polecił. - Za drzwi! Muszę dokończyć rysunki!

Lorna wstała i tyłem ruszyła w kierunku drzwi. Jens szedł za nią.

- Mogę ci pomóc? -Nie.

- Dlaczego? I tak tu będę.

- Dlatego, że ja tak powiedziałem. Teraz uciekaj; biegnij do swojego pana DuVal, tam, gdzie twoje miejsce. I więcej tu nie przychodź.

Lorna odwróciła się, wysoko uniosła głowę, i powiedziała z wielkim przekonaniem:

- Wcale tak nie myślisz - i wyszła za drzwi. Kiedy wreszcie zniknęła, Jens wziął głęboki wdech, gwałtownie wypuścił powietrze i zaczął energicznie drapać się po głowie, aż włosy stanęły mu dęba.

- Jezu - szepnął do siebie.

Lorna znów wsunęła głowę przez drzwi. -Może następnym razem przyniosę coś do jedzenia -powiedziała.

- Tylko tego brakowało! - ryknął Jens. - Niech panienka pójdzie i poprosi panią Schmitt o...

Mówił w próżnię. Poszła sobie wreszcie, pozostawiając go w ponurej szopie sfrustrowanego, z rozczochraną głową i boleśnie wzwiedzionym członkiem.

* * *

W sobotę wieczorem, na godzinę przed pierwszym uniesieniem batuty przez samego pana Johna Philippa Souse, w rodzinie Barnettów panowało wielkie podniecenie. Wszyscy, z ciotkami włącznie, szli na koncert.

Henrietta ganiła Agnes:

- Daj spokój, nie możesz pójść bez rękawiczek. To nie na miejscu.

W pokoju Theron Ernesta zrobiła chłopcu równy przedziałek i natłuszczała włosy brylantyną. Chłopiec chichotał, wiercił się i kręcił, usiłując znaleźć lunetę.

Daphne i Jenny przekomarzały się w swoim pokoju.

- Podejrzewam, że znowu będziesz robiła słodkie oczy do Taylora DuVala i zrobisz z siebie idiotkę - mówiła Daphne.

W apartamencie państwa domu Gideon przypadkiem natknął się na niekompletnie odzianą Levinę, która zasłoniła się suknią i zaczęła narzekać:

- Gideonie, mógłbyś zapukać, zanim wejdiesz!

Lorna również była w swoim pokoju; potrzebowała kogoś, kto pomógłby jej zapiąć suknię na plecach. Ponieważ Ernesta była zajęta Theronem, Lorna udała się do pokoju ciotek.

- Ciociu Agnes, zechciej mi zapiąć guziki na plecach.

- Oczywiście, kochanie. Jaka piękna suknia! Wyglądasz dzisiaj jak kwiatuszek. Czy młody pan DuVal będzie na koncercie?

- Oczywiście.

Ciotka Henrietta odezwała się z drugiego końca pokoju surowym tonem:

- Nie zapomnij naostrzyć sobie szpilek do kapelusza, Lorno.

* *

Przeplłynęli jezioro parowcem „Manitoba”, zeszli na ląd przy hotelu „Williams House” i znaleźli się w Ramley Pavillion dobre pół godziny przed rozpoczęciem koncertu. Pawi-

Ion był najbardziej imponującą budowlą spośród stojących nad jeziorem. Przypominał nieco zamek. Na rogach miał wieżyczki z kwiatonami na szczycie, a linię jego dachu urozmaicały iglice, pinakle i szczyty. Schody bez poręczy wznosiły się ku czworgu drzwi; nad nimi znajdowała się gipsowa woluta, nad którą z kolei wznosił się szczyt dachu o kształcie kapturka do gaszenia świec. Pierwsze piętro zajmował wielki pokój balowy z francuskimi oknami. Całe drugie piętro, rozświetlone wysokimi na ponad sześć metrów renesansowymi oknami, było jedną wielką salą koncertową. Mieściło się w niej dwa tysiące osób.

Barnettowie weszli do zarezerwowanej dla nich łoży. Gideon udał się za kulisy, by osobiście przywitać pana Souse. Ciotki uśmiechały się, szeptały i złożonymi wachlarzami pokazywały sobie znajome twarze. Daphne i Jenny wyglądały przez balustradę i chichotały, ilekroć jakiś młody człowiek skłonił głowę, oddając w ten sposób hołd ich urodzie. Theron, przewieszony przez balustradę, lustrował widownię przez lunetę; w pewnej chwili powiedział:

- Hura, widzę włosy w nosie tej damy!

- Theronie, odłóż to! - zganiła chłopca matka.

- Dobrze! Ale ma wielki nos. Dziurki są takie duże, jak końskie kopyta, mamó; szkoda, że tego nie widzisz!

Levinia uderzyła Theroną w wypiętą pupę. -Aj!

Chłopiec opuścił lunetę i zajął się masowaniem pośladka.

- Możesz tego używać, kiedy zaczną grać, ale nie wcześniej - rzekła surowo Levinia.

Theron opadł na krzesło i jęknął:

- Rany.

- Uważaj, co mówisz, młody człowieku.

Przyszedł Taylor DuVal, przywitał się z obecnymi w łoży, ucałował dłonie pań i spojrzał przez lunetę Theroną. Theron przysunął się do niego, zasłonił się przed matką i szepnął, pokazując palcem:

- Tam jest taka gruba dama w niebieskiej sukni. Widać jej włosy w nosie.

Taylor spojrział na nią i szepnął:

- Zdaje mi się, że ma też włosy w uszach.

Do Lorny zwrócił się ze szczególnym uśmiechem, zaglądając w jej piwne oczy:

- Spotkamy się w czasie przerwy.

Muzyka w wykonaniu orkiestry Sousy sprawiła, że Lor-na dostała gęziej skórki na ramionach.

Podczas przerwy, kiedy oboje znaleźli się w hallu, Taylor powiedział:

- Tęskniłem za tobą. -Tak?

- Oczywiście. Zamierzam wynagrodzić to sobie później, u ciebie w domu.

- Óóóó, Taylor. Ktoś mógłby usłyszeć.

- Kto miałby usłyszeć? Wszyscy są zajęci rozmową. Wziął jej rękę, położył na swojej dłoni i zaczął gładzić, jakby chciał rozprostować pogniecioną kartkę książki.

- Czy ty też za mną tęskniłaś? Nie tęskniła.

- Dama nie powinna odpowiadać na takie pytanie -stwierdziła.

Taylor zaśmiał się i ucałował koniuszki jej palców.

* * *

Na przyjęciu w Rose Point obecna była cała elita White Bear Lake. Jadalnię ozdobiono czerwonymi, białymi i niebieskimi kwiatami. Tort w kształcie werbla zdobił amerykański orzeł na tle zorzy, trzymający w szponach złote strzały. Herbata miała aromat czerwonej róży, a miniaturowe kanapki były tak wymyślne, że przypominały elegancką biżuterię. Zebrani zachowywali się bardziej hałaśliwie niż zazwyczaj. Humory wszystkim dopisywały dzięki obecności żarliwego patrioty, który zrezygnował z posady dyrygenta orkiestry marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych i za-

czął podróżować po świecie, zdobywając sławę szeroko poza granicami ojczystego kraju.

Lorna przyglądała się panu Sousie. Nosił kozią bródkę, okrągłe okulary i biały mundur z trzema medalami na piersi. Pochylał się właścicielką ciotką Agnes.

- Nie spuszczaaj oka z ciotki Henrietty - powiedział do Lorny Taylor. - Kiedy tylko Sousa się odwróci, natychmiast coś powie, żeby zepsuć ciotce Agnes całą przyjemność.

Rzeczywiście, kiedy Henrietta karciała siostrę, usta miała ściągnięte jak brzegi woreczka na pieniądze. Podniecenie Agnes szybko ostygło.

- Dlaczego niektórzy ludzie są tacy?

-Lorno, ciotka Agnes jest lekko stuknięta. Henrietta pilnuje, żeby nie przekroczyła granic przyzwoitości.

- Nie jest stuknięta!

- Ciągłe marzy o tym swoim kapitanie Dearsleyu. Sądzisz, że nie jest stuknięta?

- Kochała go. Uważam, że jej wspomnienia są pełne uroku, a ciotka Henrietta potrafi być okrutna. Powiedziałam mamie, że moim zdaniem Henrietta nienawidzi mężczyzn. Jeden z nich odtrącił ją w młodości i od tego czasu nie powiedziała o żadnym mężczyźnie jednego dobrego słowa.

- A ty?

Lorna nie odpowiadała, więc Taylor dodał:

- Wydaje mi się, że cię zdenerwowałem, Lorno. Przepraszam. Dzisiaj szczególnie zależy mi na tym, żebyś się dobrze czuła.

Stał tuż za nią; korzystając z osłony ich ciał przejechał dłonią wzdłuż jej kręgosłupa. Lorna poczuła ciarki na ramionach i zdziwienie, stali bowiem w zatłoczonym hallu; jej ojciec znajdował się metr od nich, w drzwiach saloniku, a matka w drugim końcu jadalni. Taylor pozwolił sobie na wielkie zuchwalstwo, i to pod nosem rodziców.

- Jak sądzisz, czy zaczną nas szukać, jeśli wyjdziemy na chwilę do ogrodu? - zapytał.

To dziwne, ale Lorna pomyślała w tej chwili o Harkenie. Harken, owszem, zajmował jej myśli prawie bez przerwy, ale wtedy, kiedy nie było w pobliżu Taylora.

- Chyba nie powinniśmy tego robić.

- Mam coś dla ciebie.

Obejrzała się i prawie otarła skronią o brodę Taylora. Jego oczy i usta uśmiechały się do niej; rodzice chcą, żeby wyszła za mąż za tego człowieka.

-Co?

Jego palce zdawały się liczyć zębra na jej plecach.

- Powiem ci w ogrodzie.

Panna na wydaniu nie mogła nie być wrażliwa na wszelkie niuanse zalotów, na dotyk i pochwały, na to, co zdawały się obiecywać. Lorna odwróciła się więc i skierowała ku drzwiom.

Powędrowali żwirowymi ścieżkami wśród wychwalanych róż matki, wokół pluszczącej fontanny, za klomby z kwiatami ciętymi, pełnymi wonnych chryzantem i nagietek. Kiedy Lorna stanęła pośrodku ścieżki, widoczna w świetle księżyca z wielu okien, Taylor wziął ją delikatnie za łokieć i cicho powiedział:

- Nie tutaj.

Zaprowadził ją do szklarni, gdzie było wilgotno i intymnie, a powietrze przepęniała woń czarnoziemiu. Stanęli w ozdobionym chorągiewkami przejściu między rzędami glinianych donic z sięgającymi ramion pędami czarnych porzeczek.

- Nie powinniśmy tu przychodzić, Taylorze.

- Zostawię otwarte drzwi. Gdyby nas szukali, usłyszymy ich. - Ujął ją za rękę i delikatnie przytrzymał. - Wyglądasz dzisiaj uroczo, Lorno. Czy mogę cię wreszcie pocałować?

- Och, Taylor, stawiasz mnie w trudnej sytuacji. Jak sądzisz, co powinna powiedzieć prawdziwa dama?

W odpowiedzi Taylor odwrócił jej prawą dłoń i ucałował czubki czterech palców.

- Nie musisz odpowiadać - stwierdził i położył jej dłoń

na swoich ramionach. Własne dłonie oparł na jej biodrach, pochylił głowę i zasłonił światło księżyca, wpadające przez oszklone ściany. Delikatnie musnął jej usta ciepłymi, bardzo lekko rozchylonymi wargami, ukrytymi pod gładką brodą. Pocałunek trwał krótko. Potem Taylor odsunął się i wsunął dłoń pod marynarkę, do kieszonki na zegarek. Wyjął mały, welwetowy woreczek.

- Od pewnego czasu wiem, że nasi rodzice byliby bardzo zadowoleni, gdybyś wyszła za mnie, Lorno. Ojciec rozmawiał ze mną rok temu i od tego czasu przyglądam ci się, podziwiam cię, patrzę, jak dojrzewasz. Jeśli się nie mylę, twoi rodzice byliby z tego małżeństwa zadowoleni tak samo jak moi. Dlatego przynoszę ci to... - Wytrząsnął z woreczka na otwartą dłoń połyskujący, złoty drobiazg. - Nie jest to pierścienek zaręczynowy; wydaje mi się, że na to jeszcze za wcześnie, ale praktycznie nie ma różnicy. Przyjmij to na znak, że zamierzam prosić o twoją rękę, kiedy tylko uznamy, że poznaliśmy się wystarczająco. To dla ciebie, Lorno.

Położył na jej dłoni maleńki, złoty łańcuszek, na którym wisiał delikatny, owalny zegarek.

- Jest piękny.

- Pozwól.

Co miała powiedzieć? Że ostatnio zaczęła flirtować w szopie z pomocnikiem kucharki? Że o tamtym mężczyźnie myśli

o wiele częściej niż o nim? Że próbowała nakłonić Harkena, żeby ją pocałował, ale on nie chciał?

- Och, tak... Oczywiście.

Taylor wyjął zegarek z jej dłoni i przypiął do stanika uważając, żeby nie dotknąć piersi. Jego delikatne palce na sukni muskającej piersi Lorny obudziły w dziewczynie zmysły. Skoro tylko zegarek został przypięty, dotknęła go, a potem zajrzała w ukrytą w cieniu twarz Taylora.

- Dziękuję. Jesteś bardzo miły.

Taylor ujął jej brodę między kciuk i palec wskazujący i uniósł do góry.

- Lorno, chyba wiesz, że zakochałem się w tobie.

Pocałował ją; na początku delikatnie, czekając aż jej powściągliwość ustąpi miejsca ciekawości, a później mocniej. Przygarnął ją do siebie tak, jak w jej wyobraźni robił to Harken. Ileż razy stała tak blisko Jensa, że każde spojrzenie było niczym dotyk; ileż razy pragnęła, żeby schylił się i pocałował ją w ten sposób, przytulił do siebie, odpowiedział na liczne pytania, które nie dawały jej spokoju? Nie zrobił tego. Tymczasem Taylor wsunął język do jej ust. Lewym ramieniem przytrzymał ją w talii, prawą dłonią zaś ujął wreszcie jej pierś. Nigdy żaden dotyk nie obudził w Lornie takich doznań jak ten, promieniujący w rejony odległe, jakby Taylor ujął nic uwiązaną w kilku miejscach. Nic dziwnego, że mama ją ostrzegła.

Oboje nagle przypomnieli sobie o przyzwoitości; przerwali pocałunek i stali z opuszczonymi brodami, nie odsuwając się, dopóki oddechy się nie uspokoiły.

Taylor nie przeprosił.

Lorna również nie.

Te minuty były zbyt wspaniałe, żeby przeproszać. W końcu odsunęli się od siebie; Taylor w ciemności poszukał dłoni Lorny.

Wtedy ona powiedziała:

- Taylor, musimy wracać.

- Tak, oczywiście - szepnął w odpowiedzi. - Co robisz jutro?

- Jutro? Jutro...

Zamierzała popłynąć do Tima w nadziei, że spotka tam Harkena.

-Może popływamy razem? - zaproponował Taylor. -Podpłynę i zabiorę cię z waszego pomostu o drugiej. Co ty na to? „Harken - pomyślała Lorna - jest nieosiągalny. Uparcie obstaje przy zachowaniu wymaganych form i okazuje służalczą uległość. Zresztą, gdyby nawet przełamał się, co mogłoby z tego wyniknąć? Nawet on rozumie, co jest dla nas

najlepsze; wyrzucił mnie przecież z napomnieniem, żebym uciekała do Taylora: tam, gdzie moje miejsce".

Lorna usłyszała swoją odpowiedź, stosowną do okoliczności:

- Dobrze. Mogę poprosić, żeby pani Schmitt przygotowała piknik dla dwóch osób.

Taylor uśmiechnął się:

- No to jesteśmy umówieni.

Rozdział 7

Zegarek od Taylora wzbudził poruszenie w całej rodzinie. Wszyscy uznali, że to prezent zaręczynowy, chociaż Lorna głośno protestowała. Matka uśmiechnęła się z zadowoleniem i stwierdziła:

- Powiem o tym Cecilii Tufts.

Ojciec nie narzucał już żadnych ograniczeń czasu, jaki wolno Lornie spędzać z Taylorem. Theron powiedział triumfalnie:

- A mówiłem, że Taylor i Lorna mają się ku sobie. Daphne lśniły oczy, a Jenny robiła wrażenie smutnej, kiedy zrozumiała, że utraci swojego bohatera na zawsze i nieodwołalnie. Ciotka Henrietta ostrzegła, żeby na łodzi Lorna zawsze miała przy sobie szpilki do kapelusza. Ciotka Agnes powiedziała:

- Masz szczęście. Ja nigdy nie miałam okazji pływać z kapitanem Dearsleyem.

* * *

Taylor zabrał Lornę o drugiej. Całe popołudnie spędzili na jego jednomasztowcu. Pozwalał jej trzymać ster, a czasem nawet wyciągarke, kiedy zmieniali kurs. Z Manitou Island popłynęli do zatoki Snyder's Bay, potem na wschód do Mahtomedi, później okrążyli West Point i popłynęli wzdłuż brzegu Dellwood, mijając chatę Tima. W pobliżu nie było nikogo. Zawrócili na zachód, ku Birchwood i podpłynawszy do brzegu zjedli obiad, kołysząc się na wodzie.

Lorna nie miała potrzeby używać szpilek do kapelusza; zresztą nie byłoby to nawet możliwe, ponieważ godzinę wcześniej zdjęła kapelusz i wystawiła twarz do słońca.

Kiedy jedli, upał nieco zelżał, a gdy znów wypłynęli na jezioro, Lorna, uszczęśliwiona, ustawiła się pod wiatr, jak rzeźba dziobowa wielkiego żaglowca. Sukienkę miała z przodu wilgotną, włosy w nieładzie. Płynęli wzdłuż piaszczystej łachy w zatoce North Bay, gdzie zakotwiczyło kilka łódek. Siedzieli w nich senni ludzie z wędkami w rękach.

Lorna natychmiast dostrzegła znajomy kształt ramion i całą sylwetkę. Nawet w słomianym kapeluszu z szerokim rondem, z połową ciała ukrytą w łódce, poznała go. Był z nieznanym mężczyzną, którego Lorna nigdy nie widziała.

To dziwne, ale była przekonana, że on też zauważył ją w tym samym momencie. Miała poczucie, że porozumieli się, skoro tylko się dostrzegli.

Lorna uśmiechnęła się, uniosła rękę i pomachała nią.

- Jens! Dzień dobry!

Harken pomachał w odpowiedzi.

- Dzień dobry, panienko Lorno!

Lorna złożyła dłonie w trąbkę i krzyknęła:

- Jak biorą?

Jens uniosł żyłkę, na której wisiało dość dużo sporych ryb.

- Niech panienka sama zobaczy!

- Co to za ryby?

- Okonie!

- Moje ulubione!

- Moje również!

- Zostaw jednego dla mnie! - zażartowała Lorna i usiadła, ponieważ żaglówka odpłynęła już dość daleko i Harken wyglądał na lśniącej wodzie jak mały pagórek o zmieniających się kształtach.

Przyglądając się jej, z uśmiechem spoglądającej na łódkę, Taylor spytał:

- Kto to?

- To Harken, pomocnik naszej kucharki. Taylor bacznie przyglądał się Lornie.

- Zwróciłaś się do niego po imieniu.

Lorna zbyt późno zrozumiała pomyłkę. Teraz próbowała załagodzić nieporozumienie.

- Tak; to Jens Harken. Buduje jacht dla mojego ojca.

- Gdzie zamierzasz zjeść z nim tę rybę?

- Och, Taylor, nie pleć głupstw. Nie to miałam na myśli.

- Ach - powiedział Taylor. Lorna widziała jednak, że nie jest przekonany.

Po spotkaniu z Jensem całe popołudnie wydało się jej nudne. Przyjemność z żeglowania gdzieś wyparowała, wilgotne ubranie lepiło się jej do ciała, a wystawiona do słońca twarz piekła.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Taylor, chciałabym już wracać do domu.

Taylor przyglądał się jej z takim napięciem, że Lorna sięgnęła po kapelusz, żeby ukryć się przed jego wzrokiem.

Wcisnęła kapelusz na zwichrzone przez wiatr włosy i przypięła go szpilką.

- Zdaje się, że dostałam poparzenia. Mama mnie zabije, kiedy zobaczy, że mam mokrą sukienkę.

- Może zaczekamy, aż wyschnie?

- Nie, Taylor, proszę. Nie chcę się przeziębic.

- Jak sobie życzysz - odparł i skierował się ku wyspie Manitou.

Jens Harken oczyścił ryby, włożył do pojemnika z lodem i napisał do pani Schmitt, żeby usmażyła je rano na śniadanie.

O piątej trzydzieści, kiedy zszedł do kuchni, pani Schmitt spełniała właśnie jego prośbę: obtaczała ryby w maślanicy i mące kukurydzianej. Colleen szukała w składzie z naczyniami rondla, a Ruby nakrywała do stołu.

- Dobry - przywitał je Jens. Pani Schmitt odparła:

- Możliwe.

Jens spoglądał to na Ruby, to na Colleen, to na kolorowy kok pani Schmitt.

- Widzę, że nie jest pani dzisiaj w dobrym humorze.

- Mam nadzieję, że sam łowiłeś te ryby - mruknęła kucharka, nie przerywając pracy.

- Prawdę mówiąc, nie sam.

- Jencie Harken, nie masz więcej rozumu niż ta stołowa noga, jeśli zabrałeś ze sobą tę dziewczynę!

- Jaką dziewczynę?

- On się jeszcze pyta, jaką dziewczynę. Lornę Barnett, gdybyś nie wiedział.

- Nie byłem z Lorną Barnett!

- W takim razie, dlaczego prosiła wczoraj o koszyk z jedzeniem dla dwóch osób?

- Skąd mam wiedzieć? Chyba ma jakichś przyjaciół? Pani Schmitt spojrzała na Jensa znacząco.

- Nie okłamuj mnie, młody człowieku!

- Byłem z Benem Jonsonem, skoro musi pani wiedzieć. Poznałem go w składzie drewna. Jest mniej więcej w moim wieku, nie ma żony, ma za to łódkę, którą wypłynęliśmy na ryby.

Pani Schmitt odwróciła rybę na drugą stronę. Tłuszcz zaczął skwierczeć. Pani Schmitt odezwała się do patelni:

- No, to już lepiej.

Ruby jednak nie przestała rzucać Jensowi spojrzeń ostrych jak sztylety. Ciskała talerzami, jakby to były kotwice.

Chłopak zignorował ją.

- Niech pani usmaży wszystkie ryby - poprosił kucharkę. To, co zostanie, wezmę ze sobą do szopy i zjem w południe.

Tam nie będzie starych kur, gotowych wydziobać mi oczy.

* * *

Przyjdzie. Wiedział z niezachwianą pewnością, że przyjdzie wytłumaczyć się z tego, że pływała wczoraj z Taylorem DuValem. Mężczyzną w jednomasztowcu na pewno był DuVal. Przystojny facet w wytwornej czapce żeglarskiej z białym denkiem, czarnym daszkiem i złotym warkoczem. Pasował do Lorny.

Dzień był paskudny. Deszcz zaczął padać przed świtem i nie ustawał przez całe przedpołudnie. Na dachu szopy chlupotało i pluskało nieustannie; to krople wody zbierały się na liściach i spadały z nich, tworząc dziwną muzykę. Wewnątrz było sucho i przyjemnie pachniało, świeżym drewnem: białym dębem, mahoniem, świerkiem i cedrem. Cedr pachniał mocno, jak jedzenie.

Jens cały ranek spędził na kolanach, przybijając do starej podłogi jodłowe deski. Lekko pomarańczowa jodła rozjaśniła całe pomieszczenie, aż po same krokwie, i wypełniła je zapachem świeżym i przyjemnym. Stara podłoga tworzyła wokół nowej brudnoszarą ramę. Jens zdjął ciężkie buty i pracował w skarpetach mierząc, zaznaczając, przybijając listwy z czarnej gumy.

Podniósł wzrok, kiedy usłyszał skrzypnięcie drzwi.

Lorna Barnett zamykała je właśnie za sobą.

- Witam - powiedziała z daleka.

- Dzień dobry.

- Znów jestem.

Była w czymś bardzo lśniącym u dołu, a sterczącym na ramionach, uwydatniającym kształtną sylwetkę, piękniejszą od sylwetek wszystkich statków, jakie Jens kiedykolwiek widział.

Uśmiechnął się, nie podnosząc się z kolan. Jedną rękę trzymał na młotku, opartym o biodro.

- Jak tu przyjemnie pachnie - zauważyła, zbliżając się do niego.

- Świeże drewno.

- Widzę.

Szła skrajem jodłowej podłogi, omijając starannie ułożone drewno. - i nowe lampy.

Zatrzymała się tuż przy klęczącym Jensie. -Tak.

Jens przysiadł na piętach i patrzył, jak Lorna wynurza się z cienia. Jej twarz, na moment oświetlona światłem lampy, sprawiła, że prysnęły wszystkie jego silne postanowienia.

- Zdaje się, że wczoraj zbyt długo była panienka na słońcu - zauważył.

Lorna dotknęła policzków.

- Nic by się nie stało, gdybym nie zdejmowała kapelusza, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Boli?

- Tak, ale przeżyję to.

Obrzuciła spojrzeniem kropki narysowane na czystym drewnie i łączące wdzięcznie wygiętą linią ciemne listwy.

- Co robisz?

- Wreszcie modeluję.

- A więc tak wygląda modelowanie... wygładzanie statku, tak?

-Tak.

- Żeby nie miał wybrzuszeń i nierówności, tak? -Tak.

- Żeby był gładki jak owoc. Jens tylko się uśmiechnął.

- Jak się to robi?

- Robię rysunek statku naturalnej wielkości; najpierw w rzucie pionowym, potem poziomym; wszystkie przekroje jakby zebrane razem. Jak skończę, na podłodze będzie mnóstwo kropek. Po połączeniu dowolonej kropki z listwą okaże się, czy wszystkie łuki mają opływowy kształt. Jeśli nie, jeśli choć jeden będzie trochę wybrzuszony, ta część statku byłaby straszna, gdy skończę. Dlatego trzeba zmienić łuki w tym miejscu, zanim przygotuję model.

-Och.

Jens widział, że Lorna nie rozumie jego wyjaśnień, ale pocieszał się tym, że łuk, utworzony z listew przybitych do podłogi, jest wystarczająco wyraźny i powinien przemówić do jej wyobraźni.

- No, nie przerywaj sobie - powiedziała. - Nie chcę ci przeszkadzać.

Jens zaśmiał się cicho i odparł:

- Już mi panienka przeszkodziła. Mogę sobie zrobić przerwę na obiad. Wyciągnął kieszonkowy zegarek.

- Ha! Kiedy minęło przedpołudnie? Ostatnio patrzyłem na zegarek po dziewiątej.

Prawdę mówiąc, Jens już od dwóch godzin czuł głód, ale odkładał obiad na później w nadziei, że Lorna wreszcie przyjdzie. Chodziło o rybę, o którą go prosiła.

- Czy ma panienka coś przeciw temu, żebym jadł, kiedy będziemy rozmawiali?

-Nie.

Odłożył młotek i gwoździe, wstał, przeszedł w skarpetkach po jodłowych deskach, wziął z ułożonych wysoko desek cynowy pojemnik i zdjął przykrywkę.

- Ma panienka ochotę zjeść ze mną? - spytał, wracając do Lorny i podając jej naczynie.

Dziewczyna zajrzała do środka.

- Co tam jest?

- Smażony okoń.

- Rzeczywiście! - Na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. - Złowiłeś te ryby wczoraj!

- Prosiła panienka, żebym się z nią podzielił.

- Och, Jens, zaskakujesz mnie! Naprawdę przyniosłeś też dla mnie?

- Oczywiście - wskazał zardzewiałą ławkę. - Zechce panienka usiąść?

Lorna rozejrzała się i powiedziała:

- Dobrze, ale nie tutaj. Usiądźmy w łodzi.

- W łodzi?

- Dlaczego nie? Możemy zjeść w niej, zanim jeszcze znajdzie się na wodzie.
- Jak panienka chce, zaraz znajdę jakiś obrus. Poszedł po kawałek papieru; tymczasem Lorna zdjęła buciki i postawiła obok jego butów.
- Och, nie musi panienka - zawołał Jens. - Drewno w końcu i tak się pobrudzi. Tymczasem chcę się nim trochę nacieszyć.
- Skoro ty zdjąłeś buty, to ja też.

Jens rozłożył papier na podłodze i postawił na nim naczynie z rybami. Spodobało mu się to, że Lorna usiadła po turec-ku, otoczona suknią rozłożoną szeroko jak powój. Bluzka, jak zwykle, miała szerokie rękawy, mnóstwo drobniutkich plisek na przodzie i co najmniej trzydzieści guziczków, zapiętych prawie pod brodę. Nad lewą piersią miała przypięty zegarek, który Jens widział po raz pierwszy. Ta ozdoba przyciągała wzrok i zwracała uwagę na ponętą wypukłość. Chłopak z trudem oderwał od niej wzrok i usiadł naprzeciw Lorny.

- Proszę się częstować.

Lorna wzięła kawałek ryby i posłała Jensowi radosny uśmiech.

- To nasz drugi piknik - powiedziała.

Popłynęli we dwoje po wyimaginowanym morzu pachnącym świeżą jodłą, jedząc zimną rybę z wilgotnym chlebem, przeświadczeni, że nigdy jeszcze jedzenie nie smakowało tak dobrze, ponieważ byli szczęśliwi przebywając ze sobą, rozmawiając, wymieniając uśmiechy, wpatrując się w siebie.

- Rzeczywiście, poparzyła sobie panienka skórę na tym słońcu - powiedział Jens. - Biedny nosek wygląda jak światło sygnałne.
- W nocy prawie nie spałam.
- Robiła panienka jakieś okłady?
- Z maślanki, ale nie pomogły.
- Proszę wypróbować ogórki.
- Ogórki?
- Tak robiła moja matka. Niech panienka poprosi panią

Schmitt o ogórka albo wracając do domu sama zerwie sobie w ogrodzie.

- Dobrze.

Jens krytycznie przyjrzał się jej twarzy. Poparzenie słoneczne dostarczyło pretekstu, by pozwolić sobie na spojrzenie dłuższe niż zwykle.

- Prawdopodobnie i tak zejdziesz skóra. Lorna, zażenowana, dotknęła nosa.

- Będę wyglądała jak usychająca, karłowata sosna. -Nieeee... Nie sędzę. Nie sędzę, żeby panienka mogła tak wyglądać, panno Lorno.

- Tak? - Ucieszona komplementem, zrobiła się zuchwała. - Więc jak będę wyglądała na starość?

Ich spojrzenia spotkały się. Jens gryzł, żuł i połykał, nie mniej niż Lorna ciesząc się tą kokieteryjną wymianą słów. Obydwoje wzięli po kolejnym kawałku ryby.

- Czy wczoraj był z panienką ten jej pan DuVal? - spytał Jens.

- Tak, to był pan DuVal, ale nie mój.

- Tak myślałem. To on siedział obok panienki podczas tego przyjęcia, kiedy podawałem do stołu. Przystojny.

- To prawda.

- Dobrze żegluj.

- Założę się, że ty robisz to lepiej.

- Żeby żeglować, trzeba mieć łódź.

- Pewnego dnia będziesz miał i łódź, i stocznnię. Jestem o tym przekonana.

- A więc wczoraj była panienka na pikniku z panem DuVal?

- Boże, ależ ten personel kuchenny plotkuje.

- Tak jest, panienko. Problem w tym, że personel podejrzewa, że panienka była na pikniku ze mną.

-Co?

- Pani Schmitt lubi mi matkować, ale dzisiaj rano przeszła samą siebie. Nagadała mi za to, że zabrałem panienkę na ryby i oświadczyła, że było to bardzo niestosowne. Pro-

szyć się jednak nie martwić, wszystko wyjaśniłem. Powiedziałem jej, że byłem z kimś innym.

- Powiesz mi z kim?

- Z moim nowym znajomym, Benem Jonsonem. Poznałem go w składzie drewna, kiedy poszedłem złożyć zamówienie. Wy płynęliśmy jego łódką.

- Nowy znajomy; to dobrze. Moją najlepszą przyjaciółką jest Phoebe Armfield. Znamy się od dziecka. Niech mu pan powie, że cieszę się, że pana zaprosił. Ryby były pyszne.

Lorna oblizwała palce i rozejrzała się za czymś, czym mogłaby wytrzeć usta, ale nic takiego nie znalazła. Nadal siedząc po turecku pochyliła się, chwyciła brzeg halki i posłużyła się nią w tym celu.

Jens, zaskoczony, roześmiał się, nie odrywając wzroku od jej schylonej głowy:

- Panienko Lorno, co powiedziałaaby mamusia?

-To, czego nie widzi, w niczym jej nie przeszkadza. Mnie również nie. - Lorna wygładziła spódnicę i dodała:

-Dziękuję. Nigdy nie zapomnę tego uroczego pikniku.

Jens uśmiechnął się. Jak zawsze, to on musiał podtrzymać między nimi nastrój bez troski.

- Proszę mi powiedzieć, jaki był koncert pana Sousy?

- Budujący. Patriotyczny.

- Poznała go panienka?

- Oczywiście. Jest mężczyzną o imponującej budowie, nosi maleńkie, owalne okulary w złotych oprawkach, ma malutkie wąsy i bródkę. W mundurze wygląda cudownie. Mundur miał biały, obszywany złotem i do tego kapitańską czapkę. Och, i białe rękawiczki. Nie widziałam, żeby je zdejmował; nawet kiedy jadł kanapki.

- Pan DuVal też był?

- Tak. Wygląda na to, że pan DuVal jest wszędzie, gdzie ja bywam - odparła Lorna i niemal szeptem dodała: - Tylko nie tutaj.

Jens dopiero po dłuższej chwili odzyskał spokój na tyle, że odparł rozsądnie:

- To naturalne; ostatecznie flirtujecie ze sobą.
 - Niezupełnie.
 - Niezupełnie? Mówiła mi panienka, że tak.
 - Możliwe, że tak mówiłam. Spędzamy razem sporo czasu, ale nie powiedziałabym, że flirtujemy. Jeszcze nie!
- Wystarczy, że moja rodzina tak twierdzi. Ale też mają ku temu powody... Och, Harken, nie wiem. Nic już nie wiem.
- O czym?
 - O tym. - Dotknęła zegarka zawieszzonego na piersiach.
 - Wiesz, to prezent od Taylora.
- Jens spojrział na zegarek i poczuł ukłucie zazdrości.
- Dał mi to w sobotę po koncercie i powiedział, że to nie jest prezent zaręczynowy, ale wszyscy w domu myślą, że tak. Wiesz, ja jeszcze nie chcę zaręczać się z Taylorem.
- Jens powiedział to, co należało:
- Ależ to przystojny, bogaty mężczyzna z tej samej sfery. Traktuje panienkę dobrze, rodzice popierają ten związek. Mądrze będzie wyjść za takiego człowieka.
- Zanim Lorna się odezwała, Jens po wyrazie jej oczu poznał, że lepiej byłoby, gdyby milczała. Lorna powiedziała jednak spokojnie, patrząc mu w oczy:
- A jeśli jest ktoś, kto bardziej mi się podoba?
- Minęło sporo czasu, zanim Jens w pełni zrozumiał znaczenie tego wyznania. Mógł wyciągnąć rękę i ująć jej dłoń, zmieniając czekającą ich przyszłość. Wolał jednak zachować ostrożność, odparł więc:
- I w tym tkwi problem, panienko Lorno?
 - Harken...
 - Niech panienka dobrze pomyśli, zanim przepuści partię taką, jak DuVal.
 - Harken, proszę...
 - Nie, panienko Lorno. - Jens sięgnął po naczynie i wstał.
 - Powiedziałem, co do mnie należało i sędzę, że to dobra rada. Najlepiej niech panienka porozmawia o tym z kimś innym.
 - Z kim?

- Może z tą przyjaciółką, Phoebe?

Lorna wstała, wzięła buty i usiadła na ławce, żeby je włożyć.

- Phoebe mi nie pomoże. Jest zadurzona w Taylorze i nie potrafi być obiektywna. Mówi tylko, że jeśli ja go nie ze-
chcę, to ona go weźmie.

- Widzi panienka? To dobra partia.

Jens odstawił naczynie na stertę drewna, odwrócił się i zobaczył, że Lorna idzie w jego stronę. Zatrzymała się tak blisko, że jego oddech poruszał jej włosy.

- Potrafisz być nieznośny, wiesz? - powiedziała.

- Panienka również.

- Nie lubisz, kiedy tu przychodzę?

- Oczywiście, że lubię. Panienka wie równie dobrze jak ja, w czym tkwi problem.

Przyglądała mu się z bliska, upominając się spojrzeniem o pocałunek, którego Jens - bardzo rozsądnie - postanowił nigdy nie dać. Kiedy zrozumiała, że w ten sposób nic nie osiągnie, odwróciła wzrok i przez chwilę przyglądała się stercie drewna. Nagle spojrzła Jensowi w oczy i zapytała:

- Harken, czy pocałujesz mnie kiedyś?

Jens westchnął, ni to śmiejąc się, ni to wyrażając swoje zdziwienie i obawę.

- Jasne - powiedział - w dniu, kiedy zostanę przyjęty do
klubu ojca panienki.

Chciał się odwrócić, ale zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Miał wrażenie, że tam, gdzie dotykały go jej palce, spoczęło pięć małych słoneczek, palących skórę.

- Zastanawiałam się, czy nie kazać ci tego zrobić, ale raz już próbowałam i nie skończyło się to dobrze.

Jens schylił się i pocałował ją tak szybko i lekko, że żadne z nich nawet nie zdążyło zamknąć oczu.

- Harken, przestań - skarciła go Lorna. - Jestem dorosła.

Stali, ogarnięci pożądaniem, czując pulsującą krew, tym mocniej napięci, że świadomi, iż pocałunek między nimi

jest przekroczeniem tabu. Cóż jednak znaczy jakaś bzdurna zasada w starciu z uczuciem?

- Dobrze - powiedział. - Tylko jeden raz i potem panienka sobie pójdzie.

- Potem pójdę - zgodziła się.

Wiedział, że jeśli zrobi to, będzie zgubiony, a jednak położył dłonie na jej ramionach; postąpił krok i sutki jej piersi zetknęły się z jego koszulą. Pochylił głowę czując, że ich serca biją w jednym rytmie. Zamknęli oczy, połączyli usta i wszystko, oprócz ich bijących serc, zamarło. Mocniej ścisnął jej ramiona i schylił głowę. Otworzyli szerzej usta i pierwszy raz poznali swój smak. Po chwili rozpoczął się cudowny ruch jednej głowy nad drugą. Wokół nich deszcz wygrywał swoją serenadę, a w powietrzu unosił się zapach cedru.

Jeden pocałunek. Tylko jeden.

Trwał... i trwał... i trwał... i wszystko w nich buntowało się na myśl, że kiedyś muszą go przerwać.

Coś grzmotnęło nagle w dach. Odskoczyli od siebie przestraszeni i spojrzeli w górę. Zobaczyli wiewiórkę.

Popatrzyli sobie w oczy, ale ich usta już się nie spotkały. Oddychali ciężko; stanik Lorny unosił się i opadał szybko.

Jens nadal trzymał ją za ramiona i kciukami gładził białą bawełną bluzki.

Kiedy odezwała się, jej głos zabrzmiał słabo i niepewnie:

- Pewnego dnia, kiedy będę taka stara, jak ciocia Agnes, opowiem o tym wydarzeniu swoim wnukom, jak ona opowiada mi o kapitanie Dearsleyu, swojej utraconej miłości.

Jens uśmiechnął się.

- Ma panienka romantyczne poglądy, panno Lorno; bardzo nierozsądne.

Lorna przyglądała mu się ze szczęściem w lśniących oczach, jakby ten pocałunek przeniósł ją w inny wymiar.

- Skąd miałam wiedzieć - odparła - dopóki mnie nie pocałowałeś?

- Teraz panienka wie. Czy jest z tego powodu szczęśliwsza?

- Tak. Nieskończenie szczęśliwsza.

- Panno Lorno Barnett - pokręcił głową Jens - jest panienka porywczą młodą kobietą i trudno panienkę wyrzucić - zdjął dłonie z jej ramion - ale muszę to zrobić.

Lorna westchnęła i rozejrzała się wokół, jakby wróciła na ziemię z jakiejś dalekiej podróży.

-Dobrze. Chyba jednak porozmawiam z Phoebe. Nie mogę jej ufać, jeśli chodzi o Taylora, ale jest moją najlepszą przyjaciółką, a ja chyba pęknę, jeśli z kimś nie porozmawiam.

Co można zrobić z taką kobietą? Odkrywała swoje uczucia jak sprzedawca warzyw, pokazując to, co najlepsze, z dumą wychwalając kolor i świeżość towaru, zapraszając do spróbowania go w celu wyrobienia sobie własnego zdania.

- Sądzi panienka, że to mądre?

- Dzieliłyśmy z Phoebe niejedną tajemnicę.

- Dobrze, ale proszę pamiętać, że to się już nigdy nie powtórzy. Zgoda?

Przygryzając dolną wargę, Lorna badała spojrzeniem jego błękitne oczy.

- Nie będę składała obietnic, których później mogę nie dotrzymać.

Jens patrzył na nią i zastanawiał się, jak to możliwe, żeby taki zwykły człowiek jak on obudził tak widoczny wyraz uwielbienia na twarzy pięknej, mającej wszystko dziewczyny.

- Odprowadzisz mnie do drzwi?

Lorna z wysiłkiem stawiała krok za krokiem, a Jens szedł tuż za nią, żałując, że dziewczyna nie może zostać z nim i dotrzymać towarzystwa podczas pracy. Pierwszy raz w życiu żałował też, że nie jest bogaty. Przy drzwiach Lorna zatrzymała się i odwróciła.

- Dziękuję za rybę.

- Nie ma za co, panienko Lorno.
- Znów nazywasz mnie panienką Lorną. Czy to, że przed chwilą mnie całowałaś, nic dla ciebie nie znaczy?
- Znaczy bardzo wiele.

Nie odrywała od niego oczu. Myśl o rozstaniu rozdzierała ich serca. Jens widział wyraźnie, że ona znów chce go pocałować. On też chciał ją pocałować. Uchylił drzwi. Wdychali wilgotne powietrze, słuchając plusku kropli spadających na ściółkę pod drzewami.

Chciał powiedzieć: „Przychodź tutaj; uwielbiam, kiedy tu jesteś, kiedy mogę rozmawiać z tobą o łodzi, o swoich marzeniach. Uwielbiam twoje włosy i oczy, uśmiech i mnóstwo innych rzeczy”.

- Proszę nie zapomnieć o ogórku - powiedział. Uśmiechnęła się i odparła:
- Nie zapomnę.

Potem patrzył na nią, biegnącą ścieżką, z suknią uniesioną do kolan.

* * *

Lorna Barnett była zdziwiona, że tak bardzo nie ma ochoty opowiadać Phoebe Armfield o *tete-d-tete* z Jensem Harkenem. Zachowała tę tajemnicę dla siebie i wcześniej położyła się do łóżka, żeby samotnie, w ciemnościach, obracać ją w myślach. Leżąc na plecach, z plastrami pachnącego ogórka na twarzy, przypominała sobie wszystko. W jej wspomnieniach całe popołudnie smakowało lasem, deszczem, prostotą i szczerością. Ileż przyjemności sprawiła jej tak niewyszukana rozrywka, jak siedzenie po turecku pośrodku świeżej podłogi i zjadanie kawałków ryby. Ileż radości zaznała, przyglądając się Jensowi Harkenowi z bliska, rozpoznając na jego twarzy uśmiech, zamyślenie, podziw. Później, kiedy przerwali pocałunek, widziała to samo pożądanie, jakie i w niej się zrodziło. Matka chyba umarłaby z wrażenia, gdyby się o tym dowiedziała.

Lorna zaczęła rozumieć, że nie jest podobna do matki. Jest istotą bardziej wrażliwą i zmysłową. Jens Harken stał się w jej oczach mężczyzną, a nie zatrudnionym pracownikiem; był godny szacunku, sympatyczny, cudowny, pełen marzeń, które próbuje zrealizować. Przebywając razem, byli po prostu kobietą i mężczyzną, a nie bogatą kobietą i ubogim mężczyzną. Jego obecność dawała jej szczęście. Przyglądanie się Jensowi przy pracy było fascynujące. Słuchanie jego słów - nie mniej budujące od słuchania marszów Johna Philipa Souzy.

Lornę zdumiała siła, z jaką reagowała na fizyczną bliskość Jensa. Ta przystojna, norweska twarz, ale również dłonie, szyja, żyły biegnące w zgięciu łokcia, szelki, a nawet wypchane na palcach skarpety - wszystko budziło w niej burzę uczuć tylko dlatego, że było częścią Jensa. Kiedy się poruszał, każde zgięcie nóg stawało się w jej oczach tańcem, każde odchylenie głowy - doskonałością. Nawet jego ubranie szeleściło inaczej niż innych.

Pocałunek z nim... Och, och, całowanie się z nim było niewyobrażalną rozkoszą. Pachniał tak, jak szopa: cedrem i lasem, i smakował podobnie. Kiedy jego język dotknął jej, czuła się tak, jakby zebrał otaczający ich brzoskwiniowy blask i przeniósł go do jej wnętrza. Wspominając to, Lorna poczuła pożądanie. Leżąc w swojej sypialni, piętro pod nim, postanowiła, że znów go pocałuje; chyba że zamkną ją w więzieniu.

Jens Harken odkrył, że łatwiej mu przyszło wyrzucie Lornę Barnett z szopy niż z własnej głowy. Nawiedzała go przez całe popołudnie, uśmiechając się do niego we wspomnieniach, unosząc twarz do pocałunku, pochylając głowę, kiedy już przestali się całować.

Cholernie czarująca, niepoprawna dziewczyna. Kiedy znalazł się w swoim pokoju, Lorna nadal była w nim, bardzo blisko serca. Zdecydowany powstrzymać ją przed dalszym posuwaniem się w tym kierunku, napisał do brata.

Kochany Davinie!

Zdaje się, że wreszcie moje sprawy posunęły się naprzód. Znalazłem kogoś, kto sfinansuje tę płaskodenną łódź, o której mówię od lat. Czy uwierzysz, że zgodził się na to pan Gideon Barnett, mój pracodawca? Oddał mi szopę, pozwolił kupić narzędzia i drzewo. Teraz zajmuję się już modelowaniem. Podejrzewam, że nadal uważa mnie za szaleńca, ale jest gotowy zaryzykować nieco pieniędzy. Dał mi trzy miesiące, chociaż łódź weźmie udział w regatach dopiero za rok. Wówczas musisz się tutaj zjawić. Łódź wygra i cały kraj o niej usłyszy. Razem zajmiemy się interesami. Odkładałem każdy grosz. Mam nadzieję, że ty też. Pieniądze będą nam potrzebne, żeby ziściło się marzenie o stoczni Harkenów. Nie będziemy musieli zaczynać od zera, ponieważ zapłaciłem własnymi pieniędzmi za materiały do sporządzenia szablonu, żeby móc go zachować dla siebie. Na początek mamy więc więcej niż wtedy, gdy byłem na wschodzie.

Żałuję, że ciebie tu nie ma, bo chciałbym z tobą porozmawiać o rysunkach łodzi. Poznałem kogoś nowego. Nazywa się Ben Jonson i chyba poproszę go o pomoc, kiedy zacznę łączyć wręgi. Domyślasz się pewnie, że jest Skandynawem, a przecież nikt nie potrafi modelować statku lepiej od nas; prawda, braciszku? Ben pracuje w składzie, tam, gdzie kupowałem drewno. Jesienią, po zakończeniu sezonu budowlanego, mają tam mniej pracy, mam więc nadzieję, że mi pomoże. W niedzielę Ben zabrał mnie na ryby i złapaliśmy sporo okoni. Tutaj jest ich mnóstwo. Nawiasem mówiąc, poczęstowałem rybami pewną damę.

Poczęstowałem rybami pewną damę.

Nagły przyływ uczuć do Lorny Barnett zmusił go, żeby powiedzieć chociaż tyle, czuł bowiem, podobnie jak ona, że wybuchnie, jeśli z kimś o tym nie porozmawia. Nie chciał jednak pisać więcej.

Zakleił list i zgasił światło. Leżał w swoim pokoju na poddaszu, podobnie jak ona piętro niżej, i wskrzeszał we

wspomnieniach jej obraz, przyjemność, jaką czerpał ze wspólnie spędzanego czasu i z jedyne go pocałunku. Zamknął oczy i splótł dłonie na piersiach. Aż do tej chwili, kiedy marzył o zbudowaniu szybkiego jachtu, marzył o tym dla siebie, dla przyjemności, z jaką będzie patrzył na łódź sunącą z wiatrem i dla korzyści, jakie będzie z tego miał: zacznie pracować z Davinem i będą mieli więcej klientów niż dadzą radę obsłużyć. Teraz zaczął marzyć, żeby wygrać dla niej; żeby stać się w oczach jej ojca kimś ważnym i zapewnić sobie szacunek innych mężczyzn z tego kręgu; żeby nie kazano mu wracać do kuchni.

Wyobraził sobie regaty i siebie w roli kapitana, Lornę stojącą na brzegu, wśród przysłoniętych parasolkami dam, zagrzewającą go do walki, podczas gdy on będzie sunął w łodzi z uniesionym dziobem i żaglem pełnym wiatru. Wyobraził sobie, jak łódź mija znajomą przystań i usłyszał wiwaty tłumów zebranych na trawniku przed klubem, podnoszące się w chwili, kiedy będzie wprowadzał łódź do portu. Widział Tima Iversena robiącego mu zdjęcia i Gideona Bar-netta, ściskającego mu dłoń ze słowami: Dobra robota, Harken.

Jeden pocałunek zmienił jego marzenia. W głębi serca wiedział, że to niemożliwe. Nie jest członkiem klubu i z pewnością nigdy nie będzie. Prawdopodobnie nie pozwolą mu nawet dowodzić łodzią, wynajmują bowiem swoich kapitanów z innych części kraju. Harken nie ma na swoim koncie żadnych zwycięstw, nie ma łodzi, bogactwa ani pozycji.

Nie ma też najmniejszego prawa zakochać się w córce Gideona Barnetta.

Rozdział 8

Czerwcowe dni były pełne słońca. Ociepliło się, ogrody rozkwitły. Róże Levinii pyszniły się swoją urodą. Porzeczki Smythe'a robiły się z dnia na dzień większe. Na trawnikach wokół Rose Point codziennie bzycały kosiarki, pozostawiając po sobie świeżą woń ściętej trawy. W szopie pod wysokimi drzewami podwójne drzwi były otwarte po czternaście godzin na dobę, wpuszczając do środka letni wietrzyk i pannę Lornę Barnett, ilekroć zechciało się jej tu przyjść.

Odczekała cztery dni, zanim wróciła. Tego dnia poszła najpierw do matki, zbierającej w ogrodzie długie, błękitne ostróżki. Levinia wkładała je do płaskiego koszyka, zawieszzonego na lewym przedramieniu.

- Mamo... dzień dobry! - zawołała Lorna.

Levinia podniosła głowę, zerkając spod szerokiego ronda słomkowego kapelusza. Dłonie miała osłonięte zielonymi rękawicami i trzymała w nich sekator.

- Dzień dobry, Lorno.

- Jaki piękny dzień. - Lorna popatrzyła w niebo.

- Będzie piekielnie gorąco i nie powinnaś zapominać o kapeluszu.

- Och, przepraszam, mamo. Zapomniałam.

- Zapomniałaś? Przecież skóra jeszcze ci schodzi po ostatnim poparzeniu. Wkrótce dostaniesz piegów; ciekawa jestem, jak się ich pozbędziesz?

- Następnym razem postaram się pamiętać.

- Co tam masz?

- Ciasteczka. Poczulałam ich zapach i poszłam do kuchni sprawdzić, co to. Z cynamonem i jabłkiem. Chcesz jedno? Lorna rozchyliła brzegi białej serwetki. Levinia zdjęła jedną rękawicę i wzięła ciasteczko.
- Zaniosę je do szopy, panu Harkenowi, jeśli pozwolisz.
- Lorno, nie podoba mi się takie rozpieszczanie służby.
- Wiem, ale on czasem pracuje tak długo, że zapomina o obiedzie, pomyślałam więc, że przyda mu się coś na wzmocnienie. Dobrze, mamó?
- No... - Levinia z powątpiewaniem spojrzała na warzywnik i widoczny za nim las, potem znów na Lornę i na serwetkę w jej ręce. - Przecież to nasze najlepsze lny.
- Och, nie. Tego używają w kuchni. Powiem Harkenowi, żeby odniósł serwetkę do domu. Levinia znów rzuciła niezdecydowane spojrzenie w stronę szopy.
- No dobrze.
- Chodzę tam czasami, żeby zobaczyć, jak postępują prace przy budowie. To bardzo interesujące. On robi na podłodze rysunek naturalnej wielkości. Chcesz pójść ze mną?
- Do tego wilgotnego budynku? Wielkie nieba, nie. Zresztą, muszę ułożyć bukiety.
- W takim razie pójdę sama. - Lorna z podziwem rozejrzała się po ogrodzie. - Mamó, w tym roku twoje kwiaty są takie piękne. Czy mogę wziąć jeden z tych?
- Proszę... ale, Lorno, nie będziesz tam długo? Levinia wyglądała na zmartwioną.
- Och, nie. - Lorna wybrała sobie jedną ostróżkę i powąchała ją. - Zobaczą tylko, jak idzie praca, dam panu Harkenowi ciasteczka, a potem chyba pójdę brzegiem jeziora do Phoebe. Zaprosiła mnie na drugie śniadanie na werandzie.
- To miło z jej strony - powiedziała Levinia uspokojona. - Pozdrów ode mnie ją i jej matkę. O której wrócisz, skarbie?

Lorna wzruszyła ramionami.

- Wcześnie. Pewnie koło trzeciej. Jeśli nie będzie zbyt gorąco, może uda mi się namówić Jenny na tenisa. Do widzenia, mamó.

Levinia patrzyła za córką, trzymając w ręce nadgryzione ciasteczko.

- Pamiętaj - zawołała - żebyś nie siedziała tam za długo!

- Dobrze, mamó.

- Następnym razem załóż kapelusz.

- Tak, mamó.

Lorna obesła szklarnię, minęła warzywnik i weszła w las. Zanim doszła do szopy, usłyszała silnik. Pach, pach, pach -krótkie wybuchy i długie chwile przerwy. Na chwilę przystanęła nasłuchując, potem ruszyła krótką ścieżką do ostrego zakrętu w prawo, skąd widać było szopę. Na zakręcie sprawdziła, czy wszystko jest w porządku. Ciasteczka i ostróżkę wzięła do jednej ręki, a drugą przejechała po gładkim koku i dwóch ozdobnych spinkach do włosów, sterczących ze swobodnie zwisających, gibsonowskich pukli, przypominających pałeczki z perłowymi kulkami na końcach. Obciągnęła spódnicę, spojrzała na brzuch, na którym, na kształt strzały, zbiegały się zielone i białe paseczki. Dotknęła jedwabnej kokardy pod szyją.

Zadowolona, przełożyła ostróżkę do prawej dłoni i wkroczyła do królestwa Harkena.

Jens ciął kawałek drewna, nieświadomy jej obecności. Czekając, aż przenikliwy dźwięk piły ucichnie, Lorna napała się widokiem pracującego. Miał na sobie bardzo wyblakłą koszulę, kiedyś pewnie w kolorze soku pomidorowego. Pracował z odkrytą głową, włosy miał wilgotne od potu i ciemniejsze niż zwykle, barwy zeszłorocznej pszenicy. Piła ucichła wreszcie, ale silnik nadal pracował rytmicznie: pap, pap. Cichutko pogwizdując, Harken przypatrywał się odciętemu przed momentem kawałkowi drewna i obmacywał jego brzegi.

- Dzień dobry, Jens.

Podniósł głowę. Jego palce znieruchomiały. Tamten pocałunek wisiał między nimi, jakby miał miejsce dopiero przed chwilą; domagał się przypomnienia, chociaż obydwójce wiedzieli, że muszą o nim zapomnieć.

- Proszę, proszę, kto do nas przyszedł.

- Z prezentami.

Lorna przestąpiła próg i ruszyła w stronę Jensa, który czekał na nią przy pile.

- Dzisiaj moja kolej. Ciasteczka z cynamonem i jabłkami, prosto z pieca pani Schmitt... I coś przypominającego twoje oczy.

Najpierw podała mu ostróżkę. Jens spojrział na kwiatek, potem na Lornę. Obok nich maszyna kolejny raz wydała cichy dźwięk. Jens wyciągnął rękę po prezent. Delikatne, błękitne płatki kontrastowały z jego brudną dłonią i robotycznym ubraniem.

- Jak się nazywa?

- Ostróżka.

- Dziękuję.

Kwiatek rzeczywiście bardzo pasował do błękitnych oczu Jensa. Lorna musiała zebrać wszystkie siły, by oderwać od nich spojrzenie i przypomniała sobie, że przyniosła coś jeszcze.

- Tutaj są ciasteczka - włożyła serwetkę do jego szerokiej dłoni.

- Dziękuję.

- Nie mogę dzisiaj zostać. Idę do Phoebe. Zjemy razem drugie śniadanie na werandzie. Chciałam wpaść na chwilę, żeby zobaczyć, jak ci idzie.

Harken odwrócił się, podszedł do silnika i wyłączył go.

- Dobrze - powiedział pozostając w bezpiecznej odległości. - Widzi panienka, co mam? Pani ojciec pozwolił mi kupić ten wspinały silnik elektro-parowy.

- Elektro-parowy?

- O mocy czterech koni.

- To dużo?

- Jasne. Ta mała bateria daje iskrę i zapala gaz.

- Zapala gaz...

- Wystarczy przekręcić pstryczek i mogę ciąć drewno bez machania rękami. To bliskie cudu.

Lorna skoncentrowała uwagę na silniku. Długie pasy łączyły go z piłą. Harken odszedł na całą ich długość, żeby nie stać zbyt blisko.

- Tak, prawie cud. Widzę, że już sporo naciąłeś.

Na podłodze, tam, gdzie ostatnio leżały listwy, teraz stało pięć szablonów, ustawionych w odstępach siedemdziesięciocentymetrowych; kształtem przypominały odwrócony do góry nogami przekrój poprzeczny statku. Harken wycinał właśnie następny szablon, kiedy Lorna mu przerwała.

- Robisz postępy. -Tak.

- Chętnie popatrzyłabym, ale muszę już iść. Umówiłam się z Phoebe na dwunastą.

- Tak... Dziękuję za ciasteczka. I za kwiatek.

- Proszę.

Lorna przyglądała mu się długą chwilę z odległości kilku metrów. Zanim się odwróciła, powiedziała:

- Miałam rację, są w kolorze ostróżki.

W domu Phoebe Lornę skierowano do chłodnego pokoju w kolorze morskiej zieleni. Pani Armfield siedziała przy otwartym francuskim oknie i na ułożonym na kolanach przenośnym biurku pisała listy. Podała Lornie obie dłonie, a potem nadstawiła policzek do pocałowania.

- Lorna! Jak miło cię widzieć. Obawiam się, że Phoebe nie czuje się dzisiaj dobrze, ale prosiła, żebyś przyszła do jej pokoju.

Phoebe leżała na łóżku, zwinięta w kłębek i przyciskała do brzucha poduszkę.

- Phoebe... och, biedna Phoebe, co się stało?

Lorna podeszła do łóżka i usiadła obok przyjaciółki. Odgarnęła włosy ze skroni Phoebe.

- Co miesiąc w tym czasie jest mi niedobrze. Czasem wściekam się na to, że jestem dziewczyną. Mam okropne skurcze.

- Wiem. Ja też czasem mam.

- Mama kazała pokojówce przynieść gorące worki, żebym rozgrzała sobie brzuch, ale to wcale nie pomogło.

- Biedna Phoebe... Tak mi przykro...

- To mnie jest przykro. Przeze mnie nie zjemy razem śniadania.

- Och, nie gadaj głupstw. Zdamy zjeść razem niejedno śniadanie. Dzisiaj odpoczywaj, a jutro z pewnością poczujesz się lepiej. Czy mogłybyśmy zjeść śniadanie jutro? Oczywiście, jeśli będziesz w lepszym stanie?

Umówiły się i Lorna zostawiła przyjaciółkę, zwijając się na łóżku.

Poszła mniej uczęszczaną drogą wzdłuż brzegu, a nie ścieżką biegnącą prosto do Rose Point, w duchu dziękując Phoebe za to, że dostarczyła okazji do ponownego zjawienia się w szopie. Dodatkową bronią było niechętnie wprawdzie, ale jednak przyzwolenie matki i świadomość, że nikt nie spodziewa się Lorny w domu przed trzecią. Wędrując przez las, zbliżając do Jensa Harkena, Lorna znów poczuła cudowne uniesienie, towarzyszące każdej wyprawie do niego.

Kiedy dotarła do szopy, Jensa tam nie było. Ostróżka, którą mu dała, leżała na parapecie okna wychodzącego na północ; wiatr poruszał delikatnie jej płatkami. Po ciasteczkach została tylko serwetka, porządnie złożona na stercie drewna. Silnik nie pracował, koło zamachowe stało w miejscu. Lorna podeszła bliżej, wdepnęła w trociny obok piły, wzięła trochę do ręki, uniosła do nosa: wonne, ulotne świadectwo porannej pracy Jensa. Przebiegła palcami po zaznaczonych ołówkiem liniach na drewnie i po brzegach kawałków pociętych piłą, naśladując ruchy Jensa. Przypomniała sobie jego radość z tego, że dysponuje tak dobrymi narzę-

dziami. Poruszała się w przestrzeni, która należała do niego, dotykała jego rzeczy, wdychała te same zapachy co on i odkryła, że w jej oczach ten całkiem zwyczajny widok jest niezwykle tylko dlatego, że tu był Jens.

Usiadła na żelaznej ławeczce i czekała. Wrócił pół godziny później. Słyszała zbliżające się kroki, zanim jeszcze otworzył drzwi.

Wszedł do środka i na jej widok stanął jak wryty.

- Phoebe jest chora - powiedziała Lorna. - W domu spodziewają się mnie dopiero o trzeciej. Mogę zostać?

Bardzo długo nie odpowiadał i się nie ruszał. Lorna nie widziała jego twarzy, bo światło padało od tyłu, milczenie było jednak wymowne.

- Dlaczego nie pójdziesz panienka spytać rodziców? - zapytał w końcu.

- Już pytałam mamę, zanim przyniosłam ci kwiatek.

- Pytała panienka matkę?

- Mama zbierała ostróżki w ogrodzie. Zatrzymałam się, powiedziałam, że niosę ci ciasteczka i poprosiłam o kwiatek.

- I pozwoliła na to?

-Tak... Chociaż muszę przyznać, że nie wiedziała, że kwiatek też przyniosę tobie.

- Panno Lorno, wie panienka, że bardzo lubię pani towarzystwo, ale wydaje mi się, że nie powinna panienka przychodzić tu tak często.

- Nie martw się. Nie będę cię namawiała na całowanie.

- Wiem, że nie, ponieważ już nigdy się na to nie zgodzę!

- Chcę tylko popatrzeć.

- Przeszkadza mi panienka.

- Będę cicho jak myszka.

Jens roześmiał się. Lorna też, kiedy uświadomiła sobie, jaką jest gadułą.

- Może nie aż tak cicho - przyznała. - Proszę, pozwól mi zostać.

- Jak panienka chce - uległ wreszcie Jens.

Nie było całowania. Kiedy wychodziła, Harken nie prosił, żeby znów go odwiedziła. Mimo to, gdy zjawiała się następnym razem, zardzewiała ławka lśniła nową farbą.

Tak zaczęły się częste wizyty. Lorna zajmowała swoje miejsce na ławce i rozmawiała z Jensem, zajęтым pracą. Najczęściej przychodziła zaraz po południu, kiedy matka drzemała. Czasem przynosiła jakieś smakołyki, które zjadali razem, czasem dzielili się słodyczami, które Harken przynosił z kuchni z wyjaśnieniem, że personel kuchenny jada inne desery niż państwo. Jego zdaniem desery te często były lepsze od wykwintnych dań serwowanych w jadalni, tam bowiem bardziej liczył się wygląd niż smak.

Och, jak dobrze im się rozmawiało! Szczególnie Lornie. Siadała na ławce po turecku i opowiadała o swoim życiu. Jeśli była na tańcach albo na koncercie czy sztuce, opowiadała o wszystkim, co się tam zdarzyło. Jeśli potem był wieczorek, mówiła co podawano. Jens spytał pewnego razu, kim jest pan Gibson, o którym kiedyś wspominała, opowiedziała więc o ostatnich wakacjach, kiedy to gościli w Rose Point sławnego artystę, pod którego wpływem zmieniła stroje i fryzurę. Długo dyskutowali o tym, czy Lorna jest chłopczycą, czyli dziewczyną życzliwą, gotową raczej stracić życie spadając z grzbietu dzikiego konia, niż przyjmować wyrazy uwielbienia ze strony zakochanego mężczyzny, czy też typem przekonanej, czyli takiej, która ustala sobie cel i dąży do jego realizacji, nie zbacząc z drogi ani o krok. Doszli do wniosku, że jeśli znają kogoś przekonanego, to z pewnością jest nim Harken, który opuścił rodzinę, żeby budować łodzie.

Jens mówił o swoim bracie i o tym, że za nim tęskni.

- Napisałem mu o mojej łodzi; jest podniecony nie mniej ode mnie. Píše, że jeśli wygram przyszłoroczne regaty, zjawi się tutaj, nawet gdyby miał wędrować pieszo. Chcemy razem pracować.

- Bardzo chciałabym go poznać. Pisałeś mu o mnie?

- Napisałem, że poczęstowałem panienkę rybą.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle.

* * *

- Powiedz mi, jacy byli twoi rodzice - poprosiła pewnego dnia Lorna.

Opowiedział o surowym ojcu i ciężko pracującej matce, którzy opuścili rodzinny kraj w nadziei, że ich synowie znajdą w Ameryce lepsze życie. Opowiedział o tym, jak razem z ojcem budował łodzie i jak wyduszał z niechętnego do rozmów mężczyzny odpowiedzi na liczne pytania. Ojciec nigdy nie rozumiał, dlaczego Jens pyta o te rzeczy, zresztą nie był w stanie zaspokoić jego ciekawości, ponieważ ciekawość syna szybko przerosła wiedzę ojca.

- A więc w rzeczywistości nie wszystkiego dowiedziałeś się z praktyki?

- Nie. Część bierze się stąd. - Jens popukał się w skroń. - Wyobrażam sobie statek i wiem, jak zachowa się na wodzie.

Przyglądając się mu przy pracy, Lorna wierzyła w to. Któregoś dnia Jens powiedział:

- To chyba przyjemnie mieć tak liczną rodzinę? Nawet ciotki mieszkają z wami. Podoba mi się to.

- Tak ci się tylko wydaje. W domu jest ciągle tyle osób, że trudno znaleźć spokojne miejsce.

Opowiedziała Jensowi o ciotce Henriecie, która zawsze wie, dokąd Lorna chodzi i nieustannie przypomina jej, żeby stale miała przy sobie ostrą szpilkę do kapelusza. Opowiedziała o zmarłym ukochanym ciotki Agnes i o tym, że ciotka pozostała wierna kapitanowi Dearsleyowi do dzisiaj, i że ta miłość jak latarnia rozjaśnia samotne dni starszej kobiety, nieustannie karconej przez siostrę.

- Kocham ciotkę Agnes - powiedziała Lorna Jensowi. - Ale z trudem znoszę ciotkę Henriette. Często myślałam, że gdybym mogła spełnić jakieś swoje pragnienie, to chciałabym, żeby kapitan Dearsley wrócił do ciotki Agnes.

- Chciałaby panienka czegoś dla siebie?

- Och, nie. Mam przed sobą całe życie i wszystko mogę jeszcze osiągnąć. Ciotka Agnes jest już stara. To pewnie przykre widzieć, że życie zbliża się do końca, a człowiek nie zaznał miłości, nie ma dzieci, własnego domu.

- A więc dla panienki życzenia to coś, na co trzeba zapracować, a nie tylko próżne marzenia?

To sprowadziło rozmowę na nowe tory, aż w końcu pojawił się problem szczęścia i tego, czy dostaje się je od losu, czy też zapracowuje na nie samemu.

W czasie tych dyskusji praca nad statkiem posuwała się naprzód. Cedrowe szablony zostały ukończone i starannie ułożone, jak kawałki sumy na desce do krojenia. Potem Jens połączył je u góry i po bokach dwoma wzdłużnikami ze świerku, ułożonymi w przygotowanych wcześniej wycięciach.

Ach, te pachnące cedrem, nakrapiane zielenią dni w środku lata! Lorna i Jens budowali wzajemne zaufanie i przyjaźń. Opierali się jednak miłości, zdecydowani dotrzymać słowa i nigdy więcej się nie całować. Aż pewnego dnia Lorna przyniosła miskę wychwalanych przez wszystkich czarnych porzeczek z cukrem i śmietaną; wyniosła je chyłkiem z domu w porcelanowej sosjerce z Sevres, ukrytej w magazynie żeglarskim. Jens z daleka zobaczył Lornę i wyszedł na spotkanie.

- Spójrz, co przyniosłam!

- Czarne porzeczki? - zaśmiał się głośno Jens. - Gdyby Smythe się o tym dowiedział, wściekłby się.

- I... - Lorna z dumą pokazała jedną srebrną łyżeczkę.

- Tylko jedna? - spytał Jens.

- Wystarczy.

Podciągnęli żelazną ławkę do samych drzwi i usiedli, wystawiając stopy, skrzyżowane w kostkach na zewnątrz i jedli czarne porzeczki z cukrem i śmietaną, dzieląc się jedną łyżeczką, aż Lorna wyskrobała resztkę purpurowego soku i podała go Jensowi.

- Niech panienka zje - powiedział. - To ostatnia łyżeczka.

- Nie... ty - uparła się Lorna.

Jens siedział z ręką swobodnie zawieszoną na oparciu ławki, za plecami Lorny, z pozoru całkiem odprężony. Ona trzymała łyżeczkę w powietrzu czekając, wpatrując się piwnymi oczami w oczy niebieskie, pochylona, zdecydowana dać mu smakowitą resztkę. W końcu Jens pochylił się i otworzył usta. Lorna przez moment widziała jego język. Przyglądała się zafascynowana, jak jego usta zamykają się na łyżeczce, jak łyżka zmienia ich kształt i pozostaje... pozostaje... w jego ustach tak długo, aż znów zaczęło ją prześladować wspomnienie tego jedyne, cudownego pocałunku.

W końcu udało się jej uwolnić łyżeczkę. Z lekkim brzdęknięciem odłożyła ją do miski, a miskę cicho postawiła wśród fałd sukni. Nie słyszeli nic, oprócz bicia dwóch serc. Między nimi pojawiło się i rozkwitło delikatne napięcie. Przez wiele dni zachowywali się grzecznie, ostrożnie, dyskretnie i przezornie. Nie udało się. Nie mogli pozostać przyjaciółmi, gdy pragnęli być kochankami.

Na długo, zanim Jens się poruszył, obydwójce wiedzieli, że to zrobi.

Jego ramię ześlizgnęło się z oparcia i Jens zdecydowanym ruchem przygarnął Lornę do siebie, a ona uniosła ku niemu twarz. Jego palce wsunęły się pod jej rozgrzaną pachę, kiedy wyciągnęła ręce, by objąć go za szyję. Już nie udawali powściągliwości, kokieterii, niepewności. Ich pocałunek od pierwszego dotyku był czystym pożądaniem. Zaangażowali języki i zęby. Pocałunek smakował czarnymi porzeczkami i pożądaniem, ale trwał dłużej niż smak owoców, który zdejmowali sobie z języków. W końcu Jens odsunął się, żeby uwolnić Lornę od miski i łyżeczki, po czym znów ją przygarnął. Przytuliła się do niego chętnie; oswobodzone ręce wędrowały swobodnie po jego plecach, jak mustangi po prerii. Otworzyli usta. Pieścili te miejsca, które mogli: żebra, plecy, karki, talie; te jednak, które najbardziej

pożądały dotyku, pozostały niezaspokojone. Kiedy pocałunek dobiegł wreszcie końca, odsunęli się od siebie bez uśmiechu, doskonale widoczni dla każdego, kto przypadkiem skręciłby w tę ścieżkę. Jens podniósł się i rozkazał:
- Chodź ze mną.

Zaprowadził ją w głąb szopy, gdzie mogli ukryć się za ścianą.

Tam, w cieniu, znów przytulił ją do siebie, a Lorna z radością stanęła na palcach, żeby zarzucić mu ręce na szyję. Całowali się długo, poznając cudowną rozkosz dopasowywania się do siebie. Było dokładnie tak, jak sobie od dawna wyobrażali. Minuty mijały w mrocznej ciszy popołudnia. Jego ręce wciąż dotykały jej pleców, wkrótce jednak zbiegły po bokach, spoczęły na chwilę na biodrach i przesunęły się ku górze, aż zatrzymały się na wybrzuszeniu piersi, bardzo blisko najczulszego punktu.

- Lorna - powiedział Jens.

- Jens - odparła, odczuwając potrzebę wypowiedzenia jego imienia.

Przez pewien czas patrzyli sobie w oczy, zadowoleni, że wreszcie dotarli do tego miejsca.

- Czy teraz mogę powiedzieć? - zapytał Jens.

- Wszystko, co zechcesz.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam. Wiem to od chwili, kiedy pierwszy raz weszłaś do kuchni.

- A ja myślałam, że jesteś najprzystojniejszym mężczyzną. Bardzo trudno było o tym nie mówić.

- Trudno było nie mówić o wielu innych rzeczach.

- Powiedz o nich teraz.

- Piękna dziewczyno, czy wiesz, ile razy myślałem, żeby to zrobić?

- Całować mnie?

- Całować cię, przytulać, pieścić twoje ciało.

Nie przesuwając dłoni, nadal tulących jej piersi, Jens przejechał kciukami tuż obok najwrażliwszego punktu.

- Ile razy?
- Pięćdziesiąt, sto, tysiąc. Tyle razy, że po nocach marzenia nie dawały mi spać.
- Ja też przez ciebie cierpię na bezsenność.
- Cieszę się.

Następny pocałunek przyjęła stając na palcach i otwierając zapraszająco usta. Gładkie języki poruszały się w tańcu głęboko, płytko, znów głęboko. Jens ugryzł Lornę w górną wargę, a potem lizał to miejsce, jakby chciał uleczyć bezbolesną ranę i znów zaczął całować. Dłonie przesunął nieznacznie ku środkowi, objął obydwie piersi i delikatnie je przytulił.

Jej oddech zamarł na jego policzku.

Jej usta, przytulone do jego, osłabły.

- Och... - szepnęła. - Och...

Lorna miała zamknięte oczy. Pieszczota Jensa była powolna i łagodna; znieruchomiał z kostkami odwróconymi na zewnątrz, jakby trzymał kulę; dawał jej czas, żeby przyzwyczała się do jego dotyku. Potem poruszył lekko kciukami.

Lorna otworzyła oczy. Między jej zębami pojawił się koniuszek języka. Jej piersi unosiły się i opadały pod jego dłońmi w rytm szybkiego oddechu. Jens rysował kciukami maleńkie kółka w miejscu, gdzie sprawiało to najwięcej przyjemności. Potem znów objął ją i przygarnął.

Powiedział w jej włosy:

- Tutaj nie jest bezpiecznie.
- W takim razie musimy spotkać się gdzieś, gdzie będziemy bezpieczni.
- Jesteś pewna?
- Tak. Już od dawna jestem pewna.
- Zaczekasz do niedzieli?
- Jeśli muszę; czuję jednak, że umrę, kiedy tylko od ciebie odejdę.
- Na południe od chaty Tima jest las. Plaża jest tam brzydka i kamienista, dlatego nikt tam nie przychodzi. Spotkajmy się tam. Pożyczę łódkę od Bena. O pierwszej?

- O pierwszej.
- Lorna?
- Tak, Jens?
- Jeśli nie chcesz, żeby stało ci się coś złego, weź bardzo ostrą szpilkę do kapelusza.

* * *

Niedziela była słoneczna. Lorna zabrała jedzenie. I koc. Ubrała się na niebiesko i przypięła kapelusz dwudziestocentymetrową, emaliowaną, świeżo wyostrzoną szpilką. Przepłynęła jezioro i na kamienistym wybrzeżu zobaczyła łódkę. Kiedy podpłynęła bliżej, spomiędzy drzew wyszedł Jens, żeby ją przywitać. Ubrany był w niedzielny czarny garnitur i czarny melonik. Lorna przez ramię przyglądała się temu strojowi. Jens stał na jednej nodze, a drugą, zgiętą, oparł o skałę.

- Witaj - zawołał.

- Dzień dobry.

Czekał, aż poda mu linę, żeby przywiązać ją do krzaczastej wierzby. Łódź szorowała dnem o kamienie. Lorna przestąpiła ławeczkę, żeby podać Jensowi koc i koszyk, na moment zatrzymała się, po czym ujęła jego wyciągniętą dłoń i wyskoczyła na brzeg. Jens przyciągnął ją do siebie i bezpiecznie postawił na nierównej ziemi.

Nie zdjął dłoni z jej talii, ani ona z jego ramion. Stali tak, porażeni swoim widokiem i świadomością, że mają mnóstwo czasu.

Lorna przyglądała się Jensowi, całkiem innemu w niedzielnym ubraniu: w marynarce, białej koszuli i czarnym krawacie. Była zaskoczona.

Jens przyglądał się Lornie, zadowolony, że włożyła tę samą spódnicę w niebieskie paski, którą miała na sobie podczas pierwszego pikniku, tę samą bluzkę z szerokimi, białymi rękawami i ten sam słomkowy kapelusz z niebieskimi wstążkami.

- Witaj - powtórzył ciszej, nieśmiało.

Lorna odpowiedziała onieśmielonym uśmiechem i bardzo cichym:

- Witaj.

Zamierzali powiedzieć sobie tak wiele, ale w tej chwili nic nie przychodziło im do głowy. Stali w prażącym słońcu, promieniejąc uczuciem.

Jens schylił się, podniósł koc i podał go Lornie. Sam wziął koszyk i chwyciwszy Lornę za rękę poprowadził w górę, tam gdzie kamienie i dziko rosnące trawy utrudniały chodzenie.

- Ostrożnie, tu jest stromo.

Po krótkiej wspinaczce dotarli na szczyt urwiska, gdzie mogli ukryć się w gęstym lesie, nie tracąc z oczu wody. Tam, pod brzozaami i klonami, rozłożyli kraciasty koc i udawali uparcie, że spotkali się, żeby zjeść razem obiad.

Rzucali sobie jednak ukradkowe spojrzenia, pełne podziwu. Jens przyłapał na tym Lornę, kiedy stawiał koszyk na kocu.

- Czy coś jest nie tak? - spytał.

- Nigdy nie widziałam ciebie w garniturze. Jens spojrzał po sobie.

- To bardzo stary garnitur. Jedyny, jaki mam.

- Ani w kapeluszu.

Jens zdjął go i stał, trzymając w rękach. Nigdy jeszcze nie miał okazji w ten sposób okazać jej uprzejmości.

- Dzisiaj jest niedziela.

- Nie zdejmuj go - powiedziała Lorna. - Podoba mi się.

- Dobrze - włożył go obiema rękami i lekko przechylił. - Specjalnie dla ciebie.

Jej spojrzenie przesunęło się z melonika na świeżo wygoloną twarz i krawat, mocno zaciśnięty pod kołnierzykiem koszuli. Marynarka, dokładnie zapięta, była jakby nieco za obcisła, a rękawy zbyt krótkie, jakby Jens urósł od czasu, kiedy ją kupił. W oczach Lorny wszystko to podkreślało tylko zachwycające proporcje jego ciała.

- Sądzę, że dama nie powinna mówić, iż widok mężczyzny zapiera jej dech w piersiach.

Jens nie mógł ukryć uśmiechu.

- Nie; wydaje mi się, że mężczyzna powinien powiedzieć to damie. - Przestał się uśmiechać i dodał: - Pani widok zapiera mi dech w piersiach, panno Lorno. Mam nadzieję, że przyjmie pani moje słowa jako komplement, kiedy powiem, że zawsze podziwiałem jej figurę w tych szerokich rękawach i wąskiej spódnicy.

- Tak? - Lorna spuściła wzrok i pociągnęła rękaw, jakby chciała go jeszcze bardziej nastroszyć. - Uznaję to za najlepszy komplement, chociaż rękawy wiecznie przycinają się w drzwiach, zbierają kurz i się gniotą. Spódnica tylko z przodu jest wąska. Z tyłu jest dość szeroka, widzisz?

Określiła się, prezentując się mu od tyłu. Kiedy znów stanęła twarzą do Jensa, była zaróżowiona.

- Piękna linia - zażartowała.

Jens nie mógł już myśleć o niczym innym, tylko o tym, że ma chęć ją całować. Wypadało jednak zacząć od zjedzenia czegoś, uprzejmej rozmowy o pogodzie, łowieniu ryb, postępach w budowie jachtu, żeby ukryć niecierpliwość.

- Zechce pani usiąść, panno Barnett? Ja też chętnie usiądę.

- Och, Boże, nie pomyślałam o tym.

Lorna uklękła i przyglądała się, jak Jens pochyla się i przyjmuje wygodną pozycję, przysiadając swobodnie na pośladku, jedną ręką podpierając się za plecami.

- Nie mogliśmy wymarzyć sobie lepszej pogody - zauważył Harken.

- Nie mogliśmy; jest pięknie.

- Mnóstwo rybaków wypłynęło na jezioro.

- Tak.

- i dużo żaglówek. -Aha!

- Przyjemnie jest chociaż na jeden dzień wyjść z szopy. Jens uznał, że zadośćuczynił już wymogom grzeczności, chociaż wiedział, że wypadło to trochę sztywno.

- Czy zjemy tutaj? - spytała Lorna.

- Tak. Co panienka przyniosła?

Lorna otworzyła koszyk i rozłożyła smakołyki na kocu.

- Kurczak na zimno, ze specjalnym ketchupem z grzybami, karczochoy w boczku, placek migdałowy i lukrowany ananas.

- Rozpieszcza mnie panienka.

- Bardzo chciałabym cię rozpieszczać. Powiedziała to, nakładając jedzenie na talerz.

- Podejrzewam jednak, że lukrowane owoce i karczochoy nie wystarczą, żeby wyleczyć cię z upodobania do ryby na zimno. To właśnie najbardziej podoba mi się w naszych wspólnych piknikach. Ja przynoszę dania egzotyczne, a ty smaczne. Uczymy się od siebie nawzajem, prawda?

Z szerokim uśmiechem Lorna podała Jensowi talerz i zaczęła nakładać dla siebie. Jens przyglądał się jej i podziwiał każdy ruch, każdy rys, delikatne paluszki, długą szyję, włosy wystające spod kapelusza, drobny wąteczek tworzący się pod brodą, kiedy opuszczała głowę.

- Czy koszyk przygotowała pani Schmitt? - spytał. -Tak.

- Co mówiła?

- Nie płacą jej za to, żeby mówiła. Poza tym ani pani Schmitt, ani ty nie macie nade mną żadnej władzy. Pożyczyłeś tę łódkę od przyjaciela?

Spojrzała mu prosto w oczy. -Tak.

- Co mu powiedziałeś?

- Prawdę. Ze chcę się spotkać z dziewczyną.

- Pytał z kim? -Wie. -Wie?

- Znalazł błękitną ostróżkę na parapecie i spytał, skąd się tam wzięła. Nie umiem kłamać.

Zapadła cisza. Dopiero po dłuższym czasie Jens podjął rozmowę:

- Chcę, żebyś wiedziała, Lorno, że jeśli ktoś nas zobaczy, jeśli powie twoim rodzicom i zechcą mnie o to spytać, powiem prawdę.

- Ja też - oznajmiła Lorna.

Spojrzenia, wymieniane nad koszykiem, bardzo wyraźnie mówiły, że odkładanie pocałunków na później staje się coraz trudniejsze.

Jens postawił talerz na trawie. Wyciągnął nad koszykiem rękę po talerz Lorny i odstawił go na bok, razem z koszykiem i blaszanymi pojemnikami. Potem zdjął kapelusz.

- Jedzenie jest świetne - powiedział - ale nie czuję się głodny.

Policzki Lorny zaróżowiły się i serce uderzyło mocniej, kiedy Jens klęknął przed nią, nie odrywając wzroku od uniesionej ku sobie twarzy. Lorna siedziała na piętach, z rękami złożonymi na kolanach. Jens chwycił ją za ramiona, gniotąc wykrochmalone rękawy, uniósł w górę, i przyciągnął do siebie. Z radością przyjęła pocałunek, tym więcej znaczący, że po raz pierwszy zaplanowany na długo zanim nadszedł ten dzień, ta godzina, ta minuta. Pragnęli go, leżąc samotnie w łózkach. Płynąc w osobnych łódkach na umówione spotkanie - pragnęli go. Teraz zaczęli jak niedoświadczeni kochankowie, gdyż Jens musiał schylić się i wsunąć głowę pod szerokie rondo kapelusza, żeby znaleźć jej usta. Tak połączeni, delikatnie pieszcząc się ustami, przywitali się naprawdę. Jens rozchylił językiem wargi Lorny i poczuł koniuszek jej języka, nieśmiało wychodzący mu na przywitanie.

Nad nimi przeleciały wrzaskliwe rybitwy. Nad talerzami bzyczały muchy. Gdzieś daleko zagwizdał parowiec.

Ziemia westchnęła. A może to tylko wiatr? Lato zadrzało, a może to tylko oni?

Kochankowie nie wiedzieli o tym i nie interesowali się tym, kiedy Jens unosił ręce, odszukiwał, a potem wyjmował szpilkę z jej kapelusza i zdejmował go z jej z głowy. Lorna w zamyśleniu sięgnęła rękami do góry, przerywając

pocałunek w chwili, kiedy jej kapelusz wylądował na trawie, obok kapelusza Jensa. Ciągle jeszcze onieśmielona, dotknęła ręką włosów sprawdzając, czy nie wysunął się jakiś nieostrożny kosmyk. Jens ujął jej twarz w obie dłonie i uniósł, żeby zajrzeć w oczy.

Tylko las był świadkiem tego, jak przyglądali się sobie i podziwiali: oczy, nosy, usta, brody, ramiona, włosy i znów oczy.

- Tak - powiedział. - Jesteś doskonała.

Opuścił głowę i otoczył Lornę ramionami, tuląc zarumienioną twarz do niedzielnej marynarki. Wreszcie byli przytuleni, połączeni ustami, dopasowani w rosnącym pożądaniu. Jens obejmował ją nisko, jakby tańczyli walca, i przyciskał do silnych bioder. Uda miał szeroko rozsunięte. Spódnica Lorny rozłożyła się wokół nich.

Kręcili się tak, że poplamili ubrania trawą: dwa źdźbła, kołysane tym samym podmuchem. Pocałunek stał się w nagłym wybuchu zniecierpliwienia dzikim ssaniem, wilgotnym i niepohamowanym.

Tulili się z całej siły. Lorna ponad jego ramieniem widziała kołyszące się gałęzie wierzby.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Jens obcym głosem pełnym pożądania.

- Ja też nie.

- Naprawdę tutaj jesteś.

- I ty naprawdę tutaj jesteś.

- Myślałem, że ten dzień nigdy nie nadejdzie, a kiedy przyszedł, bałem się, że będę czekał na próżno.

- Nie... nie... - Złożyła na jego ustach, a potem na policzku, krótkie pocałunki. - Jak mogłeś tak myśleć? Zawsze do ciebie przychodziłam, prawda?

- Wiesz, że gdybym mógł, przychodziłbym do ciebie.

- Tak, teraz wiem.

Lorna podniosła się na kolanach, przytulając do niego.

- Za każdym razem, kiedy przychodzisz do szopy, a ja podnoszę wzrok i widzę ciebie, jest tak samo.

-Jak?

- Tak. - Mocniej przycisnął jej prawą dłoń do swojej piersi.

-Tak?

Zaglądając w jego oczy, Lorna wsunęła trzy palce pod klapę marynarki i dotknęła miejsca, gdzie biło jego serce. Biała koszula była gładka, szelki szorstkie, ciało pod nimi twarde jak heban i gorące. Jego serce waliło, jakby chciało uderzyć w jej dłoń.

- Och - westchnęła - Tak jak moje... jeszcze wiele godzin po spotkaniu z tobą.

- Naprawdę? - spytał cicho, chłonąc radość, jaką dawała jej dłoń wsunięta pod jego marynarkę. - Pokaż.

Ostrożnie położył dłoń na jej sercu: duża, szorstka dłoń robotnika na wysoko zapiętym, białym batyście jej bluzki. Liczył uderzenia serca Lorny, coraz szybsze, dopasowujące się do rytmu jego serca. Widział, jak zgoda na tę pieśczętę pojawia się i pozostaje w jej oczach. Po pewnym czasie delikatnie przesunął dłoń i przykrył pełniejszą część jej piersi. Lorna zamknęła oczy i zachwiała się. W szybkich, rytmicznych oddechach napierała piersią na jego dłoń.

Pomyślała: „Och, mamó... mamó”.

Potem: „Och, Jens... Jens”.

Poczuła, że Jens przesuwa jej ciało, unosi je i kładzie na plecach.

Opadł na nią wspaniałym, cudownym, ciężarem. Jego dłoń bez przestanku ugniatała jej pierś, jego usta gniotły jej usta. Niżej jego ciało wybijało na jej ciele jakiś rytm.

Kiedy pocałunek się skończył, Lorna otworzyła oczy i zobaczyła twarz Jensa na tle zielonych liści i błękitnego nieba. Rytm wybijany niżej ustał, ale tylko na moment, by po chwili znów się rozpocząć, wolniej, i znów ustać. Nie uśmiechali się. Byli pogrążeni w napięciu zrodzonym w ciele, rozpoznawali je, zgadzali się na nie i czytali tę zgodę w swoich oczach. Jego dłoń przesunęła się niżej, badając miejsce, w które się wpatrywał.

Odszukał jej dłoń i uniósł do talii.

- Rozepnij to - szepnął i odsunął się. Klęknął, trzymając jej nogę między swymi kolanami, przyciskając spódnicę do intymnych części ciała. Usiadł na nodze Lorny i zaczął zdejmować marynarkę, kiedy dziewczyna zajęła się odpinaniem trzydziestu kilku guzików przy bluzce.

Trzydzieści kilka guzików to bardzo wiele. Jens skończył pierwszy. Rozluźnił krawat i powiedział:

- Daj, pomogę ci.

Pochylił się i kontynuował jej pracę. Jego oczy śledziły palce; ona śledziła jego spojrzenie. Kiedy doszedł do szyi, uniosła się nieco, żeby ułatwić mu zadanie. Odpiął ostatni guzik. Wahali się przez chwilę, ciężko dysząc. Jens włożył obie dłonie pod jej bluzkę i rozsunął ją, odkrywając obojczyk, szyję, biały dekolt i jeszcze bielszą koszulę na ramiączkach wykończonych koronką oraz kolejny rząd guzików.

Rozpiął je, ale nie rozsunął brzegów. Piersi pozostawały zakryte, kiedy Jens pochylił się, zamknął oczy i zaczął otwartymi ustami dotykać obojczyka... szyi... brody... Odsuwał przy tym wargi od skóry, tak że w końcu Lorna nie wiedziała czy ją całuje, czy tylko pieści oddechem. Coś rozgrzało jej podbródek i powoli przesunęło się nad lewą pierś, wiedziała, że jeśli jej tam nie dotknie, umrze.

Dotknął. Tam... Ujął jej pierś dłonią, nie odsuwając koszuli, przewrócił się na bok, pociągając ją za sobą, i wsunął rękę między ciało Lorny a ziemię. Jej pierś była pełna, ciężka i twarda. Trzymał ją przez chwilę w dłoni jak gruszkę, a potem zaczął dotykać przez białą bawełnę jej sterczącego czubka. Nagle przestał, żeby zsunąć ramiączko koszuli i wystawić jedną pierś na światło i swoje zakochane spojrzenie. Brodawka była koloru miedzi i sterczała jak klejnot na wysokiej górze.

- Mama powiedziała... - szepnęła Lorna, nie otwierając oczu. Porzuciła ten temat, bo wilgotne usta Jensa uniemożliwiły rozsądne myślenie i przemieniły jej pierś w coś wspaniałego, pełnego życia, ciepła i pragnienia. Tam wzię-

ła źródło jakaś rzeka, jakiś blask, musujący potok biegnący głęboko w jej ciało.

Potem koszula opadła jej do pasa, a rozchylone usta Jensa zostawiły tę podnieconą pierś, żeby zająć się drugą. Lorna wyciągnęła do niego ramiona.

- Och - szepnęła, rozczesując palcami jego włosy - to jest złe, prawda, Jens?

Jens uniósł głowę.

- Niektórzy tak mówią. Czy czujesz, żeby to było złe?

- Nie, och, nie... Jeszcze nigdy tak się nie czułam.

- Matka ostrzegła cię przed tym; to chciałaś powiedzieć?

- Nic nie mów. Proszę... nie....

Lorna wplotła palce w gęste, jasne włosy. Twarz Jensa pochylała się nad nią. Lorna kciukami przejechała po opuszkach jego uszu i delikatnie przyciągnęła jego głowę. Potem wszystko zaczęło się od nowa: żar, pocałunki, wilgoć i pocieranie prowadzące do frustracji, niezrozumiałej dla Lorny. Jens jednak rozumiał. Kiedy nie mógł tego dłużej wytrzymać, jęknął: - Lorna, musimy przestać - i nagle stoczył się z niej.

Leżał, szybko dysząc i zakrywając ręką oczy.

- Dlaczego?

- Cicho - powiedział i mocno chwycił ją przez spódnicę, za udo. - Cicho.

Lorna odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, ale Jens nadal zasłaniał oczy. Popatrzyła więc na drzewa i starała się uspokoić nierówny oddech. Cały czas czuła jego dłoń na swoim udzie. Gdzieś w lesie hałasowały wiewiórki. Obok niej piersi Jensa unosiły się w gwałtownym, szarpanym rytmie, jakby miał wysoką gorączkę. Jego ręka na udzie zaczęła się poruszać w górę i w dół, tak że halka, spódnica i pantalony ocierały się o jej tajemne miejsce, budząc dziwne odczucia. Czy to jest pieszczota? Ten mocny uścisk, ten ruch najpierw w górę i w dół, potem na boki, wkręcający się w nią?

Lorna nie miała pojęcia co robić, mówić, myśleć. Leżała tak spokojnie, jakby spała, a wszystkie uczucia zbiegały się w tym jednym, nabrzmiałym miejscu, pod palcami Jensa.

„Muszę iść” - pomyślała Lorna, ale zanim zdążyła to powiedzieć, Jens zabrał rękę. Przez pewien czas leżał bez ruchu. W końcu odwrócił głowę i Lorna poczuła, że przygląda się jej. Skoncentrowała się na liściach w górze, delikatnych, ząbkowanych, poruszających się, zachodzących na siebie, tworzących zmieniające się wzory na błękitnym tle nieba. Minęło sporo czasu, zanim Jens się odezwał. Lorna miała wrażenie, że przedtem poważnie o czymś myślał.

- Czy wiesz, do czego to prowadzi, Lorno?

- Do czego prowadzi?

Bała się spojrzeć na niego, od kiedy ją tak dotknął.

- Nie wiesz?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Ciotka Henrietta mówi o szpilce do kapelusza. Czy wiesz, co ma na myśli?

Lorna nie wiedziała, co powiedzieć.

- Podejrzewam, że matka ostrzegła cię przed tym złem.

- Nie mówiła, że to jest złe.

- Co mówiła?

Jens znów nie otrzymał odpowiedzi. Ujął Lornę pod brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

- Powiedz, co ci mówiła.

- Ze mężczyźni będą chcieli mnie dotykać i że muszę wtedy szybko wracać do domu.

- Miała rację, wiesz? Powinnaś teraz uciekać do domu.

- Chcesz, żebym poszła?

- Nie. Mówię tylko, że tak byłoby dla ciebie najlepiej. Ja chcę, żebyś została ze mną tak długo, jak możesz.

- Och, Jens, nic nie rozumiem.

- Jeszcze nigdy tego nie robiłaś?

Lorna zaczerwieniła się i chciała usiąść, ale Jens przytrzymał ją.

- A więc robiłaś to! - powiedział ze zdziwieniem, pochylając się nad nią, żeby zajrzeć jej w oczy. - Z tym DuValem?
- Jens, chcę usiąść.
- Najpierw odpowiedz. Robiłaś to z DuValem? Zmuszona spojrzeć mu w oczy, Lorna nie potrafiła kłamać.
- Tylko trochę.
- Trochę?

Znalazła w sobie odrobinę odwagi.

- Robiłam to.
 - Całował cię w to miejsce, tak jak ja?
 - Nie, tylko... wiesz... dotykał mnie, jakby... jak ty w szopie.
 - Dotykał cię.
 - Ale ja zawsze robiłam to, co kazała mama: szybko wracałam do domu.
 - Bardzo mądrze.
 - Co się stało, Jens? Nie powinnam tego z tobą robić i teraz gniewasz się na mnie, tak?
 - Nie gniewam się na ciebie. Wstań. Wziął ją za ręce i pomógł usiąść.
 - Nie gniewam się, ale już czas, żebyśmy się ubrali. Pierwszy raz Lorna poczuła się winna. Zwiesiła głowę, podciągnęła ramiączka i okryła się. Jens widział to i ulitował się nad nią. Wyprostował zwinięte ramiączko i odsunął się, patrząc jak Lorna zapina trzydzieści trzy guziki. Policzył je. Uniósł opuszczoną brodę i pocałował Lornę w usta.
 - Nie bądź smutna. Nie zrobiłaś nic złego.
- Jego słowa nie starły smutku z jej twarzy. Patrzyła w ziemię, kiedy Jens gładził drobne loczki na jej czole.
- Fryzura ci się rozpadła. Masz grzebień?
 - Nie - powiedziała do swoich kolan Lorna.
 - Ja mam. - Jens wyciągnął grzebień z kieszeni. - Proszę.

- Nie spojrzała na niego, kiedy szukała na kocu zgubionych szpilek i zaczesywała włosy. Gdy kok był gotowy, oddała grzebień.

- Dziękuję - powiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszał. Wziął jej kapelusz, spojrzał na szpilkę i zastanawiał się, co zrobić, żeby znów była szczęśliwa.

- Może teraz coś zjemy? - spytał.

- Nie jestem głodna.

- Ja jestem - odparł Jens. Zrobiłby wszystko, żeby tylko znów się uśmiechnęła.

- Dobrze.

Posłusznie odwróciła się, żeby wziąć talerze. Po jedzeniu biegały mrówki. Ku swojemu przerażeniu Lorna poczuła, że oczy ma pełne łez. Odwróciła głowę, żeby je ukryć i starając się zapanować nad głosem powiedziała:

-Obawiam się, że jedzenie nie nadaje... się... Mrówki są... - próbowała jeszcze coś powiedzieć - wszę...

Łzy nie przestawały napływać jej do oczu. Lorna poczuła nagły skurcz w gardle. Zaczęła spazmatycznie szlochać i pochyliła się, rzucając talerze na ziemię. Potem sama opadła na trawę. Jens natychmiast przyklęknął i wziął ją w ramiona.

- Lorno, co się stało? Nie płacz, moja słodka, nie płacz... bo serce mi pęknie.

Przytuliła się do jego szyi.

- Och, Boże, Boże, Jens, kocham cię. Jens zamknął oczy. Przycisnął ją do piersi.

- Kocham cię tak ba... bardzo, że n... nic innego się nie liczy, tylko ty, żeby by... być z tobą. Och, Jens, co teraz będę... będzie?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Aż do tej chwili nie potrzebował odpowiedzi, ponieważ nie rozmawiali o tym. Teraz zabawa się skończyła.

- Pomyśleć tylko, że kiedy wiosną przyjechałam do tego do... domu, nie miałam pojęcia, że istniejesz, a teraz jesteś dla mnie najważniejszy.

- Gdybyśmy teraz przestali...

- Nie! Nie mów tak! Jak mam przestać, skoro nic innego nie ma znaczenia? Od kiedy cię poznałam, naprawdę zaczęłam żyć. Każdego ranka pierwsza moja myśl dotyczy ciebie; każdy dzień kończy się pragnieniem ciebie. Kiedy leżę w swojej sypialni i myślę o tobie śpiącym tam, na górze, wyobrażam sobie, że zakradam się po schodach dla służby i szukam twojego pokoju.

- Nie! Nie wolno ci tego zrobić, nigdy! - Odsunął się i chwycił ją mocno za rękę. - Obiecuj!

- Nie obiecuję. Kocham cię. Czy ty mnie kochasz, Jens? Wiem, że kochasz. Widziałam to w twoich oczach setki razy, ale nie powiesz mi tego, prawda?

- Myślałem... że jeśli tego nie powiem, będzie łatwiej.

- Nie, nie będzie łatwiej. Powiedz to. Jeśli to czujesz, powiedz. Daj mi chociaż tyle.

Jej prośba zawisła między nimi, aż wreszcie Jens, pokonany, powiedział:

- Kocham cię, Lorno.

Przysunęła się do niego i przytuliła, jakby nigdy nie miała wypuścić go z objęć.

- Teraz jestem szczęśliwa. Przynajmniej przez chwilę. Wydaje mi się, że od początku podejrzewałam, że tak się może stać. Od pierwszej chwili, kiedy weszłam do kuchni i spytałam, kto sprowokował ojca. Kiedy powiedziałeś, że włożyłeś karteczkę do lodów ojca, obudził się we mnie podziw.

- Przekłęta karteczka - mruknął Jens.

- Nie - szepnęła Lorna. - Nie. Tak musiało być, musiało. Nie czujesz tego?

Przez chwilę milczeli, tuląc się do siebie, ale Jens wiedział, że czeka ich tylko smutek. Odsunął się, lekko przytrzymując ją za rękę. Kciukami gładził kostki na jej dłoniach.

- A co z tym DuValem? - spytał. - Co z zegarkiem, który od niego dostałaś, co z twoimi rodzicami, którzy chcą, że

byś wyszła za niego? Co z tym, że jestem tylko pomocnikiem kucharki?

- Nie! Nie, Jensie Harken! Budujesz łódzie i pewnego dnia będziesz miał własną stocznię, a ludzie z całej Ameryki będą u ciebie zamawiali jachty. Sam mi mówiłeś.

Położył dłoń na jej policzku.

- Ach Lorno, Lorno... - westchnął. Spojrzał na las i umilkł. Minęła długa chwila.

Lorna przerwała to smutne milczenie pytaniem:

- Kiedy znów się spotkamy?

Zdawało się, że Jens wraca myślami z bardzo daleka. Patrzył na jej stopy. Potem z czułością zajrzał jej w oczy.

- Pomyśl tylko. Pomyśl, czy naprawdę tego chcesz; pomyśl, ile razy będziesz płakała, jeśli będziemy się widywali; ile razy będziesz oszukiwała i kłamała, Czy chcesz tego, Lorno?

Oczywiście, że nie chciała. Wyczytał to z jej oczu.

- Powiedziałaś, że nie będziesz kłamał - przypomniała.

- Tak mówiłem.

Wiedzieli obydwójce, że skłamią, jeśli będzie to konieczne. Obydwójce byli z tego niezadowoleni.

- Jest późno - powiedział Jens. - Musisz wracać. Łzy znów załśniły w jej oczach.

- Tak - szepnęła.

- Chodź, pomogę ci sprzątnąć jedzenie.

Na klęczkach wyrzucali smakołyki na trawę, składali talerze i w smutnym milczeniu trzepali koc. On wziął koszyk, ona koc i ruszyli ścieżką w dół. Jens włożył rzeczy do łódki, odwiązał sznur i odwrócił się. Stanęli na kamieniach twarzą w twarz.

- Nawet nie spytałam, jak idzie z budową - powiedziała Lorna.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Wkrótce będę parował wręgi.

- Mogę przyjść?

Jens uniósł twarz ku niebu i zamknął oczy.

- Dobrze, nie przyjdę - poddała się Lorna. - Powiedz mi

tylko jeszcze raz, że mnie kochasz. Chcę to dobrze zapamiętać.

Najpierw ją pocałował. Ujął jej twarz w obie dłonie i mocno przycisnął usta do jej ust, usiłując tym pocałunkiem wyrazić ból, którego doświadczał.

- Kocham cię - powiedział, a potem patrzył, jak Lorna, z oczyma pełnymi łez, odpływa.

Rozdział 9

Po powrocie z tajemnej schadzki z Jensem Lorna ucieszyła się, że jest niedziela. Nie trzeba będzie spotykać się z rodzicami przy stole. Zresztą i tak nie czuła głodu, więc godzinę kolacji spędziła we własnym pokoju, wypisując na kartce imię Jensa w ornamencie z róż, wstążek i niezapominajek. Zanurzyła pióro w atramencie, żeby dodać jeszcze dziecięcia. Ptaszek miał dopiero jedno skrzydło, kiedy Lorna rzuciła pióro, ukryła twarz w dłoniach i łokciami mocno oparła się o toaletkę.

Czy Jens nie chce się z nią więcej widywać? Czy o to mu chodziło, kiedy mówił: „Pomyśl tylko.... Pomyśl, ile razy będziesz płakała, jeśli będziemy się widywali; ile razy będziesz oszukiwała i kłamała”?

Lorna była bliska płaczu.

A więc to jest miłość: ból, samotne cierpienie. Nie spodziewała się, że miłość zmieni wszystko; że jej życie już, wydawać by się mogło, do końca niemal zorganizowane i ułożone, całkowicie się wywróci; że jej radosne usposobienie spowije szarość.

Znów napisała jego imię, ale tym razem obramowała je kwiatami z opuszczonymi główkami. Potem dorysowała kwiatkom zapłakane twarze. Wtedy schowała rysunki do pudła na kapelusze i zamknęła je.

Niespokojnie błądziła po domu. Siostry przeglądały swoje zeszyty z wycinkami z gazet. Theron położył się. Gideon palił cygaro na werandzie z tyłu domu. Levinia i Henrietta

były zajęte grą w trik-traka. Wpatrzone w planszę, nie podniosły nawet wzroku, kiedy Lorna stanęła w drzwiach saloniku. Przez chwilę przyglądała się im, ale stwierdziła, że najwyraźniej interesują je tylko posunięcia przeciwnika, wróciła więc na górę i cicho zapukała do drzwi ciotki Agnes.

Agnes powiedziała: - Proszę - i położyła książkę, którą czytała, na łóżku, grzbietem do góry. Lorna weszła do pokoju i zastała ciotkę opartą na poduszkach, przykrytą narzutą.

- Co ciocia czyta?

- Jedną z moich ulubionych książek od Harpera. Nosi tytuł „Anna”.

- Może nie powinnam przeszkadzać.

- Wielkie nieba, nie opowiadaj głupstw. Czytałam to już ze sto razy. Ach, wyglądasz jak niechciany piesek. Chodź do mnie, dziecko.

Agnes wyciągnęła rękę i Lorna rzuciła się na jej łóżko, szukając schronienia.

- Powiedz starej ciotce, co się stało?

-Och... nic. Wszystko. Dorastam, słucham mamy, jest cichy, niedzielny wieczór.

- Ach, tak. Nam, samotnym kobietom, niedzielne wieczory wydają się długie. Gdzie jest ten twój młodzieniec?

Dlaczego nie robicie czegoś razem?

- Taylor? Och, nie wiem. Dzisiaj na nic nie mam ochoty.

- Posprzeczaliście się? Czy dlatego jesteś taka smutna?

- Nie, nie o to chodzi.

- A co robią twoje siostry, Phoebe? Gdzie one są?

- Nie mam ochoty na ich towarzystwo.

Agnes przyjęła tę odpowiedź i przestała zadawać pytania. Za oknami zapadł już zmierzch. Lorna leżała zwinięta w kłębek. Otaczał ją niosący pociechę zapach fiołków i kamfory.

Po pewnym czasie odezwała się:

- Ciociu Agnes? -Mhm?

- Opowiedz mi o sobie i o kapitanie Dearsleyu... Jak to było, kiedy zakochaliście się w sobie?

Staruszka opowiedziała o mężczyźnie w białym mundurze z kołyszającymi się, zdobionymi złotem epoletami, o balu dla wojskowych i o zakochanej kobiecie. Kiedy skończyła, Lorna leżała jak przedtem, wpatrzona w róże i wstążki na tapecie.

- Ciociu Agnes... Czy będąc z nim odczuwałaś pokusę? Agnes pomyślała: „Ach, więc o to chodzi”. Mądrze zachowała tę myśl dla siebie.

Powiedziała:

- Pokusa leży w naturze miłości.

- Czy on też odczuwał pokusę?

- Tak, Lorno; jestem tego pewna.

Przez chwilę milczały. Wreszcie odezwała się Lorna:

- Przed czym właściwie ostrzega mnie ciotka Henrietta, kiedy każe mi nosić szpilkę od kapelusza?

Ciotka Agnes wahała się przez kilka sekund, zanim powiedziała:

- Pytałaś o to swoją matkę?

- Nie. Nie odpowiedziałyby mi szczerze.

- Czy twój młody człowiek zalecał się do ciebie?

- Tak - szepnęła Lorna.

- Czy to było... bardzo intymne? -Tak.

- A więc wiesz. - Ciotka Agnes mocniej przytuliła bratanicę. - Och, Lorno, kochanie, uważaj na siebie. Bądź bardzo ostrożna. Kobiety, które robią te rzeczy z mężczyznami, są zhańbione.

- Ale ja go kocham, ciociu Agnes.

- Wiem, wiem. - Agnes przymknęła oczy i pocałowała włosy Lorny. - Ja też kochałam kapitana Dearsleya. Miałam te same problemy, co ty teraz, ale trzeba poczekać do ślubu; potem nie będą was krępowały żadne zakazy. Będziecie mogli bez wstydu dzielić ze sobą łożę i będziecie mieli z tego wiele radości.

Lorna uniosła twarz i pocałowała ciotkę w policzek. Był wiotki i miękki.

- Kocham cię, ciociu Agnes. Jesteś jedyną osobą w tym domu, z którą mogę porozmawiać.

- Ja też ciebie kocham, dziecko. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ty również jesteś w tym domu jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać. Inni uważają, że jestem bardziej natrętna od muchy, a to tylko dlatego, że lubię swoje wspomnienia. Cóż mi jednak zostało? Ciągłe reprimendy ze strony twojej matki, nieustanne poniżanie przez Henriettę i twojego ojca... Jestem mu wdzięczna, że dał mi dom, ale traktuje mnie jak idiotkę. W żadnej istotnej sprawie nie spyta mnie o zdanie. Ty masz coś cenniejszego niż to, co zapewniają pieniądze, władza i wysoka pozycja społeczna. Masz miłość wielu ludzi. Zależy ci na nich i dlatego jesteś taka niezwykła. Wiele razy dziękowałam Bogu za to, że jesteś w tym domu. A teraz... Zdaje mi się, że słyszę moją siostrę. Będzie miała coś nieprzyjemnego do powiedzenia, kiedy zobaczy, że gnieciesz pościel po jej stronie łóżka. Lepiej wstań.

Ciotka Henrietta weszła jednak, zanim Lorna zdążyła się podnieść.

- Wydaje mi się, młoda osobo, że powinnaś mieć więcej oleju w głowie i nie wchodzić na czyjeś łóżko w butach

-powiedziała zgryźliwie - a ty, Agnes, nie powinnaś jej na to pozwolić.

Pragnąc zrekompensować jakoś Agnes gburowate słowa Henrietty, Lorna wyciągnęła się na łóżku i pocałowała ciotkę w policzek.

- Kocham cię - szepnęła.

Mijając drugą ciotkę, która minę miała taką, jakby chciała wypluć połkniętego przypadkiem konika polnego, powiedziała sucho:

- Dobranoc, ciociu Henrietto.

* * *

Na poniedziałek Levinia zaplanowała mecz krykieta. Wszystko ustalono dwa tygodnie wcześniej, więc Lorna nie mogła się wymówić. Matka zaprosiła młodzież na wieczór.

-Krykiet o szóstej, a potem, o zmierzchu, kolacja na trawie.

Wieczorem, kiedy przyszli goście, trawnik, na który padał cień domu, wyglądał jak pluszowy. Na jego szmaragdowym tle spodnie mężczyzn i spódnice kobiet wydawały się bledsze i jakoś bogatsze. Nawet białe bramki i słupki wyglądały ładnie. Na południowej stronie trawnika ustawiono czteroosobowe stoły. Przykryto je starymi, koronkowymi obrusami i ozdobiono bukietami różowych róż i białych orchidei. Na każdym stole stała też lampa ze szklaną bańką. Lorna, jak wszystkie panie, miała na głowie kapelusz: nowy, biały, owinięty mnóstwem tiulu, który wyglądał na dzieło tysięcy pajaków; w tej mgiełce kryły się trzy róże, dopasowane do sukienki.

Wczorajszy smutny nastrój minął i Lorna była nawet zadowolona z krykieta. Zaproszono kilkoro młodych ludzi: Jenny oraz Sissy Tufts i Betsy Whiting, jej przyjaciółki. Byli też Jackson Lawless i Taylor DuVal oraz Phoebe z młodszym bratem, Mitchem. W sumie zebrało się szesnaście osób, podzielonych na dwa zespoły. Mitch znalazł się w zespole Lorny i od początku zaczął z nią flirtować. Zapraszał ją na wspólne żeglowanie, zanim wróci do szkoły w mieście. Śmiejąc się, odmawiała mu po raz trzeci, a wtedy on uderzył swoją piłkę w niebieskie paseczki z taką siłą, że wpadła z impetem na piłkę Lorny, w czerwone paski. Pusząc się i uśmiechając złośliwie, Mitch przyjrzał się piłce Lorny.

-Tak... Mogę okazać wspaniałomyślność i zostawić cię w spokoju... Albo mogę odesłać cię w niebyt. Co zrobić?

- Mitch, nie zrobisz tego!

- Dlaczego? Gdybyś była miła i zgodziła się popływać ze mną, może zlitowałbym się nad tobą.

- Mitch, proszę... - zaczęła błagać Lorna. - Zobacz, masz tak blisko do tej bramki i dwa wolne strzały. Miniesz tę bramkę i będziesz w połowie drogi do następnej!

On jednak ustawił się tak, żeby zniszczyć piłkę Lorny. Popchnęła go, aż się zachwiał, i z kolei on odepchnął ją, żeby dostać się do jej piłki. Zaczęła się żartobliwa przepychanka.

- Drań! - złościła się Lorna.

Taylor zawołał z drugiej strony boiska:

- Lorna, czy on chce cię wyrzucić?

- Tak sędzę! Pobijesz go za to?

- Ruszamy. - Mitch poprawił ułożenie piłek. Swoją przytrzymał nogą, a piłkę w czerwone paski posłał w żywopłot okalający ogród.

Lorna odwróciła się, śledząc ją wzrokiem.

- Mitch, ty brutalu. Zobaczysz...

Słowa zamarzy jej w gardle. Skrajem ogrodu, do którego nie miał prawa wstępu, szedł ku niej Jens Harken. Był w roboczym ubraniu, kolana miał w trocinach, a rękawy koszuli podwinięte do łokci. Na widok Lorny stanął. Zapatrzyli się na siebie jak zaczarowani.

Taylor zbliżył się do Mitchella i wymierzył mu kilka ciosów na niby, po czym podszedł od tyłu do Lorny i położył rękę na jej ramieniu.

- Załatwiłem go - powiedział.

Lorna nie miała złudzeń co do tego, jak ta scena wygląda w oczach Jensa: rozpieszczona, bogata dziewczyna zabawia się z rówieśnikami na boisku do krykieta. Za nimi ustawiono już stoły ozdobione koronkami i kwiatami. W odpowiedniej chwili służba ustawi na nich wymyślny posiłek. Wówczas młodzi mężczyźni w białych lnianych garniturach posadzą damy w kosztownych kapeluszach i sukniach przy stołach, oświetlonych blaskiem lamp. W tym wykwintnym otoczeniu bawi się ona, kobieta, która jeszcze wczoraj wyznawała miłość Jensowi Harkenowi, a teraz ma na piersi złoty zegarek i stoi wśród rozbawionych błaznów, z których ten, który

odziedziczy cztery młyny, jest przez jej rodziców mile widziany w roli zięcia.

Patrząc na Jensa w słabnącym świetle letniego wieczoru, Lorna miała ochotę rzucić młotek i pobiec do niego, żeby wszystko wyjaśnić: To, co widziałaś, nie ma większego znaczenia. Tak żyję, ale nie pragnę takiego życia. Wolałabym być z tobą w szopie, gdzie budujesz łódź, a nie na urządzonym przez mamę wieczorku. Wolałabym patrzeć, jak twoje dłonie kształtują drewno, niż trzymać drewniany młotek w swojej ręce i popychać po trawie idiotyczną piłęczkę.

- Lorna? - odezwał się za nią Taylor, ściskając ją za ramię. - Zdaje mi się, że teraz twoja kolej.

Lorna zerknęła do tyłu i zobaczyła, że Taylor wpatruje się w Jensa, odchodzącego już ku domowi. Ktoś z drugiego pola zawołał:

- Hej, DuVal, co ty tam robisz? Grasz przecież na tym boisku!

- Tak, Taylor, wracaj do nas!

- Lorna? - spytał Taylor, krzywiąc się. - Czy coś się stało?

- Nie! - odparła radośnie, pragnąc tylko, żeby już sobie poszedł, żeby zdjął rękę z jej ramienia i przestał się jej przyglądać. - Teraz będę musiała szukać piłki w żywopłocie; to wszystko.

Poruszyła ramieniem, żeby strącić jego rękę i dodała z nieszczerą wesołością:

- Dziękuję, że stanąłeś w mojej obronie.

Kto obroni ją przed Jensem Harkenem? Kto mu powie, że pobiegła do żywopłotu po to, żeby ukryć łzy lśniące w jej oczach? Jens pomyśli - i nie bez powodu - że Lorna wypróbowuje swoje kobiece sztuczki na dwóch mężczyznach jednocześnie. A nawet na trzech, ponieważ jest jeszcze o dwa lata młodszy od niej Mitchell Armfield, z którym Lorna szarpała się, kiedy Jens szedł przez ogród. Dlaczego Jens nie miałby odnieść wrażenia, że Lorna jest

zajęta flirtowaniem? Co więcej: dlaczego ubogi, zmagający się z życiem rzemieślnik budujący łodzie miałby uwierzyć, że kobieta prowadząca wygodne życie uważa flirtowanie za niestosowne?

- Kolacja! Wszyscy na kolację! - Na trawniku pojawiła się Levinia, wymachując chusteczką. - Musicie skończyć grę. Za nią stał Gideon. Wetknąwszy palce wskazujące i kciuki w kieszenie marynarki obserwował młodych ludzi. Na stołach zapalono lampy. Kryształowe kieliszki odbijały ich światło, przez co wyglądały, jak gwiazdy, które spadły na ziemię.

- Chodźcie!

Taylor stanął za Lorną, ujął jej łokieć i przycisnął mocno do swoich żeber.

- Chodźcie - przedrzeźniał Levinę, wyjmując Lornie z ręki młotek. - Odłóż młotek i chodź na kolację z człowiekiem, który uważa cię za najpiękniejszą dziewczynę na boisku. Chyba że zamierzałaś usiąść z Mitchellem Armfiel-dem, który, jeśli tego jeszcze nie zauważyłaś, jest kompletnym żółtodziobem.

* * *

W nocy sen nie chciał nadejść. Lorna czuła, że winna jest Jensowi wyjaśnienie i przeprosiny. Wieczory były już chłodniejsze i pachniały chryzantemami, zwiastunami jesieni. Wkrótce nadejdzie wrzesień, zimne noce, potem mróz, niosący ze sobą zagrożenie pęknięcia rur z wodą, i rodzina będzie musiała wracać na zimę do Saint Paul. Oni wrócą do domu przy Summit Avenue, a Jens Harken zostanie tutaj, żeby dokończyć łódź. Co będzie dalej? Czy ta letnia randka pozostanie tylko wspomnieniem, o którym Lorna chciałaby zapomnieć? A może pozostanie tajną schadzka nierozważnej, młodej dziewczyny z samotnym imigrantem; spotkaniem, które przyniosło im tylko chwilę zapomnienia i przyjemności?

Lorna czuła, że ich spotkanie było czymś więcej. Czuła, że się kochają.

* * *

Następnego ranka, zaraz po śniadaniu, Lorna skierowała swe kroki do szopy. Zanim tam doszła, poczuła zapach drewna tak silny, że jej ubrania z pewnością zdążą nim nasiąknąć, zanim wróci do domu. Kiedy stanęła w drzwiach, zobaczyła skąd bierze się ten zapach: Jens zmontował pojemnik na parę, żeby nagiąć wręgi do takiego kształtu, jak na szablonie. Pod pojemnikiem palił się ogień, a z rurek unosiły się, z króciutkimi przerwami, małe obłoczki pary. Za pojemnikiem na parę stał, przyglądając się tej operacji, ojciec Lorny. Obok niego Lorna zauważyła Bena Jonsona, którego widziała na łódce z Jensem. Na życzenie klubu oraz dla wszystkich gazet, które mogą okazać zainteresowanie, całe to wydarzenie uwieczniał na fotografiach Tim Iversen.

Gideon zauważył Lornę w tej samej chwili, kiedy ona zauważyła jego.

- Lorna? Co ty tu robisz?

- Przyszłam zobaczyć, jak idzie praca. W końcu gdyby nie ja, nie byłoby tej łodzi. Dzień dobry, panie Iversen. Dzień dobry, panie Harken.

Lorna odziedziczyła po Gideonie zdecydowanie i upór: weszła do szopy tak spokojnie, jakby spodziewała się, że zostanie tam ojca.

- Mam wrażenie, że nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać - powiedziała do Jonsona. - Jestem Lorna Barnett, córka Gideona.

Mężczyzna zdjął z głowy beret.

- Ben Jonson. Miło panią poznać, panno Barnett.

- Pan pracuje dla mojego ojca?

- Niezupełnie. Pracuję w składzie drewna, ale pod koniec sezonu robi się u nas pusto, więc pomogę Jensowi przy naginaniu wręgów.

- Mam nadzieję, że nie będę przeszkadzała. Chciałabym popatrzeć.

- Ani trochę.

Gideon przerwał tę rozmowę:

- Czy twoja matka wie, że tutaj jesteś?

- Nie sędzę.

Jej oczy mówiły: „Tato, czy nie zauważyłeś, że mam osiemnaście lat?”

- To jest męska praca, Lorno. Wracaj do domu.

- i co mam tam robić? Suszyć kwiatki? Z całym szacunkiem, tato, ale czy ty chciałbyś siedzieć w domu, kiedy tutaj, w naszej szopie, powstaje łódź, która może zmienić historię yachtingu? Proszę, pozwól mi zostać.

Do rozmowy wtrącił się Tim:

- Czy zanim się zdecydujesz, Gid, mogę zrobić zdjęcie? Aparat jest gotowy.

Tim podszedł do trójnoga i kaptura.

- W annałach White Bear Yacht Club ten dzień może okazać się jednym z najważniejszych: budowniczy łodzi, jej właściciel i córka właściciela, przekonani do pomysłu, który okaże się genialny. Nie zapominaj, Gid, że byłem z wami, kiedy o tym rozmawialiście.

- Dobrze, zrób to piekielne zdjęcie, byle szybko. Muszę zdążyć na pociąg.

Tim zrobił to piekielne zdjęcie i jeszcze wiele innych, a Gideon Barnett zapomniał o pociągu, ponieważ właśnie rozpoczęło się naginanie, fascynujące go nie mniej niż jego córkę. Jens przygotował pojemnik na parę z szerokiej, metalowej rury, z jednej strony zatkaną drewnianą zatyczką, z drugiej zaś szmatami. Para wydobywała się z podgrzewanego zbiornika z wodą. Woda szumiała, rozpraszając chłód poranka.

- Godzina w parze wystarczy, żeby struktura drzewa rozluźniła się na tyle, że można je będzie wyginać - tłumaczył Jens. - Kiedy wyjmę z pojemnika biały dąb, będzie miękki jak makaron, ale tylko przez chwilę. Dlatego potrzebuję

pomocy Bena. Model, jak panowie widzicie, jest już gotowy... Nacięcia we wzdluznikach tez.

Nacięcia byly trzy, o wydłużonym kształcie.

- Stępka i wzdluzniki są na miejscu. Teraz trzeba przygotowac wręgi. Jak myślisz, Ben, czy możemy już zabawić się gorącym towarem?

Obydwaj mężczyźni wlozyli rękawice. Jens wyjął szmatę z rury. Buchnęła z niej chmura wonnej pary. Kiedy tylko dało się coś widziec, Jens wyciągnął z rury dlugi kawałek białego dębu. Rzeczywiście był tak miękki, jak ugotowana kluska. Ben schwycił za jeden koniec, a Jens za drugi. Szybko pobiegli dopasowywac drewno do kształtu łodzi, od jednego końca wzdluznika do drugiego, wciskając listwę w trzy, przygotowane zawczasu, nacięcia.

- Uuu, ale gorące!

Dopasowali drewno i przybili je gwoździami na wcięciach. Pomagając sobie kolanami, zagięli je na wzdluzniku wantowym, ręcznymi piłami oderzneli zbędne kawalki i przybili wręg do pokładnika. Wszystko to zajęło im zaledwie kilka minut.

- Kiedy wszystkie wręgi znajdą się na swoim miejscu, linia będzie widoczna prawie tak dobrze, jak na gotowej łodzi i zapewniam pana, panie Barnett, że ta będzie najpiękniejsza ze wszystkich. Następny wręg - oznajmił Jens, wyjmując drugą listwę z rury. Przyłożył ją do szablonu i wszystko zaczęło się od nowa: dopasowywanie, przycinanie, przybijanie. Co piętnaście centymetrów to samo: dopasowywanie, przycinanie, przybijanie. Rękawice mieli mokre, więc ostrożnie dotykali gorących wręgów. Czasem krzyczeli. Czasem dmuchali na poparzone palce. Wkrótce również kolana mieli mokre i poparzone.

Lorna przyglądała się, zafascynowana, jak łódź nabiera wyraźnych kształtów. Patrzyła, jak mężczyzna, którego kocha, ściga zębami rękawice, uderza młotkiem, chwytą piłę, poci się, sunąc wzdluz szablonu, pozostawiając za sobą pachnący szkielet. Z przyjemnością przyglądała się jego pracy,

zwinnym i zręcznym ruchom, harmonijnej współpracy z Jonsonem. Mężczyźni dopasowywali swoje ruchy, aż wreszcie obydwaj równocześnie kończyli pracę nad wręgiem. Kiedy odsuwali się, żeby spojrzeć na świeżo położony element, wymieniali spojrzenia pełne zadowolenia i uznania.

Potem Jens kucnął wewnątrz łodzi i przyglądał się śnieżnobiałym wręgom pod różnym kątem. Chodził z końca w koniec i spoglądał to z jednej strony, to z drugiej; teraz Lorna lepiej rozumiała, po co rysował tyle kropek na podłodze. Ich dokładność przełożyła się teraz na trójwymiarową bryłę.

- Tak, jest dobrze wymodelowana - mruzczał Jens, bardziej do siebie niż do innych.

Nie minęły dwie godziny, a szkielec był gotowy. Gideon Barnett cały czas przyglądał się pracy. Tim Iversen zrobił wiele zdjęć. Lorna Barnett przyglądała się temu, cały czas czekając, aż Jens Harken w jakiś sposób ją zauważy.

Jens odszedł w drugi koniec pomieszczenia i wrócił z długą listwą. Jonson przyłożył jej koniec z jednej strony modelu, a Harken drugi z drugiej.

- Tak będzie wyglądała - powiedział do Barnetta. - Niewiele znajdzie się pod wodą, widzi pan?

- Niewiele - zgodził się Barnett. - Pozostaje pytanie, czy nie przechyli się i nie zatonie.

Harken odwrócił się. W jego głosie słychać było nutę wyższości:

- A jak pan sądzi?

Barnett ugryzł się w język. Im dłużej przyglądał się Harkenowi, tym łatwiej przychodziło mu uwierzyć w to, w co wierzy ten zuchwały młodzieniec: że przy tej łodzi wszystkie inne będą wyglądały jak albatrosy. Iversen wyjął z ust fajkę i powiedział, nie patrząc na nikogo:

- Jak chcesz ją nazwać, Gid? Gideon spojrzał w zdrowe oko Tima.

- Nie wiem. Coś szybkiego. Może „Foka”. Albo „Burza”?

- A może.... - Tim zerknął na Lornę, potem na Gideona - na przykład imię Lorny, która przed tobą uwierzyła w tę łódź? Sądzę, że dobrze byłoby nazwać jacht imieniem twojej córki. Jakie jest twoje drugie imię, Lorno?

- Dianę.

- Może „Lorna D.”? Przyjemnie brzmi. Podoba mi się twarde d i ciche a. - Tim kilka razy pociągnął fajkę. Soczysty zapach tytoniu zmieszał się z wonią rozgrzanego drewna. - „Lorna D.”. Co myślisz, Gid?

Gideon zastanawiał się, przygryzając wąsa. Popatrzył na córkę.

- Co powiesz, Lorno? Chcesz, żeby jacht nosił twoje imię?

Lorna pomyślała o Jensie, dzień po dniu swymi dużymi, szerokimi, zdolnymi dłońmi nadającym kształt „Łomie D.”, obmacującym jej gładkie linie, zapewniającym jej zwinność, szybkość, lekkość.

- Mówisz poważnie?

- Ty pewnie nazwałabyś ją „Boska sprawiedliwość”? Szczególnie, jeśli wygra.

- To twoje słowa.

Przekomarzając się z ojcem, Lorna nie mogła powstrzymać błysku radości, lśniącego w jej oczach.

- Bardzo bym chciała, papo; dobrze o tym wiesz.

- Dobrze. Niech będzie „Lorna D.”.

- Och, papo, dziękuję!

Lorna przebiegła dzielącą ich odległość i uściskała ojca. Gideon schylił się, szukając podparcia dla rąk, jak zawsze zażenowany wylewnym okazywaniem uczuć przez córkę. Kochał ją, oczywiście, ale okazywał swoją miłość jak przystało wiktoriańskiemu ojcu: wydając burkliwe, władcze rozkazy i płacąc rachunki za kosztowne wieczorki i stroje. Przytulenie córki w obecności innych mężczyzn przekraczało granice wytrzymałości Gideona Barnetta.

- Utrapienie z tą dziewczyną; poobrywasz mi guziki od koszuli.

Kiedy Lorna odsunęła się, Gideon był wzburzony i poruszony.

- Czy mogę powiedzieć o tym moim przyjaciołom? - spytała Lorna.

- Twoi przyjaciele... dobrze... Do diabła, nie interesuje mnie to.

- Czyli sprawa załatwiona? Gideon machnął ręką.

- Dobrze, powiedz.

- Mogę ich tu przyprowadzić, żeby zobaczyli?

- I wszystko zdeptali? - rozgniewał się Gideon.

- Chodzi tylko o Phoebe.

- Słowo daję, dzisiejsze dziewczęta są tak trzpiotowate, jak nigdy. Dobrze już, przyprowadź Phoebe.

- Sama też będę tu wpadała, żeby widzieć jak powstaje „Lorna D.". Nie przeszkadza ci to, papo?

- Będziesz przeszkadzała Harkenowi.

- Och, gadanie. Dzisiaj było nas troje i aparat fotograficzny i wcale mu to nie przeszkadzało. Prawda, Harken?

Rzuciła mu wyzwanie prosto w twarz.

Pierwszy raz, od kiedy weszła do szopy, ich spojrzenia się spotkały. Jens rzucił spojrzenie na Gideona:

- Ja... hm... - chrząknął. - Nie, to nie będzie kłopotliwe, proszę pana.

- Dobrze, ale jeśli będzie ci dokuczać, wyrzuć ją stąd. Na Boga, sam nie wiem, co robić; żeby pozwolić dziewczynie plątać się po szopie, w której budują łódź. Twoja matka wpadnie w histerię. - Gideon wyciągnął z kieszonki kamizelki złoty zegarek. - Do diabła, już południe! Muszę koniecznie dostać się do miasta przed powrotem do domu.

Harken, przyjdź do mnie po czek, kiedy będziesz chciał zamawiać w Chicago żagiel. Jonson, ile jestem panu winien za pomoc przy budowie łodzi?

- Nic, proszę pana. Praca przy budowie łodzi to dla mnie sama przyjemność.

- Doskonale. Idę już. Ty też, Lorno. Wyświadczyć mi przy-

sługę i poświęć dzisiaj swojej matce przynajmniej odrobinę czasu, zajmując się czymś, co przystoi kobiecie.

- Tak, papo - odparła pokornie Lorna.

- Ja też już pójdę - powiedział Tim. - Dziękuję, że mogłem zrobić te zdjęcia. Niedługo ci je pokażę, Jens.

Lorna wyszła z ojcem i Timem.

Po ich wyjściu w szopie zapadła cisza. Ben i Jens zamietli trociny i obcięte końcówki, leżące na podłodze, potem poprawili mocowanie wręgów. Jens gwizdał przez zęby ludową norweską piosenkę „Och, przynieś wody”. Często dotykał dębowych elementów, przyciskał je, próbował odrywać, ale były dobrze przytwierdzone.

- Już mają właściwy kształt - zauważył. - Tak.

Jens odłożył gwoździe i młotek. Ben śledził go wzrokiem oparłszy się o model.

- Tak... - powiedział. - To z nią spotkałeś się w niedzielę? Jens przestał gwizdać..

- Dlaczego tak myślisz?

- Przez cały czas ani razu na nią nie spojrziałeś. Jens wrócił do pracy.

- I co z tego?

- Taka piękna dziewczyna.

- Myślisz, że jest piękna?

- Piękniejsza od zachodu słońca nad norweskim fiordem. Jaśniejsza. Trudno oderwać od niej oczy.

- I co z tego?

- Ona też na ciebie nie patrzyła. Dopiero kiedy namówiła ojca, żeby pozwolił jej tu przychodzić. A teraz gwizdziesz „Och, przynieś wody”.

- Wiesz, Jonson, może stałeś zbyt blisko pojemnika z parą. Chyba ci się mózg zagotował. Co wspólnego ma „Och, przynieś wody” z Lorną Barnett?

Jonson zanucił cicho:

„A jeśli to moja ukochana,

Warto jest żyć”.

Kiedy skończył, Jens przestał wyszukiwać zajęcie dla swoich rąk. Stał przy piecu, w którym jeszcze żarzyły się węgle, i zapatrzył się na pojemnik z parą.

- Masz rację - spojrzał na Bena. - Między mną a Lorną zrodziło się uczucie.

- Jens - powiedział Ben ze współczuciem. Przestał żartować. - Nie.

- Nie chcieliśmy tego, ale się stało.

- Domyślałem się czegoś, kiedy machała do ciebie z łódki. Robiła to tak jakoś... Jakby chciała wyskoczyć i przepłynąć do ciebie.

- Jest piękną dziewczyną, Ben, i niezależną. Najpierw zaczęła tu przychodzić, pytać o łódkę, potem o moją rodzinę. Wkrótce rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele. Potem poprosiła, żebym ją pocałował. - Jens zastanawiał się chwilę i pokręcił głową, patrząc w podłogę. - Największym błędem w moim życiu było to, że się zgodziłem.

Wziął dwa kawałki papieru ściernego. Jeden podał Benowi. Zaczęli szlifować wręgi.

- Podejrzewam, że gdyby jej ojciec dowiedział się o tym, wyleciałbyś stąd na zbity pysk i skończyłyby się marzenia o budowaniu statków - powiedział Ben.

-Tak.

-Powinieneś o tym wiedzieć, Jens. Tacy jak my całują pomoce kuchenne.

- Próbowałem i tego. - Wymienili spojrzenia, ale nie przerwali pracy. - Ma na imię Ruby.

- Ruby.

- Ruda, piegowata. -I?

- Pamiętasz, jak było, kiedy dostałeś pierwszego szczeniaka? Cały dzień siedziałeś w szkole, a kiedy wracałeś do domu, maluch z radości lizał cię, gdzie popadło. Tak było, kiedy całowałem Ruby. Miałem ochotę szybko się wytrzeć.

Roześmiali się.

- Jak daleko zaszły sprawy między tobą a tą dziewczyną?

- Nie tak daleko, jak myślisz. Ale jeśli nadal będziemy się widywać, może dojść nawet do tego. Wczoraj postanowiłem, że nie będę się z nią spotykać. Koniec. Tak musi być, ponieważ ani ona nie pasuje do mojego świata, ani ja do jej. Ben, na Boga, gdybyś ją wczoraj widział...

Jens opisał scenę, na którą natknął się wczoraj, kiedy szedł do domu na kolację. Nie pominął żadnego szczegółu; nawet tego, co łączy Lornę z Taylorem DuValem.

- Stała tam, a DuVal trzymał rękę na jej ramieniu. Na piersi miała zegarek, który od niego dostała. A przecież jeszcze dzień wcześniej ja kładłem tam swoją dłoń. Powiedz mi teraz, co mogę mieć wspólnego z taką kobietą? Jens poczuł, że wzbiera w nim gniew.

- Jeśli tu przyjdzie, wyrzucę ją! Ukończenie tej łodzi i otwarcie własnej stoczni jest dla mnie ważniejsze od Lorny Barnett.

* * *

Chciał, żeby tak było. Przez całe popołudnie, kiedy Ben już odszedł, pracował samotnie; słuchał monotonnego szurania papieru ściernego, czuł pod dłonią rozgrzane drewno, kształt każdego wręgu i życzył sobie, żeby łódź znaczyła dla niego więcej niż Lorna.

Jednak każda myśl o dziewczynie przynosiła ze sobą tęsknotę. Każde wspomnienie budziło pragnienie.

O siódmej zamknął drzwi szopy i przystanął na chwilę, słuchając grania świerszczy. Wieczór był chłodny, z ziemi podnosiła się wilgoć. Jens miał na sobie kraciatą wełnianą marynarkę; poprawiając jej kołnierz, spojrzął w niebo: było brzoskwińowe na zachodzie, fioletowe zaś nad jego głową. Ruszył ścieżką w stronę topoli. Nad warzywnikiem latały nietoperze, szybkie jak złudzenie. Krzaki pomidorów pachniały apetycznie. Do twarzy Jensa przykleiła się pajęczyna, rozwieszona nad ścieżką; znak zbliżającej się jesieni.

Nie miał pojęcia, że Lorna jest tak blisko, dopóki nie zatrzymała go krótkim psyknięciem. Stała wśród topoli, rów-

nie prosta i nieruchoma jak drzewa, ukryta wśród ich liści i długich cieni. Na ramionach miała szydełkową pelerynę; przytrzymała ją pod brodą obiema rękami.

- Czekałam na ciebie.

- Lorna... - Jens zszedł ze ścieżki w cień topoli. - Masz przestać.

Zmierch nadawał jej skórze błękitny połysk, a oczy, lśniące jak wypolerowane agaty, wpatrywały się w niego z uwielbieniem.

- Wiem, że powinnam przestać, ale nie mogę - szepnęła. - Jensie Harken, co ty mi zrobiłeś?

Jego serce rozpoczęło dziki taniec i wszystkie dobre zamiary prysły jak bańka mydlana. Lorna poruszyła się i, spragniona miłości, rzuciła się przed siebie, rozsunęła pelerynkę i okryła nią ramiona Jensa, kiedy połączyli się w pocałunku. Jego język w jej ustach był szybki i śliski; otwierał, napierał, rozsiewał w jej ustach zapach drewna, pożądania i niezaspokojenia, zrodzonego podczas dwóch ostatnich spotkań, kiedy musieli udawać obojętność. Ona całowała jak ktoś, kto wreszcie doczekał się końca długiej tęsknoty. Jej język lizał śmiało i domagał się spełnienia, o którym Lorna nie miała jeszcze pojęcia. On mocno tulił jej ciało i wyginał się tak, żeby mieć ją jak najbliżej. Opuścił dłonie, chwycił jej pośladki i wygiął się do tyłu, pociągając ją za sobą. Lorna zawisła w powietrzu, tuląc się do niego piersiami i brzuchem. Kiedy postawił ją na ziemi, obojgu brakowało tchu w piersiach. Oczy mieli pełne palącej niecierpliwości.

- Dzisiaj byłeś na mnie zły - powiedziała Lorna. - Tak.

- O wczorajszy wieczór?

- Tak; i o to, że przyszedłeś do szopy, kiedy był twój ojciec; i o tego DuVala. O wszystko!

- Przepraszam za wczorajszy wieczór. Nie chciałam z nim być, ale nie wiedziałam, jak się wykręcić. Moja matka zaplanowała to wszystko i nie miałam wyboru.

- Pasujesz do niego.

- Nie. Nie kocham go. Ciebie kocham.

-Pasujesz do niego i to mnie złości najbardziej, bo wiem, że to prawda i nic tego nie zmieni. Życie w tym samym świecie, nie widzisz tego? Sousa jako gość, dyskusje z panem Gibsonem i kolacje na trawie, po grze w krykieta. Do tego świata ja nie mam wstępu. Mogę tylko słuchać twoich opowieści.

Kiedy skończył, Lorna spojrzała na niego i szepnęła:

- Nie powiedziałeś, że mnie kochasz.

- Ponieważ to bardzo boli. Ponieważ za każdym razem, kiedy to mówię, coraz silniej wierzysz, że znajdziemy jakieś rozwiązanie, ale nic nie znajdziemy. Bardzo ryzykowałeś przychodząc do szopy, kiedy był tam twój ojciec.

-Nie wiesz, że teraz mogę przychodzić, bo mam jego zgodę?

- Nie na to. Nie okłamuj się, Lorna.

- Och, Jens, proszę, nie gniewaj się już na mnie. Gniewasz się; zauważyłam to, kiedy mnie całowałeś.

Znów ją pocałował. Przesunął dłońmi po jej ciele, dotykając lekko tam, gdzie chciał dotykać z uczuciem.

- Mam brudne ręce... Cały dzień pracowałem.

- Nie... nie... - Ujęła jego dłoń i wtuliła w nią twarz, całując. - Kocham twoje dłonie. Kocham je, kiedy pracują.

Pachną lasem.

Przyłożyła sobie jego dłoń do twarzy, jak leczniczy balsam. Ten prosty, pełen uczucia gest rozdarł mu serce. Schylił się, wziął ją w ramiona i poniósł przez ciemny las ścieżką prowadzącą do szopy. Lorna objęła go ramionami i przytuliła usta do jego policzka. Jednodniowy zarost drapał ją w wargi.

- Będą cię szukali? - spytał.

- Rodzice grają u Armfieldów w karty. Przed szopą postawił ją i uchylił drzwi.

- Wejdz do środka i dorzuć drewna na palenisko. Zaraz wrócę.

- Dokąd idziesz?

- Zrób, co powiedziałem. Nie zapalaj lampy.

Pobiegł w ciemny las uniósłszy przed siebie ręce, żeby ochronić twarz przed gałęziami. Biegł w kierunku przeciwnym niż dom, do jeziora. Na brzegu szybko rozebrał się i wskoczył do wody. Kiedy się wynurzył, z trudem łapał powietrze. Wyszorował się, jak tylko mógł najlepiej, potem stanął na brzegu, otrząsnął się jak pies, włożył spodnie i przypiął szelki. Buty i resztę ubrania zawinął w koszulę i wrócił przez las do szopy i czekającej na niego kobiety. Drzwi skrzypnęły, kiedy je otwierał. Wewnątrz tylko dwa punkty jarzyły się w ciemnościach: otwarte drzwiczki pieca i twarz Lorny, siedzącej przed paleniskiem w kucki, z ramionami oplecionymi wokół kolan.

- Jens? - szepnęła przestraszona. Jens zamknął drzwi i odparł:

- Tak, to ja.

Lorna wstała powoli, jak zaczarowana, przebiegła spojrzeniem po nagiej piersi i złotych włosach, odbijających światło ognia.

- Wykąpałem się - powiedział Jens.

Uniósł dłonie i przyczesał palcami mokre włosy, potem wytarł ręce w spodnie i stanął przed nią, pokryty gęsią skórą. Jej spojrzenie znów spoczęło na trójkącie złotych włosów na klatce piersiowej i na samych piersiach, by po chwili odwrócić się, onieśmiałone.

- Pewnie jest ci strasznie zimno.

Chciała ustąpić mu miejsca przy ogniu, ale złapał ją za łokieć tak mocno, że nawet gdyby nie chciała go posłuchać, nie miała wyboru.

- Lorna... nie odwracaj się.

Jego palce zostawiały mokre plamy na jej rękawie. Odwróciła się do niego powolnym ruchem kochanki, stojącej przed wybrankiem w chwili prawdziwego zbliżenia. Jens zdjął z jej ramion pelerynę i rzucił w mrok pod ich nogami. Lorna patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, ale za-

mknęła je, kiedy przygarnął ją i pocałował zimnymi, mokrymi wargami. Położyła dłonie na jego ramionach. Jej rękawy kleiły się do mokrych pleców, a stanik przylegał do piersi. Kiedy przytuliła się do niego, poczuła, że cały pokryty jest gęsią skórką. Z jego włosów spłynęła kropla wody, za nią następna, i jeszcze jedna; zbiegły się i razem popłynęły po policzku Lorny. Pocałunek przemieniał się w łabędzi taniec głów i rąk.

Jens odszukał na jej plecach guziki i rozpiął je do połowy; potem zaczął ściągać jej bluzkę przez głowę. Na podłogę posypały się szpilki do włosów i po chwili spośród fałd tkaniny wyłoniła się Lorna, ze zmierzwionymi włosami; oczy miała szeroko otwarte.

Miała na sobie koszulę z delikatnego białego batystu, ściągniętą pod szyją niebieską kokardką, niżej zaś zapiętą na guziczki. Jens położył dłonie na piersiach Lorny i zajrzał jej w oczy. Kciukami budził w niej pożądanie.

- Boisz się, kiedy cię tak dotykam? - spytał.

- Na początku bałam się.

- A teraz?

- Teraz...

Lorna poddała się jego pieszczotom. Jens uniósł delikatnie jedną pierś i pochylił głowę, by całować ją przez cienki batyst; i gryźć leciutko. I drugiej piersi nie pożałował tych samych rozkoszy. Potem objął dłońmi obie i uśmiechnął się do uszczęśliwionej Lorny.

- Mężczyzna może dotykać kobiety także na inne sposoby. Nic o tym nie wiesz, prawda?

- Nie - szepnęła.

- Tutaj - Jens opuścił jedną dłoń i leciutko potarł jej łono. - Tak... - zgiął palce, dopasowując je do ukrytych kształtów

- ... i tak... To jest część miłości. Wiesz po co?

Lorna pokręciła głową.

- Żeby mieć dzieci.

- Dzieci? - Przestraszyła się i odsunęła.

- Czasem. A czasem tylko dla przyjemności.

- Dzieci? Przed ślubem?

- Podejrzewałem, że nie wiesz; chciałem cię ostrzec przed tym, co może się stać.

Teraz wypowiedziane przez matkę słowa ostrzeżenia stały się zrozumiałe. Lorna wyrwała się z ramion Jensa. Czuła się oszukana. Piękne uczucie okazało się tylko złośliwą sztuczką natury.

- Nie mogę mieć dziecka. Rodzice by mnie... oni... Och, Boże, nie wiem, co by zrobili.

Była naprawdę przerażona.

- Przestraszyłem cię. Przepraszam. Leciutko ujął ją za rękę i przytulił.

- Nie będziesz miała dziecka, Lorno, to nie takie proste. Do tego trzeba czegoś więcej niż dotykanie, a nawet wtedy nie dzieje się tak za każdym razem. To się nie stanie, jeśli w porę przestaniemy.

- Och, Jens. - Przytuliła się do niego i objęła ramionami za szyję. - Tak się cieszę. Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że będę musiała zaraz wracać do domu, chociaż wcale nie chcę.

Przytuliła go mocniej i zaczęła prosić gorąco:

- Chcę tu z tobą zostać; nawet do świtu, gdybym mogła, do jutra, do końca życia. Nie chcę być nigdzie indziej, tylko w twoich ramionach. Jeśli to nie jest miłość, to nie potrafię sobie wyobrazić, czym mogłaby być miłość. Kocham cię tak bardzo, że wszystko w moim życiu stało się inne.

Te wynurzenia doprowadziły do następnego pocałunku; jego otwarte usta przesunęły się po jej twarzy, jej usta po jego twarzy, po czym znów się spotkały, posiadły, ożywiając tak gwałtownie zduszone podniecenie. Usta przy ustach, ciało przy ciele, zdążali ku nieuchronnemu spełnieniu miłości. Jens uniósł jej spódnicę, włożył pod nią rękę, odszukał biodra i objął je, przyciskając jej rozpaloną twarz do swoich piersi. Podniósł Lornę tak, że stanęła na palcach. Uczył ją poruszać się jak fala na brzegu, aż w miejscu, gdzie ich ciała się zderzały, obudziła się nagła potrzeba.

Schwycił zębami jej dolną wargę i przytrzymał chwilę, jakby chciał powiedzieć: „Nie ruszaj się”. Wsunął rękę pod koszulkę i przesunął nią wzdłuż długiego paska bawełny, biegnącego z przodu do tyłu. Chwycił Lornę mocno przez wilgotne, zachodzące na siebie kawałki batystu, jakby była garstką ziemi, którą chce unieść i wyrzucić za siebie. Przytrzymał ją zębami i jedną ręką. Grzbiet drugiej dłoni zaczął kołysać się delikatnie, rytmicznie, aż w jej umyśle rozbłysły nagle kolory: cudowne barwy wschodzącego słońca, w których topniało jej ciało. Wkrótce nogi się pod nią ugięły, zadrżała, kiedy ręka Jensa odnalazła drogę w głąb jej ciała.

- Och, Jens... - szepnęła, kiedy dotknął jej jeszcze głębiej, i odchyliła głowę do tyłu.

- Połóż się - szepnął.

Podtrzymał ją, kiedy razem osuwali się na pachnącą podłogę, na której nie tak dawno modelował łódź, nazwaną dziś imieniem Lorny. Teraz poznawał Lornę Barnett tak, jak wcześniej poznawał „Lornę D”. Dotykał jej na niezliczoną ilość sposobów, aż wreszcie Lorna uniosła biodra pragnąc więcej.

Wtedy opuścił spódnicę i leżał obok niej na łokciu, przyglądając się jej rysom, zniekształconym pożądaniem. Oczy miała zamknięte, ramiona rozpostarte, łopatkami prawie nie dotykała podłogi.

- Lorna... Lorna... Piękne stworzenie - szepnął. - Właśnie tak sobie ciebie wyobrażałem.

Rozpiął guziczki jej koszulki i odsłonił piersi. Całował, pieścił, lizał, ugniatał wargami. Znów przesunął dłoń, dotykając intymnego miejsca. Kiedy to zrobił, Lorna zamknęła oczy i zagruchała gardłowo, przekręciła się na bok i otoczyła Jensa ramionami.

Potem nadszedł moment, kiedy Jens znów musiał szukać jej spojrzenia. W jego oczach połyskiwał gasnący ogień.

- Bardzo cię kocham - szepnął.

- Ja też ciebie kocham. Zawsze, zawsze będę ciebie kochała, bez względu na wszystko.

Leciutko, rozchylonymi wargami, dotknął jej ust i szepnął:

- Ty też możesz mnie dotykać. Nie wiedziała gdzie ani jak.

- Wszędzie - namawiał ją.

Dotknęła jego nagiej piersi. Odsunął się, by śledzić ruchy jej dłoni.

Poznawała go z nieśmiałością: dotyk złotych włosów, twarde żebra, znów jedwabiste włosy. Z zawstydzeniem omijała brodawki.

- Jesteś złoty. Jak wiking. Czasem tak o tobie myślę: mój złotowłosy, norweski wiking, porywający mnie na swój szybki statek.

Przyciągnęła jego głowę do siebie, pragnąc pocałunku. Potem znów dotknęła nagiej piersi, wsunęła dłoń pod szelkę i gładziła twarde ramię.

- Zdejmij to - szepnął Jens, całując ją. - Tak... zdejmij. Lorna zsunęła szelkę z ramienia.

- Teraz drugą - szepnął Jens i przesunął się, żeby mogła jej dosięgnąć.

Druga szelka opadła. Dłoń Lorny bawiła się jego ramionami, szyją, żebrami, piersiami, aż wszystkie jego zmysły zaczęły wyrywać się ku niej i zebrały się w jednym miejscu pod brzuchem. Ujął jej dłoń i przesunął w dół:

- Nie wstydz się... nie bój... tutaj... tak.

Pierwszy raz Lorna poczuła tę twardość przez szorstką wełnę. Swoją dłonią Jens zaokrąglił jej dłoń, dopasowując do własnego kształtu. Potem zaczął poruszać jej dłońmi ucząc, prosząc, aż wreszcie potrafiły poruszać się bez pomocy. Odpiął cztery guziki i wsunął jej rękę w czekający na nią ciepły mrok. W chwili owej oboje leżeli na boku, opierając głowy na rękach, patrząc sobie w oczy.

Pod wpływem jej dotyku oczy Jensa zamknęły się, a jego piersi unosiły się i opadały, jakby ciężko pracował.

- Och - powiedziała Lorna, zdumiona i zachwycona tym, co odkryła. - Och... Nie miałam pojęcia...

Jens nauczył ją tego, czego nie podpowiedział instynkt: ułożył jej dłoń na kształt pochwy i wrócił ręką do jej czekającego ciała. Tak złączeni, rozkoszowali się wołaniem młodych ciał i młodej miłości. Wymieniali pocałunki, wydawali z siebie dźwięki pełne uczucia i siły, wyrrywające się z gardła, kiedy pożądanie rosło i domagało się spełnienia. Nagle Jens stracił dłoń Lorny i klęknął. Podłożył ręce pod jej biodra i uniósł je, aż ciało wygięło się jak żagiel, który złapał wiatr, tak, że głowa i ramiona prawie nie dotykały podłogi. Przez wełnę i batyst naśladowali miłosny stosunek, aż wreszcie nie byli w stanie tolerować dłużej tej kruchej przeszkody, jaką stanowiło ubranie. Jens pochylił się i ciężko dysząc rozkazał:

- Otwórz oczy.

Spojrzała na niego z chmury czarnych włosów, splątanych na szorstkiej podłodze.

- Czy teraz rozumiesz? Ja... w tobie... tak się to robi; ale jeśli to zrobimy, możesz mieć dziecko. Nie chcę, żeby tak się stało.

Lorna jedną ręką głaskała jego twarz. - Kocham cię... Och, Jens, bardzo kocham... Nie wiedziałam, że może tak być.

- Możemy teraz przestać albo zdać się na ślepy los w nadziei, że od jednego razu nic się nie stanie.

-Przestać? Och... proszę... ja... Proszę, nie... Czy to się stanie?

- Nie wiem. Może nie. Ja... Och, Boże, Lorna, ja też ciebie kocham... Nie chcę cię skrzywdzić. Nie chcę, żebyś miała kłopoty.

- Skrzywdziłbyś mnie tylko wówczas, gdybyś przestał mnie kochać. Proszę, Jens, naucz mnie wszystkiego.

Przysunął twarz do jej twarzy. Całował ją z miłością, przeprasząc, pożądając. Potem powiedział:

- Zaczekaj...

Sięgnął ręką i wyciągnął z ciemności swoje zwinięte ubranie. Trzepnął nim i buty z łoskotem wypadły na podłogę.

- Podnieś się - polecił. - Włożę to pod ciebie. Rozłożył koszulę pod jej biodrami.

- Będiesz krwawiła, ale nie bój się. Tak jest tylko za pierwszym razem.

- Krwawiła? Jens, twoja koszula... Jens, będzie cała... Pocałunkiem zamknął jej usta.

- Nie ruszaj się - szepnął.

- Jens - szepnęła Lorna, ściskając jego ramiona.

- Nie ruszaj się.

- Jens... och...

- To może trochę boleć... Przykro mi... Delikatnym pchnięciem połączył ich ciała.

Lorna wygięła się w łuk, jakby coś ją dźgnęło między łopatkami. Jens nie ruszał się, wpatrzony w jej twarz. Lorna powoli rozluźniła mięśnie i otworzyła oczy.

- Już dobrze? - spytał.

Kiwnęła głową, a wtedy on znów zaczął się poruszać.

- Chciałbym mieć teraz łóżko z materacem z pierza - mówił - i mięciutką poduszką, i kwiaty świeżo ścięte w ogrodzie... może takie błękitne ostróżki jak ta, którą mi przyniosłaś, i kilka pachnących róż. Położyłbym je na twoich włosach i patrzył jak ich uroda blednie, kiedy znajdują się przy twojej twarzy. Ach, Lorna... słodka, kochana Lorna... teraz jesteśmy sobie tak bliscy, jak to tylko możliwe i ta chwila zmieni nas na całe życie.

Nie chciała zamykać oczu, ale powieki stały się dziwnie ciężkie.

- Myślę - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze - że byłabym bardzo dumna... gdybym miała... z tobą dziecko i...

Och, Jens... och... oooooch...

W tej chwili Jens wysunął się z niej i wypuścił swoje nasienie na koszulę, na dziewiczą krew Lorny, w nadziei, że nigdy nie będzie musiała cierpieć przez niego hańby. Potem, wyczerpany, opadł na jej wzburzone piersi.

Obok dogasał ogień.

Cicha, letnia noc zapewniała, że dochowa tajemnicy.

- Zrobiłabym to jeszcze raz - powiedziała Lorna. - Zrobiłabym z tobą tę wstydliwą, cudowną, niewiarygodną rzecz, chociaż już wiem, co się może stać. Czy jestem zła?

- Jesteś moja. Żadne przysięgi, żadne obietnice nie mogłyby uczynić cię bardziej moją. Jak ja się z tobą pożegnam, kiedy znów cię zabiorą do miasta?

- Ćśśś... - Nie mów o tym. Mamy czas do nadejścia mrozu. Mamy jeszcze co najmniej pięć tygodni. Może sześć, jeśli nam się poszczęści.

- W połowie października. Zwykle w tym czasie wracacie do miasta?

Lorna z powagą skinęła głową.

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać. - Przytuliła go mocno, już trochę zrozpaczona. - Jens, proszę, nie rozmawiajmy o tym.

- Dobrze, nie rozmawiajmy. Zostań tutaj - powiedział i odsunął się w ciemność.

Znalazł kilka drewnianych ścinków i włożył je do pieca. Czekając aż się zapalą, wciągnął i zapiał spodnie, ale szelki zostawił zwisające po bokach.

Kiedy drzewo zajęło się ogniem, odwrócił się do Lorny i pomógł jej usiąść.

- Na pewno nie wiesz... - zaczął i urwał. Trudno było o tym mówić, mimo wspólnie dzielonych chwil bliskości; chodziło mu o mało romantyczne fakty dotyczące życia.

- Czego nie wiem?

Jens nabrał powietrza i powiedział to, co należało powiedzieć:

- Jeśli nie będziesz miała miesiączki, musisz mi o tym natychmiast powiedzieć. Obiecuj.

- Miesiączki?

- Jeśli nie będziesz krwawiła, to może znaczyć, że będziesz miała dziecko i musisz mi o tym natychmiast powiedzieć. Wtedy pomyślimy, co zrobić. Obiecuj mi.

- Obiecuję - powiedziała do swoich kolan.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Lorna powoli zapięła koszulkę. Kiedy sięgnęła do ostatniego guzika, Jens odsunął jej ręce i sam swymi niezgrabnymi palcami zawiązał niebieską jedwabną kokardkę. Potem usiedli naprzeciw siebie. Jens ujął dłonie Lorny.

- Kocham cię - powiedział. - Chcę się z tobą ożenić, ale na to trzeba będzie poczekać. Gdybyśmy teraz powiedzieli o tym twojemu ojcu, wyrzuciłby mnie. W przyszłym roku, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będę miał własną stocznię i będę mógł zapewnić ci utrzymanie. Czy umiałabyś zadowolić się dochodami ze stoczni budującej jachty, Lorno?

Patrzyła na niego, zdumiona.

- Tak - odezwała się, jakby dopiero teraz coś zaczęło do niej docierać. - Och, tak! - krzyknęła i zarzuciła mu ręce na szyję. - Och, Jens, bardzo się bałam, że o to nie spytasz. Myślałam, że może... może po tym, co teraz zrobiliśmy... Nie wiem, co myślałam.

- Myślałaś, że mogłem ci to zrobić, a potem zachowywać się tak, jakby to nigdy nie miało miejsca?

- Nie wiem. Dopiero po wszystkim, kiedy leżeliśmy

i milczeliśmy, przyszło mi do głowy... że nie chciałabym tak leżeć z żadnym innym mężczyzną. Nie mogłabym, po tym, co robiliśmy razem, ale co by się stało, gdybyś nie poprosił mnie o rękę?

- Proszę o twoją rękę. Czy wyjdiesz za mnie, Lorno Barnett? Kiedy tylko będę miał swoją stocznię i wielu klientów?

Lorna promieniała.

- Już powiedziałam, że tak. Nic mnie nie powstrzyma. Ani ojciec, ani matka, ani pan Taylor DuVal, ani całe towarzystwo.

- Będę pracował dla ciebie jak dziki osioł; może nigdy nie będę tak bogaty, jak twój ojciec, ale zapewnię ci wygodne życie, zobaczysz.

- Wiem, Jens.
- Będziemy mieli dzieci, nauczymy je żeglować, będziemy je zabierali na pikniki, a kiedy trochę podrosną, nauczę je budować jachty.
- Tak - szepnęła. - Tak.
- Teraz już idź, żebyś wróciła do domu przed rodzicami.
- Kiedy cię zobaczę?
- Nie wiem.
- Jutro. Przyprawdę Phoebe, żeby zobaczyła łódź.
- Szkielet. To jeszcze nie jest łódź.
- Tak, szkielet. Przyprawdę Phoebe, dobrze?
- Dobrze. Ale nie obiecuję, że uda mi się powstrzymać. Przytulę cię i pocałuję, bez względu na to, czy będziesz z Phoebe czy sama.
- Nie zrobisz tego. Zachowasz się nieskazitelnie, tak jak dzisiaj.
- Wiele mnie to kosztowało.
- To dobrze - zażartowała i położyła palec wskazujący na jego dolnej wardze.
Czas biegł. Wiedzieli, że muszą się rozstać, ale chcieli ukraść jeszcze choćby minutę.
- Musisz iść - powiedział cicho Jens.
- Wiem.
- Pomogę ci włożyć sukienkę.
Postawił ją na nogi i zapiął bluzkę na plecach.
- Lorna, jeśli chodzi o tego DuVala...
- Porozmawiam o nim z mamą. Z papą będzie trudniej, dlatego zacznę od mamy. Musi pogodzić się z myślą, że DuVal nie jest dla mnie. Im wcześniej zrozumieją, że nie wyjdę za niego, tym lepiej.
Jens odetchnął z ulgą.
- Obiecuję - mówiła Lorna - że już nigdy nie włożę jego zegarka. Tej obietnicy mogę dotrzymać i dotrzymam jej.
Przysięgam na moją miłość do ciebie. Ścisnął jej dłonie i spojrzeniem powiedział, jak bardzo jest za to wdzięczny.
- Powinnaś się uczesać - powiedział.

Lorna sięgnęła ręką do włosów.

- Zapomniałam grzebienia. Masz swój? Jens wzruszył ramionami:

- Niestety.

Potem próbował uczesać ją palcami.

- To na nic. Palce nie wystarczą.

Lorna starała się przyglądać fryzurę, a Jens klęknął i zaczął szukać szpilek na podłodze.

- Może to? Czy to pomoże?

Zrobiła, co mogła. Pochyliła się do przodu, potrząsnęła ciężkimi włosami, ujęła je obiema rękami i spróbowała ułożyć kok. Jens przyglądał się i każdy jej ruch odkładał w sercu jako cenne wspomnienie, żeby później móc je wyciągnąć i cieszyć się nim podczas samotnych nocy.

- Jeszcze ci tego nie mówiłem, ale bardzo podobają mi się twoje włosy. Jej ręce, wpinające ostatnią szpilkę, znieruchomiały. Opuściła je powoli, przepelniona miłością. -Chciałbym kiedyś patrzeć - ciągnął - jak układasz ten piękny kok. Wyobrażam to sobie, kiedy leżę w swoim pokoju. W wyobraźni zawsze widzę cię w tym biało-niebieskim stroju, który miałaś na sobie pierwszego dnia, z rękawami prawie sięgającymi twoich uszu, ile razy podnosisz ręce.

Kładę dłonie na twojej talii, a ty opuszczasz ramiona i obejmujesz mnie za szyję, i wymawiasz moje imię. Jens... Po prostu Jens. Tak sobie ciebie wyobrażam.

Lorna uśmiechnęła się.

- Och, Jens, jesteś takim wspaniałym mężczyzną.

Jens zachichotał czując, że okazał się zbyt romantyczny jak na mężczyznę, ale to była prawda i cały czas miał ochotę jej o tym powiedzieć.

- Kiedy już zostanę twoją żoną, będziesz mógł przyglądać mi się codziennie.

Włosy miała uczesane, sukienkę zapiętą.

- Muszę iść - powiedziała.

Rozdział 10

Zarówno „Lorna D.”, jak i jej budowniczy wywarli na Phoebe wielkie wrażenie. Kiedy została z Lorną sama, krzyknęła:

- To on! To o nim mówiłaś. Z nim byłaś na pikniku i do niego robisz słodkie oczy.
- Phoebe, mów cicho. Jeśli ktoś cię usłyszy, będę miała kłopoty.
- Och, kto miałby mnie usłyszeć tutaj, w ogrodzie? Daj spokój. Chodź, usiądziemy w altance i porozmawiamy. Tam będziemy bezpieczne.

Usiadły na drewnianych ławkach, plecami oparte o kratę, twarzami zwrócone w stronę zachodzącego wrześniowego słońca.

- Dobrze - zaczęła Phoebe. - Teraz powiedz mi, co jest między tobą a tym przystojnym Norwegiem? Mów szybko!
- Obiecujesz, że nikomu o tym nie powiesz?

W głosie Lorny nie było słychać dziewczęcego chichotu.

- Słowo honoru.
 - Jestem w nim zakochana, Phoebe. Całym sercem, całą duszą; nigdy nie przestanę go kochać.
- Powaga Lorny, jej spokój i szczerłość mówiły równie wiele, co słowa. Phoebe natychmiast jej uwierzyła.
- Lorna - teraz i Phoebe mówiła poważnie - a co będzie z Taylorem?
 - Nigdy go nie kochałam. Rodzice będą musieli pogodzić się z tym, że więcej nie będę się z nim spotykać.

- Nigdy tego nie rozumieją. Będą bardzo źli.
- Wiem, Phoebe, ale to nie moja wina. Kiedy zobaczyłam Jensa pierwszy raz, coś stało się ze mną tutaj - Lorna dotknęła swego serca. - Od pierwszego razu było między nami coś wyjątkowego, jakby jakieś fatum zdecydowało za nas, że to będzie coś więcej niż tylko przygodna znajomość. Obydwoje czuliśmy to dużo wcześniej, zanim zaczęliśmy o tym rozmawiać i... całować się.
- Pocałował cię?
- Och, tak. Całował mnie, przytulał, szeptał mi czułe słówka, a ja jemu. Nie możemy się powstrzymać, kiedy jesteśmy razem.
- Phoebe, zmartwiona, wzięła Lornę za rękę.
- Boję się o ciebie.
- Boisz?
- To tylko robotnik, imigrant; nie ma rodziny, pieniędzy, wpływów. Nigdy nie pozwolą ci wyjść za niego, nigdy. Zrobią wszystko, żeby do tego nie dopuścić.
- Lorna spojrzała na ogród.
- Tak, ja też tak myślę.
- Och, Lorna, to będzie bolało.
- Wiem - westchnęła Lorna i zamknęła oczy. Otworzywszy je powiedziała:
- Proszę, Phoebe, nie próbuj mi doradzać, żebym przestała się z nim widywać. Nie mogłabym tego znieść. Potrzebuję przynajmniej jednej zaufanej przyjaciółki; kogoś, kto uwierzy, że postępuję słusznie....
- Możesz mi zaufać, Lorna. Obiecuję, że nigdy nie będę próbowała przekonywać cię, żebyś zmieniła o nim zdanie, bo widzę, że go kochasz. Jesteś inna.
- Inna?
- Jest w tobie jakiś spokój, którego dotąd nie było.
- Spokój... Tak, pewnie tak. Tak się czuję, jakbym przez całe życie wyglądała przez brudne okno, a teraz ktoś je wymył. Teraz świat jest jasny, wyraźny, kolorowy; zastanawiam się, dlaczego wcześniej nie widziałam, jaki jest pięk-

ny. Och, Phoebe... - Lorna, rozpromieniona, popatrzyła na przyjaciółkę - nie umiem opisać swoich uczuć. Kiedy jestem z dala od niego, wszystko jest szare i martwe, ale kiedy jesteśmy blisko, wszystko na nowo nabiera barw, jest wspaniałe, ważne. Kiedy on mówi, jego głos jest czymś więcej niż dźwiękiem. Kiedy mnie dotyka, wiem, po co się urodziłam. Kiedy on się śmieje, jestem szczęśliwsza, niż gdybym sama się śmiała. Kiedy się rozstajemy... - Oparła głowę o kratę i zwróciła twarz w kierunku szopy. - Kiedy się rozstajemy... czuję, jakby do mojego serca wkradał się listopad.

Dziewczęta siedziały w milczeniu, przejęte monologiem Lorny. Nad zagonem bzycały owady. W drugim końcu ogrodu, pod szerokim dębem, Smythe grabił żołądzie. Od strony domu zbliżała się ciotka Agnes; była bez kapelusza, jej włosy lśniły w słońcu; nagle schyliła się, żeby rzucić siatkę na motyla.

- Idzie ciotka Agnes - powiedziała Lorna z melancholią. - Łapie motyle do swojej kolekcji.

Starsza pani zamknęła swoją zdobycz w mosiężnym pudełeczku.

- Biedna ciotka Agnes; suszy kwiatki, zbiera motyle i tak mija jej życie, pełne tęsknoty za utraconą miłością.

Agnes dostrzegła przyjaciółki i pomachała do nich ręką. Odpowiedziały takim samym gestem.

- Nie chciała od życia nic, tylko kapitana Dearsleya.

- Ona potrafiłaby zrozumieć twoje uczucie do Jensa. Dziewczęta pokręciły głowami i wymieniły spojrzenia.

Rozumiały prawdę, której nie wyraziły głośno: w przyszłości Lorna będzie potrzebowała ciotki i jej zrozumienia.

- Tak; myślę, że tak.

* * *

Wrzesień nieoczekiwanie zrobił się upalny. Pojawiły się tropikalne motyle i ciotka Agnes schwytała ich kilka. Theron, Jenny i Daphne jeździli z Mitchem Armfieldem co-

dziennie pociągiem do szkoły w mieście. Wracali późnym popołudniem i skarżyli się na zaduch panujący w pociągu i w klasach.

Lorna cieszyła się czterdziestopięciostopniowym upałem, ponieważ to znaczyło, że powrót do domu na Summit Avenue w Saint Paul nie nastąpi szybko.

Taylor zaprosił ją do miasta, na przedstawienie Maya Irwina „Wdówka Jones”, ale wymówiła się tłumacząc, że nie ma najmniejszej ochoty patrzeć na piersiata, hałaśliwą blondynkę, dokazującą na scenie i wyśpiewującą nową, bezbożną muzykę, zwaną ragtime. Taylor zaproponował więc inną sztukę, innego dnia, po czym spytał, dlaczego przestała nosić złoty zegarek. Lorna dotknęła stanika i skłamała, patrząc mu prosto w oczy:

- Och, Taylor. Tak mi przykro. Zgubiłam go. Wieczorem poszła na przystań i wrzuciła zegarek do jeziora.

Levinia wydawała przyjęcie na dwanaście osób; kartkę z imieniem Lorny postawiła obok miejsca Taylora. Lorna zjawiała się w jadalni, kiedy matka kończyła przygotowania, i przestawiła swoją kartkę.

- Lorno, co ty wyprawiasz? - zdziwiła się Levinia.

- Mamo, czy to będzie dla ciebie bardzo nieprzyjemne, jeśli usiądę w innym towarzystwie?

- W innym? Ależ, Lorno...

Starając się, żeby jej twarz pozostała nieprzenikniona, Lorna chwyciła się krzesła i nad elegancko zastawionym stołem spojrzała na Levinie.

- Pewnie mi nie uwierzysz, jeśli powiem, że ja i Taylor nie pasujemy do siebie.

- Gadanie! - krzyknęła Levinia. - Pasujecie do siebie i nie chcę o tym więcej słyszeć!

- Mamo, ja nic do niego nie czuję.

- Uczucia! Co uczucia mają z tym wspólnego? Po ślubie

zamieszkaś z Taylorem w domu równie pięknym jak nasz, będziesz żyła wśród ludzi tworzących śmietankę towarzystwa. Założę się, że za rok lub dwa Taylor zbuduje w okolicy własną letnią rezydencję.

- Czy dlatego wyszłaś za tatę? Wielki dom, pozycja społeczna i lato nad jeziorem White Bear Lake?

- Nie bądź impertynencka! Jestem twoją matką i...

- I co? Kochasz tatę?

- Ciszej!

- Mówię cicho. To ty krzyczysz. To proste pytanie, mam. Czy kochasz tatę?

Twarz Levinii była prawie kasztanowa.

- Co cię napadło, ty złośnico?

- Świadomość, że kiedy Taylor mnie dotyka, mam ochotę uciekać do domu.

Levinię zatkało.

- Och, Boże...

Obiegła stół, rzucając po drodze kartki z nazwiskami.

- Ach, dobry Boże, jakie to denerwujące. Lorno, czy on cię wykorzystał?

- Wykorzystał?

Levinia chwyciła córkę za ramię i zaprowadziła do saloniku. Starannie zamknęła za sobą drzwi.

-Przestrzegałam cię przed mężczyznami. Pod tym względem wszyscy są tacy sami. Czy on... czy... wiesz... -Levinia poprawiła włosy. - Czy zrobił coś nieprzystojnego, kiedy byliście sami?

- Nie, mam.

- Ale mówiłaś, że cię dotykał.

- Mam, to nic takiego. Pocałował mnie i tyle.

Lorna mówiła z przekonaniem, ponieważ teraz doskonale wiedziała, że to, co robiła z Taylorem, rzeczywiście nie było niczym wielkim.

- Przytulał cię? -Tak.

- To wszystko? Jesteś pewna, że nie było nic więcej?

-Tak.

Levinia opadła na krzesło.

- Och, dzięki Bogu. Niemniej, biorąc pod uwagę to, co powiedziałaś, powinniśmy ustalić datę ślubu.

- Datę ślubu? Mamo, już powiedziałam, że nie chcę wychodzić za Taylora!

Levinia mówiła dalej, jakby nie usłyszała Lorny:

- Natychmiast porozmawiam z twoim ojcem, a on z Taylorem i wszystko ustalimy. Sądzę, że zdecydujemy się na czerwiec, kiedy ogrody będą pełne róż. W czerwcu zawsze jest pięknie, a na dworze zmieści się co najmniej tyle samo osób, co w Saint Mark's. Och, Boże... - Levinia przygryzła dolną wargę i spojrzała za okno. - Nie będzie jeszcze najsmaczniejszych jarzyn. Porozmawiam ze Smythem i spytam, co można wyhodować w szklarni. Tak, tak zrobię; będziemy mieli maliny. Smythe potrafi dokonywać cudów. Zjemy obiad na trawie. Och - wyciągnęła palec ku Lornie - sam ślub odbędzie się, oczywiście, w altanie. Powiem Smythe'owi, żeby posadził tam wczesne kwiaty. To musi być coś pięknego. Powojnik jeszcze nie zakwitnie. Twoje siostry będą druhnami. Z pewnością zechcesz poprosić też Phoebe. Lorna? Lorna, dokąd idziesz? Lorna, wracaj!

Lorna jednak nie słuchała. Pobiegła prosto do Jensa, przerażona, spragniona pociechy w jego ramionach. W szopie zastała jednak dwóch znajomych ojca, członków klubu. Oglądali szkielet jachtu i zadawali mnóstwo pytań Jensowi. Lorna odwróciła się na pięcie i pobiegła do ciotki Agnes. Niestety, Agnes drzemała w swoim pokoju, po brodę przykryta grubym kocem. Lorna nie miała serca jej budzić. Zbiegła na dół i była już w drzwiach wyjściowych, kiedy usłyszała głos matki, dobiegający z saloniku:

- Lorno, dokąd idziesz?

- Do Phoebe! - krzyknęła i pobiegła, jakby ścigała ją tornado.

* * *

Phoebe - Bogu dzięki - była w domu i grała na pianinie, kiedy Lorna wpadła jak burza do pokoju.

- Phoebe, jesteś mi potrzebna!

- Lorna, dzień dobry... Co się stało? Lorna padła przyjaciółce w ramiona.

- Jestem przerażona i zła i miałabym ochotę na całą zimę przywiązać matkę jej głupim powojnikiem do kraty w altanie!

- Co się stało?

- Powiedziałam jej, że nie chcę wyjść za Taylora, ale ona stwierdziła, że muszą jak najwcześniej ustalić datę ślubu.

Phoebe, ja za niego nie wyjdę! Nigdy!

Phoebe przytuliła Lornę i zastanawiała się, jak pomóc przyjaciółce. Nic nie przychodziło jej do głowy, więc pozwoliła Lornie wyładować złość.

- Nie chcę skończyć tak, jak moja matka. Nie potrafiłabym tak żyć. Phoebe, spytałam ją, czy kocha mojego ojca, a ona nawet nie mogła powiedzieć tego kłamstwa. Po prostu zmieniła temat i zaczęła planować mój ślub, przygotowywać polecenia dla Smythe'a, mówić o ma... malinach i o cze... czerwcu, i altanie...

- Nie płacz... Lorna, kochana, proszę, nie płacz.

- Nie płaczę. Dobrze, płaczę, ale jestem zła i przerażona. Lorna wyprostowała się i położyła dłonie na kolanach.

- Phoebe, nie widzisz, że my się w ogóle nie liczymy? To, czego chcemy, co czujemy, kogo kochamy, nie ma znaczenia, i to z tego powodu, że jesteśmy kobietami, własnością bogatych mężczyzn. Gdybym nosiła spodnie, mogłabym prosić o rękę albo nie i nikogo by to nie obchodziło. Tymczasem nas traktują jak przedmioty. Nie pozwolę się sprzedać! Zobaczysz, że nie dopuszczę do tego!

Phoebe robiła, co mogła, żeby się nie roześmiać. Lorna wyglądała na bardzo rozzłoszczoną, ale była też bardzo piękna.

- Śmieję się, jeśli chcesz! - złościła się dalej Lorna.

Phoebe roześmiała się. Atmosfera w pokoju natychmiast zelżała.

- Nic na to nie poradzę. Szkoda, że nie możesz siebie zobaczyć. Gdybym była na miejscu twoich rodziców, umarłabym ze strachu, zanim zrobiłabym coś wbrew twojej woli. Czy ten Jens Harken wie, jaką sobie bierze kocicę z piekła rodem?

Phoebe nie mogła powiedzieć nic lepszego. Lornie udzielił się jej dobry humor.

- Domyślałaś się, oczywiście. Poprosił mnie o rękę. Trudno mi w to uwierzyć, kiedy ci o tym mówię. Za całkiem naturalne uznaliśmy, że musi tak być. Najpierw jednak Jens musi skończyć „Lornę D” i wygrać regaty. Wtedy będzie sławny i ojciec przekona się, że jest kimś. Och, Phoebe, wiem co mówię.

- Wystarczy więc, że powstrzymasz matkę, żeby nic nie robiła do czerwca, kiedy odbędą się regaty.

- Ale ona mówi o ślubie w czerwcu. Phoebe zastanowiła się przez chwilę.

- Może powinnaś obiecać, że zgodzisz się na ślub w sierpniu?

- Nie mogę dłużej kłamać. Raz już skłamałam. Wrzuciłam zegarek od Taylora do jeziora i powiedziałam, że go zgubiłam.

- Masz rację.

Lorna odwróciła stronę w zeszycie z nutami i zagrała minorową nutę.

- Życie jest takie trudne - westchnęła, splatając dłonie na kolanach. Patrzyła na czarne nuty, tańczące na białym papierze.

- Dojrzewanie zawsze jest trudne - filozoficznie stwierdziła Phoebe.

Kiedy były małe, grały czasem w duecie. Ciotki biły brawo i prosiły o bis, a rodzice chwalili się talentem i inteligencją córek. Wtedy wszystko było bardzo proste.

- Czasem chciałabym znów mieć dwanaście lat - odparła Lorna.

Przez chwilę myślały o tym, jak trudno mieć osiemnaście lat. Potem Phoebe spytała:

- Rozmawiałas z ciotką Agnes?

- Nie. Spała.

- Porozmawiaj z nią. Zaufaj jej. Może wstawi się za tobą?

Lorna przeraziła się. Załóżmy, że ciotka Agnes rzeczywiście wstawi się za nią, powie o wszystkim jej rodzicom, a wtedy ojciec nie pewno zwolni Jensa.

A gdyby tak Lorna sama powiedziała, że kocha Harke-na? Niewykluczone, że matka po takim oświadczeniu przyspieszyłaby po prostu termin ślubu z Taylorem.

Myśli Phoebe biegły podobnym torem. Spotykała się z Jackiem Lawlessem, chociaż podobał się jej Taylor Du-Val.

Wkrótce może nadejść dzień, kiedy rodzice Phoebe zadecydują, czyją żoną ma zostać i wybiorą jej Jacka?

- Powiem ci, co możemy zrobić... - stwierdziła, gładząc z czułością Lornę po plecach. - Ja pójdę do twojej matki i powiem jej, że chcę wyjść za Taylora. Ty natomiast odwiążesz ją od ściany altanki i pozwolisz, żeby szybko przygotowała mój ślub. W całym White Bear Lake nie ma kobiety, która mogłaby zrobić to lepiej od niej.

Lorna roześmiała się i zarzuciła Phoebe ręce na szyję. Siedziały tak, czule objęte, przy pianinie, ale wciąż nie widziały żadnego rozwiązania.

* * *

Wieczorem Lorna powiedziała, że nie czuje się dobrze i w ten sposób udało jej się uniknąć przyjęcia. Koło ósmej Theron wsunął głowę w drzwi jej pokoju i spytał:

- Jesteś chora?

Lorna siedziała na ławce pod oknem, w koszuli nocnej, z kolanami przytulonymi do piersi.

- Cześć, Theron. Wejdz. Nie, prawdę mówiąc, nic mi nie jest.

- W takim razie, dlaczego nie jesteś na przyjęciu?

Theron wszedł i przysiadł u stóp siostry.

- Jest mi smutno, to wszystko.

- Dlaczego?

- Z powodu różnych spraw związanych z dojrzwaniem.

- Och. - Theron zamyślił się. Potem na jego twarzy pojawił się błysk zrozumienia. - Chodzi o to, jak znaleźć dobrą służbę i ile kosztują różne rzeczy potrzebne w domu?

Lorna zmierzwiła mu włosy i uśmiechnęła się:

- Tak, coś w tym rodzaju.

- Hej, już wiem! - krzyknął nieoczekiwanie Theron. -Zaczekaj!

Zerwał się i pobiegł do drzwi. Lorna słyszała jego szybkie kroki na korytarzu, potem nastąpiła chwila ciszy, trza-śnięcie drzwi i znów rozległy się jego kroki, coraz bliższe. Stanął w drzwiach, ciężko dysząc.

- Przyniosłem ci lunetę - powiedział. - Możesz się nią pobawić. Nikomu nie może być smutno, kiedy ma w swoim pokoju ptaki, śpiące drzewa i żagle na wielkich statkach.

Rozłożył lunetę i podał Lornie.

- Przyłóż ją do oka, a drugie zamknij. Sama zobaczysz! Lorna posłuchała chłopca i nagle rozjaśniony księżycowym światłem dok wskoczył do jej pokoju.

- Niech mnie diabli - powiedziała i skierowała lunetę na twarz Therona - w moim pokoju jest pirat. Kapitan Kidd, jak sądzę.

Theron zaczął chichotać i Lorna poczuła się lepiej.

- Dzięki, Theron - powiedziała szczerze. Opuściła lunetę i z czułością uśmiechnęła się do brata. - Tego właśnie było mi potrzeba.

Theron zawstydził się i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Podrapał się po głowie grubymi paluszkami i postawił wszystkie włosy dęba.

- Chyba już pójde do łóżka.

- Ja też. Do jutra. Miłych snów... i niech cię pluskwy nie pogryzą.

- Lorna, daj spokój; nie jestem dzieckiem.

- Przepraszam.

Wstał i ruszył do wyjścia. W drzwiach ostatni raz obejrzał się na swoją ukochaną zabawkę.

- Lorna, tylko nie zostaw jej na noc na dworze. I pilnuj, żeby nie dostał się do niej piasek.

- Dobrze.

- Jak myślisz, ile dni będziesz jej potrzebowała?

„Do następnych regat” - pomyślała, głośno zaś powiedziała:

- Nie więcej niż dwa, trzy.

- Zgoda. Przyjdę po nią, ale nie kładź jej tam, gdzie mogłaby ją znaleźć Jenny albo Daphne.

- Dobrze - Lorna zasalutowała lunetą.

- Pa - powiedział Theron i wyszedł.

Lorna trzymała lunetę w dłoni, aż mosiądz zrobił się ciepły. Ze łzami w oczach wpatrywała się w ten dar miłości. Jak znaleźć dobrą służbę i ile kosztują różne rzeczy potrzebne w domu. Uśmiechnęła się przez łzy. Co ona wie o potrzebach domu? Kochany, miłutki Theron. Kiedyś dorośnie i będzie mężczyzną; trzeba mieć nadzieję, że bardziej podobnym do Jensa niż do papy. Poczula gwałtowny przyływ czułości do brata. Długo siedziała przy oknie, poznając nową prawdę: miłość karmi się miłością i pomnaża się, kiedy się ją daje. Miłość do Jensa otworzyła jej oczy na uroki świata, a jej serce na bardziej szczerą miłość do bliskich. Nawet do mamy, hołdującej niewłaściwym wartościom; do papy, zakłamanego i oschłego. Kochała ich, ale nie mogła pozwolić, żeby decydowali o jej uczuciach. Ojciec, oczywiście, zgodzi się z mamą, kiedy ta wspomni, że już czas ustalić termin ślubu Lorny. Podczas popołudniowej herbatki w klubie porozmawia o tym z rodzicami Taylora, po czym wszyscy uznają za oczywiste, że Lorna zostanie żoną Taylora.

Jak zmienić ich myślenie? Będzie trudno, ale trzeba próbować. Lorna postanowiła nie odkładać sprawy do jutra.

* * *

Nie spała, kiedy skończyło się przyjęcie. Leżała w łóżku i słyszała, jak rodzice wchodzą na górę, myją się i zamykają za sobą drzwi sypialni. Ześliznęła się z łóżka, włożyła szlafrok i poszła do ich pokoju.

Zapukała. Dopiero po chwili za drzwiami rozległ się głos ojca:

- Tak? Kto tam?

- Lorna, ojciec. Mogę wejść?

Otworzył drzwi. Był w spodniach i w letniej koszuli z krótkim rękawkiem. Szelki zwisały mu z ramion. Levinia leżała już w łóżku. W pokoju pachniało cygarami.

- Muszę z wami porozmawiać.

Rzadko bywała w tym pokoju, od kiedy dorosła. Aż do tej chwili nie rozumiała, dlaczego. Levinia przykryła się kołdrą po szyję, chociaż była cała spowita w białą, bawełnianą koszulę.

Lorna zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

- Przykro mi, że nie byłam na dzisiejszym przyjęciu i muszę was przeprosić, ponieważ skłamałam. Nie chciałam być tam z Taylorem.

Gideon odezwał się pierwszy.

- Twoja matka mówiła mi, że podobno nie chcesz wyjść za niego za mąż. Wielkie nieba, co w ciebie wstąpiło?

- Nie kocham go, ojciec.

Oczy Gideona zwężiły się, kiedy ze złością przyglądał się córce. Potem prychnął i odwrócił się.

- Nigdy w życiu nie słyszałem nic równie głupiego.

- Dlaczego?

- Dlaczego! - Znów odwrócił się ku niej. - Dziewczyno, muszę powiedzieć, że jesteś głupsza, niż myślałem! W pełni zgadzam się z twoją matką. Taylor DuVal jest gotów całować ziemię, po której stąpasz. Jest ambitny, bystry i jeszcze przed trzydziestką zarobi furę pieniędzy, tak jak jego ojciec. Jest człowiekiem z naszej sfery, a jego rodzice są nie mniej od nas zadowoleni z waszej przyjaźni. Sprawa zo-

stała postanowiona! Wyjdiesz za niego w czerwcu! Twoja matka zajmie się przygotowaniem uroczystości.

- Papo, proszę... Nie...

- Powiedziałem, że sprawa została postanowiona! Lorna zacisnęła usta. Łzy napłynęły jej do oczu i polały się strumieniem. Odwróciła się i zatrzasnęła za sobą drzwi z taką mocą, że z leżącego na popielniczce cygara spadł popiół. Wszyscy w całym domu słyszeli głośnie kroki, potem trzaśnięcie drzwi w sypialni Lorny. Dziewczyna rzuciła się na łóżko i gorzko zapłakała.

Dziesięć minut później do pokoju wsunęła się niepewnym krokiem Jenny. Lorna ciągle płakała. Dopiero kiedy siostra dotknęła jej włosów, zauważyła, że nie jest sama.

- Lorna? Lorna... Co się stało?

- Och, Jenny... - jęknęła Lorna.

Jenny wspięła się na łóżko i Lorna wtuliła się w siostrzane ramiona.

- Oni wydają mnie za Taylora, a ja nie chcę.

- Ale Taylor jest przystojny. I miły.

- Wiem. Och, Jenny, jakże żałuję, że nie mogę podziwiać go tak, jak ty, ale ja kocham kogoś innego.

- Kogoś innego? - szepnęła Jenny. Ta nowina zdziwiła ją bardziej niż trzaskanie drzwiami. - Boże.

- Kogoś, kto dla nich jest nikim.

- Kogo?

- Nie mogę ci powiedzieć; nic im nie mów. Jeszcze nie wiedzą. Wiem, że to tchórzostwo z mojej strony. Powinam im powiedzieć, ale oni są tacy... silni i wydaje im się, że mają prawo mną rządzić i... mówić mi, co mam robić. Nie zniosę tego dłużej.

Jenny głaskała Lornę po włosach. Jeszcze nigdy młodsza siostra nie pomagała starszej. Najpierw Theron, teraz Jenny; przyszli, rozumiejąc, że są jej potrzebni. Chwilę później w ciemnościach odezwał się jeszcze jeden nieśmiały głos.

- Jenny? Co stało się Lornie?

Daphne jak duch podpłynęła do łóżka.

- Pokłóciła się z rodzicami. Wracaj do łóżka, Daphne.

- Ona płacze.

- Nic mi nie jest, Daphne. - Lorna, wtulona w kolana Jenny, wyciągnęła rękę. Daphne dotknęła jej i przysiadła na łóżku. - Naprawdę nic.

- Ty nigdy nie płaczesz. Jesteś już dorosła.

- Daphne, dorośli też płaczą. Teraz, po wizycie twojej, Jenny i Theron czuję się dużo lepiej.

- Theron też tu był?

- Zanim poszedł spać. Przyniósł mi swoją lunetę. -Lunetę? Jej! - Daphne ze zdumienia zapało dech w piersiach.

Jenny spytała:

- Już lepiej, Lorno?

- Och, tak... Dziękuję wam. Lepiej, żebyście wróciły do łóżek, zanim mama się zorientuje.

Jenny poprawiła poduszkę, a Daphne pocałowała ją.

- Jutro zagram z tobą w tenisa - obiecała.

- Ja też - dodała Jenny.

- Dziękuję wam. Jesteście dobrymi siostrami.

- Dobrej nocy, Lorno.

- Nie będziesz już płakała?

- Nie, już jest mi lepiej.

Siostry wahały się w ciemności, niepewne, czy mogą ją zostawić, aż wreszcie wyszły na palcach, jakby Lorna była niemowlakiem, którego udało się ukołysać do snu.

Kiedy zniknęły za drzwiami, Lornę znów ogarnął smutek. Miłość rodzeństwa była wzruszająca, ale miała w sobie również coś niewytłumaczalnie smutnego.

Jens... Jens... tylko ty możesz dać mi szczęście. Chcę być z tobą, śmiać się, płakać, kochać.

Usłyszała, jak stary zegar wybija godzinę. W domu panowała absolutna cisza.

Kwadrans.

Pół godziny. Jest wpół do drugiej? Wpół do trzeciej?

Nikogo już nie słyhać. Nikt nie będzie wiedział.

Leżała na plecach, z rękami złożonymi na piersiach, a serce waliło jej jak młotem. Jens... Jens... śpi nade mną, w pokoiku na poddaszu.

Nikt nie usłyszy.

Nikt się nie dowie.

Łóżko było wysokie. Długo szukała stopami podłogi. Kiedy wreszcie stanęła, nie włożyła szlafroka ani kapci, tylko bosą przeszła swój pokój i poszła korytarzem do wąskich, pachnących jedzeniem schodów dla służby. Była tam kilka razy i знаła rozkład poddasza: trzy pokoje po prawej stronie, trzy po lewej, wciśnięte pod niski dach, jak włosy pod czapkę. Drzwi Jensa były po lewej stronie, środkowe.

Otworzyła je bez pukania, wsunęła się do środka i szybko, bezgłośnie zamknęła za sobą. Przez chwilę stała bez ruchu, wsłuchując się w oddech Jensa, śpiącego na białym łóżku. Stało po lewej stronie, przy ścianie. Obok łóżka widniało pojedyncze, małe okienko, otwierające się do środka. Wpadało przez nie niewiele powietrza. Pachniało śpiącym mężczyzną: ciepłym oddechem, rozgrzaną skórą, przepoconym ubraniem.

Łóżko było wąskie. Lewa ręka Jensa zwisała, skierowana dłonią w stronę Lorny. Chrapał cichutko. Może śnią mu się żaglówki? Może rozgrzane w parze drewno? Może ona?

Podeszła do łóżka i przykucnęła obok wyciągniętej ręki.

- Jens? - szepnęła.

Pierwszy raz widziała śpiącego mężczyznę. Ramiona miał nagie. Klatkę piersiową i brzuch również, aż do pasa; reszta ginęła pod prześcieradłem. Wysunięte ramię od spodu było białe i delikatne. Czterema niepewnymi palcami Lorna dotknęła miękkiego, ciepłego, rozluźnionego bicepsa.

- Jens?

- Hmm? - Uniósł głowę i pozostał w tej pozycji. Jego

ciało obudziło się szybciej niż umysł. - Co? - szepnął zdziwiony. - Co jest?

- Jens, to ja, Lorna...

- Lorna! - Usiadł. - Co tu robisz?

-Przyszedłam do ciebie... porozmawiać... Mam straszną wiadomość.

-Przepraszam... jeszcze się nie dobudziłem. Co się stało?

- Chcą mnie wydać za Taylora. Matka twierdzi, że ustalą datę: czerwiec przyszłego roku. Wyrzuciłam zegarek Taylora do jeziora, prosiłam ich, mówiłam, że go nie kocham, ale są jak głusi i do tego wściekli się na mnie. Mówią, że wyjdę za Taylora, czy chcę czy nie. Och, Jens, co ja zrobię?

- Która godzina?

- Nie wiem. Dochodzi druga... albo trzecia.

- Powieszają cię, jeśli cię tu złapią... i mnie razem z tobą.

- Wiesz przecież, że mnie nie złapią. Wszyscy położyli się już ponad godzinę temu. Jens, co my zrobimy? Nie mogę wyjść za Taylora po tym, jak zrobiłam to z tobą, ale boję się powiedzieć im prawdę.

- Nie możesz.

Odsunął włosy z czoła, podciągnął prześcieradło nieco wyżej i rozejrzał się bezradnie. Nic mądrego nie przychodziło mu do głowy.

- Chodź - szepnął i wziął ją za rękę. - Chodź tutaj. Usiadła na brzegu łóżka, zwrócona twarzą do niego.

- Nie wiem, co zrobimy, ale na pewno nie to. Nie będziemy narażali cię na niebezpieczeństwo spotykając się tutaj, gdzie łatwo mogliby nas odkryć. Wrócisz do swojego pokoju i pomyślimy o tym jutro.

- Jens, nie ożeniłbyś się ze mną teraz?

Zdjął ręce z jej ciepłego ciała. Starał się nie myśleć o tym, co znalazłby pod cienką bawełnianą koszulą.

- Teraz nie mogę się z tobą ożenić. Z czego byśmy żyli? Gdzie? Wszyscy ludzie których znam, znają twojego ojca. Dopilnowałby, żebyśmy nigdzie nie dostał pracy; zresztą usta-

liliśmy, że nie będę już pomocnikiem kucharki. Będę budował jachty, a to stanie się możliwe dopiero po ukończeniu „Lorny D.”.

- Wiem - szepnęła i spuściła głowę. Uniósł ją koniuszkiem palca.

- Teraz nic nam nie grozi. Nie ustalili przecież ślubu na jutro. Lorna odpowiedziała spokojnie:

- Dzisiaj wydali przyjęcie. Miałam siedzieć obok niego. Czy wiesz, jak to jest, siedzieć obok mężczyzny, udawać, że jego towarzystwo cię bawi, że jest interesujący, kiedy kochasz innego? Tak było prawie przez całe lato i dłużej już nie mogę tego znieść. To nieuczciwe wobec Taylora, wobec ciebie. Kocham cię tak bardzo, że nie mogę dłużej udawać, Jens.

Siedzieli w milczeniu, zasmuceni kłopotami towarzyszącymi ich miłości, niemal żałując, że w ogóle się poznali. Myśleli o tym, żeby powiedzieć jej rodzicom prawdę. Wiedzieli, że byłoby to głupie, ponieważ chcieli nie tylko miłości, ale i wspólnego życia, a rozmowa z rodzicami zamknęłaby tę możliwość.

- Czy myślałaś kiedyś - spytał - o ile prostsze byłoby życie, gdybyś nie przyszła wtedy do kuchni?

- Wiele razy.

- Nie czujesz się winna, kiedy tak myślisz?

- Czuję.

- Ja też.

Milczeli długo. Jens jedną ręką oparł się o materac, drugą sięgnął nad swoimi biodrami i dotknął Lorny.

- Jeśli jakoś nam się uda i będziemy mieli własne dzieci, nigdy nie będziemy im mówić, kogo mają kochać.

Ich palce pieściły się bez cienia radości. Mijały minuty, w miejsce smutku pojawiło się pożądanie, głucho na to, co mówili. Siedzieli w ciepłej sypialni na poddaszu, skąpo odziani, pobudzeni wspomnieniem pierwszego razu. Długo dotykali się tylko palcami, a w ich umysłach pojawiały się obrazy bardziej intymnego spotkania. Popatrzyli na swoje

dłonie, ledwo widoczne w nieoświetlonym pokoju. Ich palce krążyły, krążyły...

Potem zamarły bez ruchu.

Jens pierwszy podniósł spojrzenie na jej twarz; na to miejsce w ciemności, gdzie powinna być jej twarz. Ona też podniosła oczy, jakby w odpowiedzi na milczące wołanie. Siedzieli bezradni, nieszczęśliwi, ogarnięci bezlitosnym pragnieniem, zrodzonym w młodych ciałach. Gorączka. Naleganie.

Z jego ust wydarło się wyznanie; słowo, wyszeptane z błaganiem:

- Lorna...

Usta przy ustach, pierś przy piersi; uciszyli głosy zdrowego rozsądku.

Jens uniósł ją, przewrócił niemal z rozpaczą i swoimi nogami rozsunął jej nogi.

Całowali się, obracali, dopasowywali, unosili kolana, rozchylali nogi, zdobywając pewność, że skórę od skóry dzieli tylko jedno prześcieradło i tylko jedna koszula nocna.

- Moja piękna Lorna - szeptał Jens, napętniając dłonie jej piersiami, potem biodrami, wreszcie koszulą, która zaplątała się na lewym ramieniu i stała się częścią gorącego uścisku.

- Nie chciałam przychodzić - szepnęła Lorna. - Leżałam w łóżku i starałam się usnąć... nie myśleć o tobie... nie wychodzić z łóżka.

Jego ręce wędrowały po nagiej skórze szybko i precyzyjnie.

- Ja też próbowałem...

Dotknął ją od środka, zanim jeszcze poduszka ugięła się pod jej głową. Lorna wyprężyła się i objęła piętami jego biodra. Jens zdarł z siebie prześcieradło. Pierwsze, niecierpliwe pieszczoty były przyzwoleniem dla młodych ciał; dni i godziny tęsknoty również odegrały tu wielką rolę: całe lato odwracali się od siebie, spoglądali na siebie, myśleli jedno, a czuli co innego. To, co stało się w szopie, wróciło do

nich tej nocy. To, czego nauczyli się wówczas, dojrzewało i rozwijało się.

- Ty...! - Jens prawie krzyczał - doprowadzasz mnie do szaleństwa, nocą i dniem. Dlaczego nie trzymałaś się ode mnie z daleka, córko bogacza?

- Powiedz księżycowi, żeby dał spokój przypływom i odpływom... Dlaczego mnie nie wyrzuciłeś, ubogi synu rzemieślnika budującego łodzie?

Jens jęknął, położył się na niej i natychmiast wszedł w nią, a ona objęła go nogami.

Kiedy ogarnęło ich drzenie, on zatkał jej usta ręką, żeby nie krzyczała, i prosił księżyc, by powstrzymał przypływy i odpływy, ale księżyc w odpowiedzi uśmiechnął się tylko i Jens pozostał w Lornie do ostatniego poruszenia i westchnienia.

Rozdział 11

Wrzesień dobiegał końca. Upały wróciły na krótko, ale szybko znów się ochłodziło. O świcie mgła spowijała jezioro. Żaby przestały koncertować. Wysoko słyhać było skrzekliwe gęganie kanadyjskich gęsi. Na bagnach nad brzegiem jeziora pałki zmieniły się w puch i stały samotnie, od kiedy ptaki z czerwonymi skrzydłami odleciały na południe. Na zachodzie niebo płonęło żywymi barwami czerwieni i pomarańczy, jakby światło słońca załamywało się na tumanach kurzu wznieconego podczas żniw. Powietrze pachniało palonymi liśćmi i plewami, a w nocy księżyc otaczało halo, ostrzegające przed nadchodzącymi chłodami.

W szopie zaczęło się poszywanie kadłuba. Teraz pojemnik na parę syczał codziennie, pełen cedrowego drewna, nasycając powietrze wilgocią i wonią tak nęcącą, że wróble stukały w szyby, jakby błagając, żeby je wpuścić do środka. Piętnaście centymetrów szerokości i nieco ponad centymetr grubości: rozgrzać w parze, przykleić i przykręcić, potem przyłożyć następną deskę i następną. Łódź zaczynała nabierać realnych kształtów. Linie miała gładką i lekką. Potem, kiedy klepki były umocowane, rozpoczęło się uszczelnianie: za pomocą obracającego się kółka wciskano między klepki pasma puszystej bawełny, które potem napuchną od wody i sprawią, że łódź będzie się nadawała od żeglugi. Dziury, pozostawione przez śruby, zapełniono drewnianymi czopami. Później zaczęło się to, co najbardziej cieszyło Lornę.

Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła, jak Jens szlifuje powierzchnię, uznała, że jest to najbardziej interesujący ruch, jaki widziała. Trzymając narzędzia w obu rękach, Jens obracał się, pochylał, robił gwałtowne wypady do przodu, a jego ramiona schylały się ukośnie, przesuwwały i rozciągały. Widać było, że kocha swoją pracę. Często gwizdał, często też kuczał i przymykając jedno oko drugim bacznie przyglądał się kadłubowi łodzi. Tańczył na palcach wśród pozwijanych wiórów cedrowych, jasnych jak jego włosy i równie mocno pachnących.

- Kiedy byłem chłopcem - opowiadał - porządnie obrywałem od ojca, ilekroć próbowałem ominąć heblowanie łodzi ręcznym heblem przed wygładzeniem jej powierzchni papierem ściernym. Mój ojciec był zrzędlawy. Czasem jeszcze przed heblowaniem, kiedy sporządzaliśmy szablon, zauważył jakąś wypaczoną część i mówił: „Musimy to poprawić, chłopcy”. Marudziliśmy wtedy i użalaliśmy się nad swoim losem. Mówiliśmy: „Tato, nie jest tak źle”. Teraz dziękuję gwiazdom, że zmuszał nas do poprawiania wszystkiego, aż było idealne. Ta łódź... ta piękność będzie miała linię tak gładką, że wiatr nie poczuje jej ciężaru.

Lorna słuchała, przyglądała się, podziwiała piękne mięśnie na ramionach Jensa, nieustannie zajętych pracą. Myślała sobie, że mogłaby całą wieczność przyglądać się, jak buduje statki.

Powiedziała kiedyś:

- Pamiętasz, jak przyszłam do kuchni, kiedy jedliście ciasto? Pani Schmitt prosiła ciebie, żebyś odłupał trochę lodu do mojej herbaty. Kucnąłeś, zacząłeś uderzać szpikulcem do lodu i między paskiem spodni a koszulą ukazał się kawałeczek nagiej skóry, w kształcie ryby. Nie mogłam oderwać od ciebie oczu. Miałeś na sobie czarne spodnie i bardzo spłowiałą czerwoną koszulę; pamiętam, że miała kolor starej, wypranej plamy z pomidora. Szelki wpijały się w skórę pośrodku tego odsłoniętego kawałeczka, a kiedy rąbałeś, kawałki lodu spadały na podłogę. Potem udało ci się

odrabiać większy kawałek, wziął go i spuścił z palców do mojej szklanki. Na koniec wytarł ręce w spodnie.
- Jens przerwał heblowanie i patrzył na Lornę. - Kiedy widzę, jak pracujesz tym heblem - kończyła - czuję takie mrowienie w brzuchu, jak wtedy.

Jens bez słowa odłożył narzędzie, podszedł do niej, wziął ją w ramiona i pocałował, przynosząc ze sobą aromat i lekki posmak cedru.

Kiedy uniósł głowę, na jego twarzy ciągle widać było ślad zdziwienia.

- Pamiętasz to?

- Pamiętam wszystko, od naszego pierwszego spotkania.

- Że miałem czerwoną, wypłowiałą koszulę?

- Podciągniętą do góry... o, tutaj - dotknęła jego pleców między szelkami i koniuszkami palców narysowała w tym miejscu trzy kółka.

- Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką - uśmiechnął się Jens.

- Masz.

Podał jej kawałek papieru ściernego.

- Możesz mi pomóc. Poleruj po mnie.

Lorna uśmiechnęła się, pocałowała go w brodę i razem zabrali się do pracy nad „Lorną D.”, symbolem ich wspólnej przyszłości.

W ciągu ostatnich kilku tygodni przed wyjazdem rodziny do miasta, Lorna często chodziła do pokoju Jensa. Kochali się, a potem długo leżeli przytuleni, rozmawiając szeptem.

- Postanowiłem - powiedział jej pewnej nocy Jens - że kiedy skończę „Lornę D.”, wrócę do miasta i do wiosny będę pracować w kuchni.

- Nie. Kuchnia to nie jest miejsce dla ciebie.

- To co mam zrobić?

- Nie wiem. Wymyślimy coś. Oczywiście, nic nie wymyślili.

Członkowie White Bear Yacht Club wyciągnęli swoje jachty na plażę i ruszyli na polowanie. Na stole w Rose Point Cottage zaczęły pojawiać się dzikie kaczki i gęsi. Od drugiego tygodnia września Levinia zajmowała się sporządzeniem list rzeczy, które mogą zostać i tych, które należy zabrać. W trzecim tygodniu pojawił się silny, jak na tę porę, mróz i ściął wszystkie róże. Gideon postanowił wyjechać z przyjaciółmi na pięciodniowe polowanie do Brule River w stanie Wisconsin, a Levinia oznajmiła przy kolacji, że kazała już spuścić wodę z rur i że nazajutrz wszyscy mają się spakować, ponieważ po południu wracają do miasta.

Lorna poszła w nocy do pokoju Jensa. Mocno tulili się do siebie. Niewiele rozmawiali. Całowali się trochę bardziej gorączkowo niż zazwyczaj.

Później, leżąc w jego ramionach, Lorna spytała:

- Kiedy łódź będzie gotowa?

- Za dwa miesiące. Przekroczę termin wyznaczony przez twojego ojca, ale widzę, że nie mam szansy na skończenie w ciągu miesiąca.

- Dwa miesiące... Jak ja to wytrzymam?

- Musisz pamiętać, że cię kocham; że kiedyś zostaniemy mężem i żoną.

Pocałował ją, dla przypieczętowania obietnicy. Mocno trzymał w dłoniach jej głowę. Zajrzał w smutne oczy.

- Wrócisz do miasta, kiedy skończysz łódź? -Tak.

Omawiali jeszcze różne możliwości, ale uznali, że do wiosny to najlepsze wyjście.

- Do tego czasu będziesz mieszkał w hotelu „Leip”? Większość hoteli nad jeziorem zamykano na zimę, ale „Leip” nadal wynajmował pokoje, po niższej cenie.

- Tak. Twój ojciec zapłaci za pokój i wyżywienie. Możesz do mnie pisać.

- Będę. Obiecuję. Ty też możesz pisać, ale listy wysyłaj do Phoebe. Używaj inicjału jej drugiego imienia, V, żeby

wiedziała, że to listy do mnie. Teraz jest mi zbyt smutno, żebym mogła dłużej rozmawiać o naszej rozłące. Mów mi o „Lornie D.”. Powiedz, co będziesz robił, zanim znów cię zobaczę.

Jens mówił długo, żeby tylko nie rozmawiać o innych sprawach.

- Potrzeba jeszcze dużo szlifowania papierem ściernym. Potem pomaluję łódź od zewnątrz. Na zielono, oczywiście. Koniecznie na zielono. Potem trzeba wyrównać klepki, żeby nie wystawały nad wręgi i wyjąć łódź z szablonu.

Wtedy zacznę pracę nad wnętrzem. Później impregnowanie stępki, mocowanie pokładników i pokrywanie ich cedrowymi deskami. Potem, oczywiście, trzeba będzie znów heblować i szlifować. Później pokryję pokład płótnem. Na to pójdą listwy z mahoni; przykryję nimi gwoździe, którymi umocuję płótno. Następnie należy obudować mahoniem kokpit, przewiercić otwór na ster, zamocować rumpel, przytwierdzić elementy metalowe i...

Lorna przerwała i rzuciła mu się w ramiona, z trudem powstrzymując się od płaczu.

- Tyle pracy - szepnęła. - Czy będziesz miał czas, żeby za mną tęsknić?

- Tak, będzie mi ciebie brakowało. - Jens pogładził jej nagie plecy. - Nie pojawisz się w drzwiach, z ostróżką i czarnymi porzeczkami, z niekończącymi się pytaniami, z zapachem pomarańczy we włosach, ze swoją delikatną skórą, z pieszczotami, pocałunkami dającymi mi poczucie, że jestem ważną częścią wszechświata.

- Jens, jesteś ważny.

- Tak, od kiedy się w tobie zakochałem. Przedtem nie byłem tego pewny.

- Przedtem też byłeś ważny. Pamiętasz, jak mówiłeś, że potrafisz zbudować najszybszy jacht? Że przejdiesz do historii regat na wodach śródziemnych? Jedną z rzeczy, które w tobie podziwiam, jest pewność siebie. Och, Jens, bardzo będzie mi ciebie brakowało.

Tulili się do siebie i odliczali minuty uciekającej nocy.

- Która godzina? - pytała czasem Lorna. Jens wstawał, wyglądał za okno i po świetle księżyca poznawał porę.

- Trzecia trzydzieści - odparł za pierwszym razem. Potem:

- Prawie czwarta. Wreszcie:

- Czwarta trzydzieści.

Wrócił na swoje wąskie łóżko, usiadł przy Lornie i ujął jej rękę.

- Musisz iść. Wkrótce personel kuchni zacznie się budzić. Mogłabyś wpaść na kogoś w korytarzu.

Lorna poderwała się, objęła go za szyję i szepnęła:

- Nie chcę.

Przytulił jej twarz do swojej szyi. Myślał: „Żeby tylko była bezpieczna i żeby nie zaszła w ciążę. Oby nie przestała mnie kochać w czasie rozłąki i oby nie wydali jej za tego DuVala, chociaż on pasuje do niej o wiele lepiej niż ja”.

Pocałowali się ostatni raz. Starali się zachowywać dzielnie, ale Lorna nie wytrzymała. Jens musiał ją odepchnąć.

-Gdzie twoja koszula? - spytał łagodnie. - Musisz ją włożyć.

Lorna zaczęła szukać w ciemnościach i znalazła, ale nadal siedziała ze spuszczoną głową, z koszulą w ręce. Jens wyjął ubranie z nieruchomych palców i podniósł nad głowę.

- Załóż, kochanie.

Uniosła ręce i koszula osunęła się, okrywając ciało. Jens pocałował Lornę w szyję i dopiero potem zapiął koszulę.

-Pamiętaj... Kocham cię. Nie możesz płakać, bo rano będziesz miała czerwone oczy. Jak się z tego wytłumaczysz?

Lorna otoczyła go ramionami.

- Powiem, że Kocham Jensa Harkena i nie chcę bez niego wracać do miasta.

Jens wstał, wyrывая się z jej uścisku.

- Daj spokój - powiedział. - Zachowujesz się tak, że trudno to znieść. Za chwilę i ja zacznę płakać.

Posłuchała go natychmiast. Dla niego była gotowa zrobić to, czego nie mogła zrobić dla siebie: zeszła z łóżka i powędrowała w stronę drzwi. Jens dopędził ją i ostatni raz wziął w ramiona.

- To będzie najszybsza, najpiękniejsza łódź - obiecał. - Dzięki niej wygram ciebie, zobaczysz. Myśl o tym, kiedy będzie ci ciężko. Pamiętaj, że cię kocham i ożenię się z tobą.

- i ja ciebie kocham - udało się jej wyszlochać, kiedy wybuchnęła długo wstrzymywanym płaczem.

Ich usta spotkały się w ostatnim, udęczonym pocałunku. Lorna stanęła bosymi stopami na stopach Jensa.

Wyrwał się jej, złapał z całej siły za ręce i rozkazał:

-Idź!

Potem słyszał tylko jej szlochanie w ciemnościach, kiedy odeszła.

Dziewięć godzin później, szykując się do odjazdu, Levi-nia nie wytrzymała:

- Na Boga, dziewczyno, co ci jest? Jesteś chora?

- Nie, mamó.

- Więc włóż kapelusz i ruszaj się! Na miłość boską, zachowujesz się tak, jakbyś cierpiała na chorobę Addisona!

* * *

Dla Lorny powrót do Saint Paul był jak droga do więzienia. Wprawdzie był to jej dom, ale czuła się w nim o wiele gorzej niż w willi w White Bear Lake. Dom Gideona Barnetta, stojący przy ulicy Summit Avenue, wśród najpiękniejszych rezydencji w Saint Paul, został wzniesiony jako pomnik jego sukcesu. Już sam adres przydawał mu prestiżu, jako że na liście właścicieli posiadłości przy Summit znajdowały się rodziny zamożne od wielu pokoleń: przemysłowcy, baronowie kolei żelaznej, zarządcy kopalni i politycy, którzy mieli stąd blisko do siedziby władz stanowych.

Dom Barnettów zbudowano z szarego granitu, wydobywanego w Saint Cloud w Minnesocie, w kopalni należącej

do Gideona Barnetta. Został wzniesiony przez mistrzów niemieckich, specjalnie w tym celu sprowadzonych do Ameryki. Był masywny, zwalisty, ozdobiony gzymsami i wysoką, kwadratową wieżą, w której mieściła się klatka schodowa. Drzwi, wymyślnie rzeźbione, zdobiły brązowe okucia w kształcie chimery z psimi zębami. Kiedy Lornę wnoszono w dzieciństwie do domu, zawsze zamykała oczy i wtulała się w matczyne ramię, żeby nie widzieć tych przerażających bestii.

W środku tłoczyły się drewniane rzeźby w cukierkowych kolorach i mahoniowe meble o nogach nie węższych niż talia Lorny. Wyposażenia dopełniały malachitowe urny, francuskie brązy, wypchane głowy jeleni (trofea Gideona) i ciemne chodniki od Kirmana. Potężne żyrandole wisały nad głowami jak boży gniew, a kominki - było ich w sumie osiem - ziały jak otwarte przepaście. Do tego należy jeszcze wyobrazić sobie okna osadzone bardzo głęboko i wpuszczające niewiele światła, a bez trudności zrozumiemy, że na Lornę czekało miejsce jeszcze pogłębiające jej smutek.

Tęskniła w tym domu codziennie od chwili, gdy rano otwierała oczy w swoim łóżu z drewna palisandrowego, aż do kolacji w mrocznej jadalni, w której ciemne tapety pochłaniały światło, sączące się z brzydkiego kandelabra w kształcie grupy Indian, uzbrojonych w łuki i strzały.

Lorna czuła, że jej serce zostało w Rose Point Cottage, a zamiast niego nosi w piersi martwy głaz; coś przypominającego portmonetkę bez pieniędzy, której nie otwiera się przed innymi.

Minął tydzień. Lorna cały czas była niespokojna i milcząca.

Po dwóch tygodniach Levinia zaczęła się martwić. Dotykała czoła Lorny i sprawdzała, czy córka nie ma gorączki.

- Lorno, co ci jest? Od kiedy wróciliśmy do domu, jesteś jakaś dziwna.

- To nic. Brakuje mi ogrodów, światła, świeżego powietrza. Ten dom jest taki ponury i ciemny!
 - Niewiele jesz i jesteś blada.
 - Mówię mamie, że to nic wielkiego. Naprawdę.
 - Mów, co chcesz, ja i tak się martwię. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Rose Point, powiedziałam coś o chorobie Addisona tylko po to, żebyś zaczęła się ruszać, ale obserwuję cię już od kilku tygodni. Wczoraj sprawdziłam, co napisano na ten temat w poradniku „Zdrowie i długowieczność”. Lorno, masz wiele symptomów.
 - Och, mammo... - Lorna uciekła w drugi koniec pokoju. Poruszała się bardziej energicznie, niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni. - Na miłość boską!
 - To prawda. Twoje osłabienie przedłuża się. Masz zmienny apetyt i niechęć do niektórych potraw. Czy wymiotowałaś?
 - Nie, mammo. Nie wymiotowałam.... Daj spokój.
 - Nie złość się na mnie. Pozostałe symptomy pasują, a wymioty pojawiają się dopiero w bardziej zaawansowanych stadiach. Chyba powinniśmy odwiedzić doktora Richardsona.
 - Nie pójdę do doktora Richardsona. Po prostu jestem ostatnio trochę przemęczona. Levinia zamyśliła się, po chwili wstała, jakby już podjęła decyzję.
 - Doskonale. Skoro nie jesteś chora, to już czas, żebyś przestała snuć się po kątach i zaczęła zachowywać się jak człowiek. Dorothea DuVal zaprosiła nas na obiad w najbliższy czwartek. Przyjęłam to zaproszenie. Uznałyśmy, że należy zacząć myśleć o ślubie. Do czerwca nie jest znów tak daleko.
 - Przecież nie było nawet oficjalnych zaręczyn!
 - Wiem, ale Dorothea twierdzi, że Taylor wkrótce się oświadczy.
- Pusta, jak dotąd sądziła Lorna, portmonetka jej serca, okazała się pełna obiekcji, gotowych wysypać się przy oka-

zji. Znalazło się tam i zniechęcenie wywołane obojętnością matki, i złość na Levinę i Dorotheę, i niezgoda na ten ślub.

Lorna, świadoma, że jeśli nawet wyrazi swoje obiekcje, nie zostanie wysłuchana, zaskoczyła matkę.

- Jak chcesz, mamó - powiedziała obojętnie.

Potem wyszła z pokoju i udała się na poszukiwanie ciotki Agnes. Znalazła ją w pokoju muzycznym. Ciotka odsunęła koronkowe firanki, żeby wpuścić do środka więcej światła. Siedziała teraz na bujanym fotelu przy kruchym stoliku i wyszywała.

- Ciociu Agnes, czy mogę z tobą porozmawiać?

Agnes zdjęła okulary i położyła je obok podstawki na naporstek.

- Oczywiście. Na to zawsze mam czas.

Lorna zamknęła drzwi i postawiła obok fotela ciotki niski stołeczek.

- Ciociu Agnes - powiedziała, opierając łokcie na kolanach. Zajrzała w łagodne, niebieskie oczy. - Muszę ci powierzyć najważniejszą tajemnicę mojego życia.

- Nie wydam jej, aż do śmierci.

Lorna dotknęła lśniących, pomarszczonych dłoni Agnes.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o mężczyźnie, którego kocham? Nie chodziło mi o Taylora DuVal. Chodzi o kogoś, kogo mama i papa nie zechcą znać. To jeden z naszych pracowników, Jens Harken; ten, który buduje dla ojca łódź. Zanim zaczął pracę przy łodzi, pomagał kucharce, ale to nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Kocham go tak mocno i szczerze, jak ty kochałaś kapitana Dearsleya. Chcę wyjść za niego.

Oczy ciotki Agnes złagodniały. Wyciągnęła ręce i ujęła twarz Lorny, jakby chciała ją pocałować. Nie zrobiła tego jednak, tylko powiedziała:

- Drogie dziecko, to znaczy, że znalazłaś miłość. Należysz do grona tych szczęśliwców, którym się to udało.

Lorna uśmiechnęła się:

- To prawda.

Agnes opuściła ręce.

- Jesteś gotowa walczyć... i będziesz musiała, ponieważ Gideon i Levinia będą warczeć, krzyczeć i zakazywać.
 - Już robią swoje. Matka spotyka się w czwartek z Dorotheą DuVal, żeby omówić plany ślubne. Chcą, żebym była z nimi. Mówiłam mamie wiele razy, że nie chcę wychodzić za Taylora, ale ona nie słucha.
 - Ponieważ jej, tak jak i twojego ojca, nie spotkało błogosławieństwo miłości. Oni tego nie rozumieją.
 - Co mam robić?
 - Czy twój chłopiec może cię utrzymać?
 - Jeszcze nie teraz. Może za rok.
 - Zerwałaś z Taylorem?
 - Nie. Unikałam go tylko, żywiąc nadzieję, że sam zrozumie.
 - Hmm.... Niezbyt szlachetne postępowanie.
 - Wiem - szepnęła Lorna.
 - W dodatku nieskuteczne. Jeśli chcesz, żeby przestał przychodzić i robić twojej matce nadzieje, powiedz mu o tym. Jeśli będziesz musiała, powiedz mu, że kochasz innego. To go zaboli, ale kto z nas nie cierpiał z miłości? Cierpienie ma swój sens: pomnaża szczęście, kiedy ono się zjawia. Uważam, że konieczne jest definitywne zerwanie z Taylorem. Matkom od wieków udawało się siłą zaciągać do ołtarza córki, ale z synami nie szło im tak łatwo. Jeśli żadne z was nie będzie chciało ślubu, prawdopodobnie te dwie wścibskie kobiety odstąpią od swoich zamiarów. Im szybciej porozmawiasz z Taylorem, tym lepiej.
- Tym razem to Lorna ujęła w dłonie twarz ciotki Agnes. Pocałowała ją prosto w usta i powiedziała szczerze:
- Rozumiem, dlaczego kapitan Dearsley tak bardzo cię kochał. Dziękuję, kochana ciociu Agnes.

* * *

Następnego dnia Lorna ubrała się ciepło i tramwajem pojechała do tego rejonu Saint Paul, gdzie mieściły się biu-

ra, między innymi spółki DuVal Flour Milling Company. Konkretnie to biuro znajdowało się u stóp lasu wysokich elewatorów zbożowych, na brzegu rzeki Missisipi. Było tam mnóstwo kurzu, przyjemnie pachniało owsem.

Taylor, w skórzanych zarekawkach, pracował w oszklonym biurze, kiedy zapowiedziano Lornę. Widać było, że jest bardzo zdziwiony. Skoczył na równe nogi i niespokojnie zaczął wypatrywać jej po drugiej stronie szyby. Lorna pomachała do niego ręką. Uśmiechnął się i wyszedł zza biurka, zdejmując zarekawki.

- Lorna! - powiedział, wyciągając do niej ręce. - Cóż za niespodzianka!

- Witaj, Taylor.

- Nie mogłem uwierzyć, kiedy Ted wymówił twoje nazwisko. Sądziłem, że żartuje.

- A więc tutaj uczysz się, jak prowadzić interesy?

- Tak - zatoczył koło ręką. - Sporo kurzu, co?

- Miło tu. To twoje biuro?

- To z zakurzonym oknem.

- Czy możemy na moment wejść do środka, Taylorze? Słyszac ton jej głosu, Taylor przestał się uśmiechać.

- Oczywiście.

Dotknął jej ramienia i poszedł za nią. Zamknął drzwi. Z drewnianego fotela zdjął próbki ziarna, przetał siedzisko i przestawił w pobliże biurka.

- Usiądź, proszę.

Lorna przysiadła wyprostowana, nie opierając się plecami. Taylor usiadł na starym obrotowym krześle o jęczących sprężynach.

W pokoju zapadła na chwilę cisza.

Lorna odezwała się pierwsza:

- Przyszedłam porozmawiać z tobą o czymś ważnym. Taylorze, przepraszam, że przeszkadzam ci w pracy, ale nie wiedziałam, gdzie indziej mogłabym to zrobić.

Taylor czekał, oparty o wielką księgę. Miał na sobie szary garnitur w prążki, białą koszulę z wysokim kołnierzem

o zaokrąglonych rogach i czarny krawat. Nie pierwszy raz Lorna zastanawiała się, dlaczego nie mogła zakochać się w tym mężczyźnie bez wad.

- Czy twoja matka rozmawiała z tobą ostatnio... o nas? - spytała.

- Tak, rozmawiała. Wczoraj wieczorem.

- Taylorze, musisz wiedzieć, że bardzo ciebie cenię. Podziwiam cię i... i jesteś miłym towarzyszem. Latem dałeś mi zegarek i powiedziałeś, że to dowód twoich poważnych zamiarów względem mnie. Taylorze - zająknęła się i spuściła wzrok na swoje rękawiczki. - Tak trudno to powiedzieć... - Spojrzała mu w oczy. - Jesteś przystojnym, uczciwym, silnym mężczyzną. Nie wątpię, że byłbyś doskonałym mężem, ale prawda jest taka... Taylorze, tak bardzo mi przykro... Ja ciebie nie kocham. Nie tak, jak kobieta powinna kochać mężczyznę, którego zamierza poślubić.

Wąsy Taylora lekko opadły po lewej stronie, jakby przytrzymał je między zębami a dolną wargą. Siedział bez ruchu. Jego spokój przeraził Lornę, ale mówiła dalej.

- Nasze matki są jednomyślne. Chcą, żebym jutro zjadła z nimi obiad i żebyśmy zajęły się przygotowaniami do naszego ślubu. Taylorze, błagam... Proszę, pomóż mi przekonać je, że z tego nie może wyniknąć nic dobrego. Jeśli mi nie pomożesz, będą planowały to małżeństwo, do którego nie może dojść.

Taylor poruszył się wreszcie. Odsunął krzesło, wypuścił powietrze z płuc i jedną dłonią potarł twarz. Zasłonił ręką usta i brodę, ale nie spuszczał z Lorny niespokojnych oczu. Wreszcie opuścił głowę i przyznał:

- Domyślałem się tego. Przysunął do księgi zieloną suszkę.

- Prawie całe lato unikałaś mnie, a ja nie wiedziałem dlaczego. Potem zauważyłem, że przestałaś nosić zegarek.

Wtedy zacząłem się domyślać. Miałem jeszcze nadzieję, że się zmienisz... że znów będziesz taka, jak za pierwszym razem, kiedy zostaliśmy sami. Lorno, co się stało?

Wyglądał na bardzo zgnębionego. Lorna czuła się okrutna; odwróciła spojrzenie.

Taylor pochylił się do przodu, splótł dłonie na księdze:

- Czy zrobiłem coś złego? Zmieniłem się? -Nie.

- Obraziłem ciebie? -Nie.

- A więc o co chodzi? Mam chyba prawo wiedzieć. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

W jej oczach zalśniły łzy. Mimo to spojrzała mu prosto w twarz:

- Zakochałam się w kimś innym.

Taylorowi ze zdumienia odebrało mowę. Patrzył na nią ze zdziwieniem. W przedpokoju czterech pracowników zszywało worki, a koty łowiły myszy. Podłoga zadrżała, kiedy któryś z pobliskich młynów zaczął pracować.

- Taylorze, rozmawiam z tobą całkiem szczerze, ponieważ czuję się winna - ciągnęła tymczasem Lorna. - Zraniłam cię, to prawda, ale chcę, żebyś wiedział, że nie zrobiłam tego naumyślnie.

Taylor odzyskał siły i zaczął żywo gestykulować.

- Z kim możesz się widywać? Nic o tym nie wiem!

- Nie mogę o tym mówić. Obiecałam dochować tajemnicy.

- Przecież nie z tym szczeniakiem, Mitchellem Armfieldem?

- Nie, nie z Mitchem.

- A więc z kim?

- Taylorze, proszę cię. Nie mogę ci powiedzieć. Widziała, że wrze w nim gniew, chociaż starał się nad sobą zapanować.

- Najwyraźniej twoi rodzice nic o tym nie wiedzą. Lorna nie odpowiadała, więc Taylor domyślał się dalej:

- To znaczy, że nie pochwalają twojego zainteresowania tą osobą, tak?

- Taylorze, powiedziałam ci prawdę, ale liczę, że docho-

wasz tajemnicy. Muszę prosić, żebyś nikomu nie mówił o tym, co ci dzisiaj wyjawiałam.

Taylor DuVal wstał i podszedł do zakurzonej szyby. Dłonie oparł na biodrach. Patrzył na robotników i urzędników, zajętych codzienną pracą i zarabianiem pieniędzy, którymi Taylor chciał podzielić się z tą kobietą. Zapewniłby jej życie w luksusie. Byłby dla niej dobry. Hojny aż do przesady! Dał jej prezent zaręczynowy, a tymczasem ona widywała się z kimś innym! Na miłość boską, widywała się z kimś jeszcze! Do diabła z nią.

-Dobrze, Lorno. Będzie tak, jak chcesz. Porozmawiam z mamą i powiem, że zmieniłem zamiary. Nie będę ci się więcej narzucał.

Lorna wstała. Taylor nie ruszył się z miejsca.

- Przepraszam, Taylorze - powiedziała.

-Tak... Nie musisz... Bez trudu znajdę sobie kogoś innego.

Lorna zaczerwieniła się. Wiedziała, że to prawda. Taylor jest tak dobrą partią, że panie natychmiast zaczną o niego zabiegać, skoro tylko dowiedzą się, że jest wolny.

* * *

Levinę ta nowina załamała. Z zamkniętymi oczami padła na krzesło, mówiła coś płaczliwym głosem, rozpylała na chusteczkę wodę irysową i przyciskała ją do nosa, a oczy miała pełne łez.

Gideon przeklinał i wymyślał Lornie od idiotek.

Jenny napisała do Taylora, że jest jej bardzo przykro i że chętnie go wysłucha, gdyby potrzebował z kimś porozmawiać.

Phoebe uśmiechnęła się i spytała:

- A więc teraz już mogę się nim zająć? Ciotka Henrietta krzyknęła:

- Niewdzięczna dziewczyno, jeszcze tego pożałujesz. Ciotka Agnes otworzyła ramiona i powiedziała:

- My, romantycy, musimy trzymać się razem.

Lorna napisała do Jensa: *Mój najdroższy!*

Dni bez ciebie są smutne, chociaż mam dla ciebie radosną nowinę. Wzięłam sprawy w swoje ręce i zerwałam z Taylorem DuValem raz na zawsze.

Jens odpisał:

Lorna, ukochana moja!

Szopa przypomina skrzypce bez strun, od kiedy ciebie tu nie ma. Nie słyszeć już muzyki...

Lorna:

Jens, mój kochany!

Nigdy jeszcze czas mi się tak nie dłużył. Nie wiem, czy to rozłąka z tobą spowodowała na mnie to odrętwienie, ale czuję się bezsilna i nie mam apetytu. Mama obawia się, że to choroba Addisona, ale tak nie jest. To tylko tęsknota. Chcę mnie zabrać do doktora, ale jedynym lekarstwem, którego mi potrzeba, jesteś ty...

Jens:

Najdroższa Lorno!

Przestraszył mnie twój list. Jeśli jesteś chora, kochanie, proszę cię, udaj się do doktora, jak radzi twoja matka. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś ci się stało...

* * *

Lorna nadal była ospała. Zapach jedzenia, a szczególnie gotowanego mięsa, przyprawiał ją o mdłości. Pewnego ranka pojawił się ostatni z symptomów choroby Addisona: wymioty. Lorna zaczęła się bać.

Poszła prosto do ciotki Agnes.

Agnes spojrzała na bladą twarz bratanicy i podbiegła do niej.

-Wielkie nieba, dziecko, co się stało? Wyglądasz tak, jakbyś nie miała w żyłach kropli krwi. Usiądź. Lorna usiadła, drżąc.

- Ciociu Agnes - powiedziała, tuląc się do jej dłoni, unosząc ku niej przerażone spojrzenie. - Proszę, nie mów o tym mamie, bo nie chcę jej przestraszyć, ale wydaje mi się, że rzeczywiście cierpię na chorobę Addisona.

- Co? Na pewno nie. Choroba Addisona... Kto ci naopowiadał takich bzdur?

- Zajrzałam do książki „Zdrowie i długowieczność”. Jest tak, jak podejrzewała mama. Mam wszystkie symptomy, a przed chwilą zwymiotowałam. Książka stwierdza, że to najbardziej zaawansowane stadium. Och, ciociu Agnes, ja nie chcę umierać.

-Przestań w tej chwili, Lorno Barnett! Nie umrzesz! Opowiedz mi o tych symptomach.

Lorna opowiedziała o wszystkim, trzymając ciotkę za ręce. Kiedy skończyła, Agnes usiadła obok niej.

- Lorno, czy ty mnie kochasz? - spytała.

Lorna najpierw zaczęła mrugać, a potem wytrzeszczyła oczy. Nie mogła zrozumieć tego nieoczekiwanego pytania.

- Oczywiście.

- Ufasz mi?

- Tak, ciociu Agnes, przecież wiesz.

- W takim razie musisz odpowiedzieć na jedno pytanie i musisz powiedzieć prawdę.

- Dobrze.

Agnes mocniej ścisnęła dłonie Lorny.

- Czy robiłaś ze swoim chłopakiem to, co robią małżonkowie w noc poślubną?

Lorna zaczerwieniła się. Spuściła wzrok i szepnęła w poczuciu winy: -Tak.

-Raz?

Znów szeptem:

- Wiele razy.

- Czy miesięczne krwawienia nie opóźniają się?

- Tak, ostatnio. Agnes szepnęła:

- Dobry Boże.

Szybko jednak zapanowała nad emocjami.

- Podejrzewam, że to nie choroba Addisona, ale coś o wiele gorszego. Jeśli się nie mylę, jesteś przy nadziei.

Lorna nie odzywała się. Wysunęła dłonie z uścisku Agnes i złapała się za serce. Spojrzała za okno, ale nic nie powiedziała, chociaż otworzyła usta. Przez jej głowę przebiegły tylko dwie myśli: „Teraz muszą pozwolić nam na ślub” i „Jens będzie szczęśliwy”.

Agnes wstała i ze ściągniętymi ustami zaczęła spacerować po pokoju.

- Muszę pomyśleć. Lorna szepnęła:

- Będę miała dziecko z Jensem.

- Najpierw musimy się upewnić, czy to prawda, ale nie widzę powodu, żeby informować o tym twoją matkę.

Zrobimy tak: znajdę lekarza, może w Minneapolis. To musi być ktoś, kto nas nie zna. Zabiorę cię tam. Twojej mamie powiemy, że idziemy na herbatę i na zakupy, ale wsiądziemy do pociągu. Tak, tak będzie dobrze. Posłuchaj, kochanie, przygotowanie wszystkiego zajmie mi trochę czasu, ale postaram się działać szybko. Tymczasem jedz dużo owoców i jarzyn, pij mleko i jedz to, na co masz apetyt.

- Dobrze.

- Muszę powiedzieć, że nie wyglądasz na tak przerażoną, jak inne dziewczyny, które znajdują się w podobnym kłopotcie.

- Przerażona? Nie rozumiesz, że teraz będą musieli zgodzić się na ślub? Och, ciociu Agnes, to odpowiedź na nasze modlitwy!

Agnes ściągnęła twarz. Zmarszczki ułożyły się w wyraz, który mógł znaczyć wiele różnych rzeczy.

- Nie sądzę, żeby twoja matka była tego zdania.

Ku zdumieniu Lorny w dniu, kiedy poszły do lekarza, ciotka Agnes opowiedziała tyle kłamstw, jakby była wytrawnym sprzedawcą lekarstw. Dała Lornie swój pierścionek zaręczynowy, zdejmując go z ręki po raz pierwszy od roku 1845, kiedy kapitan Dearsley włożył go na jej palec. Potem powiedziała, że nazywa się Agnes Henry, a Lorna to Laura Arnett. Kiedy doktor potwierdził, że Lorna rzeczywiście nosi w sobie dziecko i urodzi je prawdopodobnie w maju lub czerwcu, Agnes stwierdziła, że jest uszczęśliwiona, ponieważ jest prawną opiekunką Laury i wreszcie doczekała się wnuka. Stwierdziła też, że mąż Laury będzie wniebowzięty, ponieważ od dwóch lat czekają na potomka.

Zapłaciła lekarzowi gotówką, podziękowała mu z uśmiechem i umówiła się, że za dwa miesiące znów odwiedzą gabinet.

Podczas obiadu w restauracji Lorna zauważyła:

- Zdziwiasz mnie, ciociu Agnes.

- Tak?

Agnes popijała kawę, unosząc jeden palec w górę. Jej ręce lekko drżały.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Ponieważ twój ojciec jest bogaty i znany, zatem nowina rozeszłaby się z szybkością błyskawicy. Twoi rodzice wiedzieliby o wszystkim, zanim zdołasz strawić ten obiad... albo wymiotować go, bo i tak może się zdarzyć.

- Dziękuję.

- Masz prawo, żeby najpierw poinformować o tym swojego lubego i żebyście razem stanęli przed rodzicami. Jeśli chłopak kocha ciebie tak, jak mówisz, i zamierza się z tobą ożenić, może twoi rodzice pogodzą się z tym już po dwudziestu pięciu latach, a nie dopiero po pięćdziesięciu. Przy-

najmniej ja bym tak zrobiła, gdyby coś podobnego przydarzyło się mnie i kapitanowi Dearsleyowi.

W oczach Lorny zapaliły się ogniki.

- Och, ciociu Agnes, jestem taka szczęśliwa. Wyobraź sobie tylko: noszę w sobie jego dziecko! Nie mam ochoty stanąć przed rodzicami... To będzie straszne, ale jestem pewna, że w końcu nam pomogą.

Wieczorem, w modlitwie, Agnes prosiła krótko o wybaczenie jej kłamstw i długo modliła się, żeby choć jeden raz w życiu jej brat i jego żona wzięli pod uwagę uczucia córki, zanim zatną się w bezdusznych, snobistycznych reakcjach, typowych dla ich kręgu.

Rozdział 12

Po wyjeździe rodziny Barnettów z Rose Point Cottage dom opustoszał. Okna były zasłonięte, z werandy zniknęły wiklinowe meble, ogrody na zimę przykryto, pomosty leżały na trawie, a na jeziorze nie widać było żagli. Jeszcze bardziej dotkliwa była cisza. Ani turkotania kół pojazdów na podjeździe, ani trzaskania drzwiami, ani bulgotania fontann, ani przejmującego gwizdania statków. Tylko Smythe miotał się w szklarni, przyginał i zakopywał na zimę róże i otulał pędy porzeczek.

Rano i wieczorem Jens odbywał trzydziestominutową wędrowkę z i do hotelu „Leip”. Zauważył, że dni robią się coraz krótsze, wiewiórki krzątają się nerwowo, ranki są coraz mroźniej sze, pod marynarką trzeba nosić sweter, a na ręce wkładać grubsze rękawice. W szopie rozpałał z cedrowych wiórów wonny ogień, do którego później dokładał klonowe polana, palące się powoli i dające dużo ciepła. Na kracie przed paleniskiem kładł ziemniaka. Pogwizdując zjadał go później na obiad. Często spoglądał na podłogę, gdzie widać było jeszcze znaki do rysunku kadłuba, wśród których na początku znajomości z Lorną urządzili sobie piknik. Na parapecie nadal leżała jej ostróżka. Sucha, krucha, ale wciąż błękitna jak letnie niebo - świadek ich miłości.

Czasem przychodził Tim ze swoją fajką i łagodnym uśmiechem i robił jakieś zdjęcia. Po jego wyjściu w szopie było jeszcze bardziej pusto.

Jens ukończył dno łodzi, polakierował je, wysuszył i zaczął pracować nad wnętrzem. Zaimpregnował stępkę, sporządził dwa miecze, umocował je i zaczął układać pokładniki. Do nich przymocował cedrowe deski i znów heblował i szlifował. Kiedy dotykał „Lorny D.”, wspominał kształty kobiety o tym samym imieniu; kobiety, którą kochał, której plecy gładził w chwilach uspokojenia po stosunku. Często, pochylony nad pracą, słyszał w uszach jej słowa: „Kiedy patrzę, jak pracujesz tym heblem, czuję drżenie w brzuchu”. Uśmiechał się, wspominając dzień, kiedy to powiedziała, przypominając sobie jej strój, fryzurę, to, jak przyglądała mu się, jak mówiła o tym, co miał na sobie, kiedy odłupywał kawałek lodu do jej herbaty. Tego dnia zrozumiał wreszcie, że Lorna go kocha. Czy mógł istnieć inny powód, dla którego przechowywała w pamięci tak nieistotne wspomnienia z kuchni?

W listach pisała, że tęskni, że z tęsknoty choruje, że jej ospałość minie, gdy wreszcie się zobaczą. „Oby tylko tak było - myślał. - Oby to były tylko przejawy tęsknoty”.

Pod koniec października zrobiło się zimno. Na brzegu jeziora pojawił się szron i spadł pierwszy śnieg. Pokład był już posyty i Jens potrzebował pomocy przy pokrywaniu go płótnem. Poprosił Bena.

Pewnego dnia pracowali razem w przytulnej szopie. W piecu buzował ogień. W powietrzu wisiał zapach farby i terpentyny. Pokład pomalowali na grubo. Na wilgotną farbę układali płótno, przybijali je na brzegach.

Ben wypluł na lewą dłoń ostatni gwóźdź.

- No... - powiedział - i co słysząc u Lorny Barnett? Młotek Jensa zawisł w powietrzu.

- Dlaczego sądzisz, że dostaję od niej listy?

- Ach, daj spokój, Jens. Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam. Od kiedy rodzina wyjechała do miasta, jesteś ponury jak listopad.

- Wszystko po mnie widać?

- Nie wiem, czy inni to zauważyli, ale ja tak.

Jens przeciągnął się.

- O takiej kobiecie trudno zapomnieć, Ben.
- O każdej trudno zapomnieć, kiedy człowiek czuje się zakochany.
- W naszym wypadku to coś więcej. Ben pokręcił głową.
- Żal mi ciebie, biedaku. Nie chciałbym być na twoim miejscu, nawet gdyby ofiarowano mi wszystkie łodzie White Bear Yacht Club.

Pesymizm Bena udzielił się Jensowi. Zamilkł i zrobił się ponury. Zaczął zastanawiać się, czy oboje z Lorną nie oszukują siebie samych; czy rzeczywiście są gotowi walczyć o to, żeby wyrwać się z rąk jej rodziców i się pobrać. Jeśli tak, to czy Lorna potrafi być szczęśliwa jako żona rzemieślnika budującego statki? Nigdy nie będzie w stanie dać jej takich bogactw, do jakich przywykła. Może powinien zwolnić ją z danego słowa, odesłać do Taylora DuVala, który zapewni jej pieniądze, szacunek i zadowolenie rodziców?

Te czarne myśli doprowadzały Jensa do rozpacz. Budził się po nocach i nie miał spokoju za dnia. Czuł, że jest niegodny wierności Lorny, widocznej w jej listach.

Każdy list czytał tak długo, aż nauczył się go na pamięć. Brakowało mu jej, usychał z tęsknoty, pragnął ujrzeć ją chociaż przez chwilę, uśmiechnąć się, dotknąć, żeby jakoś przetrwać czas rozłąki i nieszczęścia.

Po naciągnięciu i wysuszeniu płótna, Jens samotnie uszczelniał listwami luk kokpitu: rozgrzewał drewno na parze, dociskał, przybijał i uszczelniał. Wybrał w tym celu najlepszy mahoń z Hondurasu, gładki jak stal. Praca przy tym drewnie sprawiała mu przyjemność, ponieważ kolorem i ciepłem przypominało ludzką krew.

Na początku listopada Jens stał w kokpicie, z braszem i wiertłem w ręce. Wiercił w kasztanowym drewnie dziurę, kiedy zawiasy zaskrzypiały i otworzyły się drzwi.

Jens obrócił się w chwili, gdy pojawiał się w nich błękitny płaszcz i kapelusik. Odwrócona do Jensa plecami, jakaś kobieta zamykała ciężkie drzwi.

- Lorna? Lorna!

Rzucił narzędzia i wyskoczył z łodzi. Podbiegł.

Lorna też zaczęła biec.

Zderzyli się przy sterburcie, tulili się niespokojnie, ale radośnie. Okręcili się, przywarli do siebie ustami i opletli ramionami. Potem odsunęli się od siebie, żeby móc na siebie popatrzeć.

- Miły Boże, jesteś tutaj!

Złapał ją za głowę i obsypał pocałunkami tak gwałtownymi, że prawie bolesnymi. Kciukami przejechał po jej brwiach i znów, nie wierząc swojemu szczęściu, zaczął ją całować.

- Jens... niech cię zobaczę... Jens. - Teraz ona wzięła w dłonie jego twarz, dotykała jej, podziwiała. - Mój kochany... mój kochany...

Przytulił ją do siebie mocno, aż zaboląły ją zębra.

- Lorna, co tu robisz?

- Musiałam się z tobą zobaczyć. Nie mogłam dłużej czekać.

- Uratowałaś mi życie.

Zamknął oczy i wdychał jej zapach, a ona uśmiechnęła się i przytuliła mocno do niego. Przez chwilę kołysali się na boki.

- Co im powiedziałaś?

- Że idę do Phoebe.

- Przyjechałaś pociągiem? -Tak.

- Jak długo możesz zostać?

- Do trzeciej.

Jens wyciągnął z kieszeni zegarek. Była dziesiąta trzydzieści pięć. Kiedy go odkładał, roześmiał się:

- Jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę tu jesteś?

Była; ciepła, uległa, kiedy znów zaczęli się całować, usiłując nadrobić zaległości pięcioletniego rozstania. Kiedy przestali na chwilę się całować, Lorna miała rozpięty płaszcz, a Jens trzymał w dłoniach jej piersi, osłonięte grubą suknią.

- Bardzo za tobą tęskniłam - szepnęła.

- Ja też za tobą tęskniłem. Nie wiedziałem, że mogę tak tęsknić.

Zacisnął mocno powieki, wspominając chwile swojej słabości. Jak mógł myśleć, żeby oddać ją innemu mężczyźnie?

- Tęskniłam za dotykiem twoich dłoni.

Jens odsunął się i z podziwem patrzył na jej twarz pełną szczęścia, chociaż nie uśmiechniętą.

- Dostałaś moje listy? - spytał.

- Tak. A ty moje?

- Tak, ale mnie zmartwiłaś. Czy już jesteś zdrowa?

- Tak. Naprawdę. Chodź...

Wzięła go za rękę i poprowadziła do żelaznej ławki przy piecu.

- Chcę ci coś powiedzieć.

Usiedli blisko siebie, trzymając się za rękę. Lorna, patrząc na kostki jego dłoni powiedziała cicho:

- Jens, jestem przy nadziei.

Poczuła, jak jego palce słabną, a potem napinają się.

- Och, Lorna - szepnął.

Słyszała, że jego oddech robi się coraz szybszy, chrapliwy, widziała, że z twarzy odpływa krew.

- Nie cieszysz się?

Kiedy nie otrzymała żadnej odpowiedzi, przeraziła się naprawdę.

- Jens... proszę...

Jens lekko rozluźnił uścisk.

- Przepraszam - powiedział chrapliwym, przerażonym głosem. - Przepraszam. Ja... po prostu... wielki Boże... w ciąży. Jesteś pewna?

Lorna kiwnęła głową, coraz bardziej przerażona. Spodziewała się radości, czułych uścisków, pełnych miłości spojrzeń. Miała nadzieję, że powie jej: „Nie martw się. Teraz możemy się pobrać”.

Nie płakała, kiedy dowiedziała się o swoim stanie, ale teraz łzy napłynęły jej do oczu. Jens siedział bez ruchu i wyglądał jakby był chory.

- Och, Jens, powiedz coś. Umieram ze strachu. Odsunął ją od siebie, nie puszczać jej dłoni.

-Nie chciałem, żeby to się stało... Nie chciałem ściągnąć na ciebie hańby. Czy twoi rodzice wiedzą? -Nie.

- Jesteś pewna, że to prawda?

- Tak. Byłam u lekarza. Ciotka Agnes mnie zabrała.

- Kiedy poród?

- W maju albo w czerwcu.

Jens wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, ze ściągniętymi brwiami i nieobecny spojrzeniem. Z każdym jego krokiem Lorna czuła się bardziej rozczarowana. Od pieca buchał żar. Od zapachu farby i kleju zrobiło się jej niedobrze. Zaczęła się pocić pod pachami i na karku. Strach zamarzył w jej żołądku w wielką kulę.

Zapanowała nad uczuciami i powiedziała:

- Przestań, Jens, i chodź tutaj. Jens zawrócił i stanął.

- Nie bałam się... aż do tej chwili - powiedziała Lorna, zmuszając się do zachowania spokoju.

Jens wrócił myślami na ziemię. Podbiegł do niej i klęknął na jedno kolano.

- Wybacz mi. Och, kochanie, wybacz mi.

Ujął jej ręce i zaczął całować, pochylając się nad jej kolanami.

- Nie chciałem cię przestraszyć. Bardzo mnie zaskoczyłaś... Myślałem o tym, co teraz zrobimy. Myślałaś, że będę chciał się ciebie pozbyć? Nigdy, Lorno, nigdy. Kocham cię. Tym bardziej teraz. Musimy jednak być mądrzy.

Musimy...

Och, Lorna, kochana, nie płacz - z czułością dotknął jej twarzy, ocierając łzy - nie płacz.

Lorna wtuliła się w jego ramiona. Znów zapadła niezręczna cisza. Jens klęczał, a Lorna tuliła się do niego.

- Daję słowo, Jens, że aż do tej chwili nie bałam się. Dopiero ty mnie przeraziłeś.

- Tak mi przykro, kochanie. Och, oczywiście, że się bałaś. Miotalem się jak oszalały byk i nie powiedziałem ani słowa o dziecku. O naszym dziecku... Wielki Boże, trudno mi w to uwierzyć.

Rozpiął jej płaszcz i z podziwem dotknął jej brzucha.

- Nasze dziecko... jest w tobie.

Lorna przykryła jego dłonie swoimi i poczuła przez suknię miłe ciepło.

- Nie bój się. Nic mu nie zrobisz.

Jens rozsunął lekko dłonie i wbił wzrok w wełniane ubranie. Potem spojrzał Lornie w twarz.

- Nasze - szepnął.

Lorna dotknęła czołem jego czoła, oboje zamknęli oczy.

- Nie jesteś zły? - spytała.

- Och, nie. Jak bym mógł?

- Kiedy się dowiedziałam, zaraz powiedziałam ciotce Agnes, że Jens będzie szczęśliwy. Teraz nie mogą nas już rozdzielić.

Jens przysiadł na piętach i wziął ją za ręce.

-Musimy pójść do twoich rodziców i powiedzieć im o wszystkim. To ich wnuk. Z pewnością dadzą nam błogosławieństwo, kiedy powiemy, że się kochamy i chcemy się pobrać. Znajdę nam tu jakieś mieszkanie; małe, ale niedrogie. Zimą jest w czym wybierać, a wiosną przyjedzie mój brat i zaczniemy budować łodzie. Po co czekać na regaty? Wszyscy już słyszeli o „Lornie D.” i wielu członków klubu będzie chciało, żeby zbudować im łódź. Nie będziemy bogaci, Lorno, ale obiecuję, że wystarczy nam na życie.

Lorna wzięła jego twarz w dłonie i uśmiechnęła się do kochanych niebieskich oczu.

- Wiem. Nie muszę być bogata i nie potrzebuję wielkiego domu. Wystarczy mi Jens Harken.

Pocałowali się z czułością, jakby całowali swoje dziecko. Przytulili się i stali tak długo, spokojni, pełni nadziei, tuląc między sobą dziecko.

- Powiedz mi... jak się czułaś?

- Zmęczona.

- Odżywasz się należycie?

- Jak najlepiej. Ale od mięsa robi mi się niedobrze i nie mogę znieść nawet jego zapachu.

- Owoce i jarzyny?

- Tak, nadal mi smakują.

- Dzięki Bogu, że jest Smythe ze swoją szklarnią. Mam ochotę pobiec do niego i podziękować mu.

Lorna uśmiechnęła się.

- Och, Jens, kocham cię.

- Ja też cię kocham.

- Jak myślisz, będziemy mieli dużo dzieci?

- Na pewno.

- A to, kto będzie?

- Chłopiec. Budowniczy statków, jak tata.

- Oczywiście; nawet nie powinnam pytać.

- Następna może być dziewczynka. Ciemnowłosa piękność, podobna do matki. Potem chciałbym jeszcze dwóch chłopców, bo będziemy mieli mnóstwo pracy. Naszą stocznię nazwiemy „Harken i Synowie”.

Lorna znów się uśmiechnęła, zadowolona z tego, co podsunęła jej wyobraźnia. Jens odsunął się od niej.

- Przyjechałaś ze stacji dorożką?

- Tak, ale odesłałam ją.

- Masz siły na czterdziestominutowy spacer po śniegu?

- Z tobą? Głupie pytanie.

- W takim razie pójdziemy do „Leipa”. Zaczekasz na dole, a ja wykapię się i włożę niedzielny garnitur. Razem pojedziemy do miasta i jeszcze dzisiaj porozmawiamy z twoi-

mi rodzicami. Kiedy już będziemy to mieli za sobą, zaczę szukać dla nas mieszkania, a ty zajmiesz się przygotowaniami do ślubu.

- A co z pieniędzmi?

- Od kiedy tu jestem, oszczędzam każdy grosz. To, co mam, wystarczy nam na zimę, a może nawet na dłużej.

Szli pod rękę pod szarobiałym niebem. Śnieg przypominał białe żyłki w zielonym marmurze zamrożonej trawy. Wrony wypatrzyły sowę i krzyczały na nią, z daleka okrążając drzewo. Nadjechał wóz pełen beczek, uderzających o siebie i grzmiących jak kotły. Woźnica uniósł na powitanie dłoń w czerwonej rękawiczce. Pomachali mu w odpowiedzi. Tam, gdzie droga biegła bliżej jeziora, powietrze było lodowate i pachniało pleśniejącymi gniazdami piżmo-szczurów i leszczyną.

Na hotelu „Leip” powiewała amerykańska flaga. W hallu buchał żarem opasły piec, ale nie było nikogo. Jens przysunął fotel Lorny bliżej pieca.

- Zaczekaj tutaj. Może uda mi się załatwić ci coś ciepłego do picia.

Podszedł do lady i zadzwonił, ale nikt się nie zjawił.

- Zaraz wrócę - powiedział do Lorny i poszedł do kuchni, ale tam też nikogo nie zastał. U „Leipa” zimą dawali tylko śniadania i kolacje. W środku dnia nikt nie przygotowywał posiłku. Jens otworzył piec, znalazł trochę letniej wody i nalał sobie pełne wiadro.

- Przykro mi, Lorno, ale nikogo nie ma.

- Och, nie szkodzi. Tutaj jest ciepło. Nie martw się o mnie.

- Gdyby ktoś przyszedł, powiedz, że czekasz na mnie. Uśmiechnęła się:

- Powiem.

Nikt nie przyszedł. Lorna czekała pół godziny. Czytała gazetę. Jens zjawił się świeżo wygolony, w niedzielnym garniturze, ciężkim wełnianym płaszczu i czarnym meloniku.

- Chodźmy.

W pociągu ściskali się pod płaszczem Lorny za ręce, ale niewiele rozmawiali. Zaczął sypać śnieg i za oknami zrobiło się białe, jakby świat okrył się welonem panny młodej. Pociąg przejechał most na Missisipi i zahamował pod drewnianym dachem stacji.

Na Summit Avenue zajechali elegancką dorożką, ciągle trzymając się za ręce. Palce Lorny coraz mocniej zaciskały się na dłoni Jensa. Jens gładził je nieustannie, jakby chciał odpędzić lęk.

Zbliżyli się do wielkiego, kamiennego domu, w którym mieli stawić czoło rodzicom. Lorna powiedziała:

- Bez względu na wszystko przysięgam, że wyjdę stąd z tobą.

Jens szybko pocałował ją w usta. Konie stanęły pod *porte codiere*. Lorna sięgnęła do swojej torebki, ale Jens powstrzymał ją mówiąc:

- Teraz to należy do mnie. Zapłacę.

Kiedy płacił, konie potrząsały grzywami i szarpały lejce. Potem dorożka odjechała, a oni stanęli przed chimerami.

Lorna nie chciała na nie patrzeć. Spojrzała pełna nadziei na Jensa.

- Matka będzie pewnie w saloniku, a ojciec wróci dopiero koło szóstej. Porozmawiamy z nimi, kiedy będą razem.

Czy będziesz czuł się źle, jeśli zaczekasz w kuchni? Przyjdę po ciebie, kiedy ojciec zjawi się w domu.

W wielkim hallu odwaga ich opuściła. Kiedy weszli, zobaczyli Theron. Chłopiec sądził, że jest sam i zjeżdżał po poręczy. Lorna zerknęła żałośnie na Jensa i uznała, że w takiej sytuacji najlepszą obroną będzie atak. Brat wylądował z hukiem na podłodze. Lorna szepnęła ze zgrozą:

- Theronie Barnett!

Theron podskoczył z przerażenia.

- Matka dałaby ci w skórę, gdyby to zobaczyła. Theron przykrył tyłek rękami.

- Powiesz jej?

- Powinam, ale nie powiem, jeśli ty nie naskarżysz na mnie.
- Dlaczego? Co zrobiłaś?
- Byłam na wsi i widziałam łódź.
- Niemożliwe! - Jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. - Jak wygląda?
- Spytaj pana Harkena.
- Witaj, Harken. Łódź już gotowa?
- Prawie. Pozostało otaklowanie, no i trzeba jeszcze umocować części metalowe. Musiałem przyjechać, żeby porozmawiać o tym z twoim ojcem.
- Nie jest tutaj.
- Nie ma go tutaj - poprawiła Lorna.
- Nie ma go tutaj - powtórzył Theron.
- Wiem - odparł Harken. - Może poczekam w kuchni?
- Mogę pójść z tobą?

Jens bardzo chciał spytać o zdanie Lorne. Przez głowę przebiegła mu myśl, że jeśli chłopiec będzie z nim, nie doniesie pani domu o obecności Harkena.

- Oczywiście, chodź - powiedział. Pogłaskał chłopca po głowie i puścił przodem.

W kuchni Hulduh Schmitt wzniosła obie ręce w górę i zawołała:

- *Mein Gott!*

Potem nastąpiła cała litania niemieckich słów. Kucharka przytuliła Jensa do szerokich piersi.

- Co ty tu robisz, chłopcze?
- Powiem panu Barnettowi, jak idą prace nad łodzią. Wszyscy przyjęli to wyjaśnienie. Pomoce kuchenne przyszły się przywitać. Ruby trzymała się z tyłu i uśmiechała nieśmiało. Jens zdziwił się, że kiedyś miał ochotę ją pocałować. Uścisnął dłoń swojemu zastępcy; nazywał się Hugo Lowell i miał oddech pachnący czosnkiem. Pani Schmitt zarządziła otwarcie butelki zeszlórocznego piwa korzennego domowej roboty. Wszyscy usiedli przy dużym stole, żeby piętnastominutową przerwę w pracy wypełnić rozmową.

Pytali o łódź, o kwaterę w White Bear, czy widuje Smy-the'a, jak zdrowie ogrodnika i czy stary Anglik nadal jest tak gniewny.

Po czterdziestu pięciu minutach Jensa zaczęła niepokoić obecność Theron w kuchni. Właśnie wtedy wpadła pokojówka dzieci, Ernesta, zdyszana i zdenerwowana.

-A, znowu przeszkadzasz w kuchni! Matka za chwilę przyjdzie do ciebie sprawdzić, jak odrobiłeś lekcje. Lepiej, żebyś tam był!

Theron wyszedł, popychany przez Ernestę.

Tuż po szóstej zjawiła się Lorna w sukni z zielonej tafty, z białym kołnierzykiem i mankietami. Włosy miała świeżo uczesane, a policzki nienaturalnie zaróżowione.

- Harken - powiedziała sucho - mój ojciec chce się z tobą widzieć.

- Ach... - powiedział Jens i wstał. - Dobrze, panno Barnett.

Odwróciła się do niego plecami.

- Chodź za mną.

Szedł trzy kroki za taftową spódnicą, szeleszczącą tak, jakby cały kościół ludzi wstawał z ławek na przywitanie księdza. W pokoju muzycznym ktoś grał na pianinie. Kiedy mijali otwarte drzwi, Daphne spojrzała na nich znad nut, a ciotki znad szydełkowych robótek, ale Lorna poszła prosto do drzwi biblioteki. Jenny przechodziła przypadkiem przez korytarz na piętrze i przystanęła u szczytu schodów, żeby na nich popatrzeć.

Gideon Barnett siedział w skórzanym fotelu, ze skrzyżowanymi nogami, z cygarem między zębami i z gazetą na kolanach. W pokoju pachniało dymem drogiego tytoniu, brzozy płonącej na kominku i gazu płonącego w lampach. Ściany ginęły pod oprawnymi w skórę książkami. Z bogato zdobionego sufitu zwisał żyrandol z pięcioma kulami. Stojąca na stoliku gazowa lampka rzuciła światło na gazetę. Na ścianie, nad kanapą, znajdowała się głowa jelenia, z dwiema strzelbami zawieszonymi na rogach.

Gideon uniósł spojrzenie w chwili, kiedy Lorna i Jens stanęli w drzwiach. -Witaj, tato.

Gideon powoli wyjął z ust cygaro, ale nic nie odpowiedział. Jego oczy przesuwają się z Jensa na Lornę i z powrotem.

- Gdzie jest mama? - spytała Lorna.

- Na górze, z Theronem.

- Myślałam, że zeszła do ciebie.

Barnett wbił spojrzenie w Harkena. Skierował na niego wilgotny koniuszek cygara.

- Co on tu robi?

- Zaprosiłam go. Chcemy porozmawiać z tobą i z mamą.

- Zaprosiłaś go? - Gideon wytrzeszczył oczy i powoli robił się coraz bardziej czerwony na twarzy. - Jak to, zaprosiłaś?

- Ciszej, tato. - Lorna odwróciła się i powiedziała do Jensa:

- Zaczekaj. Poproszę mamę.

Spotkała Levinę w połowie schodów. Matka wyglądała na zmartwioną.

Schodziła szybko, jedną ręką unosząc spódnicę, a drugą trzymając się poręczy.

- Co się dzieje? Jenny powiedziała, że był z tobą ten chłopak od łodzi.

- Czy mogłybyśmy porozmawiać w bibliotece, mamó?

- O, Boże - powiedziała drżącym głosem Levinia. Lorna kątem oka zauważyła Jenny, nadal stojącą na schodach, ale postanowiła nie zwracać na siostrę uwagi.

W bibliotece Gideon nalewał sobie burbona z kryształowej karafki.

Jens stał tam, gdzie zostawiła go Lorna. Levinia z daleka obeszła byłego pomocnika kucharki, jakby zabrano go z ulicy i nie zdążono jeszcze odwszawić.

- Gideonie, kto to jest?

- Do diabła, skąd mam wiedzieć?

Lorna zamknęła drzwi. Drzwi po prawej stronie cały czas były zamknięte, ale muzyka nagle ucichła. Lorna przeżyła moment wielkiego zwątpienia. Wkrótce ojciec zacznie krzyczeć, a reszta rodziny natychmiast znajdzie się pod drzwiami, podsłuchując. Stanęła obok Jensa.

- Mamo, ojciec, może zechcecie usiąść?

- Do diabła! - ryknął Gideon. - Czuję, że coś się szykuje i zamierzam przyjąć to na stojąco. Dalej, mówcie o co chodzi!

Lorna położyła rękę na ramieniu Jensa.

- Razem z Jensem chcielibyśmy...

Jens ścisnął jej palce prosząc, żeby zamilkła. To zadanie należy do niego.

- Państwo Barnett, wiem, że będzie to dla państwa zaskoczeniem, ale przyjechałem tutaj, żeby powiedzieć, że bardzo kocham waszą córkę i z całym szacunkiem proszę o zgodę na nasz ślub.

Levinia otworzyła usta.

Gideon wyglądał jak chmura gradowa.

- Co? - ryknął.

- Pańska córka...

- Ty impertynencki szczeniaku!

- Ojciec, ja proszę razem z Jensem.

- Zamknij się! Z tobą porozmawiam sobie później!

- Ojciec, kocham go i on mnie kocha.

- Pomocnik kucharki! Jezu Chryste, straciłaś rozum! W pokoju obok ciotka Agnes zaczęła grać na pianinie.

- Och, Lorna - jęknęła Levinia. - To dlatego odrzuciłaś Taylora?

- Wiem, co chcecie mi powiedzieć, ale to wszystko nie ma znaczenia. Kocham Jensa i chcę wyjść za niego.

- Z czego będziecie żyli? Gdzie? - krzyknął Gideon. - Z pensji pomocnika kucharki, w pokoju na poddaszu? To śmieszne! Tam będziesz zapraszała swoich przyjaciół na popołudniową herbatę?

- Będziemy mieszkali w White Bear. Jens chce budować jachty.

- Nie wspominaj przy mnie o jachtach! - ryknął Gideon. Jego czerwona twarz drgała nerwowo. - Wszystko zaczęło się od łodzi, a ty... - pokazał Jensa palcem - ty podstępny skurwysynu! Podrywałeś moją córkę, a ja dałem ci tyle, co nikomu innemu! Nie pozwolę ci na ślub z nią, nawet gdybyś był Krzysztofem Kolumbem!

Levinia dotknęła swoich ust i jęknęła:

- Och, wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Tyle razy cię szukałam i nie mogłam znaleźć. Byłaś u niego w szopie, tak?

- Tak - odparła Lorna, nadal tuląc się do ramienia Jensa. - Latem dużo czasu spędzałam z Jensem. Poznałam go tak dobrze, jak nikogo. Jest uczciwy, mądry, pracowity i dobry, i uwielbia...

- Przestań - skrzywił się Gideon. - Robi mi się niedobrze.

- Przykro mi, tato. Sądziłam, że będzie to miało dla ciebie jakieś znaczenie, że twoja córka chce poślubić człowieka, którego kocha i który ją kocha.

- Nie ma znaczenia! Nie wyjdiesz za pomocnika kucharki i sprawa skończona!

Jens stanął za Lorną i położył dłonie na jej ramionach.

- Nawet jeśli nosi w sobie moje dziecko?

Gideon zareagował na to tak, jakby dostał obuchem w głowę. Levinia zasłoniła ręką usta i pisnęła.

- Boże w niebie - odzyskał mowę Gideon. - Czy to prawda? - zwrócił się do Lorny.

- Tak, ojcze. Będziesz miał wnuka.

Przez chwilę odnieśli wrażenie, że Gideon poddał się. Opuścił ramiona. Przeczesał palcami włosy i zaczął chodzić po pokoju.

- Nawet w najgorszych koszmarach mi się nie śniło, że moja córka ściągnie na mnie taką hańbę! Grzeszyła z mężczyzną... leżała z nim i bezwstydnie przyznaje się do tego! Nie nazywaj owocu swojego grzechu moim wnukiem! Dobry Boże, wszyscy z nami zerwą!

Kolana ugięły się pod Levinią; musiała usiąść.

- Panie zmiłuj się. Co ja powiem przyjaciółkom? Jak stanę przed ludźmi?

A ty... nie rozumiesz, że wszyscy porządni ludzie odwrócą się do ciebie plecami? Tak jak i do całej rodziny?

- Mamo, przesadzasz.

Gideon pierwszy otrząsnął się z szoku. Wyprostował ramiona i zacisnął pięści.

- Zabierz ją na górę - polecił żonie.

- Ojczy, proszę. Przyszliśmy, żeby porozmawiać...

- Levinio, zabierz ją na górę i zamknij w pokoju na klucz! Harken, zwalniam cię.

-Ależ...

- Ojczy, nie możesz! Przyszliśmy do ciebie po pomoc, a ty...

- Levinio, zabierz ją na górę! - ryknął Gideon. - Zamknij ją na klucz, żeby jej rodzeństwo nie miało do niej dostępu.

Harken, zanim policzę do trzech, ciebie ma tu nie być, bo, jak mi Bóg miły, zdejmę ze ściany strzelbę i zabiję cię.

Levinia, przerażona, chwyciła córkę za ramię. Lorna wyrwała się.

- Ojczy, ja go kocham. Urodzę mu dziecko i mam prawo go poślubić, bez względu na to, co powiesz!

- Nie mów mi o prawach! I to po tym, jak położyłaś się z nim... jak zwykła dziwka! To pozbawiło cię wszelkich praw: do tej rodziny, do domu, do naszych pieniędzy i opieki ze strony matki. Żyj teraz bez tego; zobaczymy, jak ci się to spodoba! Na początek bez słowa pójdziesz na górę. Przysięgam na Wszechmocnego, że jeśli twoje siostry dowiedzą się o twojej hańbie, dam ci w skórę, nie bacząc, że jesteś ciężarna! Idź!

- Nie, ojczy, nie pójdę - uparła się Lorna. Przysunęła się bliżej Jensa i wzięła go za rękę.

- Niech mnie diabli, jeśli nie pójdziesz! - wściekał się Gideon. - Levinio, zabierz ją w tej chwili!

Levinia uwiesiła się na ramieniu Lorny.

- Na górę! - rozkazała.

- Nie zabierzesz mnie! Jens...

Lorna płakała. Jens mocno trzymał jej dłoń.

- Puść ją, ty świnió - warknął Gideon. - Więcej jej nie dotkniesz! Masz wynieść się z mojego domu i z mojej posiadłości. Jeśli spróbujesz postawić nogę na mojej ziemi, wezwę policję.

- Nie! Jens, zabierz mnie ze sobą - błagała Lorna. Levinia raz po raz próbowała odciągnąć córkę od Jensa.

- Dziewczyno, nie sprzeciwiaj się ojcu! Lorna odwróciła się i odepchnęła matkę.

- Zostaw mnie. Nie muszę... Levinia zatoczyła się.

Gideon przebiegł przez pokój i uderzył Lornę w twarz z całej siły, aż głowa odskoczyła jej na bok.

- Natychmiast pójdziesz z matką! - ryknął.

Lorna patrzyła na niego przez łzy, przyciskając dłoń do policzka.

- Ty łajdaku! - Jens złapał Gideona za klapy. - Uderzyłeś swoją córkę!

Cisnął Barnetta na fotel z taką siłą, że mało go nie przewrócił. Gideon poderwał się i podszedł do Jensa wściekły, z zaciśniętymi pięściami.

- Ty śmieciu! Przez ciebie moja córka jest w ciąży!

- Zabiję cię, jeśli tkniesz ją choćby jednym palcem! Mężczyźni gotowali się do śmiertelnej walki, ale głos

Levinii powstrzymał ich.

-Przestańcie! Uspokójcie się wszyscy! Posłuchaj mnie, Lorno... - Stała tak blisko Lorny, że nosem nieomal dotykała jej nosa. - Widzisz, do czego to doprowadziło? Walka, wrogość, gniew. To twoja wina! Uczyliśmy cię odróżniać dobro od zła, kiedy byłaś jeszcze w pieluszkach. Może nie widzisz swojej hańby, ale jesteś zhańbiona. Myślisz, że wyjdiesz z nim stąd i wszystko będzie dobrze? Nie będzie! Masz dwie piękne, czyste siostry i to, co zrobiłaś, odbije się

na nich, kiedy opuścisz ten dom. Wszystko skrupi się na nas. Żaden chłopak nie będzie starał się o nie, nie będą zapraszane. Nasi znajomi będą śmiać się za ich plecami i obarczać nas winą za to, co ty zrobiłaś. Wszyscy zostaliśmy zhańbieni razem z tobą, bo porządne dziewczyny nie pozwalają sobie na grzech, którego trzeba, żeby znaleźć się w tym stanie! To grzech! Wstyd! Tylko stworzenia najgorszego rodzaju hańbią się tak, jak ty to zrobiłaś.

Lorna opuściła głowę i przez łzy patrzyła na dywan.

- Co mam powiedzieć twoim przyjaciółom? Taylorowi, Phoebe, Sissy, Mitchellowi? Mam im powiedzieć, że Lorna wychodzi za pomocnika kucharki i spodziewa się jego dziecka? Nie myśl, że przyjmą to bez zdziwienia. Rodzice zabronią im spotykać się z tobą, tak jak ja bym zabroniła, gdyby któreś z nich miało takie kłopoty. Lorno, twoje dziecko to bękart. Bękart. Pomyśl tylko. Zastanów się, czy chcesz, żeby twoje dziecko nosiło na sobie piętno hańby, bo nieraz doświadczy pogardy, jeśli je zatrzymasz.

W pokoju zapadła cisza.

- Lorna... - powiedział cicho Jens.

- Postaraj się myśleć rozsądnie - podjęła Levinia. - Pójdiesz na górę, a ja porozmawiam z twoim ojcem i razem zdecydujemy, co będzie najlepsze dla wszystkich.

Lorna przez łzy spojrzała na Harkena.

- Jens - szepnęła z rozpaczą - mo... może... Przez chwilę bez słowa patrzyli sobie w oczy.

- Może powinniśmy... przemyśleć to - szepnęła. - W ciągu najbliższych miesięcy będę potrzebowała ich pomocy, tak samo jak twojej. Może powinnam... powinnam pójść teraz z mamą.

Jens przełknął. Jabłko Adama powoli uniosło się i opadło.

- Dobrze - szepnął. - Jeśli chcesz.

- Nie chcę, ale to jest rozsądne.

Jens kiwnął głową i spuścił wzrok, ponieważ do jego oczu napłynęły łzy.

- Wkrótce znów się spotkamy. Znajdę cię - powiedziała Lorna.

Jens przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek.

- Kocham cię, Lorna - szepnął. - Przykro mi, że tak się stało.

- Wszystko będzie dobrze - odparła. - Ja też ciebie kocham.

Stali, jakby byli sami, aż Gideon otrzepał ubranie, podszedł do drzwi i otworzył je bez słowa.

Lorna pozwoliła, żeby matka wyprowadziła ją z pokoju. Zanim przestąpiły próg, Levinia cicho nakazała:

- Przestań płakać.

Lorna znalazła w sobie dość siły, żeby wykonać polecenie matki. Pociągnęła nosem i grzbietem dłoni otarła twarz, po czym wyszła na korytarz. Rodzeństwo w komplecie stało przy schodach, ciotka Henrietta w drzwiach pokoju muzycznego. Ciotka Agnes już nie zagłuszała kłótni swoim okropnym graniem.

Levinia przyjęła wyniosłą pozę.

- Taka awantura o żeglowanie, wyobraźcie sobie. Kto to słyszał, żeby kobieta brała udział w regatach?

Lorna minęła stojących, nie patrząc im w oczy. Zauważyła, że Jenny spogląda na jej mokre rzęsy i ciemne plamy na sukni z tafty. Z tyłu słyszała ciche słowa pożegnania; wiedziała, że to Jens wychodzi. Usłyszała trzaśnięcie drzwi.

W swoim pokoju podeszła do łóżka i usiadła, patrząc nieruchomo na kwiatek na tapecie. Levinia zamknęła za sobą drzwi. Nie zapaliła lampy.

Odezwała się z niespodziewaną mocą:

- Nie będę zamykała drzwi na klucz. Wiem, że nie muszę, ponieważ zaczekasz tu, aż omówimy z ojcem całą sprawę.

Nie wolno ci z nikim rozmawiać, rozumiesz?

- Tak, mam - odparła Lorna.

- Nawet nie myśl o ucieczce z tym... nieokrzesanym imigranem bez grosza!

- Nie, mam.

Po chwili milczenia Levinia pozwoliła sobie na dalsze uszczypliwości.

- Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolona. Dałaś siostrom dobry przykład.

Lorna nie odpowiedziała. Myślała o słowie „bękart” i zastanawiała się, czy rzeczywiście wszyscy młodzi mężczyźni zaczną unikać jej sióstr.

- Jeśli ludzie się dowiedzą, żaden porządny młody człowiek nie odezwie się do ciebie, nie mówiąc już o tym, żebyś znalazła męża. Kobiety, które cudzołożą, nie mają żadnych szans. Niech ci Bóg wybaczy. Nie wiem, jak mogłaś zrobić coś tak wstrętnego, niskiego. Oboje z ojcem już nigdy nie będziemy mogli spojrzeć ludziom w oczy. Zbrukałaś nasze nazwisko i muszę powiedzieć, że ten szok może okazać się ponad moje siły. Wytrzymam jednak jakoś, dopóki nie znajdziemy rozwiązania. Teraz czekaj tutaj, jak kazał ci ojciec, młoda damo. Rozumiesz?

- Tak, mam.

Drzwi zamknęły się za Levinią. Lorna siedziała nieruchomo w ciemnościach. Obiema rękami przytuliła nie narodzone dziecko i zastanawiała się, dokąd poszedł jego ojciec i kiedy znów go zobaczy.

Rozdział 13

Jens wracał do siebie zrozpaczony. Żałował, że zostawił Lornę. Co miał zrobić? Wszechmocny Gideon Barnett! Jens powinien mieć więcej oleju w głowie i nie spodziewać się przychylności! Powinien ożenić się z Lorną i dopiero później powiedzieć o wszystkim jej rodzicom!

Zrobił jednak inaczej. Postąpił szlachetnie i odważnie, ale przyniosło to katastrofalne skutki.

Co teraz? Siłą wdrzeć się do domu i porwać swoją narzeczoną? Uciec z nią? Pokłócić się z Barnettem i pobić go?

Nie miał pojęcia, co robić, wrócił więc do „Leipa” i do czwartej rano leżał w łóżku, zgrzytając zębami.

Rano podjął dwie decyzje. Postanowił zabrać szablon z szopy Barnetta i poprosić Iversena o przechowanie go. Umył się, ubrał i zszedł na śniadanie. Na dole dowiedział się, że jeśli chce jeść, musi za siebie zapłacić.

Gideon Barnett odmówił utrzymywania Harkena.

Jens zjadł, zapłacił i wsiadł do pociągu do Saint Paul. Z dworca poszedł do studia fotograficznego Iversena, na West Third Street. Nigdy tam nie był, ale bez trudu je znalazł. Studio można było pomylić ze szklarnią. Wszędzie stały rośliny: na oknach wychodzących na ulicę, w doniczkach na podłodze, na kwietnikach przy ścianie. Geranium kwitło, fiołki szalały, drzewka w doniczkach panoszyły się wysoko, a paprotki opadały kaskadami w dół. Wśród kwiatów, w szklanych skrzynkach, wystawiono na sprzedaż aparaty fotograficzne Kodaka. W drugim końcu pomieszczenia,

przy ścianie zasłoniętej kurtyną, stały krzesła, czekając na chętnego do zrobienia zdjęcia. Niedaleko frontowego okna Iversen bawił się aparatem stereo.

Na dźwięk dzwonka przy drzwiach odwrócił się gwałtownie, żeby popatrzeć zdrowym okiem. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wyjął z ust fajkę.

- Mój przyjaciel Harken. Co, na Boga, tutaj robisz? Straciłeś swoją łódź?

- Tak. Właśnie o tym chciałem porozmawiać.

- Nie brzmi to wesoło. Co się stało? Chodź tutaj...Chodź, chodź... Zdejmij płaszcz i ogrzej się przy piecu.

Jens zdjął okrycie i poszedł za Timem do owalnego piecyka, ustawionego przy zachodniej ścianie. Tim nalał kawy i wysunął z szeregu dwa krzesła.

- Może najlepiej będzie, jeśli powiem wprost - zaczął Jens, przyjmując filiżankę i siadając. - Barnett wylał mnie, a to oznacza koniec łodzi.

Tim przerwał nabijanie fajki.

- Nie mów. Co w niego wstąpiło?

- Poprosiłem o rękę jego córki.

Tim zapalił fajkę, zaciągnął się, wypuścił z siebie chmurę pachnącego dymu.

- Mogę sobie wyobrazić, jak Gid przyjął taką prośbę. Mówisz, że nie chce wykańczać „Lorny D.”?

- Chce, żebyśmy wyniósł się z jego posiadłości i mówi, że naśle na mnie policję. Nie zostawię mu szablonu. Zapłaciłem za materiały i uzgodniliśmy, że szablon zatrzymam. Muszę znaleźć miejsce, żeby go przechować. Przyszedłem spytać, czy mógłbym go trzymać w twojej chacie do czasu, aż znajdę inne miejsce.

- Nie widzę problemu. I tak teraz z niej nie korzystam.

- Dzięki, Tim.

- A co z tobą? Nie wyobrażaj sobie, że Gid będzie płacił za „Leipa”.

- Powiadomił ich o tym, zanim zdążyłem zejść na dzisiejsze śniadanie. Pewnie wysłał telegram.

- Co zrobisz?

- Nie wiem. Nie jestem całkiem bez grosza, ale wszystko, co mam, zamierzałem zainwestować w narzędzia do budowy łodzi. Miałem zamiar poczekać z tym do przyszłorocznych regat, ale zdaje mi się, że teraz nie mam wielkiego wyboru. Muszę podjąć pracę na własny rachunek.

Tim uśmiechnął się lekko.

- Czasem trudności są konieczne, żeby człowiek zaczął działać. Co z Lorną? Nadal chcesz się z nią ożenić?

- Oczywiście. Nikt mi jej nie zabierze. Nikt! Tim skrzyżował ręce:

- To dziwne, ale czuję się częściowo odpowiedzialny za wasze losy.

-Ty?

- Widziałem, co się dzieje między wami, i więcej niż raz miałem w tym swój udział.

- Piknik u ciebie niewiele zmienił. My z Lorną... Łączy nas coś naprawdę silnego, Tim. Jakby sam los chciał nas związać. Będziemy razem, ale najpierw muszę zapewnić sobie pracę. Stary Barnett i tak nieźle mi się przysłużył. 1yl^e było gadania o „Lornie D.”, że wszyscy w White Bear mnie znają. Mam czterysta dwadzieścia dolarów; resztę mogę pożyczyć w banku. Na pewno znajdę kogoś, kto zechce zaryzykować. Poproszę cię jeszcze o jedną przysługę. Czy mógłbyś dać mi jedno lub dwa dobre zdjęcia łodzi? Któreś z tych zrobionych ostatnio. Nie mam wielkich pieniędzy, ale mam głowę na karku i znam się na jachtach. Kiedy pokażę bankierowi zdjęcia, sam zobaczy, że warto zaryzykować.

- Jedno czy dwa zdjęcia, mówisz? - Tim wypuszczał w powietrze smugi wonnego dymu. - Chodź tutaj.

Zaprowadził Jensa do aparatu, którym wcześniej bawił się przy frontowym oknie.

- Widzisz?

Z czułością położył dłoń na czarnym pudle, ustawionym na trójnogu.

- Można powiedzieć[^] że to moja „Lorna D.”.

Potem wskazał gestem warsztat.

- To wszystko, te portrety, robię z obowiązku. Ale tym zajmuję się z miłości. Podróżuję po świecie ze swoim aparatem stereo i uwieczniam widoki, które zwykły człowiek może obejrzeć tylko przez stereoskop. Czy wiesz, że byłem w Klondike? Pomyśl tylko. W Meksyku, Palestynie i na targach Chicago World's Fair dwa lata temu. W przyszłym tygodniu będę w Szwecji i Norwegii, a pod koniec zimy we Włoszech i w Grecji. Wszędzie będę robił małe, podwójne zdjęcia. Wiesz, co z nimi zrobię? Będę je sprzedawał tutaj, ale mam też zespół ludzi, sprzedających je po domach w całych Stanach Zjednoczonych, że nie wspomnę o katalogach Sears i Roebuck. Jak się domyślasz, Jens, jestem bogatym człowiekiem, ale nie mam żony i nie mam nikogo, komu chciałbym zostawić całe to bogactwo. - Tim przerwał dla zaczerpnięcia powietrza. - Teraz trafiasz się ty. Uważam, że jesteś cholernie bystrym facetem i cholernie sprytnie zaprojektowałeś swój jacht. Niejeden z moich znajomych pożałuje, że nie chciał cię wysłuchać, kiedy o to prosiłeś. Oto moja propozycja. Zabierzesz szablon z szopy Barnetta. Nie trzymaj go w mojej chacie zbyt długo. Nawiasem mówiąc, możesz tam mieszkać aż do wiosny, kiedy wrócę z podróży. Będzie ci zimno jak diabli. Może będziesz musiał zapuścić brodę, żeby w nocy nie odmrozić twarzy, a w razie potrzeby będziesz siedział przytulony do pieca. Będziesz sobie gotował i pompował wodę. Czego więcej potrzeba mężczyźnie? Kiedy wrócę wiosną, chcę mieć chatę dla siebie. Będziesz jednak miał dość czasu na znalezienie przyzwoitego miejsca na swoją stocznię. Możesz coś wynająć, kupić, jak wolisz. Zacznieś pracować. Zainwestujesz trzysta dolarów, ja dołożę resztę i zacznieś budować te rozdeptane cygara z masztami. Podejrzewam, że za dwa lata, a może nawet już za rok, będziesz najbardziej poszukiwanym rzemieślnikiem w Minnesocie. Kiedy zacznieś zarabiać, albo wykupisz moje udziały, albo zwrócisz moje pieniądze z niewielkim procentem. Co o tym myślisz?

Jens, zdumiony, nie odpowiadał.

- No, odezwij się - powiedział Tim.

- Nie mogę. Odjęło mi mowę.

Tim zaśmiał się gardłowo, podszedł do pieca, zdjął pokrywę i wyrzucił popiół z fajki, po czym włożył ją do kieszeni.

- Co pan na to, panie projektancie? Mam ci otworzyć konto w banku?

- Zrobisz to? Zrobisz dla mnie to wszystko?

- Mm... nie wszystko. Nie mogę ci zwrócić twojej dziewczyny. Tym musisz zająć się sam.

- Do diabła. To wystarczy! Nie rozumiesz? Nie miałem pieniędzy, żeby ją utrzymać, a teraz dostanę pieniądze od ciebie.

- Jens, nie zapominaj o jej ojcu. Piekielnie trudno będzie zmienić jego nastawienie, nawet jeśli staniesz się bogaty jak sam Barnett. Widzisz, on wyrósł w bogactwie. Byłeś od niego gorszy, kiedy się spotkaliście, i na zawsze pozostaniesz kimś gorszym. Jeśli chcesz poślubić jego córkę, będziesz musiał zrobić to wbrew jego woli, a to może okazać się katastrofalne dla twoich interesów. Jego przyjaciele będą twoimi najlepszymi klientami.

- A ty? Też jesteś jego przyjacielem. Nie obawiasz się zemsty?

- Nie bardzo. Ja też wychowałem się w ubóstwie i nie zamierzam żenić się z jego córkami. Jeśli zechce mnie obrazić, przeżyję to. Jeśli chodzi o interesy, to już ci wspomniałem, że wspierają mnie Sears i Roebuck oraz mój przyjaciel, George Eastman. W Minnesocie jestem wyłącznym sprzedawcą jego aparatów. Oczywiście, w klubie dowiedzą się, że cię wspieram, ale ci ludzie potrafią szanować tego, kto umie zarabiać pieniądze. Kiedy zobaczą, że idzie nam dobrze, pogratulują nam.

- Wszyscy, z wyjątkiem Gideona Barnetta - wtrącił Jens.

- Wszyscy, z wyjątkiem Gideona Barnetta.

Tą ponurą nutą skończyła się rozmowa, ale w Jensie odżyła nadzieja. Tim Iversen okazał się prawdziwym przyjacielem. Szczerym, dobrym, przewidującym człowiekiem. Jens czuł wielką wdzięczność, jak rodzic wobec człowieka, który wyratował jego dziecko ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Żadne podziękowania nie wyrównają tego rachunku. Objął Tima na pożegnanie.

- Żadne słowa nie są w stanie wyrazić mojej wdzięczności. Jesteś dobrym przyjacielem i postaram się dać ci powód do radości z tego, że uwierzyłeś we mnie. Będę pracował nad tym, żeby moje łodzie były najszybsze. Zobacysz.

- Nie musisz mi mówić. Umiem rozpoznać człowieka z wielkimi marzeniami. Tacy są najlepsi i warto w nich inwestować. Wiem o tym, bo ze mną było podobnie. Ktoś mi pomógł. Starszy człowiek o nazwisku Emil Zehring, przyjaciel mojego ojca. Już nie żyje. Mogę mu się jednak odwdziaczyć podtrzymując tę tradycję. Mam nadzieję, że pewnego dnia i ty pomożesz komuś młodszemu i potrzebującemu pomocy.

- Obiecuję.

- Na co czekasz? Idź! Otwórz stocznię, żebym szybko odzyskał pieniądze!

Jens wyszedł od Tima z uśmiechem na ustach. Wszystko się ułoży, jeśli tylko będzie mógł poślubić Lornę. Nie miał jednak złudzeń co do tego, jak go przywitają, kiedy podejdzie do drzwi z chimerami i zechce się z nią widzieć. Postanowił napisać jej o wszystkim i wysłać list przez Phoebe, jak dawniej.

Wieczorem napisał:

Kochana Lorno!

Jak wiele wydarzyło się w ciągu dwudziestu czterech godzin po naszym ostatnim spotkaniu. Nie wiem, od czego zacząć. Najpierw chcę powiedzieć, że cię kocham i że nasza przyszłość rysuje się jaśniej niż dotąd. Wczoraj przeżyłem najgorszy dzień mojego życia. Myślę, że ty też. Nie mogę pozwolić, żeby

nas rozdzielili. Szczególnie po tym, co wydarzyło się dzisiaj. Poszedłem do Tima i chociaż trudno w to uwierzyć, Tim pomoże mi w interesach. Piszę te słowa w jego chacie. Pozwolił mi przeczekać w niej zimę, a w dodatku dał pieniądze na otwarcie stoczni. Obszedłem już White Bear wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu odpowiedniego pomieszczenia, ale wszędzie zimą lodzie. Znalazłem jednak plac wystawiony na sprzedaż. Jutro przyjedzie tu Tim i jeśli to miejsce mu się spodoba, zbudujemy tam stocznię. To jest niedaleko chaty Tima, bliżej klubu. Trzeba będzie trochę uprzętnąć ten teren, ale to mi nie przeszkadza. Mam silne plecy i dobrą siekierę; to wystarczy Norwegowi do przetrwania. Postanowiłem, że sam będę budował. W ten sposób zmniejszę koszty. Ben mi pomoże, ponieważ został zwolniony z tartaku aż do wiosny. Kolejna dobra nowina jest taka, że Ben znalazł pilę, dzięki której sami możemy ciąć deski, co dodatkowo obniży koszty. Będzie mnóstwo pracy, ale nie boję się tego. Do wiosny postawimy stocznię. Kiedy przyjdzie dziecko, jego ojciec będzie już budował jachty. Co o tym myślisz ?

Pewnie domyślasz się, że jestem z tego bardzo zadowolony. Wszystko, czego pragniemy, nabiera realnych kształtów. Smutne jest tylko to, że będziemy musieli pobrać się bez wiedzy twoich rodziców. Lorna, kiedy patrzyłem, jak matka odprowadzała cię do pokoju, jakbyś popełniła jakieś przestępstwo, mało mi serce nie pękło. To, że na mnie krzyczeli i wyzywali mnie, nie bolało prawie wcale w porównaniu z tym, co czułem, kiedy ciebie tak traktowali. Widzę, że się myliłem, kiedy sądziłem, że na wieść o dziecku potraktują nas uprzejmie. Od tej pory wszystkie nasze plany musimy trzymać w tajemnicy. Lorna, moja słodka, będziemy musieli się spotkać i omówić wszystko. Myślałem o tym dzisiaj. Przyjeźdź w piątek pociągiem o 10:30 rano. Kup bilet do Stillwater. W White Bear jesteś dobrze znana, a nie chcę, żeby twój ojciec dowiedział się o nas. W White Bear wsiądę do pociągu i razem pojedziemy do sądu w Stillwater. Tam weźmiemy ślub. Jest tam wiele kościołów. Będziemy mieli w czym wybierać. Zimą

spędzimy u Tima, a na wiosnę, kiedy stocznia ruszy, zamieszkamy na poddaszu. Wiem, że nie będzie ci łatwo mieszkać w drewnianej chacie czy na poddaszu nad warsztatem, ale to tymczasowe rozwiązanie. Będę pracował ile sił, żeby kupić wszystko, co jest ci potrzebne, kochana. Twój ojciec pożałuje kiedyś swoich słów.

Przeczytałem swój list i po namyśle doszedłem do wniosku, że lepiej będzie umówić się na wtorek w następnym tygodniu. List musi przecież dojść do Phoebe, Phoebe musi spotkać się z tobą, a ty musisz wymyślić sposób, żeby wydostać się z domu.

A więc, Lorno Diane, tak zrobimy. Mam nadzieję, że moje plany spodobają ci się. Będziemy szczęśliwi. Bardzo cię kocham, moja najdroższa, i nasze dziecko też kocham. Poglaskaj malucha po główce i powiedz, że to od taty i że w wolnym czasie wystrugam mu kołyskę z drzewa ściętego na naszej działce (kiedyś będzie należała tylko do nas).

Nie martw się. Uśmiechnij się, myśl o mnie. W przyszłym tygodniu będziemy małżonkami, Harkenami.

Twój kochający przyszły mąż -Jens.

Następnego dnia Jens wysłał list i zabrał się za realizację swoich planów. Timowi spodobało się wybrane miejsce. Kupili działkę.

Jens wynajął wóz do przewożenia towarów i pojechał do Rose Point po szablon.

Drzwi szopy zastał zamknięte i musiał je wyważać. Zabrał to, co do niego należało i żałował tylko jednego: że nigdy nie skończy „Lorny D.". Łódź wyglądała żałośnie w mrocznej, rozpadającej się szopie, znów pachnącej pleśnią.

Ostatni raz położył dłoń na kadłubie i powiedział:

- Przykro mi, staruszek. Może kiedyś zobaczę cię na wodzie.

Wbrew radom Tima, wniósł szablon do chaty i oparł

o ścianę w pokoju. Chciał uchronić drewno przed wilgocią

i chciał patrzeć na szablon nocami, wyobrażając sobie łodzie, które na nim zbuduje.

Na nowo zakupionej działce ustawili z Benem piłę i ścięli drzewa.

Wynajęli parę dużych, silnych koni i zaczęli ciąć drzewa na deski. Sprawiało im to wiele przyjemności. Dwaj młodzi Norwegowie z nozdrzami pełnymi woni świeżego drzewa, z butami obsypanymi trocinami i z końmi, do których mogli mówić, byli szczęśliwi.

Jens myślał, że tylko w niebie szczęście mogłoby być pełniejsze.

We wtorek wstał wcześniej, zagrzał wodę, wyprał swoją flanelową pościel i rozwiesił ją na szablonie, żeby wyschła. Potem zagrzał drugie wiadro wody i wykapał się, włożył czystą bieliznę, niedzielny garnitur, ciepłą kurtkę, czapkę z nausznikami i ruszył w drogę.

Kiedy pociąg wjeżdżał na stację, serce przy każdym uderzeniu podskakiwało mu do gardła. Pociąg zwolnił. Jens zaczął przestępować z nogi na nogę, zaciskać zmarznięte dłonie w pięści i zwijać kartonowy bilet na pociąg.

Zaglądał do okien, wypatrując uśmiechu Lorny, zastanawiając się, którym wagonem jedzie jego przyszła żona.

Kiedy hamulce pneumatyczne zaczęły syczeć, wagony uderzać o siebie, platforma, na której stał, wibrowała mu pod stopami. Jens nie ruszał się. Spodziewał się, że Lorna wyrzy z jednego z ostatnich wagonów i zawoła go.

Czekał i czekał. Troje pasażerów wysiadło. Tragarz wyniósł z pociągu ich bagaż. Podszedł pracownik kolei, z plikiem listów w ręce, i pogawędził chwilę z tragarzem. Gdzieś z przodu rozległ się gwizdek i tragarz zawołał: - Proszę wsiadać! - po czym schylił się, żeby podnieść ruchome schodki.

Jens zawołał:

- Chwileczkę! Ja wsiadam!

Podbiegł i dwoma susami wskoczył po schodkach. Serce biło mu mocno. W pierwszym wagonie nie było Lorny.

Kiedy przeszedł do drugiego, usłyszał gwizdek i pociąg ruszył. Jens zachwiał się. Przytrzymał się oparcia i poczekał, aż

ruch pojazdu będzie spokojniejszy. Potem przeszedł do następnego wagonu i do następnego. Z każdą chwilą czuł rosnące przerażenie. Kiedy dotarł do wagonu z węglem, zawrócił prosto do wagonu restauracyjnego. Lorny nie było w pociągu.

Przebyli już jedną trzecią drogi do Stillwater, Jens opadł na siedzenie i poddał się lękowi, drżącemu w żołądku. Wyglądał przez okno i wiercił się niespokojnie. Kobieta siedząca naprzeciwko spytała, czy nic mu nie jest, ale Jens nie słyszał tego pytania.

W Stillwater poszedł na stację i kupił bilet do Saint Paul. Usiadł przy żelaznym piecyku zbyt zamyślony, żeby zauważyć, że jest cały spocony. Pociąg przyjechał po dwunastej. O trzynastej czterdzieści pięć Jens stał na chodniku na Summit Avenue, przed domem Gideona Barnetta. Spoglądał to na wejście dla służby, to na główne drzwi i zastanawiał się, którą drogę powinien obrać. Jeśli wejdzie przez kuchnię, wszyscy znajomi zaczną go wypytywać, co tu robi; nie miał ochoty udawać, że wszystko jest jak najlepiej.

Zdecydował się na główne wejście. Podniósł dłoń do kołatki z szczerzącą zębiska chimera z brązu.

Drzwi otworzyła Jeanette, jedna ze służących pracujących na parterze. Poznała go.

- Witaj, Jeanette - powiedział. - Chciałbym porozmawiać z panną Lorną. Zechciałabyś ją poprosić?

Jeanette nigdy nie była zbyt serdeczna. Teraz też usta miała zaciśnięte. Drzwi uchyliła tylko tak, że Jens widział jej jedno oko.

- Panienska Lorna wyjechała.

- Wyjechała! Dokąd?

- Nie wolno mi udzielać żadnych informacji. Nie mogę też wpuścić cię do środka. Takie są polecenia.

- Gdzie ona jest?

- W jakiejś szkole. Dobrze wiesz, że nie masz prawa pytać o te rzeczy.

- W szkole? W połowie listopada?
- Mówiłam już, że nie masz prawa o to pytać.
- Czy ktoś coś o niej wie?
- Nikt ze służby.
- A Ernesta? Musi wiedzieć; jest pokojówką Lorny. Jedyne widoczne brzowo Jeanette uniosła się dumnie.
- Już powiedziałam, że panienka wyjechała, a Ernesta wie nie więcej niż ja. Do widzenia, Harken.

Zamknęła mu drzwi przed nosem.

Jak w koszmarze Jens poszedł do drzwi kuchennych. Zszedł po kamiennych schodkach.

Pani Schmitt na jego widok powiedziała tylko:

- Och, znowu ty.

Jens przełknął to upokorzenie.

- Czy wie pani, gdzie jest panienka Lorna?

- Ja? Ha!

- Wie pani, kiedy wyjechała?

- Skąd miałabym wiedzieć? Jestem kucharką i rzadko opuszczam to pomieszczenie.

- A inni? Ktoś musi wiedzieć.

- Spytaj ich.

Jens zamierzał to zrobić, kiedy otworzyły się drzwi po drugiej stronie kuchni i do środka wpadła Levinia Barnett, najwyraźniej powiadomiona przez Jeanette.

- Harken, zostałeś zwolniony. Wyjdź z mojej kuchni i przestań przeszkadzać mojej służbie w pracy.

Jens bez słowa chwycił Levinę za rękę i wypchnął przez drzwi dla służby. Levinia krzyknęła i zaczęła go bić i dra-
pać po twarzy.

- Puść mnie! Puść! Ratunku! Mój Boże, niech mi ktoś pomoże!

Jens skrzyżował jej ręce i pchnął na betonową ścianę.

- Gdzie ona jest? - warknął. - Mów!

Levinia znów krzyknęła. Jens przycisnął ją mocniej do ściany. Jeden ze szwów na rękawie puścił. Levinia przestała krzyczeć. Wytrzeszczyła oczy.

- Posłuchaj mnie uważnie! - Jens trochę rozluźnił uchwyt. - Nie chcę pani skrzywdzić. Nigdy w życiu nie podniosłem ręki na kobietę. Kocham pani córkę. Lorna urodzi moje dziecko. Kiedy...

Drzwi kuchenne otworzyły się i stanął w nich Hugon Lowell.

- Puść ją! - zażądał drżącym głosem.

- Wynoś się stąd i zamknij drzwi! - Jens oparł na piersi Hugona dłoń i jednym pchnięciem wyrzucił z kuchni, a potem pociągnął za sobą Levinę Barnett, żeby zamknąć drzwi.

- Teraz proszę mnie uważnie wysłuchać! Nie jestem człowiekiem gwałtownym, ale jeśli zabierzecie mi Lornę i moje dziecko, będę walczył. Kocham ją. Ona mnie kocha. Pani wydaje się tego nie rozumieć. Odnajdziemy się, tak czy inaczej. Jeśli łudzi się pani, że Lorna nie będzie mnie szukała, to nie zna pani własnej córki. Może pani to powtórzyć swojemu mężowi: Jens Harken był tutaj i wróci. Będzie wracał tak długo, aż znajdzie Lornę.

Puścił ją i odsunął się ostrożnie.

- Przepraszam, że zniszczyłem suknię.

Levinia Barnett nie odzywała się; była przerażona i wyglądała jak zawieszona na ścianie.

Drzwi kuchni otworzyły się i pojawiła się w nich Hulduh Schmitt, z wałkiem w ręce.

- Zostaw ją! - krzyknęła i bez namysłu uderzyła Jensa w skroń. Przewrócił się na cementowe schody i zaczął wycofywać się na czworakach.

- Wynoś się stąd, bo poprawię! Jens odwrócił się i uciekł.

Za jego plecami pomoce kuchenne zgromadziły się wokół swojej królowej.

Godzinę później w biurze Gideona Barnetta, zastawionym meblami z drewna orzechowego, podniósł się straszny wrzask.

- Proszę pana! Tam nie wolno wchodzić! Proszę pana!

Jens Harken nie zważał na nic. Zaglądał kolejno do oszklonych pokoi, aż w jednym z nich zauważył za biurkiem Barnetta. Przed nim siedzieli na krzesłach dwaj mężczyźni. Jens bez pukania otworzył drzwi i jak wojownik wkroczył do biura.

- Powiedz im, żeby stąd wyszli - rozkazał. Barnett zaczerwienił się i podniósł powoli.

- Panowie - powiedział, nie patrząc na swych gości - zechciejcie mi na chwilę wybaczyć.

Mężczyźni wstali i wyszli, zamykając za sobą drzwi.

- Ty... podły... imigrancie... śmieciu. Powinienem się tego spodziewać.

- Przyszedłem spytać, ile kosztuje jedwabna suknia damska, ponieważ zniszczyłem suknię pańskiej żony. - Jens położył na biurku dwadzieścia dolarów. - Pewnie dowie się pan o tym po powrocie do domu, a może i wcześniej. Ten nisko urodzony, biedny imigrant, który kocha pańską córkę i jest ojcem jej dziecka, próbował siłą zmusić pańską żonę do ujawnienia miejsca pobytu Lorny. Będzie pan chciał mnie aresztować, więc przyszedłem powiedzieć, gdzie można mnie znaleźć. Zimą spędzę w chacie Tima, a jeśli mnie tam nie będzie, szukajcie niecały kilometr na północ od jego chaty. Buduję tam warsztat. Piłą słychać z daleka. Zanim jednak pośle pan szeryfa, niech się pan dobrze zastanowi. Jeśli mnie aresztują, będzie przesłuchanie. Powiem im, dlaczego zjawiłem się w pańskim domu i napadłem pańską żonę. Powiem, że walczę o Lornę i o nasze dziecko.

Pewnego dnia, kiedy ją odnajdę, ona nie zechce odezwać się do pana i będzie pan żałował, że stracił córkę... i wnuka. Do widzenia, panie Barnett. Przepraszam, że przeszkodziłem.

Rozdział 14

Po tym, jak Gideon i Levinia dowiedzieli się, że ich córka jest przy nadziei, Lorna czekała w swoim pokoju bardziej apatycznie niż posłuszenie. Rodzice wyciągnęli przeciw niej najpotężniejszą broń: wstyd. Lorna zbuntowałaby się przeciw wściekłości ojca i wyrzutom matki. Upokorzenie wykonało jednak lepiej swoje zadanie.

Poniżona, bezsilna, siedziała w ciemnościach i pierwszy raz w życiu czuła się grzeszna. Aż dotąd Lorna uważała swoją miłość do Jensa za rzecz świętą. Miłość uczyniła ją lepszą, a nie gorszą: była pełna dobrej woli tam, gdzie dawniej bywała małostkowa; była hojna tam, gdzie kiedyś okazywała się skąpa; prawiała komplementy tym, których wprawdzie miała chęć krytykować; okazywała cierpliwość tym, których nie chciała znosić; była radosna w tym, co dawniej wprowadziłoby ją w ponury nastrój.

Tyrada Levinii zdmuchnęła całą jej radość. Po wyjściu matki Lorna siedziała w nogach łóżka i gapiała się na zasłony, zbyt zrezygnowana, żeby wstać, zasłonić okno i zapalić lampę. Siedziała w ciemnościach i wyliczała w pamięci wszystkie nieszczęścia, jakie mogłyby spaść na jej rodzinę, gdyby uciekła z Jensem. Czy rzeczywiście wszyscy przyjaciele odwrócą się od nich? Czy jej hańba spadnie na siostry? Czy znajome będą obgadywały matkę za plecami, a znajomi ojca unikali jego wzroku? Czy Lorna straci przyjaźń Phoebe? Czy jej dziecko będzie przez całe życie nazywane bękartem?

Jej myśli krążyły wokół słowa „cudzołóstwo”. Nigdy dotąd nie nazywała tak tego, co wydarzyło się między nią a Jensem i co wydawało się tak wspaniałe. A jednak Levinia nazwała to rzeczą niegodną, niską, brudną.

Hańbiącą.

Zapadła noc, a Lorna nadal siedziała samotnie. Nie przyniesiono jej kolacji. Nikt z rodziny nie próbował się do niej zbliżyć. Pianino milczało. Panowała martwa cisza. Powietrze w domu wydawało się przesycone tajemnicą, jakby za zamkniętymi drzwiami o czymś szeptano.

Po długim czasie Lorna przechyliła się na bok i podciągnęła nogi na łóżko. Leżała w ubraniu, ze skulonymi kolanami. Nawet nie podłożyła sobie poduszki pod głowę. Zasypiała i budziła się, czując dreszcze. Za którymś razem zebrała siły: rozpięła sukienkę, zrzuciła buty i wsunęła się pod kołdrę.

Około ósmej rano obudziło ją pukanie do drzwi. - Śniadanie, panienko.

Taca uderzyła o drzwi. Kroki oddaliły się. Przez okna, wychodzące na zachód, wpadało mroczne światło. W kominku hulał zimny wiatr, pachnący popiołem. Lorna leżała na plecach, z dłonią na czole i zastanawiała się, co też może teraz robić Jens, jak zarobi na życie, czy przyjdzie do domu, żeby się z nią zobaczyć, czy do niej napisze i co z nimi będzie, jeśli Jens spędził tę noc rozpaczając tak, jak ona.

Wstydząc się hańby.

Lorna wzięła tacę ze śniadaniem, ale nic nie zjadła. Wypiła jednak filiżankę herbaty i szklankę soku owocowego. Jej ślinianki zaczęły pracować i poczuła w ustach dziwny smak.

Rozpaliła w kominku i zapatrzyła się w ogień, przywołując w myślach twarz Jensa. Potem usiadła przy biurku, żeby zapisać swoje myśli w pamiętniku, ale zasnęła. Obudziła się, kiedy na dole trzasnęły drzwi. Przed domem słychać było konie. Tuż przed południem drzwi pokoju Lorny otwo-

rzyły się i do środka weszła, nie pukając, ciotka Agnes. Podeszła do biurka i przytuliła bratanicę.

Suknia ciotki pachniała pudrem i różami. Zapach ten zawsze kojarzył się Lornie z samotnością.

- Mama mówi, że nie wolno mi rozmawiać z nikim z rodziny.

- To typowe dla Levinii. Wcale nie musi się starać o to, żeby okazać się pełnym poczucia własnej wyższości osłem. Wybacz mi, Lorno, ale znam ją dłużej niż ty i myślę, że mam prawo głośno wyrazić swoje zdanie. Możesz ją kochać, ale nigdy nie próbuj jej podziwiać!

Lorna uśmiechnęła się leciutko, wtulona w suknię ciotki.

- Co teraz będzie?

- Nie wiem, ale coś się szykuje. Mają dość sprytu, żeby nie wtajemniczać mnie w swoje plany, ale ja lepiej od nich umiem podsłuchiwać przez dziurkę od klucza i możesz mi wierzyć, że skorzystam z tej umiejętności.

Głos ciotki Anges drżał nieco bardziej niż zwykle.

- Dziękuję, że grałaś wczoraj na pianinie, żeby to wszystko zagłuszyć.

-Och, dziecko... - Agnes pogłaskała bratanicę po głowie.

- Chciał się z tobą ożenić?

W pełnych smutku i miłości piwnych oczach Lorny pojawiły się dwie wielkie łzy. To wystarczyło za odpowiedź.

- A ci bezlitośni obłudnicy wyrzucili go - mówiła Agnes z żarem. - Na pamięć kapitana Dearsleya, mam nadzieję, że będą cierpieli tak, jak ty przez nich cierpisz! Jakie mają prawo? Nie mówiąc o prawach: jak ktoś, kto nazywa siebie chrześcijaninem, może wyrzucić za drzwi ojca swojego wnuka?

Lorna znów przylgnęła do ciotki i objęła ją rękami. Tak dobrze było usłyszeć z czyichś ust myśli, które nie dawały jej spokoju przez całą noc, a które wydawały się złe. Spokojniejsza w ramionach ciotki, Lorna myślała, że chciałaby móc przytulić się do matki. To do uszu Levinii powinny tra-

fić wszystkie myśli i uczucia, jakimi Lorna obdarza nie urodzone jeszcze dziecko, Jensa, ich przyszłość.

- Rozmawiałam dzisiaj rano z twoją matką - powiedziała ciotka Agnes. - Powiedziałam, że wiem o twoim stanie i spytałam, co zamierza zrobić. Powiedziała, że to nie moja sprawa i że mam zamknąć usta na kłódkę. Obawiam się, moje dziecko, że nic się nie dowiem. Niewiele mogę dla ciebie zrobić.

- Och, ciociu Agnes, kocham cię.

- Ja też ciebie kocham, moje serduszko. W twoim wieku byłam do ciebie podobna.

- Dziękuję, że tu przyszłaś. Pomogłaś mi bardzo. Agnes wstała i uśmiechnęła się.

- To porządny młody człowiek, ten twój przystojny Norweg. Przypomina trochę kapitana Dearsleya. Możesz być pewna, Lorno, że jeśli będę mogła coś zrobić, żebyście byli razem, nie cofnę się przed niczym.

Lorna wstała i ucałowała ciotkę w oba policzki.

- Jesteś jedyną różą wśród tych cierni, ciociu Agnes. Od ciebie nauczyłam się wszystkiego co najlepsze i najdroższe. Teraz musisz już iść. Nie ma sensu denerwować mamy.

Aż do wieczora Lorna nie widziała już nikogo. Potem do jej pokoju weszła Ernesta z pustym kufrem.

- Ernesta? Co to znaczy?

- Kazano mi pomóc panience przy pakowaniu.

- Pakowaniu?

- Tak, panienko, pani kazała zabrać tylko jeden kufer. Mówi, że wreszcie pójdzie panienka do college'u i że ojciec panienki załatwił wszystko tak, że przyjmą panienkę na drugi semestr. Jakie to cudowne. Ja też chciałabym uczyć się w szkole. Skończyłam tylko sześć klas, ale tam, skąd pochodzę, to i tak dużo. Dlatego dostałam tu pracę. Bo umiem czytać listy, a niektórzy nigdy się tego nie nauczą. Co panienka chce wziąć? Pani kazała o to spytać.

Lorna odrętwiałym głosem wydawała polecenia, ale cały czas zastanawiała się, co dalej. Kiedy wszystko było spako-

wane, weszła Levinia, ubrana w suknię podróżną w kolorze stali. Stała w drugim końcu pokoju, z palcami splecionymi na brzuchu, zaciśniętymi ustami i wyrazem potępienia na twarzy.

- Twój ojciec wysłał nas w podróż. Pociąg odjeżdża o dziewiętnastej piętnaście. Ubierz się porządnie i bądź gotowa do wyjazdu piętnaście minut przed siódmą.

- Dokąd jedziemy?

- Tam, gdzie zajmą się owocem twojej hańby.

- Mamo, proszę... dokąd?

- W tej chwili nie musisz wiedzieć. Zrób, co powiedziałam. Siostry i brat pożegnają cię w bibliotece. Dano im do zrozumienia, że będziesz w szkole i że twój ojciec musiał uruchomić wiele znajomości, żeby przyjęto cię w tak nietypowym momencie. Ma to pomóc ci pogodzić się z faktem, że nie weźmiesz udziału w przyszłorocznych regatach. Jeśli będziesz udawała wystarczająco zręcznie, uwierzą w to; szczególnie, że długo męczyłaś ojca, żeby posłał cię do college[^]. Przestań tylko robić te żałosne miny i nie zapominaj, że to twój brak moralności doprowadził do podjęcia tak surowych środków. To nie nasza wina.

Pożegnanie z Jenny, Daphne i Theronem okazało się trudne. Lorna uśmiechała się z wysiłkiem, a wszyscy przyglądali się jej uważnie, zastanawiając się, o co może chodzić. Lorna ucałowała wszystkich i powiedziała do Daphne:

- Napiszę. Do Jenny:

- Mam nadzieję, że Taylor wreszcie cię zauważy. Do Theron:

- Ucz się, żebyś też mógł pójść do college'u. Gideon pocałował ją w policzek i powiedział:

- Do widzenia.

Lorna odpowiedziała tymi samymi słowami, nawet nie udając miłości.

Steffens odwiózł Lornę i Levinę na dworzec. Levinia kupiła dwa bilety od Milwaukee, po czym wsiadły do samo-

dzielnego przedziału. Usiadły naprzeciw siebie. Levinia zasunęła pluszowe zasłonki od strony korytarza, zdjęła kapelusz i rozsiadła się jak napszona sowa. Lorna wyglądała przez okno. Pociąg ruszył.

Światła miasta powoli zostawały za nimi. Granatową noc rozjaśniał tylko wąski sierp księżyca.

Lorna popatrzyła na matkę.

- Dlaczego jedziemy do Milwaukee?

- Lorno, musisz zrozumieć jedną rzecz. To, co zrobiłaś, jest nie tylko wstępnym grzechem, ale w niektórych stanach również wykroczeniem przeciwko prawu. Jeśli ktoś się domyśli, w jakiej znalazłaś się sytuacji, będzie miał o tobie wyrobione zdanie do końca twojego życia. Nieślubnych dzieci nie rodzi się tak po prostu. Trzeba ukryć ten fakt, żeby uratować dobre imię rodziny. Musisz pamiętać o siostrach. Z twojego powodu ich reputacja mogłaby zostać zrujnowana. Są młode i wrażliwe. Nie jesteśmy zadowoleni z tego, że musisz wyjechać, ale nie widzimy innego rozwiązania. Ojciec ma... znajomości, powiedzmy, wykraczające poza ludzi z naszej sfery. Pewni ludzie pomogli mu skontaktować się z księdzem, który znalazł siostry benedyktyнки. One...

- Katoliczki?

- Kto inny zechciałby cię przyjąć...

- Ależ mammo...

- Kto przyjąłby cię w takim stanie? Będiesz miała dobrą opiekę, będziesz oddzielona od ludzi, a w stosownym czasie siostry i lekarz zapewnią ci wystarczającą opiekę.

- A więc zamkniecie mnie w kamiennej wieży i potraktujecie jak rozpustnicę?

- Chyba nie rozumiesz, Lorno, że twój ojciec musiał im za to zapłacić. Wsparł wielką kwotą kościół, do którego nie należy, więc byłabym ci wdzięczna, gdybyś zmieniła ten ton! Musieliśmy cię gdzieś ukryć i musieliśmy znaleźć jakieś miejsce bardzo szybko. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby zaszkodziło ci towarzystwo kobiet szukających Boga, ce-

niących sobie czystość. W naszym kościele nie ma takiej grupy. Święta Cecylia musi ci wystarczyć.

- Będę zamknięta?

- Jesteś strasznie naiwna. Kobiety, które znalazły się w twoim stanie nie będąc mężatkami, nie paradują po ulicach. Tak się je traktuje: zamyka się je, żeby nie stawiać porządnych ludzi w żenujących sytuacjach.

- A co z dzieckiem? Będę mogła je zatrzymać?

- Zatrzymać bękartą? Przywieźć do domu, żeby twoje młodsze siostry dowiedziały się o wszystkim? Żeby twój brat musiał się tłumaczyć przed kolegami? Chcesz żyć z ojcem i ze mną pod jednym dachem i wychowywać wśród nas nieślubne dziecko? Chyba nie spodziewasz się, że pozwolimy na coś takiego?

Przez pewien czas jechały w milczeniu. Lorna wpatrywała się w ciemne okno, przerażona i zmartwiona. Od czasu od czasu ocierała łzę. Levinia nie próbowała jej pocieszyć.

- Jestem przekonana - odezwała się w końcu - że przebywając wśród zakonnicy, będziesz miała dość czasu, by zastanowić się nad tym, jaką katastrofą byłoby zatrzymanie dziecka. Kościół zna dobre rodziny poszukujące dziecka do adopcji. Nie ma innego rozwiązania.

Lorna znów otarła łzy.

* * *

Pociąg jechał brzegiem jeziora Michigan. Z daleka widać było zakotwiczone statki. Sunące w kierunku lądu smugi mgły otulały okna.

Stacja w Milwaukee była ciemna, opuszczona i pachniała kreozotem. Schodząc po schodkach, Lorna rozglądała się niepewnie. Wyłożony cegłami peron mokry od mgły lśnił odbitymi promieniami topazowego światła, sączącego się z latarni.

- Tędy - powiedziała Levinia.

Lorna poczuła chłód nocy. Ponura pogoda pasowała do jej nastroju. Podążając za matką przez ciemne, nieznanne

miasto, osnute mgłą i tajemnicą, Lorna wciąż myślała o swym grzechu i czuła się winna.

Levinia zapłaciła tragarzowi, żeby wziął kufer Lorny

i przywołała dorożkę. Koński grzbiet lśnił wilgocią, na grzywie osiadał szron. Lampa wisząca z boku kiwała się mocno, kiedy dorożkarz otworzył drzwi.

- ...bry wieczór paniom. Nieprzyjemna pogoda.

Wsiadając do mrocznego pojazdu poczuły zapach alkoholu. Dorożka zakołysała się, kiedy wkładano na nią kufer Lorny. Potem dorożkarz otworzył drzwiczki i wsunął do środka głowę.

- Dokąd, proszę pani?

- Do klasztoru świętej Cecylii - odparła Levinia.

- Tak jest. Niech się panie okryją kocem. Mamy zimną noc.

Koc był szorstki i wilgotny. Levinia i Lorna okryły się nim, siedząc obok siebie na zapleśniałym skórzanym fotelu. Szyby wkrótce zaparowały. Lorna kilka razy przecierała okienko, żeby spojrzeć na ceglane budynki i drzewa rosnące przy bulwarze. Raz dostrzegła dwa rowery, oparte o ścianę.

Podróż trwała ponad godzinę. Szron pokrywał dach i okna. Levinia zapadła w drzemkę. Lorna zerknęła na nią od czasu do czasu, zastanawiając się nad tym, że podczas snu człowiek wydaje się albo bardziej pociągający, albo bardziej odpychający niż normalnie. Kiedy przyglądała się śpiącemu Jensowi, doznawała uczucia czułości.

Przyglądając się matce uznała, że wygląda odpychająco.

Wreszcie usłyszała stłumiony głos dorożkarza:

- Zaraz będziemy na miejscu. Jeszcze jakieś pięć minut.

Znawali się za miastem. Wokół rozciągały się nagie pola, a za nimi ciemniały lasy. Jechali wzdłuż kamiennego muru. Wreszcie dorożka skręciła w prawo, jechała przez chwilę po nierównym bruku i zatrzymała się.

W drzwiczkach pojawiła się twarz dorożkarza; znów zapachniało alkoholem.

- Ktoś na panie czeka?

- Zadzwoń do bramy - odparła Levinia.

Dorożkarz nacisnął przycisk dzwonka, który zabrzmiał tak słabo, że Lorna nie sądziła, by ktoś mógł go usłyszeć. Dzwonek zadzwonił jeszcze trzy razy, zanim pojawiła się gruba, czarna postać z parasolem.

- Tak? W czym mogę pomóc?

- Mam tu dwie damy, które chcą dostać się do środka - usłyszały odpowiedź dorożkarza.

Levinia otworzyła drzwiczki i wychyliła głowę.

- Jestem pani Gideonowa Barnett. Sadzę, że moja wizyta została zapowiedziana.

- Ach. - Zakonnica wyciągnęła z sukni klucz i zwróciła się do dorożkarza: - Zawieź je do budynku na końcu podwórza.

Mężczyzna nacisnął kapelusz na oczy i zajął swoje miejsce na koźle. Najpierw jedna brama skrzypiała długo i żałobnie; potem druga odśpiewała tę samą pieśń. Dorożka zjechała na dziedziniec i zatrzymała się.

- Siostra nie chce podjechać?

Zakonnica odpowiedziała z wyraźnym niemieckim akcentem:

- Nie, dziękuję. Śnieg pachnie przyjemnie, a nocne powietrze jest czyste.

Lorna zerknęła na zakonnice, kiedy ją mijali: potężna kobieta z czarnym welonem na głowie, z jedną dłonią uniesioną do piersi, dzierżącą czarny parasol. Szybko wspinała się biegnącą w górę ścieżką. Za kamiennym murem szpaler drzew odcinał to miejsce od reszty świata.

Wreszcie wyłonił się z mroku budynek w kształcie litery U, dwupiętrowy, z ciemnego kamienia. Przez całą długość parteru biegła galeria z kolumnami. Z pięter spoglądały na podwórze ciemnymi otworami okna, rozmieszczone regularnie, jak sztachety w płocie.

Dorożka zatrzymała się przed głównym wejściem. Levinia wysiadła. Za nią wysiadła Lorna.

Levinia odezwała się do dorożkarza:

- Proszę zaczekać. Chcę wrócić jak najszybciej.

Stały w mokrym śniegu. Gruba zakonnica wspinała się pod górę, osłaniając się parasolem. Kiedy dotarła do nich, ciężko dyszała. - Idźcie... idźcie... Śnieg pada.

We trzy zbliżyły się do potężnych drzwi z czarnego drewna, z oszklonym otworem w kształcie krzyża. Przez bursztynowe i czerwone szybki sączyło się blade światło.

Zakonnica weszła pierwsza.

- Wejdźcie - powiedziała. Jej głos odbijał się echem od kamiennych ścian i wysokiego sklepienia.

Dźwięk zamykanych drzwi odbił się zwielokrotnionym echem, jakby w ciemnym korytarzu ktoś kolejno zatrząskiwiał kilkanaście następnych drzwi. Przy jednej ze ścian stały w szeregu wyściełane skórą krzesła. Na jedynym, potężnym stole o grubych nogach płonęły na świeczniku trzy świece. Na ścianie wisiał drewniany krucyfiks z brązową postacią Chrystusa.

Po obu stronach wejścia znajdowały się schody, prowadzące w nieprzeniknione ciemności na górze.

- Pani Barnett, jestem siostra DePaul - powiedziała zakonnica, odsłaniając głowę.

- Miło mi poznać siostrę.

- Ty jesteś Lorna.

Mówiła tak, jakby miała w ustach kamyki. Pulchne policzki wypływały z białego barbetu, jak ciasto chlebowe z formy. Prosta, złota obrączka wpijała się w mięciutki palec lewej ręki.

- Witam, siostro.

- Ojciec Guttman uprzedził nas o waszych planach i wszystko zostało przygotowane. Zapewnimy jej dobrą opiekę, dobre wyżywienie i dużo czasu na rozmyślanie. To jej dobrze zrobi. Pokój jest gotowy, ale musicie pożegnać się tutaj. Lorna, zaczekam na ciebie tam - pokazała w ciemny kąt. - Pożegnaj się z matką. Pomogę ci zanieść kufer na górę.

- Dziękuję, siostrze.

Levinia i Lorna zostały same. Nie potrafiły spojrzeć sobie w oczy. Lorna wbiła wzrok w lewe ramię matki. Levinia bawiła się rękawiczkami: układała je i poprawiała, jakby miała ich ze dwadzieścia.

- Tak - odezwała się w końcu Levinia. - Masz być posłuszna i nie sprawiać kłopotów. Wyświadczyły nam wielką przysługę.

- Kiedy się zobaczymy?

- Po porodzie.

- Dopiero wtedy? A ojciec? Czy... odwiedzi mnie?

- Nie wiem. Twój ojciec jest bardzo zajęty. Lorna spojrzała na krucyfiks.

- Tak... oczywiście... jest zajęty.

Zbyt zajęty, żeby zajmować się ciężarną córką, którą udało się ukryć przed światem i zapewnić jej wszelkie wygody na sześć czy siedem miesięcy oczekiwania.

- Kiedy się urodzi, będziesz oczywiście mogła wrócić do domu - powiedziała Levinia.

- Oczywiście bez...

Ku wielkiemu zaskoczeniu Lorny, usta Levinii, jeszcze przed chwilą zacięte w gniewie, zaczęły drżeć, a oczy zasły łzami.

- Dobry Boże, Lorno - szepnęła - czy myślisz, że dla ojca i dla mnie to wszystko jest łatwe? Nie rozumiesz, że chcemy cię ochronić? Jesteś naszą córką... Pragniemy dla ciebie szczęścia, a coś takiego ciągnęłoby się za tobą przez całe życie. Ludzie potrafią być bardziej okrutni, niż sądzisz. Oskarżasz nas o brak serca, ale nie przychodzi ci do głowy, że my też nie wyjdziemy z tego bez szwanku.

Lorna nigdy jeszcze nie widziała matki w takim stanie. Aż do tej chwili uważała ją za osobę despotyczną i bezwzględną. Była przekonana, że oddzieliła ją od Jensa z samolubnych pobudek. Dopiero kiedy w oczach Levinii pojawiły się łzy, Lorna zrozumiała, że matka nosi w sobie całe morze uczuć, które skrzętnie skrywa.

-Mamo... ja... przepraszam... Levinia przytuliła Lornę do piersi.

- Kiedy matka rodzi dziecko, wydaje się jej, że czeka je doskonała przyszłość. Nigdy nie planuje katastrofy takiej jak ta. Kiedy dochodzi do czegoś podobnego... po prostu... staramy się jakoś z tym uporać i powtarzamy sobie, że pewnego dnia dziecko zrozumie, że nasze decyzje miały na względzie wspólne dobro. - Poklepała Lornę po ramieniu. -Dbaj o siebie i powiadom siostry natychmiast, kiedy zaczniesz się poród. Zatelegrafuj do ojca, a ja przyjadę do ciebie.

Pocałowała Lornę w policzek i szybko uciekła.

Kiedy drzwi się zamknęły, Lorna stała, zdziwiona niespodziewanym przejawem uczuć ze strony matki. Dziwne, że ten wybuch tak bardzo ją zaskoczył, ale dopiero teraz, kiedy patrzyła na drzwi, przez które wyszła matka, zaświtało jej w głowie, że niektórym ludziom potrzeba katastrofy, żeby pozwolili odezwać się sercu i okazali miłość, przez lata skrzętnie skrywaną.

Siostra DePaul zeszła ciężkim krokiem i wzięła świecznik ze stołu.

- Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Chwyliła za rączkę kufra z jednej strony, Lorna z drugiej.

- Uff! Ciężki. Tutaj nie będziesz potrzebowała zbyt wielu ubrań. Prowadzimy życie proste i spokojne, a czas poświęcamy modlitwie i rozmyślaniu.

- Siostro, ja nie jestem katoliczką. Czy ktoś siostry o tym uprzedził?

- Nie trzeba być katolikiem, żeby rozmyślać. Korytarz na piętrze tonął w ciemnościach. W połowie drogi siostra DePaul otworzyła drzwi po prawej stronie.

- Twój pokój.

Lorna weszła do środka. Łóżko, stół, krzesło, okno, krucyfiks, klęcznik; modlitwa i rozmyślanie w niepokalanie białej komnacie, symbolizującej czystość, jak domyślała się Lorna.

Postawiły kufer; zakonnica zapaliła świecę na kwadratowym stoliku przy łóżku.

- Msza jest o szóstej rano, śniadanie o siódmej. Chętnie widziałybyśmy cię na mszy, jeśli zechcesz przyjść, ale nie masz obowiązku. Jutro ktoś pokaże ci drogę do refektarza. Miłych snów.

Kilka minut później, w zupełnych ciemnościach, leżąc na plecach na twardym łóżku, nie szerszym od niemowlęcej kołyski, Lorna otuliła dłońmi swój brzuch.

Pościel była szorstka i świeża, koce wełniane i ciężkie, bielizna sztywna, ale gładka. Dziecko, ukryte w jej płaskim brzuchu, jest nie większe od filiżanki na herbatę. Czy rzeczywiście tam jest? Przecież właściwie nic się nie zmieniło. Wspominając miniony dzień, Lorna miała wrażenie, że wszystko to tylko jakieś przedstawienie, że w każdej chwili może wstać, wyjść z łóżka, z klasztoru, zejść ze sceny i w dowolnym momencie na nią powrócić. Mogłaby wsiąść do pociągu, pojechać do Jensa i powiedzieć: „Zagrałam w bardzo dziwnej sztuce. Wszyscy starali się trzymać mnie od ciebie z daleka, zabrać nam dziecko, ale wróciłam, jestem szczęśliwa i możemy się pobrać”.

Przypomniała sobie łzy matki i zrozumiała, że to wszystko jednak dzieje się naprawdę.

Rano siostra o imieniu Marlena i wyglądzie aniołka zaprowadziła Lornę na śniadanie. Kąciki ust siostry były stale uniesione, nadając jej twarzy dobrotliwy wyraz. Nie uśmiechała się, ale jakby promieniowała zadowoleniem i wewnętrznym spokojem. Weszła, stanęła i czekała przy drzwiach z dłońmi splecionymi w szerokich rękawach czarnego habitu. Do Lorny zwracała się: „Drogie dziecko”.

- Drogie dziecko - powiedziała jeszcze w pokoju - nie bój się. Bóg zaopiekuje się tobą tak, jak wszystkimi swoimi dziećmi.

W korytarzu:

- Tędy, drogie dziecko. Pewnie jesteś bardzo głodna. W refektarzu:

- Usiądź, drogie dziecko. Teraz matka przełożona odmówi modlitwę.

Twarz matki przełożonej pokrywały obwisłe fałdki, była biała jak obrus na ołtarzu. Schyliła głowę nad złożonymi rękami. Wszystkie obecne w refektarzu kobiety zrobiły znak krzyża i zaintonowały modlitwę przed jedzeniem, dziwnie brzmiącą w uszach Lorny. Nie śpiewały, ale ich głosy łączyły się w przyjemny hymn.

Posiłek składał się z niewymyślnych potraw: dobrze przyprawionych kielbas, pikantnych serów, białego chleba, żółtego masła, zimnego mleka, gorącej kawy.

Siostra Marlena dokonała prezentacji:

- Nasz najmłodszy gość ma na imię Lorna. Przyjechała wczoraj z Saint Paul w Minnesocie i zostanie u nas prawdopodobnie do lata. Nie jest katoliczką, więc nasz styl życia może wydać się jej dziwny. Sostro Mary Margaret, niech siostra po śniadaniu pokaże drogiemu dziecku, gdzie jest kuchnia i gdzie można znaleźć mleko. Sądzę, że drogie dziecko może go potrzebować.

Siostra Marlena mówiła po angielsku, ale pozostałe zakonnice miały niemiecki akcent i rozmawiały między sobą po niemiecku. Ku zdziwieniu Lorny często się śmiały i najwyraźniej stroiły sobie żarty. Podczas posiłku każda z sióstr przynajmniej raz odezwała się do Lorny, przedstawiając się i udzielając informacji o życiu w klasztorze, o tym, co będzie na kolację, gdzie Lorna ma zostawiać brudną bieliznę. Nikt nie namawiał jej do uczestnictwa we mszy czy w modlitwach po posiłku. Nikt nie wspominał o dziecku.

* * *

Klasztor położony był na wzgórzu. Okno pokoju Lorny wychodziło na zachód. Widać było przez nie zamarznięty

strumień i rozległe lasy i łąki. Na samym niemal horyzoncie rozciągał się drewniany płot, za którym pojawiały się czasem dwa konie. Lorna wiele godzin spędzała przy oknie, na twardym, obitym skórą krześle, opierając brodę i ręce na drewnianym parapecie.

Okazało się, że klasztor świętej Cecylii jest miejscem modlitewnych i refleksyjnych spotkań starszych zakonnice oraz zakonnice z sąsiednich stanów. Modlitwa i refleksja; Lorna, tak jak zakonnice, wiele czasu poświęcała na jedno i drugie. Nikt nie wywierał na nią żadnego nacisku. Nikt jej nie oskarżał i nie obarczał winą z powodu stanu, w jakim się znalazła. Została przyjęta przez kobiety, których spokój przenikał ją coraz bardziej. Większość z nich była podobna do siostry Marleny: poruszały się powoli i uśmiechały z wewnętrznym spokojem. Zajmowały się rzeczami najprostszymi: sporządzały świece, wyrabiały koronki, wyszywały obrusy na ołtarze, piekły opłatki. Proste życie usunęło element rywalizacji, bardzo silny w kręgach, w których wychowała się Lorna. Wielką przyjemność sprawiało jej to, że może po prostu być i nie starać się zmienić w bardziej inteligentną, uroczą, najlepiej ubraną, najbardziej interesującą w oczach mężczyzn.

W klasztorze świętej Cecylii była po prostu Lorną Barnett, dzieckiem bożym.

* * *

Nadszedł grudzień. W pokoju spotkań pojawiły się gipsowe figurki małego Jezusa na sianie, Marii i Józefa. Pokój spotkań był ulubionym miejscem Lorny. Z jednej strony kryształowe okna wychodziły na podwórze, z drugiej na pola. Mały Jezus uśmiechał się życzliwie do wchodzących. Wpatrywała się w niego ze skupieniem, pytając, co powinna zrobić. Nie otrzymała odpowiedzi.

Pod oknem wychodzącym na ośnieżone pagórki stało stare pianino. Lorna często na nim grała. Dźwięczało metalicznie, bardziej jak klawikord niż pianino. Zakonnice przy-

chodziły i słuchały w milczeniu. Czasem prosiły o jakąś piosenkę. Zdarzało się, że usypiały słuchając.

Siostra Teresa nauczyła ją pielęgnacji roślin pokojowych.

Siostra Marta pokazała, jak rozczyniać chleb.

Siostra Mary Faith nauczyła ją wyszywać.

Na początku stycznia Lorna nie mieściła się już w swoich ubraniach. Uszyła sobie dwie brązowe suknie, zwisające z ramion aż do kostek i lekko wybrzuszone poniżej piersi; niewiele różniły się od zakonnych habitów.

W lutym zakonnice ślizgały się na zamarzniętym strumieniu. Ich krowa - piękne, jasnobrązowe stworzenie o imieniu Patience - urodziła śliczne cielę, które otrzymało imię Patience. Lorna przesiadywała w oborze. Powietrze było tam ciepłe i dziwnie pachniało, a sam budynek przypominał szopę, w której Jens budował „Lornę D”.

Nie napisała do niego. Co tydzień dostawała listy od matki, upominającej, żeby zapomniała o Jensie Harkenie, pogodziła się z tym, że musi oddać dziecko, prosiła Boga o wybaczenie swych haniebnych postępów i o to, żeby nikt nigdy nie domyślił się prawdy.

Lorna pisała tylko do ciotki Agnes. Opisywała swoje rozterki związane z decyzjami, jakie przyjdzie jej podjąć.

Przyznała się, że nie napisała do Jensa, ponieważ potrzebuje czasu na przemyślenie tego, co mówi matka i na podjęcie decyzji, w której weźmie pod uwagę dobro wszystkich zainteresowanych. Spytała ciotkę Agnes, czy słyszała coś o Jensie.

Ciotka odpisała, że Jens zimę spędzi w chacie Tima i że zbudował w pobliżu warsztat, w którym pracuje nad nową łodzią; nie wiedziała, na czyje zamówienie pracuje. .

Lorna wiele razy czytała te słowa; a potem wyglądała przez okno na biały krajobraz. Na śniegu widziała twarz Jensa. Wiatr zawodził jego głosem. Oczyma wyobraźni spoglądała na ich dziecko.

Ciągle jednak powracała myśl, z powodu której nie skontaktowała się z Jensem: „A jeśli mama ma rację”?

Rozdział 15

Po wyjeździe Lorny między panem a panią granitowego domu przy Summit Avenue stanął mur grubszy niż zwykle. Dzieci dopytywały się, dlaczego Lorna poszła do katolickiego college'u. Ilekroć Levinia opowiadała Gideonowi o klasztorze, on jej przerywał twierdząc, że jest zajęty.

Pewnego wieczoru, przed samym Bożym Narodzeniem, Levinia czekała na męża w sypialni. Dom w mieście zbudowano wcześniej niż podmiejską willę i nie było w nim ani bieżącej wody, ani łazienek. Gideon mył się za parawanem. Levinia usłyszała, że przykrywa miskę i po chwili stał przed nią z opuszczonymi szelkami.

- Chciałabym z tobą porozmawiać, Gideonie - powiedziała.

- O czym?

- Usiądź, proszę.

Gideon usiadł na małym, niewygodnym krzeselku przy owalnym piecyku, zainstalowanym zamiast kominka.

- Sądziłem, że już śpisz.

- Nie; czekałam na ciebie. Musimy porozmawiać o Lornie.

- Jej sprawa jest załatwiona. Co jeszcze zostało do powiedzenia?

Gideon chciał wstać, ale Levinia schyliła się i chwyciła go za rękę.

- Rozumiem, że czujesz się winny, ale zrobiliśmy to, co było konieczne.

- Nie mam poczucia winy!

- Ależ tak, Gideonie; podobnie, jak ja. Myślisz, że byłam zadowolona, zostawiając ją tam? Myślisz, że nie martwię się tym, że mimo wszystko ktoś może domyślić się prawdy? Zrobiliśmy to, żeby nie zmarnować jej przyszłości i musimy o tym pamiętać.

- Dobrze! Dobrze! - Gideon wyrzucił obie ręce w górę. -Zgadzam się, Levinio, tylko nie chcę już o tym rozmawiać.

- Wiem, Gideonie, ale czy nie przyszło ci do głowy, że dziewczyna nosi w sobie naszego wnuka?

- Levinio, do diaska, powiedziałem już, żebyś dała spokój!

Zerwał się i podszedł do pudełka z cygarami.

- Chodź tutaj, Gideonie! Proszę, żebyś nie palił tych wstrętnych cygar. Mam ci coś do powiedzenia i nie dam się przestraszyć. Nie zamierzam też mówić do twoich pleców!

Gideon odwrócił się i spojrział ze zdziwieniem na żonę, ubraną w obszerną koszulę nocną, z włosami spiętymi w obwarzanki. Zostawił cygara i usiadł na swoim krzeselku.

- Zgodzisz się chyba, Gideonie, że rzadko cię o coś proszę, ale teraz zamierzam to zrobić. Sądzę, że powinieneś chwilę pomyśleć, zanim zaczniesz krzyczeć. Dziecko będzie bękartem, nie ma o czym mówić, ale płynie w nim nasza krew. Nie chciałabym myśleć, że może nasz wnuk mieszka w jakiejś... ruderze i płacze tam z zimna i głodu. Albo jest chory.

Przerwała na chwilę, żeby wziąć się w garść, po czym podjęła:

- Przemyślałam sprawę i wiem, co zrobić, żeby mieć pewność, że jest mu dobrze, a jednocześnie żeby nikt o niczym nie wiedział. Chcę, żebyś pozwolił mi porozmawiać z panią Schmitt.

- Z panią Schmitt?

- Od lat straszy, że od nas odejdzie i tłumaczy się chorobą matki. Myślę, że możemy jej zaufać.

- W jakiej sprawie?

- Że dobrze wychowa dziecko. Gideon poderwał się na równe nogi.

- Levinio, do cholery, zaczekaj chwilę!

- Wiem, że to będzie kosztowało.

- To już mnie kosztowało!

- Nie możesz narzekać na brak pieniędzy. Gid, zrób to dla mnie.

Tego zdrobienia Levinia używała tylko w pierwszych miesiącach po ślubie. Gideon zatrzymał się, wrócił na krzesło i usiadł z westchnieniem. Żona ciągnęła z przekonaniem:

- Gdyby pani Schmitt odeszła teraz, nikt nie będzie niczego podejrzewał. Wyjedzie stąd kilka miesięcy przed powrotem Lorny. Tak dużo mówi o chorobie swojej matki, że to wystarczy jako powód odejścia. Oczywiście, w zamian za opiekę nad dzieckiem będziemy musieli zapewnić jej i jej matce utrzymanie.

Zapadła cisza. Gideon siedział w swoim krześle, Levinia w swoim.

Wspominali dzieciństwo Lorny i wyobrażali sobie dzieciństwo wnuka.

W końcu Gideon spytał:

- Ile lat ma pani Schmitt?

- Pięćdziesiąt trzy.

- Stara.

- Masz lepszy pomysł? - spytała Levinia, unosząc brwi. Gideon oparł łokcie na kolanach i patrząc w podłogę pokręcił głową.

- Zrezygnujesz z pani Schmitt? Latem zrobiłaś o nią tyle hałasu.

- Zwolnię ją - odparła Levinia. Nieoczekiwanie wzięła męża za rękę i szepnęła: - Och, Gid... To nasz wnuk. Skąd będziemy wiedzieli, jak mu się powodzi, jeśli pozwolimy go adoptować?

Gideon mocno ścisnął dłoń Levinii.

- Nie zamierzasz mówić o tym Lornie? - spytał.

- Absolutnie. Ani nikomu z domowników. Pani Schmitt będzie musiała przysiąc, że dochowa tajemnicę. Siedzieli tak przez chwilę, nieco zmieszani faktem, że trzymają się za ręce.

- Jeszcze jedno - powiedział Gideon. - Dziecko nigdy nie może dowiedzieć się prawdy.

- Oczywiście. Chodzi tylko o spokój naszego sumienia.

- Dobrze. - Gideon puścił dłoń Levinii. - Ale coś ci powiem.

Spojrzał gdzieś daleko w przestrzeń, a rysy jego twarzy stężały.

- Miałbym ochotę zabić tego faceta. Mówię poważnie. Zabiłbym skurwysyna.

** *

Po zniknięciu Lorny Jens myślał, że oszaleje. Czuł się bezradny, zapomniany przez Boga i ludzi, przerażony. Dokąd ją wysłali? Jak się czuje? Co z dzieckiem? Może je zabili? Czy kiedyś je zobaczy? Czy przekonali ją, żeby przestała widywać się z Jensem? Dlaczego nie pisze? Wiele razy zjawiał się przed domem Barnettów przy Summit Avenue, ale go nie wpuszczano.

Tim wyjechał i Jens nie miał z kim porozmawiać. Nie zwierzał się Benowi, ponieważ nie chciał ujawnić faktu, że Lorna jest w ciąży. Mijały dni, a żadna wiadomość nie nadchodziła. W styczniu zaczął odczuwać rosnący żal.

Napisał bratu prawdę o dziecku i o kobiecie, którą kocha.

W lutym zakończył budowę warsztatu. Przeniósł szablony z chaty Tima i zaczął budować łódź płaskodenną na zamówienie samego Tima. Łódź miała nosić imię „Manitou”. Jens jednak nie miał do niej serca.

W marcu zamiecie co i rusz odcinały go od świata. Kiedy mógł, szedł do miasteczka, ale na poczcie nie było wiadomości od Lorny. W kwietniu, pięć miesięcy od jej zniknięcia, otrzymał list zaadresowany obcą ręką. Jens otworzył go na chodniku przed pocztą.

Drogi panie Harken!

Biorąc pod uwagę sytuację, której jestem w pełni świadoma, uznałam za swój obowiązek poinformować pana o miejscu pobytu mojej bratanicy, Lorny Barnett. Rodzice wysłali ją do zakonu świętej Cecylii, na przedmieściach Milwaukee, w stanie Wisconsin. Opiekują się nią zakonnice. Musi pan rozumieć, że rodzice Lorny złożyli na nią ciężkie brzemie poczucia winy i nadal wywierają na nią naciski. Proszę o tym pamiętać, kiedy będzie pan osądzał jej postępowanie.

Z szacunkiem - Agnes Barnett

Jens jeszcze raz przeczytał list. Kartka drżała w jego palcach. Serce waliło jak młotem. Powróciła nadzieja, a z nią miłość i tęsknota - uczucia, których przez kilka ostatnich miesięcy nauczył się nie zauważać. Uniósł twarz ku słońcu i skoncentrował się na czerwonych kręgach, migocących pod zamkniętymi powiekami. Słońce świeciło mocniej niż w środku zimy. W powietrzu pachniało wiosną. Życie zdawało się piękniejsze.

* * *

Do klasztoru świętej Cecylii zawitała wiosna. Północne wiatry ustąpiły miejsca południowym. Okoliczne pola wyłoniły się spod białej pierzyny. Nad doliną unosił się zapach ziemi. Na łące, położonej na zachód od klasztoru, pojawiła się klacz ze źrebięciem.

Pewnego południa pod koniec kwietnia Lorna drzemała w swoim pokoju, kiedy zapukała do niej siostra Marlena.

- Masz gościa - powiedziała zakonnica.

- Ktoś chce się ze mną widzieć? - Lorna nie wiedziała, że może przyjmować gości. - Kto?

- Nie spytałam go o nazwisko.

- Mężczyzna?

Lorna usiadła i spuściła nogi na ziemię. Jedyńm mężczyzną, którego tutaj widywała, był ojciec Guttman, od-

prawiający codzienną mszę. Czasem badał ją też miejscowy lekarz, o nazwisku Enner.

- Czeka na ciebie na zewnątrz, w galerii.

Drzwi zamknęły się za siostrą Marleną bezszelestnie. Lorna siedziała z ręką przyciśniętą do nabrzmiałego brzucha, pełna gwałtownych uczuć. Ojciec czy Jens? Tylko ci dwaj mogli tu przyjechać. Pewnie Gideon postanowił spełnić rodzicielski obowiązek. Jens nie wie przecież, gdzie jej szukać.

Może jednak dowiedział się... Może...

Zeszła z łóżka, przeszła przez pokój, nalała wody do dzbanka, umyła twarz i znieruchomiła na moment, przyciskając do rozpalonych policzków wilgotne dłonie. Serce waliło jej jak oszalałe. W pokoju nie było lustra. Lorna zmoczyła włosy po bokach i uczesała je na wycucie, spinając w koński ogon tuż nad szyją. W klasztorze codziennie tak się czesała. Zmieniła wymiętą brązową suknię na drugą, równie prostą, równie brązową, równie szorstką.

Pierwszy raz żałowała, że nie ma nic bardziej kolorowego. Otworzyła drzwi i ciężkim krokiem zeszła po schodach.

Poruszała się powoli, jak zakonnice. Korytarz był pusty, ale drzwi wejściowe stały otworem. Lorna wyszła na krużganek i spojrzała w prawo. Wszystkie wnętrzości uniosły się i zaczęły naciskać na jej serce.

Siostra DePaul, jak zwykle po południu, spacerowała i modliła się. Przemierzając krużganek czytała niemiecki modlitewnik.

Lorna spojrzała w drugą stronę i zobaczyła Jensa z kapeluszem w ręce. Podnosił się właśnie z drewnianej ławki, stojącej w cieniu krużganka.

Lorna miała wrażenie, że serce jej wyskoczy z piersi. Poczowała ulgę i miłość. Ruszyła ku niemu na uginających się nogach. Jens miał na sobie niedzielny garnitur i był świeżo i trochę zbyt krótko ostrzyżony. Wyglądał na przestraszonego i onieśmiałonego. Patrzył na nią, kiedy zbliżała się w prostej, ciężowej sukni, z brzuchem wysuniętym do przodu.

- Witaj, Jens - szepnęła Lorna, stając przed nim.

Widząc jej spokój, Jens pomyślał, że zakonnicom i rodzicom udało się nakłonić ją do przyjęcia ich punktu widzenia. Pozbawili ją urody. Włosy, strój, powaga; nic z tego nie pasowało do Lorny Barnett, której obraz nosił w pamięci.

- Witaj, Lorno.

Stali w przyzwoitej odległości od siebie, świadomi obecności spacerującej po krużganku siostry DePaul.

- Jak mnie znalazłeś?

- Ciotka Agnes napisała do mnie i poinformowała o miejscu twojego pobytu.

- Jak tu przyjechałeś?

- Pociągiem.

- Och, Jens... - Przez moment widział na jej twarzy ból miłości. - Taki kawał drogi... - Przerwała. Po chwili dodała ciszej, tonem wyuczonego męczeństwa: - Miło cię widzieć.

- Miło... - zająknął się. Nie mógł mówić dalej. Chciał wziąć ją w ramiona i szeptać we włosy, że się cieszy, że ciągle o niej myślał, że czuł się bardzo samotny, że cieszy się, że dziecku nic się nie stało. Stał jednak z daleka. Wiedział, że nie może jej dotknąć; zupełnie, jakby i ona miała na sobie habit zakonnicy.

- Dlaczego nie dałaś znaku życia? - spytał.

- Ja... nie wiedziałam, gdzie pisać.

- A gdzie miałbym wyjeżdżać teraz, kiedy spodziewasz się dziecka? Gdybyś chciała, dowiedziałabyś się. Nie przyszło ci do głowy, że martwię się o was?

- Przepraszam, Jens. Nic nie mogłam na to poradzić. Zaplanowali wszystko w tajemnicy. Matka wsadziła mnie do pociągu. Dopiero w drodze dowiedziałam się, dokąd jadę.

- Lorna, jesteś tu od pięciu miesięcy. Mogłaś przynajmniej dać mi znać, że czujesz się dobrze.

Siostra DePaul skrzyła w ich stronę.

- Zimno tutaj - powiedziała Lorna. - Usiądźmy na słońcu. Nie dotykając się, wyszli z zacienionego krużganka i poszli do drewnianej ławki, stojącej w pełnym słońcu.

- Urosłaś... - zauważył Jens. Położył kapelusz obok siebie na ławce i przyglądał się Lornie. Obudziło to w nim takie uczucia, że mógłby dać głowę, że ona słyszy walenie jego serca.

- Tak - odparła.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. Dużo śpię, ale poza tym jest całkiem normalnie.

- Dobrze się tobą opiekują?

- Och, tak. Zakonnice są dobre i opiekuńcze. Odwiedza mnie też lekarz. Czuję się samotna, ale nauczyłam się to cenić. Miałam wiele czasu na myślenie.

- O mnie?

- Oczywiście. I o sobie, i o dziecku. I o naszych błędach. Na myśl o tym, jak jej rodzice zmienili ich życie, drzenie ustąpiło i w Jensie rozgorzał gniew.

- Tego właśnie chcą: żebyś uznała to za błąd. Nie rozumiesz?

- Zrobili to, co uznali za najlepsze.

- Jasne - przytaknął złośliwie, odwracając od niej spojrzenie.

- Naprawdę, Jens - przekonywała Lorna.

- Ja też dużo czasu spędziłem w samotności, ale nie powiem, że bym sobie to cenił! Jezu, kiedy zniknęłaś, myślałem, że zwariuję.

- Ja też - szepnęła Lorna.

Oboje byli bliscy płaczu, ale w obecności siostry DePaul nie mogli sobie pozwolić na łzy. Przełknęli je więc i siedzieli sztywni, nie widząc wyjścia z tej sytuacji, zakochani, nieszczęśliwi, obserwowani przez zakonnice. Lorna starała się ratować sytuację.

- Co robiłeś?

- Dużo pracowałem.

- Ciotka Agnes pisała, że wreszcie masz własny warsztat.

- Tak. Pomógł mi Tim Iversen. - Jens spojrzał na Lornę,

ale starał się zachowywać powściągliwie. - Buduję dla niego jacht, który weźmie udział w czerwcowych regatach.

Tim mówi, że jeśli zdążę na czas, będę kapitanem.

- Och, Jens, jak to dobrze.

Lorna dotknęła jego ramienia i oboje pomyśleli o „Lor-nie D.", stojącej w szopie na wyspie Manitou, i o beztróskich dniach, kiedy Jens nad nią pracował.

- Wygrasz, nie mam żadnych wątpliwości.

Jens kiwnął głową i odsunął się udając, że musi rozprostować ramiona.

- To właśnie chciałem ci powiedzieć, kiedy przyszedłem do ciebie, ale dowiedziałem się tylko, że ciebie nie ma.

Chciałem ci powiedzieć, że Tim mi pomoże i wszystko będzie dobrze; że możemy wziąć ślub. Nie chcieli mnie wpuścić do domu. Traktowali mnie jak błoto pod butami. A teraz... - Nie odrywał oczu od klombu z różami, śpiącymi jeszcze zimowym snem. - Do diabła z nimi.

Chmura zasłoniła słońce i na moment ogarnął ich zimny cień. Potem chmura odpłynęła i znów zrobiło się ciepło.

Chciał wziąć Lornę w ramiona i błagać, żeby opuściła to miejsce i pojechała z nim. Siedział jednak sztywny. Siostra DePaul kolejno raz okrężyła krążanek, poruszając ustami w cichej modlitwie.

- Moi rodzice chcą, żebym oddała dziecko do adopcji.

- Nie! - wybuchnął, spoglądając na nią z bólem.

- Mówią, że Kościół zna bezdzietne małżeństwa, pragnące dzieci.

- Nie! Nie! Dlaczego pozwalasz, żeby wkładali ci takie myśli do głowy?

- Jens, czy mamy jakiś wybór?

- Możesz wyjść za mnie!

- Pokazali mi, ile musielibyśmy za to zapłacić. Nie tylko my, ale i nasze dziecko.

- Jesteś taka sama jak oni! Myślałem, że jesteś inna, ale myliłem się. Masz swoje głupie zasady i to, co myślą inni, jest dla ciebie ważniejsze od twoich własnych uczuć!

- Może po prostu trochę dojrzałam? Może przedtem myślałam jak dziecko? Sądziłam, że wolno mi robić co zechcę, nie oglądając się na konsekwencje?

- Te konsekwencje to dziecko równie moje, jak twoje. Jestem gotów zabrać cię stąd nawet dzisiaj, ożenić się z tobą, dać ci dom i mieć w nosie to, co pomyślą ludzie. Zgodzisz się?

Nie patrzył na nią, ale czuł, że się odsunęła.

- To, co robiliśmy, było grzechem, Jens.

- A oddanie dziecka nie jest grzechem?

Odwrociła głowę. Oczy miała pełne łez. Przygryzła wargi. Przed jego przyjazdem była spokojna. Nauczyła się wszystko przyjmować z pokorą. Wiele razy modliła się o przebaczenie tego, co robiła z Jensem. Uznała, że najlepiej będzie oddać dziecko. Teraz znów była zaniepokojona, zmieszana, niepewna.

Jens spojrział na nią z miłością i bólem.

- Chodź ze mną - nalegał. - Po prostu wyjdziemy stąd.

- Nie mogę.

- Nie możesz, czy nie chcesz? Nie mogą zatrzymać cię siłą. Nie jesteś zakonnicą.

- Ojciec musiał dużo zapłacić za to, żebym mogła tu być. Jens poderwał się na równe nogi.

- Do diabła! Jesteś taka sama jak on!

Siostra DePaul zatrzymała się i spojrzała na nich.

- Jens, nie zapominaj, że jesteś w klasztorze! - szepnęła zaniepokojona Lorna.

Jens ściszył głos; zakonnicą podjęła przerwana modlitwę.

- Bardziej zależy ci na ludzkiej opinii niż na własnym dziecku.

- Nie powiedziałam, że je oddam.

- Nie musisz. Widzę, że zaczęłaś myśleć jak oni. Pozbądź się pomocnika kucharki i jego dziecka, żeby nikt o niczym nie wiedział, tak?

- Jens, proszę... Nie jest mi łatwo.

- Nie jest ci łatwo? - Z trudem powstrzymywał się, żeby nie krzyknąć. - Czy pomyślałaś chociaż raz, jak ja się czuję? Nie wiedziałem, gdzie jesteś, dlaczego nie było cię w pociągu. Nie wiedziałem, czy nie wywołali u ciebie poronienia, czy nie umierasz gdzieś pod nożem jakiegoś rzeźni-ka! Błagam cię teraz, żebyś wyszła za mnie, a ty nie chcesz i jeszcze spodziewasz się, że będę nad tobą płakał, bo nie jest ci łatwo?

Odwrócił się, starając zapanować nad sobą, pogodzić z faktem, że nie może nic zrobić, ponieważ Lorna nie chce z nim jechać. W tej chwili nienawidził jej tak samo jak jej rodziców. Przez minutę walczył z tymi uczuciami, patrząc bezmyślnie na dziedziniec klasztoru świętej Cecylii. Nie widział małych tulipanów, nagich krzaków róży, zakonnic jak czarna cień przemierzającej krużganek. Zmagał się z sobą w milczeniu, aż odzyskał panowanie nad sobą i mógł mówić spokojniej.

- Chcesz usłyszeć coś śmiesznego? - spytał, stojąc tyłem do Lorny. - Nadal cię kocham. Siedzisz sobie na ławce, mówisz mi, że chcesz tu zostać i oddać nasze dziecko, że nie pojedziesz ze mną i nie zrobisz tego, co powinnaś, a ja nadal cię kocham. Coś ci jednak powiem... - Odwrócił się, wziął kapelusz i włożył go na głowę. - Jeśli oddasz nasze dziecko, będę cię nienawidził aż do śmierci.

Rozdarta, uwięziona między dwiema siłami, Lorna patrzyła jak Jens odchodzi i znika wśród ruchomych cieni nagich wiązów przy bramie. Siostra DePaul przerwała modlitwę i przyglądała mu się z mroku krużganka.

- Do widzenia, Jens - szepnęła Lorna, ze łzami w oczach. - Ja też cię kocham.

* * *

Jens opuścił klasztor bardzo zraniony. Zły.

Przestraszony.

Musiał dać upust burzącym się emocjom.

Zanim dojechał na dworzec w Milwaukee zdecydował, że dla rodziny Barnettów może na zawsze pozostać tylko pomocnikiem kucharki, ale udowodni im, że coś znaczy! I zrobi to tak, że cały cholerny świat się zdziwi!

Zanim wsiadł do pociągu, wysłał do brata telegram: *Przyjedź natychmiast. Jesteś potrzebny. Warsztat gotowy.*

* * *

W White Bear Lake Jens nie miał czasu na myślenie. Niespodziewanie zrobiło się bardzo gorąco. Ludzie wracali na lato do swoich willi. Tim przyjechał z zimowej wyprawy. Klub zaczął działać. Znowu żeglowano. Wszędzie, codziennie, wszyscy rozmawiali o czerwcowych regatach. Obsesja odżyła.

Tim donosił, że Gideon Barnett postanowił nie kończyć „Lorny D.”, wszystkie oczy będą więc skierowane na jego „Manitou”. Jens pracował jak szalony, w pracy wyładowując nagromadzone przez ostatnie miesiące rozczarowanie i złość. Tim znowu robił zdjęcia, jak rok temu, i wieszał je na ścianie klubu.

W połowie maja, kiedy zakwitły bzy i śliwy, w miasteczku White Bear kwitł handel, a pociągi odjeżdżały co pół godziny, Jens wyszedł na jeden z nich, by przywitać Da-vina.

Czekał przy torach, zaglądając w mijające go okna. Pociąg zwalniał. Ku górze wzbijały się obłoki pary. Wreszcie wagony stanęły. Wyszedł tragarz, za nim kobieta z koszykiem i z małym chłopcem. Potem Davin... Jens podbiegł do niego z wyciągniętymi ramionami. Bracia objęli się. Klepali się po plecach, uśmiechali tak, aż policzki ich bolały i mrugali piekącymi oczami.

- Przyjechałeś! Jesteś tutaj!

- Jestem!

Odsunęli się od siebie, przyjrzeni sobie i śmiali się, szczęśliwi.

- Ach, braciszku! - Jens złapał młodszego brata za jasne

bokobrody. Davin był trochę niższy, ale mocniej zbudowany od Jensa. - Widzę, że wreszcie masz co golić!

- Mam nadzieję. Mam żonę i dwójkę dzieci... Drugiego jeszcze nie widziałeś! Cara, chodź tutaj!

- Cara przyjechała z tobą?

Zaskoczony, Jens odwrócił się i zobaczył bratową z dzieckiem na ręku. Starsze dziecko stało obok. Cara była pulchna i uśmiechnięta. Jasne włosy czesała w kok, jak matka Jensa.

- Cara, moja droga! - Jens zawsze lubił bratową. Uściskali się, na ile pozwoliło im roczne dziecko, które Cara trzymała na rękach. - To okropne, że nie uprzedziliście mnie, że ty też przyjedziesz!

- Jens... Jak miło cię widzieć.

- Nie mogłem jej zostawić - tłumaczył Davin.

- Dobrze zrobiłeś! A to kto? - Jens pogłaskał prawie łysą główkę dziecka, kołyszącego się w ramionach matki. Uniósł twarz malucha do góry.

- To mały Roland - odparł Davin z dumą. - A to Jeffrey. Jeffrey, pamiętasz wujka Jensa?

Jeffrey uśmiechnął się nieśmiało i wtulił twarz w suknię matki. Roland zaczął płakać i odwrócił się do Cary. Jens skoncentrował całą uwagę na Jeffreyu. Kiedy ostatni raz widział bratanka, chłopczyk był jeszcze w pieluszkach.

- Jeffrey, to niemożliwe. To nie ty. Jesteś taki duży! Rodzina! Nagle samotne życie Jensa zaczęło wyglądać mniej smutno. Bracia wymienili kilka czułych złośliwości. Potem Davin powiedział:

- Wiem, że nie spodziewałeś się Cary i chłopców, ale po długiej rozmowie zdecydowaliśmy, że przyjadą ze mną, chociaż nie wiemy, co nas tu czeka. Zatrzymamy się w hotelu do czasu, aż znajdziesz nam coś lepszego.

- Och, nie. Mam poddasze, na którym wystarczy dla nas miejsca.

- Ale to twój dom, Jens.

- Sądzisz, że pozwolę wam mieszkać w hotelu? Mamy

wiele do obgadania! Za jakiś czas możesz zacząć szukać sobie innego mieszkania.

* * *

Wszystko stało się tak nagle: w ciągu niespełna tygodnia puste poddasze Jensa zmieniło się w prawdziwy dom. Do skromnego wyposażenia mieszkania Cara i Davin dołożyli swoje meble. Bracia dokupili bądź dorobili to, czego brakowało.

Na śniadanie jadali grzanki i bekon. Jedno dziecko siedziało w specjalnym krzeselku, a drugie na stołeczku. Bracia, pracując na dole, słyszeli nad sobą kroki, głosy dzieci, czasem śpiew Cary, a czasem jej surowe napomnienia. Między drzewami wokół budynku pojawiły się sznury do suszenia bielizny. Na ciepłym wietrze powiewały na nich białe pieluszki. W najgorętszej porze dnia, kiedy maluchy spały, Cara schodziła na dół z mrożoną kawą, siadała i rozmawiała z mężczyznami, ciesząc się ich towarzystwem.

Najwięcej przyjemności sprawiało Jensowi to, że wieczorami mógł rozmawiać z bratem i razem z nim snuć plany na przyszłość. Pierwszej nocy, kiedy Cara i dzieci spali już w łóżku Jensa, ten popatrzył na nich i powiedział bratu:

- Masz szczęście.

Siedli na wiklinowych krzesłach. Davin spojrzał na śpiącą rodzinę, a potem na brata.

- A co z twoją kobietą? Gdzie jest?

Kiedy Jens opowiedział, co się zdarzyło, Davin długo milczał. Potem spytał:

- Co zamierzasz zrobić?

- A co mogę zrobić? Tylko czekać w nadziei, że wróci jej zdrowy rozsądek.

- I że wyjdzie za ciebie?

Jens nie odpowiadał. Davin więc ciągnął dalej:

- To może być trudne dla takiej dziewczyny. To dama z towarzystwa. Ludzie zaczęliby mleć ozorami. Dziecko nazwaliby bękartem, a ją jeszcze gorzej.

- Wiem, ale gdyby coś podobnego spotkało Carę i ciebie, nie przestraszyłaby się. Zobacz tylko: przyjechała tu z tobą, chociaż nie ma własnego domu, nie ma pewności, że praca przy statku przyniesie zysk. Tak powinno być, kiedy się kocha.

- Mówisz, że jej rodzice mieszkają po drugiej stronie jeziora?

Jens westchnął z niezadowoleniem.

- Tak. Wiem, co zamierzasz powiedzieć: że do końca życia się do niej nie odezwą, jeśli wyjdzie za mnie.

Davin przyglądał się bratu w zamyśleniu. Nie pocieszał go.

- Powinieneś zabrać ją z tego zakonu - odezwał się po długiej przerwie.

- Jak? Wyciągnąć za włosy?

- Nie wiem jak, ale gdyby to było moje dziecko, wsadziłbym ją do powozu i wywiózł stamtąd.

Jens westchnął.

- Wiem, ale oni osądzili ją i uznali za winną. Przekonali ją, że popełniła grzech, który zniszczy jej życie, jeśli ludzie się o tym dowiedzą. A ona uwierzyła im. Zachowuje się i mówi jak obca osoba. Do diabła, nawet nie wiem, czy mnie jeszcze kocha.

Jens znów westchnął i spojrzał na łóżko, na którym spała Cara z dziećmi. Jakże by chciał, żeby to była Lorna i ich synowie.

- To zarazem najlepszy i najgorszy rok w moim życiu. Wreszcie mam to... - zatoczył ręką koło. - Zakochałem się w niej, teraz urodzi dziecko, ale żadne z nich nie będzie moje...

Ze smutkiem pokiwał głową i dodał z mocą:

- Wiem tylko, że cholernie się cieszę, że tutaj jesteś, Davin. Potrzebuję ciebie. Nie tylko do pomocy przy łodzi.

Pracowali nad „Manitou” po osiemnaście godzin na dobę. Jens już na początku powiedział Davinowi:

- Popłyniesz razem ze mną.
- Jesteś pewien, że mi pozwolą?
- To łódź Tima Iversena, a Tim jest najgorszym żeglarzem w tym klubie. Może jednak wynająć załogę. Popłyniemy razem, zobaczysz.

Kiedy Tim przyszedł poznać rodzinę Jensa, Cara namówiła mężczyzn, żeby wcześniej skończyli pracę i zaprosiła Tima na kolację. Jeszcze przed końcem posiłku Tim przechylił głowę, żeby lepiej przyjrzeć się Norwegom i powiedział:

- Co wiecie o żeglowaniu?

Davin uśmiechnął się, spojrzął na starszego brata i odparł:

- Jens wszystkiego nauczył się ode mnie.

Nie była to do końca prawda; Harkenowie wymienili rozbawione spojrzenia.

- A więc popłyniesz z Jensem? - spytał Tim.

- Byłbym z tego dumny, proszę pana.

Sprawa została załatwiona. Jednak nie mogli popłynąć we dwóch.

- Potrzeba sześciu ludzi, wliczając kapitana - powiedział Jens. - Wiesz, będą służyli za balast.

- Sześciu, tak? - spytał Tim.

- Myślę, że powinieneś być jednym z nas.

- Ja? - Tim roześmiał się i pokręcił głową. - Myślałem, że chcesz wygrać.

- Ta łódź to nie „Możliwość”. Pływałeś na takich wannach, że łatwo mogłeś się pogubić i przegrać. Trzymaj się mnie, a w ciągu tych jednych zawodów wszyscy zmienią o tobie zdanie.

Tim podrapał się po głowie.

- Nie mówię, że nie mam na to ochoty.

- Zamierzałem powierzyć ci spinaker.

Zdrowe oko Tima rozbłysło, a policzki zaróżowiły się na myśl o tym, że mógłby przepłynąć linię mety pod wydętym żaglem.

- Zgoda. Zmusiłeś mnie do tego.
 - Świetnie! W takim razie trzeba porozmawiać o pozostałych członkach załogi. Jeśli pozwolisz, to poproszę mojego przyjaciela, Bena Jonsona, i jednego ze znajomych Bena, Edwarda Stouta. Obaj znają się na rzeczy i znają tę łódź. Jest jeszcze jeden człowiek, na którego mam oko. Wysokie, dobrze zbudowane dziecko. Żegluj, jakby urodził się z rumplem w ręce. Nazywa się Mitch Armfield. Jego też zamierzałem poprosić.
 - Jesteś kapitanem - odparł Tim. - Rób, co chcesz.
 - Wygramy - obiecał Jens.
 - A więc proś ich.
- Cara napełniła filiżanki kawą. Jens pociągnął łyk i spojrzał Timowi prosto w oczy.
- Jeszcze jedno... Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy spuścili „Manitou” na wodę w nocy?
 - Dlaczego?
 - No dobrze, powiem ci... - Jens spojrzał na Tima, potem na Davina i znów na Tima. - Mam pewien plan, ale po to, żeby się udał, nikt z klubu nie może widzieć „Manitou” na wodzie aż do dnia regat. Musimy ich zaskoczyć.
 - Widzę, że nie masz wątpliwości.
 - Najmniejszych. Jestem gotów postawić pieniądze. Jens wstał i poszedł w drugi koniec poddasza, do swojego łóżka. Wrócił z garścią pieniędzy i położył je na stole.
 - Tim, chcę cię prosić o jeszcze jedną przysługę. Nie jestem członkiem klubu, więc nie mogę stawiać. Chciałbym postawić wszystkie swoje pieniądze, prawie dwieście dolarów, na „Manitou”. Zrobisz to dla mnie? - Tim popatrzył na pieniądze. Jens dodał: - Słyszę, że nadal są tacy, którzy sądzą, że łódź przechyli się i zatoni. Zyski będą tym większe.
 - Dają cztery do jednego - mruknął Tim. - Pewnie pójda w górę, kiedy ludzie zobaczą naszą płaszczkę na wodzie.
 - Teraz rozumiesz, dlaczego nikt nie może jej zobaczyć aż do dnia wyścigów?

- Jasne.

- Zrobisz to dla mnie?

Tim przykrył pieniądze dłonią.

- Oczywiście.

- Będiesz pierwszą osobą, której zwrócę pieniądze, kiedy wygram - obiecał Jens.

- Umowa stoi - odparł Tim i przyjaciele uścisnęli sobie dłonie.

Jens miał wiele obaw w związku z zaproszeniem młodego Mitcha Armfielda na członka załogi. Wszystkie wiązały się z pochodzeniem chłopca, a nie z jego umiejętnościami.

W dniu, kiedy poszedł do domu Armfieldów i zapukał do ich drzwi, modlił się, żeby nie popełnić błędu.

Otworzyła mu pokojówka w białym czepku. Jensowi przypomniało się, jak wyrzucano go od Barnettów. Dziewczyna potraktowała go jednak uprzejmie i kazała poczekać w letnim pokoju, pełnym kwiatów doniczkowych i rokokowych mebli.

Młody Armfield zbiegł po schodach i chwilę później z uśmiechem wszedł do pokoju.

- Harken?

- Tak, proszę pana - powiedział Jens i przyjął ofiarowaną dłoń. - Jens Harken.

- Pamiętam... Pracowałeś u Barnettów. -Tak.

- Lorna mówiła mi o panu. Teraz ma pan swój warsztat.

- Tak, razem z bratem. Popłyniemy jachtem Tima Iversena, „Manitou”. Zamierzamy zdobyć puchar Minnetonka.

Pewnie słyszał pan o tym.

- Słyszałem! Wszyscy o tym mówią.

- Przyszedłem prosić, żeby popłynął pan z nami. Na twarzy Armfielda pojawiło się zdumienie.

- Naprawdę? Ja?

- Przyglądałem się panu. Ma pan wycucie. Jest pan

szybki i lubi pływać chyba tak bardzo jak ja. Jeśli się nie mylę, pływa pan od dzieciństwa.

-Wielkie nieba, panie Harken... - Mitchell przeczesał dłonią włosy. Był zaskoczony i uszczęśliwiony. - Bardzo się cieszę. Jestem tak zaskoczony, że nie wiem, co powiedzieć.

- Wystarczy to, co pan już powiedział. Powierzę panu szoty grota.

- Tak jest.

- Zamierzamy spuścić łódź na wodę pod koniec przyszłego tygodnia. Mógłby pan przyjść do Tima w piątek wieczorem?

- Oczywiście!

-Dobrze. Jeszcze jedno... Wiem, że to dziwna prośba, ale nie chcemy żadnych gapiów.

- Oczywiście, skoro tak pan chce.

Armfield słyszał opinie wrogów Harkena. Twierdzili, że łódź przewróci się, kiedy tylko zawieje wiatr. Nic dziwnego, że nie chce gapiów, gdyby łódź miała pokazać brzuch.

- Do zobaczenia w piątek wieczorem.

Uścisnęli sobie dłonie. Jens wyszedł z przekonaniem, że zebrał najlepszą załogę.

W dniu spuszczenia łodzi na wodę, tydzień przed regatami, załoga „Manitou” spotkała się w warsztacie Harkenów. Tim robił zdjęcia jachtu z najróżniejszych stron. Fotografował też jego twórców i - z pomocą Cary - załogę, która pierwszy raz nim popłynęła. Razem spuścili łódź po szynach z okorowanych bali.

Kiedy „Manitou” znalazł się na wodzie, wszyscy krzyczeli z radości. Jens czuł się tak dumny, jak nigdy dotąd. Łódź miała piękny kształt, przyjemną dla oka linię opływową; unosząc się na powierzchni wody wydawała się tak piękna, jak dzieła dawnych mistrzów.

Cara stojąc na pomoście z Jeffreyem powiedziała:

- Pewnego dnia, kiedy będziesz miał tyle lat, co twój ta-

ta, a może jeszcze więcej, będziesz opowiadał ludziom, że widziałeś jak tata i wujek spuszczała na wodę pierwszą regatową łódź płaskodenną. Ten dzień przejdzie do historii sportu.

Jens wszedł na pokład, nie mógł doczekać się chwili, kiedy postawi żagiel.

- Davin, będziesz obsługiwał kliwer. Ben, ty zajmiesz się stawianiem spinakera. Edward, wiesz jak pracują miecze. Słuchaj moich poleceń; powiem, kiedy je opuszczać, a kiedy podnosić. Mitch, nieraz trzymałeś w ręce szoty grota; wiesz, co masz robić.

Sam usiadł przy rumplu.

Nareszcie, po bardzo długim czekaniu, mógł wydać rozkaz, o którym marzył, od kiedy skończył osiemnaście lat.

- Szot staw.

Podniósł się żagiel z napisem W-30.

- Kliwer staw.

Żagle uniosły się, wydając dźwięki przypominające cichą czkawkę. Pierwszy podmuch wiatru wydał je. Uniósł się dziób. Łódź ożyła pod ich stopami. Bez zwłoki, bez ociężałości ruszyła przed siebie, jak dobrze wytresowany pies na rozkaz pana.

Jens uśmiechnął się znad rumpla i zawołał:

- Czujecie?

- Czuję, bracie! - ucieszył się Davin. - Czuję!

- Chwała Bogu! - zawołał Tim. - Nie mogę w to uwierzyć!

- Frunie! - dodał Mitch.

Ben pokrzykiwał z podniecenia. Lekko muskali wodę, szczęśliwi, radośni, roześmiani, z pięściami uniesionymi w górę.

- Jak jest przy sterze?

- Lekka jak piórko; kołysz się jak dama!

- Na ile mogę ostrzyć żagiel? - dopytywał się Mitch.

- Zobaczymy. Ustawię ją pod wiatr, a wy wychylcie się! - Jens wyostrzył do wiatru. - Dobrze... w górę!

Pięciu mężczyzn wychyliło ciała za nawietrzną burtę. „Manitou” uniósł się jeszcze wyżej i mknął po wodzie. Ciemne fale bulgotały pod nimi.

- Już na starcie zostawimy wszystkich z tyłu! - stwierdził Mitch.

Wszyscy mieli taką nadzieję. „Manitou” zachowywał się dokładnie tak, jak przewidywał Jens. Kiedy wyostrzył do wiatru, łódź lekko siadała na wodzie i stawała w łopocie. Kiedy odpadał od wiatru, przechył się zwiększał i łódź przyspieszała. Doskonale łączyła w sobie prędkość i równowagę.

- To niewiarygodne! - cieszył się Jens.

- Sunie tak gładko! - odpowiedział Davin.

- Spróbuj zmienić hals, Jens - zaproponował Edward.

- Zaczynamy! Opuść miecz!

Jens pracował przy rumplu, a Edward przy mieczach. „Manitou” spisał się doskonale. Zmienili kurs i łódź popłynęła nowym torem.

Sunęli przez noc. Łódź i załoga byli posłuszni kapitanowi. Rozumieli się coraz lepiej. Kiedy wzeszedł księżyc, zostawiali za sobą falę skrzącą się diamentami księżycowych promieni. Popłynęli do zatoki Wildwood i z wiatrem wrócili do domu uszczęśliwieni, mokrzy, zadowoleni.

Niechętnie zwijali żagle. Kiedy nie pozostało już nic do zrobienia i wypadało tylko życzyć sobie dobrej nocy, zaczęli przemawiać do łodzi jak do kochanki.

- Jesteś prawdziwą damą.

- Dobrej nocy, kochanie.

- Wrócę do ciebie. Czekaj.

- Nie zapomnij, kto najlepiej potrafi cię pieścić. Odchodząc, klepali Jensa po ramieniu.

- Zakasuje wszystkie - powiedział Davin.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - odparł Jens. - Wygramy puchar i zdobędziemy pieniądze.

Kiedy wspinali się po schodach na poddasze wiedzieli, że nie zasną do rana.

Ich serca nie mogły zaznać spokoju.

Jens obiecał sobie, że w dniu regat nie będzie myślał o Lornie. Obudził się o czwartej rano, pełen wspomnień. Po wizycie w klasztorze starał się o niej nie myśleć. Dzisiaj jednak nie mógł wyprzeć jej obrazu z pamięci. Ten dzień od dawna wiązał się z Lorną. Od chwili, kiedy weszła do kuchni i zapragnęła wiedzieć, co Jens wie o jachtach i ich budowie.

Czy urodziła dziecko? Gdzie jest dzisiaj? Czy dziecko -jeśli już przyszło na świat - jest jeszcze przy niej?

Wyobrażał ją sobie z synkiem na ręku, na trawniku przed klubem, a siebie na łodzi, przepływającego linię mety.

Uśmiechała się, machała do niego ręką. Widział jej włosy, sukienkę, jasną główkę dziecka przytuloną do jej ciemnych loków...

Ból stał się nie do zniesienia. Jens odrzucił prześcieradło i wstał. Postanowił, że w ciągu najbliższych dwunastu godzin nie będzie myślał ani o niej, ani o dziecku.

Dzień był dość wietrzny. Jens czuł się naprawdę zadowolony, kiedy po raz pierwszy wkładał strój White Bear Yacht Club: białe, szerokie spodnie i klubowy sweter, niebieski z białym napisem.

Kiedy stanął, z rękami skrzyżowanymi na białych literach, uświadomił sobie, że za godzinę spotka się z Gideonem Barnettem, ubranym tak samo. Ta myśl zrodziła gorzki żal, ale tylko na chwilę; znów powróciła fala satysfakcji.

Barnett popłynie „Tartarem”. Zemsta będzie tym słodsza, że Jens zrobi to występując w barwach klubu Barnetta.

Dokładnie godzinę przed regatami Jens poszedł do budynku klubu na spotkanie kapitanów. Miało ono miejsce na piętrze, skąd rozciągał się widok na jezioro.

Jens widział tylko jednego spośród zebranych tu kapitanów: komandora Gideona Barnetta, jak zawsze grubego, chrapliwym głosem rozprawiającego o zawodach. Na głowie miał białą czapkę komandora ze złotym warkoczem nad daszkiem.

Kiedy Jens zbliżył się do niego, Barnett zamilkł. Jens odpowiedział na chłodne spojrzenie starszego pana z jeszcze większym chłodem. Kiwnęli na przywitanie głowami.

- Kapitanowie - zaczął sędzia i Gideon odwrócił wzrok -dzisiejsze wyścigi będą...

Jens znał trasę równie dobrze, jak każdą deskę swojej łodzi. Miał prawie irracjonalne poczucie osamotnienia wśród kapitanów, przyjmujących wskazówki dotyczące wyścigu. Z góry znał każde słowo, zanim jeszcze zostało powiedziane.

Barnett spojrzał na niego tylko raz, kiedy spotkanie dobiegło końca i kapitanowie zaczęli się rozchodzić. W jego oczach widać było bezgraniczną nienawiść. Zdawał się mówić: „Możesz nosić ten sweter, ale nigdy nie będziesz członkiem tego klubu”.

Przybyło wielu ciekawych. Co najmniej dwieście osób. Jens skierował się ku załodze „Manitou”. Jego ludzie stali uśmiechnięci i pewni siebie. Pięć razy wypływali łodzią. Zdażyli zgrać się ze sobą.

Jens się uśmiechał. Słyszał, co mówią zebrani gapie.

- Jens, będziesz płynął na tym bochenku, czy zjesz go na śniadanie?

- Kto rozdeptał twoje cygaro, Harken?

- Takie talerze najlepiej pływają w kuchni. Jens przywitał się z załogą.

- Dzień dobry, panowie. Na pokład!

W tłumie parskano śmiechem, kiedy załoga „Manitou” wносиła na pokład spinaker.

Jens podszedł do Tima Iversena.

- Postawiłeś moje pieniądze?

- Twoje i trochę własnych.

- Cztery do jednego?

- Pięć do jednego.

Jens wszedł na pokład szczęśliwy i pewny swego. Niech parskają. Za dziesięć minut przestaną się śmiać.

Kazał postawić żagiel. Słyszał, jak śmiech zmienia się w szmer zdziwienia. Dwadzieścia łodzi rywalizowało o najlepszą pozycję; „Manitou” okazał się najbardziej zwrotny.

Wystrzelono na pięć minut przed startem. Jens czuł, jak serce uderza mu o żebra. Podpłynął blisko „Tartara” i spojrzął w twarz Gideona Barnetta. Widział też kapitanów z Minnetonki i wielkie „M” na ich żaglach. Dla Jensa liczył się jednak tylko Gideon Barnett, człowiek, który zabrał mu żonę i dziecko.

Pozostała minuta do startu. Edward odliczał sekundy do ostatniego wystrzału.

- Pięć... cztery...

Serca biły mocno. Jens w tej ostatniej chwili poczuł, że ogarniają go wątpliwości. Co będzie, jeśli „Manitou” nie wygra?

- Trzy... dwa... Usłyszeli wystrzał.

- Stawiać!

„Manitou” wystrzelił naprzód; pozostałe jachty jakby przykucnęły.

Tamci brnęli przez wodę. Oni się ślizgali. Tamci zostawali w tyle. Oni mknęli przed siebie.

Na brzegu podniósł się szmer zdziwienia. Z pozostałych łodzi słychać było przekleństwa.

- Pokażemy im, co potrafimy, chłopcy!

Załoga Jensa balansowała nad bulgocącą wodą dając widzom pokaz, którego długo nie zapomną.

Żaden z jachtów balastowych nie zdążył posunąć się naprzód więcej niż o swoją długość, a „Manitou” przebył już jedną czwartą prostej. Kiedy okrążali boję, łódź znajdująca się na drugim miejscu była tak daleko, że nie mogli odczytać numerów na jej żaglu.

- Hurrra! - zawołał Mitch.

- Iiii-ha! - przyłączył się Edward Stout.

- Do końca świata będą wspominać ten dzień! - śmiał się Davin.
- Szkoda, że tak wielu z nich straci pieniądze - stwierdził Jens z błyskiem triumfu w oczach.
- Czeka was ciężka praca - powiedział Tim. - Teraz każdy będzie chciał mieć taką łódź.
- Davin, jesteś na to przygotowany? - zawołał Jens do brata.
- A jak myślisz?
- Jesteście gotowi na spotkanie z reporterami? - spytał Ben.
- Całe życie na to czekałem - odparł Jens.

Kiedy Tim stawiał spinaker, łódź zajmująca drugie miejsce była tylko kropką na horyzoncie. Na ostatnim odcinku nawietrznej „Manitou” zdublował drugą łódź, M-14; tuż za nią płynęła W-10 Gideona Barnetta.

Kiedy przecinali linię mety, krzyki tłumu zagłuszyły wystrzał.

Gapie walczyli o wolne miejsce. Ktoś wpadł do wody. Kobiety kurczowo przytrzymały swoje kapelusze.

Reporterzy przekrzykiwali się, zadając niezliczone pytania.

- Czy to prawda, że budujecie łodzie w Nowej Anglii?
- Czy w przyszłym roku popłyniecie na tym samym jachcie?
- Zbudujecie sobie własny?
- Czy to prawda, że nie jesteście członkami tego klubu?
- Jaki jest oficjalny wynik?
- Panie Harken, panie Harken...

W drodze do klubu Jens nadal pozostawał w centrum uwagi reporterów. Czuł się tak, jakby jego ciało miało własny spinaker, pełen wiatru. Wszyscy wyciągali do niego ręce, chcieli go dotknąć, klepali po plecach, traktowali jak bohatera.

Nagle zauważył w tłumie Levinę Barnett.

Zwolnił kroku i cała radość gdzieś znikła.

Levinia stała wśród rodziny i przyjaciół. Patrzyła na niego stalowym, lodowatym wzrokiem. Ostrą brodę uniosła

wysoko. Przez trzy uderzenia serca nie odrywała od niego wzroku. Potem się odwróciła.

Dwie myśli przemknęły przez głowę Jensa: Lorna powinna być tutaj jako jego żona, a on powinien płynąć na „Lornie D.". Gideon Barnett byłby członkiem załogi, a Lorna machałaby do nich z brzegu. W ramionach trzymałaby dziecko, a jej matka stałaby z nimi....

Lornę obarczono poczuciem winy. Jensowi ukradziono dziecko. Gideon i Levinia Barnett zadzierają nosa. „Lorna D." rozpada się w starej szopie.

Jens odwrócił się od pleców Levinii Barnett i, rozżalony, starał się znaleźć pociechę w dobrym obiedzie w White Bear Yacht Club i w zdobytych nagrodach.

Rozdział 16

Dwa dni po regatach Lorna otrzymała od ciotki Agnes list z wiadomością o zwycięstwie Jensa.

Minął wszystkich jak huragan i zostawił ich z tyłu - pisała ciotka - nie dowierzających własnym oczom. Ich statki płynęły jakby w błocie. Jego jacht skoczył naprzód, jakby sunął po morzu rtęci. Pierwszą boję opłynął, kiedy pozostali byli dopiero w połowie drogi. Przy drugim okrążeniu znowu wszystkich minął. Kiedy przepływał linię mety, ludzie tak krzyczeli z radości, że słyhać ich było na drugim brzegu. Zanim następny jacht dopłynął do mety, twój Jens jadł w klubie obiad z panem Iversenem oraz przyjmował gratulacje i udzielał wywiadów dziennikarzom, którzy przybyli tu nawet z Rhode Island.

„Udało mu się” - pomyślała Lorna. Siedziała w swoim pokoju w klasztorze i ścisnęła list w dłoni. Patrzyła przez łąki na zielone wzgórza i wyobrażała sobie błękitną wodę i białe żagle. Jakże chciałaby być tam, widzieć, jak jego łódź bije inne na głowę, nie spuszczać oka z jachtu, dzięki któremu Jens zdobył sławę.

Wróciła do listu.

Twój ojciec, komandor, miał wręczyć zwycięzcom puchary, ale nabawił się nieżyty żołądka i pozostawił ten obowiązek burmistrzowi.

A więc ojciec poczuł się upokorzony. To było jednak o wiele mniej ważne dla Lorny od zwycięstwa Jensa.

Powinna tam być i widzieć to. Pomogła mu na samym początku i przebyła z nim kawał drogi, kiedy projektował „Lornę D.". Przez wiele dni przyglądała się jego pracy, słuchała jego wynurzeń, zachęcała go i była coraz bardziej zakochana. Powinna tam być.

* * *

Na pagórki i do lasów wkroczyła wiosna. Na polu, położonym po wschodniej stronie, falowało zielone żyto o błękitnym odcieniu, przywołując na myśl Morze Karaibskie, smagane letnim wiatrem. Wpatrując się w nie, tęskniąc, Lorna przesuwiała dłońmi po wzdętym brzuchu... leciutko... leciutko... jakby dziecko mogło czuć jej dotyk. Poczowała ciężar nie do uniesienia, ciągnący ją w dół, rozchyliła kolana. Jakże wspaniale jest myśleć, że to jej dziecko... jej i Jensa... i że wkrótce zjawi się na świecie. W ciągu minionego miesiąca Lorna wyraźniej potrafiła wyobrazić sobie malucha, który łokciami, kolanami i piętami uderzał w jej brzuch, a czasem nawet miewał czkawki. W nocy zdarzało się, że pływał w swoim wodnym schronieniu i budził ją, aż Lorna zaczęła wątpić, czy zrobi to, do czego przyznała się przed Jensem. Leżała i dotykała delikatnie poruszającej się ósóbki. Próbowwała wyobrazić sobie, że będzie musiała oddać dziecko po tym, jak weźmie je w ramiona i ucałuje.

Wiedziała już, że ze względu na siebie i na ojca dziecka nie zrobi tego.

Ciotka Agnes pisała o nim: „Twój Jens". Nie jest jej, ale Lorna chciała, żeby był; pragnęła tego z taką siłą, jak w dniach największej bliskości. Miłość do Jensa była jak ciężki kamień, uciskający jej piersi, utrudniający oddychanie, poruszanie; życie wymagało wielkiego wysiłku. Kamień stał się jeszcze cięższy od dnia, kiedy on odszedł w gniewie zapowiadając, że znienawidzi Lornę. Oddać dziecko? I stracić jego? Jakże by mogła! Miał rację: oddanie

dziecka poczętego w miłości byłoby ohydne i niewybaczalne. Dopiero kiedy zrozumiała, że może stracić mężczyznę, którego kocha, uświadomiła sobie, że nie zrobi rzeczy tak bezlitosnej. Zatrzyma dziecko i wyjdzie za mąż za Jensa Harkena. Będzie musiała na zawsze pożegnać się z rodziną i zrobi to. Była głupia, kiedy nie zgodziła się wyjechać z nim.

Trzy dni później nastąpił poród. Obudził ją skurcz. Lorna leżała i czekała, aż ból minie. Spojrzała w okno, próbując domyślić się, która może być godzina. Księżyc zaczął już chylić się ku zachodowi. Kiedy pierwszy ból minął, stanęła przy oknie, opierając się ręką o parapet i czekała na kolejny skurcz. Miała wrażenie, że minęła godzina, ale wątpliwości już ją opuściły. Kiedy przyszedł ból, pochyliła się i mocno, dwiema rękami, oparła o parapet. Dodawała sobie sił, przywołując w myślach twarz Jensa. Potem włożyła szlafrok i poszła do siostry Marleny. Zapukała cicho i czekała. Drzwi otworzyła obca osoba: piękna, młoda kobieta z ciemnymi, lekko kręconymi włosami opadającymi na czoło i policzki. Jej twarz miała w świetle lampy koralowy blask.

- Siostra Marlena? Zakonnica uśmiechnęła się.

- Tak; Lorna?

Lorna nie mogła oderwać od niej oczu.

- Nigdy nie widziałas mnie bez habitu, tak?

- Siostra ma włosy! Zakonnica znów się uśmiechnęła.

- Zaczęło się, Lorno?

- Chyba tak.

Siostra Marlena zachowywała się spokojnie. Wróciła do swojego pokoju, postawiła lampę i zaczęła wkładać habit.

- Od kiedy nie śpisz?

- Godzinę, może krócej.

- Czy to nastąpi wkrótce?

- Nie. Sądzę, że to dopiero początek.

- W takim razie mamy mnóstwo czasu. Obudzę matkę

przełożoną. Ojciec Guttman przyjdzie na mszę o piątej trzydzieści. Powiemy mu, żeby zawiadomił doktora. Twoja matka prosiła, żeby powiadomić ją telegraficznie.

- Siostrzo, chciałabym o coś zapytać. -Tak?

- Czy moja matka rozmawiała z kimś o tym, że chce oddać dziecko?

- Tak; rozmawiała z matką przełożoną.

- Ja go nie oddam. Postanowiłam, że zostanie przy mnie. Siostra Marlena podeszła bliżej z lampą w ręce. Leciutko pogłaskała policzek Lorny.

- Bóg ma swoje drogi. Czasem jest bardzo trudno, a to nie będzie łatwe. Jednak nie mogę uwierzyć, żeby dziecko mogło mieć lepsze życie z dala od matki. Myślę, że Bóg pobłogosławi twoją decyzję.

Ojciec Guttman wyszedł z klasztoru po świcie, z wiadomością dla lekarza. Dzień posuwał się naprzód bardzo powoli. Lorna spędziła w swoim pokoju dziewięć godzin. Bóle chwytaly ją i opuszczały bardzo nieregularnie. Dopiero koło piętnastej poród rozpoczął się na dobre. Doktor Enner przyszedł, zbadał ją i oznajmił, że trzeba jeszcze czekać.

- Za... zaczekać? - spytała Lorna, łapiąc oddech po silnym skurczu.

- Pierworodne dzieci potrafią być uparte.

Przez następne dwie godziny ból stawał się coraz trudniejszy do zniesienia. Skurcze były coraz dłuższe i coraz częstsze. Lorna, leżąc na swoim wąskim łóżku, była przekonana, że chwila porodu już nadeszła. Siostra Marlena nie opuszczała jej ani na chwilę.

- Odpocznij - szeptała. Ocierała Lornie czoło i pozwalała ścisnąć się za ręce. Kiedy ból zdawał się już naprawdę nie do wytrzymania, powiedziała: - Pomyśl o miejscu, które kochasz.

Lorna myślała więc o jeziorze i jachtach, o tym, jak wilgotna mgiełka siadała jej na dłoniach, o jasnej głowie Jensa pochylonej nad rumplem, o kwiatkach na brzegu jeziora

i wierzbach nad wodą. Znow ścisnął ją ból. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła twarz Levinii.

- Mama?

- Tak, Lorno; jestem. Lorna uśmiechnęła się słabo.

- Tak szybko?

- Amerykańska kolej jest doskonała. Lekarz mówi, że to już niedługo.

- Mamo, tak mi gorąco.

- Tak, tak, oczywiście, kochanie. Zakonnice zajmą się tobą. Zaczekam na zewnątrz.

Kiedy Levinia wyszła, Lorna z trudem uśmiechnęła się do siostry Marleny.

- Nie wierzyłam, że przyjedzie.

Złapał ją tak silny skurcz, że zaczęła jęczeć; uniosła kolana i położyła się na boku. Lekarz przywiązał nogi Lorny rzemieniami do łóżka. Przestrzegł, że wkrótce będzie musiała zacząć przeć. Zakonnice podwinęły szerokie rękawy do łokci i zwykłymi szpilkami spięły welony na plecach. Ich uszy wyglądały jak białe wypukłości na nieskazitelnych barbetach. Lorna zaczęła zastanawiać się, jak można słyszeć przez sztywno wykrochmaloną tkaninę. W ciągu następnych piętnastu minut wiele par rąk pomagało jej, ocierało twarz, podawało wodę. Słyszała własny jęk. Całe jej ciało drżało, mięśnie napięły się do granic możliwości.

- Jens, Jens, Jeeeeeeens!

Czuła przesuwający się ból, a potem wielką ulgę. Łagodny kobiecy głos oznajmił:

- Jest. Chłopiec.

Ciepły ciężar spoczął na brzuchu Lorny. Sięgnęła w dół i dotknęła śliskiego, czerwonego stworzenia ze skulonymi rączkami i nóżkami.

- Och, patrzcie... popatrzcie... jaki cudowny.

- Rzeczywiście, cudowny - szepnęła siostra Marlena i poprawiła Lornie poduszkę. - Odpocznij chwilę. Zasłużyłaś na to.

Później, kiedy przecięto pępowinę i urodziło się łożysko, Lorna pierwszy raz usłyszała płacz syna. Siostra Marlena włożyła jej w ramiona niemowlę, całe owinięte w białą flanelkę.

- Och, siostrze... - Łzy znów napłynęły Lornie do oczu. - Niech siostra spojrzy. Och, kochany, nawet nie wiem, jak ci dać na imię.

Lorna ucałowała zakrwawione czoło i poczuła, że dziecko się porusza.

- Jak mam cię nazwać? - Podniosła oczy na siostrę. Jej broda zaczęła drżeć. - Och, siostrze... Jego ojciec powinien tu być.

Siostra Marlena uśmiechnęła się i odsunęła Lornie włosy z czoła.

- Chciałam wyjść za niego, tylko że rodzice się nie zgodzili. Ale wyjdę za niego - przysięgła Lorna. - Od początku powinnam pójść za głosem serca. Jens byłby teraz przy mnie. Z nami.

Znów spojrzała na dziecko. Opuszkami palców dotykała jego bródki, a ono próbowało łowić jej palec ustami.

- Czy moja matka chce go zobaczyć?

- Chyba nie, ale chce widzieć się z tobą. - Zakonnica wzięła dziecko. - Przepraszam, ale muszę go wykapać. Ciebie też.

Lorna była już wykąpana, ubrana w białą koszulę i leżała w czystej pościeli, kiedy weszła Levinia. Dziecko kąpano gdzie indziej, więc w pokoju znów było cicho jak w celi. Levinia ostrożnie zamknęła drzwi, ale Lorna nie spała.

Czekała.

- Widziałas go, mamo? - spytała.

Levinia odwróciła się, zaskoczona przytomnym głosem córki.

- Lorno, kochanie! Jak się czujesz?

- Widziałas go? - Nie.

- Jak mogłaś? To twój wnuk.

- Nie. Nigdy. Nie w tym sensie.
- Tak. W każdym sensie. To twoje ciało i krew, moje ciało i krew. Nie mogę go oddać.
- Lorno, wszystko zostało postanowione.
- Ty postanowiłaś. Mówiłaś mi jak będzie, ale nie spytałaś, czy ja tego chcę. Mamo, Jens tu był. Odwiedził mnie.
- Nie chcę rozmawiać o tym człowieku!
- Wyjdę za niego, mamo.
- Po tym wszystkim, co oboje z ojcem zrobiliśmy dla ciebie? Po tym, jak groził mi w moim własnym domu? Jak śmiesz o tym wspominać!
- Wyjdę za niego - powtórzyła z uporem Lorna. Levinia obróciła się na pięcie i z trudem powstrzymując gniew powiedziała spokojnie: - Jeszcze zobaczymy - i wyszła.

* * *

Przed całą matką przełożoną Levinia przystanąła na chwilę, wciągnęła i głośno wypuściła powietrze, przytuliła dłonie do rozpalonych policzków i poprawiła welon przy wielkim kapeluszu z szarego jedwabiu. Kiedy zapukała i weszła do środka, serce jeszcze waliło jej z gniewu, ale twarz miała spokojną.

- Ach, pani Barnett. Miło znów panią widzieć. Proszę usiąść.

Matka przełożona dobiegała już osiemdziesiątki. Miała szeroką twarz, dwa podbródki i wielki nos. Metalowe oprawki okularów wpijały się w jej skronie, jak drut owinięty przed laty na drzewie. Dłonie miała pulchne, pokryte żółtymi plamami. Odłożyła wieczne pióro i oparła się z całej siły palcami o suszkę, jakby chciała podeprzeć się i wstać.

- Proszę nie wstawać - powiedziała Levinia. Wzięła jedno z dwóch krzeseł, stojących przed biurkiem starej zakonnicy. Usiadła, położyła na kolanach oprawioną w jedwab książkę i wyjęła z niej czek opiewający na dziesięć tysięcy

dolarów, wypisany dla klasztoru świętej Cecylii. Położyła czek przed zakonnicą.

- Szanowna matko, obydwój z mężem jesteśmy wielce zobowiązani i dziękujemy za opiekę nad naszą córką. Proszę to przyjąć w dowód naszej wdzięczności. Siostra nawet nie wie, jak byliśmy spokojni mając świadomość, że Lorna jest tutaj, że będzie miała spokój i dojdzie do siebie po tym... tej nieszczęsnej przerwie w życiorysie.

Matka przełożona spojrzała na czek i wzięła go krótkimi, pulchnymi palcami.

- Niech wam Bóg błogosławi - powiedziała. - To bardzo hojna ofiara.

- Niech Bóg błogosławi siostrze. Z pewnością ucieszy siostrę wiadomość, że znaleźliśmy dobrą, pobożną rodzinę, która chce wychować to dziecko.

Matka przełożona ze zdziwieniem spojrzała na Levinę.

- Nie słyszałam o tym. My też mamy takie rodziny.

- Tak, z pewnością. Jak już powiedziałam, wszystko zostało uzgodnione. Zabiorę niemowlę jeszcze dzisiaj.

- Dzisiaj? Za wcześnie.

- Nie sądzi siostra, że im wcześniej, tym lepiej? Matka nie powinna się do niego przywiązać. Przywiozłam ze sobą mamkę. Czeka w hotelu w Milwaukee. Nie ma powodów do obaw.

- Pani Barnett, proszę mi wybaczyć, ale siostra Marlena dała mi do zrozumienia, że pani córka nie zdecydowała jeszcze, czy zechce oddać dziecko.

Levinia wbiła w zakonnicę zimne spojrzenie.

- Dziewczyna w jej wieku, w takim stanie, nie może podejmować racjonalnych decyzji w sprawie tak ważnej. Czy siostra jest innego zdania?

Siostra spojrzała na czek i nic nie powiedziała.

- Rozumiem, że te pieniądze mają pomóc w wybudowaniu nowego skrzydła w pobliskim sierocińcu - odezwała się Levinia. - Muszę powiedzieć, że cieszę się, że to dziecko nie znajdzie się w takim miejscu.

Stara zakonnica położyła czek, oparła się o suszkę i wstała.

- Dopilnuję, żeby dziecko przygotowano do podróży i przyniesiono tutaj.

* * *

- Nie, matko przełożona, nie wolno matce tego robić! Twarz siostry Marleny była tak czerwona, jak krew na jej białym barbecie.

- Siostro Marleno, proszę słuchać poleceń!

- Lorna powiedziała, że chce zatrzymać dziecko i wyjść za mąż za jego ojca. Ten młody człowiek odwiedził ją tutaj. Przecież matka pamięta.

- Sprawa została załatwiona. Dziecko jedzie z babką.

- Nie przyłożę do tego ręki.

- Sprzeciwiasz mi się?

- Przepraszam, matko przełożona, ale nie popełnię tego grzechu.

- Siostro, dość!

Siostra Marlena zamknęła usta i wbiła wzrok w płaski biust matki przełożonej.

- Weź dziecko.

Cicho, z opuszczonym ku ziemi wzrokiem, siostra Marlena odparła:

- Przepraszam, matko przełożona, ale nie mogę tego uczynić.

- Idź zatem do swojego pokoju. Później porozmawiamy.

* * *

W klasztornej celi z wąskim łóżkiem, przykrytym białym prześcieradłem, z białymi ścianami i oknami bez zasłon, siostra Marlena - Mary Marlenę Anderson z Eau Claire w stanie Wisconsin, w wieku siedemnastu lat urodziła nieślubne dziecko, które jej potem zabrano. Ona sama została umieszczona przez rodziców w klasztorze, by odpokutować grzech.

Siostra Marlena zdjęła z paska różaniec i podniosła spojrzenie ku prostemu drewnianemu krucyfiksowi, wiszącemu na ścianie.

- Panie, wybacz im - szeptała ze łzami w oczach - gdyż nie wiedzą, co czynią.

Pełna poczucia winy padła na kolana, potem legła krzyżem na zimnej, kamiennej posadzce. Żarliwie modliła się o przebaczenie i jej świadomość po chwili opuściła ten padół, pełen smutku i cierpienia.

Leżała tak jeszcze, kiedy krzyk Lorny wzniósł się pod dach budynku. Odbijał się od kamiennych ścian i był dziesięciokrotnie głośniejszy od krzyku towarzyszącego narodzinom dziecka. Jej głos przeszywał uszy owych osiemnastu odzianych w habity zakonnice, które nie poznały radości ani smutku prokreacji i tej jednej, która знаła jedno i drugie.

- Niiieeeeeeeeeeee!

Pozwoliły jej krzyczeć, biegać z pokoju do pokoju, otwierać drzwi, trzaskać nimi i wołać.

- Gdzie on jest? Gdzie on jest?

Przerażone zakonnice tuliły się do ścian; posłuszne, zdecydowane na życie w ciszy i rozmyślanie w samotności, widziały przed chwilą, jak Lorna z wrzaskiem wyskoczyła z łóżka, rzuciła się na matkę przełożoną i zwała ją z nóg.

Siostra Mary Margaret i siostra Lawrence pomogły matce przełożonej stanąć na nogi i szeptały przerażone:

- Boże, o Boże... Siostro, wszystko w porządku? Przełożona nie była w stanie wyprostować się ani wziąć głębszego wdechu.

- Zatrzymajcie ją - szepnęła, kiedy siostry ostrożnie posadziły ją na krześle.

Nikt nie zatrzymał Lorny. Dobiegła do pokoju siostry Marleny. Otworzyła drzwi, zobaczyła leżącą zakonnice i zaczęła wołać:

- Gdzie jest moje dziecko? Gdzie on jest, wy, przeklęte poganki?

Kopnęła siostrę Marlenę w lewe biodro, padła na kolana i zaczęła okładać ją pięściami.

- Niech was Bóg pośle do piekła, pobożne hipokrytki! Gdzie?

Siostra Marlena odsunęła się, ale Lorna zdążyła trzy razy przejechać paznokciami po jej twarzy, zanim siostra przytuliła ją do siebie.

- Przestań, Lorno. Zrobisz sobie krzywdę.

- Pozwoliłaś, żeby matka go zabrała! Obyście zgniły w piekle!

- Przestań! Krwawisz!

Lorna nagle rzuciła się w ramiona zakonnicy, płacząc. Klęczały tak razem: jedna czarna, druga biała. Lorna zawodziła:

- Dlaczego to zrobiliście? Dlaczego?

- Musisz wracać do łóżka. Bardzo krwawisz.

- Nie zależy mi na tym. Nie chcę żyć.

- Chcesz. Przeżyjesz. Chodź ze mną.

Siostra Marlena próbowała postawić dziewczynę na nogi, ale bez skutku. Lorna była zbyt słaba. Zrobiła się blada jak ściana. Oczy zaszyły jej mgłą, ale nadal patrzyły na siostrę Marlenę.

-Powiedz Jensowi... - szepnęła słabym głosem. - Powiedz mu...

Zamknęła oczy i zemdląła.

- Siostro Devono, siostro Mary Margaret! Siostry! Pomóżcie!

Dopiero po minucie dwie siostry stanęły w drzwiach i nieśmiało zajrzały do środka.

- Straciła przytomność. Pomóżcie mi zanieść ją do łóżka.

- Ona rzuciła się na matkę przełożoną - szepnęła drżącym głosem siostra Devona.

- Mówię wam, że jest nieprzytomna! Pomóżcie mi! Siostry, wahając się, weszły do pokoju.

* * *

Lorna wychynęła z czarnej studni wprost na srebrne światło późnego popołudnia. Dzień był słoneczny, niebo białe, a nie niebieskie - czasem zdarza się tak po letniej burzy. Gdzieś w pokoju bzycała mucha. Powietrze i prześcieradła wydawały się ciężkie i lepkie. Coś leżało między nogami Lorny. Bolało.

Nagle przypomniała sobie.

„Urodziłam dziecko i zabrali mi je”.

Poczuła pieczenie w oczach. Zamknęła je i odwróciła się twarzą do ściany.

Ktoś oparł się o łóżko. Lorna otworzyła oczy. Siostra Marlena pochylała się nad Lorną, jedną ręką opierając się o materac. Na twarzy miała trzy malinowoczerwone zadrapania. Czarny welon był doskonale wyprasowany i symetrycznie ułożony na ramionach. Siostra pachniała czystością i świeżym powietrzem.

- Lorna, kochanie... - powiedziała. - Wróciłaś. Zrobiła na twarzy Lorny znak krzyża.

- Jak długo spałam?

- Prawie dwadzieścia cztery godziny.

Lorna niespokojnie poruszyła nogami. Siostra Marlena zdjęła rękę z łóżka.

- Boli.

- Wiem. Popękałaś podczas porodu i potem, kiedy biegałaś. Bałyśmy się, że wykrwawisz się na śmierć.

Lorna zdjęła prześcieradło z brzucha. Poczuła zapach ziemi, krwi, ziół.

- Co to jest?

- Okład z żywokostu, żeby się lepiej goiło.

Lorna opuściła prześcieradło i spojrzała na siostrę.

- Kopnęłam siostrę i uderzyłam. Przepraszam. Siostra Marlena uśmiechnęła się dobrodusznie.

- Już przebaczyłam.

Lorna zamknęła oczy. Zabrali dziecko. Jensa nie ma. Jest cała obolała. Życie nie ma sensu.

Mucha znów zaczęła bzyczeć. Żaden inny dźwięk nie zakłócał ciszy klasztoru. Siostra Marlena usiadła i czekała z cierpliwością, do jakiej zdolne są tylko zakonnice... Czekwała... czekała... Dała Lornie czas na przyzwyczajenie się do zmian.

Kiedy Lorna otworzyła wreszcie oczy, siostra Marlena odezwała się do niej tonem pełnym współczucia:

- Ja też urodziłam dziecko. Miałam siedemnaście lat. Moi rodzice byli pobożnymi katolikami. Od tego czasu nie opuściłam klasztoru. Zabrali mi dziecko, a mnie odesłali tutaj i tutaj zostałam. Rozumiem.

Lorna przykryła oczy ręką i zaczęła głośno płakać. Czuła, że siostra ujmuje jej dłoń. Ścisnęła ją. Znów ścisnęła. Ścisnęła bez przerwy, nie przestając płakać. Oczy nadal przykrywała dłonią, jej piersi unosiły się ciężko, brzuch podskakiwał.

- Co ja teraz zrobię? - zawodziła. - Och, siostrze... Co ja zrobię?

- Będziesz żyła... i znajdziesz coś, co pomoże ci przetrwać - odparła zakonnica, głaszcząc Lornę po włosach. Myślała ze smutkiem o przystojnym młodzieńcu, który odwiedził Lornę, i o własnym kochanku sprzed lat.

Jedenaście dni po urodzeniu syna Lorna opuściła klasztor świętej Cecylii, ubrana w jedną z trzech nowych sukienek, które przywiozła Levinia. Matka przełożona dała Lornie kopertę z biletem na pociąg, pieniądze na powóz do Milwaukee i na obiad w drodze. W kopercie znajdował się też list od Levinii.

- *Lorna* - pisała matka. - *Na stacji będzie czekał Steffens. Zawiezie cię do domu na Summit Avenue albo do Rose Point, jak zechcesz. Cała rodzina jest w Rose Point, jak co roku.*

Kochająca mama.

Lorna czuła się źle. Na nic nie zwracała uwagi: na widoki, zapachy, na to, czego dotyka. Jej rany zdążyły się zagoić. Czasem, kiedy pociąg kołysał zbyt mocno, czuła w dole jakby ułucie, budzące bolesne wspomnienia. Kilka razy widziała z okna pociągu klacze ze źrebkami. Przypominało jej to widok z okna w klasztorze świętej Cecylii. W Madison do pociągu wsiadła kobieta z jasnowłosym, trzyletnim chłopcem. Dziecko nieśmiało uśmiechało się do Lorny. Lorna czuła, że serce jej pęknie. Nie ruszyła pieniędzy przeznaczonych na obiad. Nie czuła głodu ani pragnienia. Przez kilka dni, kiedy jej obolałe piersi, pełne mleka, obwiązywano, żeby przestały pracować, przyzwyczała się obywać bez napojów. Teraz piersi miała nieco większe niż dawniej ale i nieco mniej sprężyste: bezużyteczne podpórki, na których można skrzyżować dłonie. Kiedy myślała o swoim ciele, to właśnie w tych kategoriach: bezużyteczne, puste naczynie.

W Saint Paul tragarz wyrwał ją z odrętwienia przypominając, że ma wysiąść.

Steffens przywitał Lornę oficjalnym uśmiechem.

- Witam w domu, panienko Lorno.

- Dziękuję, Steffens - odparła sucho i stanęła, jakby nie wiedziała co ze sobą zrobić.

- Jak było w szkole? Jak udała się wycieczka do Chicago?

Dopiero po chwili zrozumiała, że tym kłamstwem rodzice wytłumaczyli fakt, iż nie wróciła do domu zaraz po rozpoczęciu wakacji.

- Było miło... bardzo miło.

Steffens pomógł jej wsiąść, zapakował kufer i spytał:

- Dokąd, panno Barnett?

Lorna zastanawiała się przez chwilę. Szepnęła pod nosem:

- Nie wiem.

Steffens odwrócił się i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Rodzina jest nad jeziorem, panienko. Zawieźć tam panienkę?

- Tak, chyba tak... Nie!... Och, Boże...

Lorna przykryła usta dłonią i poczuła, że oczy ma pełne łez.

- Nie wiem.

Na dworcu panował ruch i hałas. Słysząc było rozmowy, turkotanie kół, syk pary i brzęczenie dzwonków. Steffens czekał, aż Lorna się zdecyduje. Ponieważ dziewczyna milczała, pomógł jej:

- Może jednak zawiozę panienkę nad jezioro? Są tam panienki siostry, brat i ciotki.

- Ciotki... Tak, zawieź mnie nad jezioro.

* * *

Przyjechała po południu. Młodzież grała w krykieta. Na trawie stała Daphne z przyjaciółmi. Levinia z panią Whiting siedziały przy stole pod parasolem, przyglądały się grze i popijały lemoniadę. Ciotki siedziały na huśtawce, w cieniu wiązu. Ciotka Henrietta wachlowała się, a Agnes wyszywała. Przy pomocy Theron i jego koledzy łowili sitkiem drobne rybki.

Nic się nie zmieniło.

Henrietta pierwsza zauważyła Lornę i pomachała nad głową wachlarzem.

- Lorna! Witaj!

Wszyscy przerwali swoje zajęcia i podeszli przywitać się. Levinia ucałowała policzek Lorny. Ciotka Henrietta nie przestawała gadać i cmokać. Pani Whiting uśmiechała się z daleka. Ciotka Agnes najdłużej tuliła Lornę w niemym współczuciu. Nad jej ramieniem Lorna spoglądała na drugi brzeg jeziora, tam, gdzie Jens podobno zbudował stocznię, ale widziała tylko nieprzerwany szereg drzew.

- Och, Lorna, byłaś w Chicago! - krzyczała Daphne. - Tam kupiłaś tę nową sukienkę?

Lorna spojrzała na swoją suknię. Nie miała dla niej żadnego znaczenia.

-Tak... tak.

Nie miała ochoty wspominać, że ma jeszcze dwie nowe suknie.

- Och, Lorna, ty to masz szczęście! Theron powiedział:

- Boże, myśleliśmy, że już nigdy nie wrócisz. Zdążył urosnąć co najmniej siedem centymetrów.

- Gdzie jest Jenny? - zainteresowała się Lorna.

- Pływa z Taylorem - odparła Daphne. Jednak coś się zmieniło.

Przynajmniej dla Lorny. Nie przyjęła zaproszenia do krykieta ani na łowienie ryb z Theronem i jego kolegami. Nie chciała też usiąść na huśtawce ani pić lemoniady. Powiedziała, że jest zmęczona po podróży i chce odpocząć w swoim pokoju.

W pokoju okna były otwarte, a firanki łopotały na wietrze. Ciotka Agnes - słodka, troskliwa ciotka Agnes - ułożyła bukiet z różnokolorowych kwiatów i napisała na niebieskim papierze: „*Witamy w domu, kochanie. Tęskniliśmy za Tobą*”.

Lorna upuściła liścik na podłogę i zdjęła kapelusz. Usiadła przy oknie i patrzyła na drugi brzeg jeziora, zastanawiając się, gdzie jest Jens, czy wie, że wróciła do domu, kiedy go zobaczy, jak wyjaśni, co stało się z dzieckiem. Od strony boiska dobiegał dziewczęcy śmiech. „Tak, śmieJCie się, póki możecie” - myślała Lorna. „Dopóki jesteście młode, beztroskie, a świat wydaje się dobry. Wasze dziecięce fantazje i tak zostaną przerwane zbyt szybko”.

Gideon przyjechał do domu pociągiem o szóstej, ale trzymał się od Lorny z daleka.

Jenny wróciła z jeziora i przybiegła prosto do pokoju siostry, żeby ją przytulić i powiedzieć, że zakochała się w Taylorze i spytać, czy Lornie nie przeszkadza, że są sobą zainteresowani.

Potem do drzwi zapukała matka.

- Kolacja będzie o ósmej, kochanie.

Lorna z najwyższym trudem przybrała normalny wyraz twarzy. Przywitała się z ojcem, przyjęła jego szorstki pocałunek, odpowiadała na pytania rodzeństwa o szkołę i wyprawę po zakupy. Unikała spojrzeń ciotki Henrietty. W jej oczach widziała wyraźne pytanie: „Dlaczego tak się zmieniłaś?” Poza tym słuchała Levinii, narzekającej na to, że od czasu odejścia pani Schmitt jedzenie nie jest zbyt smaczne. Kilka razy musiała ugryźć się w język, żeby nie spytać ciotki Agnes, czy widziała Jensa. Zrozumiała już, że do końca życia będzie się tu czuła obco, ale pogodziła się z tym, gdyż nie miała dokąd pójść.

Wieczorem, kiedy rodzina rozeszła się, Lorna złapała matkę i ojca w saloniku. Weszła i stanęła w drzwiach. Przez pewien czas nie odzywała się. Ojciec zasłonił się gazetą. Matka siedziała w fotelu przy oknie i spoglądała na jezioro.

- Jeśli nie chcecie, żeby dzieci nas słyszały, to zamknijcie drzwi - powiedziała Lorna.

Podsłuchali oboje. Levinia szybko zamknęła drzwi, a Gideon wielkie okno. Stał koło żony. Lorna zrozumiała, że rodzice prawdopodobnie spodziewali się jej; letnie wieczory najczęściej spędzali na werandzie.

- Uznałam, że powinnam wam powiedzieć, co czuję po tym, jak ukradliście moje dziecko.

- Nie ukradliśmy ci dziecka - odparła Levinia. - Oddaliśmy je do adopcji.

- Komu?

- Kościół nie mówi takich rzeczy.

- Ukradliście moje dziecko, nie pytając mnie o zdanie.

- Lorna, bądź rozsądna. Co byś z nim zrobiła? Czy mogliśmy ci pozwolić przywieźć je tutaj? Nie widzisz, że twoje siostry cię uwielbiają? Podziwiają i chcą być do ciebie podobne.

Lorna zignorowała jej słowa. Tonem wypranym z wszelkich uczuć oznajmiła:

- Chcę wam powiedzieć, że po tym, co zrobiliście, nie mam dla was ani odrobiny uczucia. Będę tu tymczasem

mieszkała, ponieważ nie mam dokąd pójść, ale tylko po to, żeby od was uciec, wyjdę za mąż za pierwszego mężczyznę, który poprosi mnie o rękę. Mam nadzieję, że będziecie bardzo nieszczęśliwi patrząc, do czego doprowadziło wasze postępowanie.

* * *

Inny nastrój zapanował w pokoju Lorny, kiedy tuż przed jedenastą wślizgnęła się tam ciotka Agnes.

-Urodziłam chłopca - szepnęła Lorna. - Zabrali go wbrew mojej woli. Nawet go nie widziałam po kąpieli... Tylko zakrwa....zakrwawioną buźkę. Nawet nie wiem, jakie miał włosy.

- Och, moje kochane, biedne dziecko. Lorna płakała na ramieniu ciotki.

- Czy Jens wie? - spytała Agnes.

- Nie. Muszę mu powiedzieć.

Lorna odsunęła się i wytarła zażawione oczy bawełnianą chusteczką.

- Widziałas go, ciociu?

- Nie. Rozmawiałam tylko z Timem. Interesy idą świetnie. Po ostatnich regatach każdy chce mieć jacht od Harke-na. Wiesz, gdzie to jest?

Lorna wyjrzała za okno.

- Tak. Przez wiele tygodni wyobrażałam sobie to miejsce.

Poszła tam nazajutrz, w spódnicy w niebiesko-białe paski; tej samej, którą miała na sobie podczas pierwszego pikniku z Jensem. Z powagą przypięła kapelusz szpilką i przejrzała się w lustrze; zamiast beztroskiej dziewczyny zobaczyła dojrzałą kobietę. Bez pytania wzięła żaglówkę. Była pewna, że po tym wszystkim, przez co przeszła, Gideon nie ośmieliłby się zabronić jej tego „typowo męskiego sportu”. Mimo że Mitch Armfield udzielił jej kilku lekcji, niezbyt dobrze dawała sobie radę. Nie dbała o to, że mogła przewrócić się i utonąć. Tego nie bała się ani trochę. Bała

się tylko Jensa. Wolałaby nawet utonąć, niż zostać przez niego odtrącona.

Bez trudności znalazła stocznię. Widać ją było z zatoki North Bay. Drewno, z którego ją zbudowano, nie zdążyło jeszcze pociemnieć i jaśniało na tle zarośli. „Taka duża” -myślała. Podobał się jej dach i proporcje budynku. Chciała zachować spokój, jak siostra Marlena, ale kiedy przy długim pomoście zobaczyła „Manitou” Tima, warsztat z otwartymi oknami, przymknięte szerokie drzwi, wychodzące na zachód i szyny schodzące do wody, poczuła wewnątrz siebie wielki niepokój. Do tego doszło gorące pragnienie zamieszkania tu, w miejscu, o którym oboje marzyli. Och, gdyby dane jej było widzieć, jak ich dziecko uczy się chodzić, jak przytrzymuje się spodni ojca, jak wchodzi do wody, trzymając się szyn, jak uczy się od Jensa projektowania i budowania jachtów.

Umocowała łódź przy pomoście i poszła przed siebie, spoglądając na „Manitou”. Poczuła nagłą tęsknotę, ponieważ łódź bardzo przypominała „Lornę D.”. Kiedy była już blisko plaży, podniosła wzrok i z przerażeniem stwierdziła, że na sznurku suszą się pieluszki.

Dobry Boże, Jens znalazł dziecko!

Stała jak wryta i nie mogła odwrócić wzroku, dopóki bardziej prawdopodobna, choć bolesna myśl nie przysła jej do głowy: Jens ożenił się z wdową.

Zmusiła nogi do posłuszeństwa... Poszła świeżo wygrabioną plażą do drewnianej pochylni, minęła ją i zaczęła zbliżać się do miejsca, skąd dochodziły dźwięki polerowania i uderzania młotkiem.

Stała w drzwiach. Budynek był wysoki, szeroki i dumny jak kościół. Przez okna i drzwi wpadało dużo światła, a świeże drewno ścian było jasne jak dojrzałe zboże. Ten sam zapach: cedru, kleju, trocin.

Przy łodzi krzątało się trzech mężczyzn: Jens, Ben Jonson i nieznajomy o szerokich ramionach. Nieznajomy zauważył ją pierwszy i przerwał polerowanie.

- Dzień dobry - powiedział, prostując plecy.

- Dzień dobry - odparła Lorna.

Jens i Ben również przerwali pracę i rozprostowali plecy.

- Czym mogę służyć? - spytał nieznajomy, Lorna patrzyła na Jensa.

- Dzień dobry, panno Barnett - odezwał się Jonson. Jens nic nie powiedział. Patrzył na nią przez chwilę, a potem wrócił do polerowania. Z góry dochodziły głosy dzieci, pachniało jedzeniem. Lorna przeraziła się jeszcze bardziej.

- A więc to pani? - zdziwił się nieznajomy i podszedł do niej z wyciągniętą ręką. - Jestem Davin, brat Jensa.

- Och, Davin - powiedziała z ulgą. - Mój Boże, nie wiedziałam, że pan przyjechał. Miło pana poznać.

- Sądzę, że przyszła pani porozmawiać z Jensem. Jens nadal polerował, ignorując Lornę. -Tak....

Davin patrzył to na Lornę, to na brata. -Dobrze... słuchajcie... poznaję po zapachu, że Cara zrobiła obiad. Zresztą chętnie odpocznę. A ty, Ben? Ben odłożył młotek i wytarł ręce o spodnie.

- Pewnie. Z przyjemnością. Davin odwrócił się znów do Lorny.

- Dużo o pani słyszeliśmy. Cara chciałaby panią poznać. Może później wstąpi pani na górę na filiżankę kawy? Lorna uśmiechnęła się, ale w środku wszystko jej drżało.

- Jest pan bardzo miły - powiedziała szczerze. Od pierwszego rzutu oka polubiła mężczyznę, który przy odrobinie szczęścia mógłby zostać jej szwagrem.

- Chodźmy, Ben - powiedział Davin i obaj poszli na górę.

Kiedy zniknęli, Lorna nadal stała przy drzwiach czekając, aż Jens ją przywita. Jens jednak nadal polerował, odwrócony do niej plecami. Na widok szerokich ramion, pochylonych nad łodzią, Lornę coś ścisnęło za gardło.

Podeszła nieśmiało.

- Dzień dobry, Jens - powiedziała żałośnie.

Nic.

Niebieska koszula zwilgotniała pod pachami. Czarne szelki pokryte były trocinami.

- Nawet się ze mną nie przywitasz? Nic.

Stała jak uczennica recytująca wiersz: ze złączonymi nogami, z rękami założonymi do tyłu, przerażona i zrozpaczona. Bardzo chciała, żeby odwrócił się do niej i odezwał uprzejmie.

- Wspaniały budynek. Masz tu wszystko, o czym marzyłeś. Brat pracuje z tobą, i Ben. Mój Boże, chyba jesteś szczęśliwy?

- Tak, bardzo szczęśliwy - odparł z goryczą.

- Słyszałam, że wygrałeś regaty.

Jens wyprostował się, odwrócił, wypiął klatkę piersiową i otrzepał papier ścierny, uderzając nim o udo.

- Jestem zajęty, Lorno. Czego chcesz?

- Och, Jens... - szepnęła załamującym się głosem - proszę cię...

W piersiach czuła ból, a pod powiekami łzy.

- Wydaje mi się, że nie... och, Boże... Ostatnie tygodnie były koszmarne.

Zamknęła oczy i po jej policzkach popłynęły łzy. Szepnęła:

- Widziałam go tylko raz, zanim go zabrali. Rodzice zabrali go, nie pytając mnie o zdanie....

- Nie wierzę ci. Oddałeś go.

- Nie, Jens, nie... Przyjechała moja matka, a kiedy wyjechała, zakonnice powiedziały mi, że zabrała dziecko i że nikt mi nie powie dokąd.

- Chciałabyś, żebym ci uwierzył, co?

Jens był tak zły, że wokół jego ust pojawiła się biała linia. Pochylił się nad Lorną, przez chwilę sądziła, że ją uderzy.

- Nie uda ci się. Byłaś zdecydowana już wtedy, kiedy przyjechałem do ciebie. Widziałem jak na dłoni, że przeko-

nali cię i uznałaś, że życie będzie łatwiejsze, jeśli nie przywieziesz ze sobą bękarta, nie będziesz musiała się tłumaczyć, więc pozbyłaś się go. Tak po prostu... oddałaś go komuś nieznanemu i problem został rozwiązany! Posłuchaj mnie uważnie! - Chwyił ją za lewe przedramię i przycisnął z całej siły do piersi. - Dzień, w którym cię poznałem, był najgorszy ze wszystkich. Od tego czasu moje życie jest niekończącym się pasmem nieszczęść. Bogata suka, węsząca po kuchni, węsząca przy szopie, węsząca w moim pokoju, szukająca jakiegoś idioty z dobrym dziobem, który podrapie cię tam, gdzie cię swędziało. Podrapałem, co? I okazało się, że masz dosyć pieniędzy, żeby poradzić sobie nawet z tym.

Jeszcze bliżej przysunął do niej twarz pełną obrzydzenia, a potem nagle odepchnął ją.

- Wynoś się stąd. Nie mam ci już nic do powiedzenia.

Lorna wylądowała na stercie drewna. Poczula ból w nodze. Przez łzy patrzyła na jego plecy. Jens odwrócił się i znów zaczął polerować gwałtownymi ruchami.

Lorna roztarta obolałe ramię. W jej głowie kotłowały się tysiące wyjaśnień, ale wiedziała, że on nie zechce jej słuchać. Jens polerował... polerował... polerował... Starał się zapomnieć o swoim gniewie, o bólu, o niej. Każdy jego ruch wywoływał ból w sercu Lorny, aż wreszcie poczuła, że za chwilę serce jej pęknie. Nie mogła znieść tej wrogości, podniosła się więc, szepnęła: - Nie masz racji - i uciekła.

Kiedy wyszła, Jens przestał polerować, wyprostował plecy i stojąc bez ruchu słuchał jej kroków, patrzył jak jej łódź robi się coraz mniejsza, unosząc ją na zachód. Kilka minut później opuścił ramiona, upadł na szablony, zsunął się na podłogę, zwinął w kłębek, głowę otulił rękami i zaczął płakać.

Rozdział 17

Lato pełne było goryczy i cierpienia. Jens żył jakoś po drugiej stronie jeziora, a Lornie całkiem brakowało sił do życia. Istniała - tylko tyle. Stawiała nogę za nogą i szła tam, gdzie być powinna; wkładała jedzenie do ust, kiedy jej ciało domagało się tego; wiele bezsennych nocy spędziła na przyglądaniu się z łóżka ceniom tańczącym pod księżycem i wschodom słońca, oglądanym z ławki pod oknem. Zapisała wiele stron w swoim dzienniku, zaczęła mnóstwo wierszy, ale nie dokończyła ani jednego.

Nie przyjmowała żadnych zaproszeń.

Tylko jedno pozwalało jej zyskać odrobinę spokoju: żeglowanie.

Nie pytała, czy wolno jej używać jachtu, ale też nigdy nie została za to skarcona. Gideon przyzwyczyił się, że o każdej porze dnia może nie znaleźć łodzi przy pomoście. Mieszkający w okolicy jeziora oswoili się z widokiem łodzi płynącej w różowej mgle poranka z postawionym żaglem, chociaż jeszcze nie było wiatru. Widywali ją też w najgorętszej porze dnia, pędzącą z wiatrem, oraz wieczorem, kiedy w powietrzu panował spokój i żaglówka dryfowała spokojnie, nie kierowana ludzką ręką.

- Zrobiłaś się chuda jak szczapa i strasznie się opaliłaś. Proszę, staraj się unikać słońca - mówiła Levinia.

- Nigdy nikogo ze sobą nie zabierzesz - skarżył się Theron. - Proszę, mógłbym chociaż raz popłynąć z tobą?

- Lorno, tęsknię za tobą - wyrzucała jej Phoebe.

- Czy to nie z powodu Taylora jesteś taka smutna? -upewniała się Jenny. - Czujesz coś do niego? Jeśli go kochasz, musisz mi powiedzieć.

Gideon powiedział: - Żaden mężczyzna nie zechce ożenić się z tą dziewczyną. Uważają, że jest dziwna. Całymi dniami tylko pływa i marzy o niebieskich migdałach.

- Nie zwracaj najmniejszej uwagi na to, co mówią inni -pocieszała Lornę ciotka Agnes. - Po śmierci kapitana Dearsleya ze mną było tak samo.

Lorna szukała pociechy u ciotki Agnes. Ciotka знаła szczegóły tragedii, a jej współczucie działało jak balsam na zranioną duszę dziewczyny. Rozmawiały ze sobą o najgłębszych uczuciach. Świeży dramat Lorny był jak *pentimento* dawniejszego obrazu nieszczęśliwej młodości Agnes. Cierpienia ciotki nabrały barw i żywości, wydawały się znów krwawić i nakładać na obraz życia Lorny, malowany kolorami samotności i beznadziei.

Dwie samotne kobiety chodziły na długie spacery po plaży albo siadały w ogrodzie i czytały Johna Milтона i Williama Blake'a. W deszczowe dni piły herbatę na werandzie, a w upalne zrywały lawendę i opędzały się nią od much, na zmianę recytując wiersze.

* * *

Minęło lato.

Jens często widywał małą żaglówkę, kiedy wpływała do zatoki, a później oddalała się, unoszona wiatrem. Stawał wtedy w otwartych drzwiach stoczni, zapominając o pracy, i spoglądał za nią. Zastanawiał się, gdzie może być jego syn, jak wygląda, jakie otrzymał imię i kto się nim zaopiekował. Myślał też o tym, że może kiedyś będzie miał dzieci nieświadome, że gdzieś na świecie żyje ich starszy brat.

Syn Jensa Harkena i Lorny Barnett.

Kobieta na żaglówce przypominała mu o tym, o czym pragnął zapomnieć; była ucieleśnieniem jego najgłębszej rozpacz i największego szczęścia. Od Tima dostał zdjęcia,

na których byli oboje; dokumenty słodkiej, letniej idylli z okresu powstawania „Lorny D.". Schował je między zimową bielizną w kufrze stojącym w nogach łóżka. Czasem w nocy, kiedy leżał z rękami pod głową, miał ochotę wyjąć zdjęcia i popatrzeć na Lornę, ale wspomnienia miały gorzki smak i budziły tęsknotę za tym, co niemożliwe, dlatego starał się za wszelką cenę myśleć o czymś innym.

Udawało mu się nie myśleć o niej dzień lub dwa, ale potem znów widział jej żagiel, słyszał nazwisko, zauważał wycieczkowy statek parowy wypływający z jednego z drogich hoteli i zastanawiał się, czy wśród zamożnych pasażerów, których śmiech w spokojne wieczory można było usłyszeć po tej stronie jeziora, jest Lorna. Często po zmierzchu nad wodą rozbrzmiewała muzyka, a lampy oświetlały statek, na którym na środku jeziora urządzano tańce. Jens stawał wówczas na skraju pomostu, starał się ocenić odległość dzielącą go od Lorny Barnett i czuł rosnący żal o to, że dziewczyna nie chciała porzucić wystawnego życia, kiedy prosił ją o rękę. „Tańcz teraz” - myślał z goryczą, przyglądając się światłom, migocącym i kołyszącym się na wodzie. „Tańcz ze swoimi bogatymi kawalerami i zapomnij, że oddałaś moje dziecko!”

„Manitou” kołysał się przy pomoście; prawie codziennie jacyś ciekawscy przychodzili go oglądać. Przyszli klienci często chcieli nim popływać. Jens i Davin zbierali wówczas załogę i wypływali na jezioro, mijali wschodnią stronę wyspy Manitou, na której stał Rose Point, przeglądając się w wodzie. Francuskie okna były pootwierane, a zielone trawniki spływały ku wodzie jak aksamitna suknia. Raz widział młodzież grającą w krykieta, innym razem grupę kobiet popijających herbatkę pod zasłoną z gazy rozwieszanej nad trawnikiem. Za każdym razem tylko zerknął i szybko odwracał wzrok, żeby nie widzieć dziewcząt w długich, powłóczystych sukniach i olbrzymich kapeluszach. Interesy szły doskonale. Otrzymał tyle zamówień, że nie zdążyłby ich zrealizować nawet przez rok. Do tego doszły

jeszcze prośby o remonty łodzi. Jens zatrudnił znajomego Bena, Edwarda Stouta, żeby zajął się naprawami. Druga łódź Jensa, ochrzczona imieniem gwiazdy północnej, została zamówiona przez Nathana DuVala. „Gwiazda Północy” i „Manitou” wygrywały wszystkie zawody, w których startowały. Do Jensa przyjeżdżali reporterzy z Chicago, z Newport i z New Jersey. Chcieli rozmawiać o jego dziwnych, niezrównanych jachtach. Pisali, że Jens zmienił historię żeglugi na wodach śródlądowych. Niezliczoną ilość razy przytaczano fakt, że podczas pierwszych regat z udziałem „Manitou” jego załoga jadła obiad w klubowej restauracji, kiedy na metę przybył jacht, który zajął drugie miejsce.

Jens otrzymał propozycję pracy w „Barnegat Bay” z New Jersey i od jeszcze jednej stoczni, z Południowej Karoliny. Namawiano go, żeby projektował dla tych firm. Odmówił, ale listy schował w kufrze. Dostarczało mu to pretekstu do rzucenia co jakiś czas okiem na zdjęcia Lorny.

Pewnego dnia Tim powiedział:

- Przynoszę informację, która cię zapewne zainteresuje: Gideon Barnett postanowił dokończyć „Lornę D.” i chce ją spuścić na wodę przed końcem sezonu. Ludzie mówią, że zamierza popłynąć na niej podczas przyszłorocznych regat z klubem Minnetonka.

* * *

Gideon Barnett rzeczywiście wynajął robotnika, żeby wykończył „Lornę D.”. Kiedy prace zostały ukończone, poszedł do córki i powiedział:

- Spuszczam „Lornę D.” na wodę. Chcesz jako pierwsza popłynąć na niej?

Lorna siedziała na szeslongu na werandzie i bezmyślnie polerowała paznokcie. Przerwała i spojrzała na Gideona.

- Nie, dziękuję.

- Zawsze o to prosiłaś. Całe lato pływasz jachtem. Dlaczego nie na „Lornie D.”?

- Za późno, ojcze.

Gideon uniósł brwi i poczerwieniał.

- Lorno, kiedy wreszcie skończysz z tym cholernym zamykaniem się we własnym świecie i dołączysz do żywych ludzi?

- Nie wiem, ojciec.

Gideon miał ochotę wykrzyknąć, że oboje z Leviną mają dość widoku jej skrzywdzonej miny i tego, że nie chce z nimi rozmawiać, czuł się jednak winny, więc milczał. Odwrócił się i odszedł. Był koniec sierpnia.

* * *

Kiedys jachty musiały się spotkać. Stało się to pod koniec września, kiedy Jens z całą załogą wypłynęli na „Manitou” po prostu dla przyjemności. Dzień był mroczny, wietrzny. Spotkali się w przewężeniu. „Manitou” płynął na południe, „Lorna D.” na północ. Kapitanowie zbliżających się łodzi patrzyli na siebie. Obydwaj z nachmurzonymi minami siedzieli przy rumplach. Tim na przywitanie uniósł dłoń, ale Gideon nie odpowiedział, tylko patrzył spod sięwijających brwi. Tak samo Jens. Gdyby mieli okręty wojenne, kazaliby strzelać z dział. Ponieważ ich nie mieli, wymienili tylko nienawistne spojrzenia, przeświadczeni, że przy następnym spotkaniu ich jachty będą płynęły w tę samą stronę.

Pod koniec października rodzina Barnettów spakowała się do wyjazdu. Ostatniego dnia Lorna długo stała na krańcu półwyspu i patrzyła na północ, tam, gdzie mieszkał Jens. Była w ciepłym płaszczu, ramiona skrzyżowała na piersiach. Zaniedbane włosy powiewały na wietrze i przyklejały się do czoła. Wiatr opinał wokół jej bioder płaszcz i smagał fale uderzające o brzeg. Nad wodą dwie rybitwy walczyły z wiatrem i krzyczały na szare bałwany, kłębiące się w dole. Lorna myślała o dziecku. Ma już cztery miesiące, uśmiecha się i gaworzy do kogoś obcego.

- Do widzenia, Jens - powiedziała ze łzami w oczach. - Tęsknię za tobą.

Zbliżała się zima. Dom był równie ponury jak pogoda. Rodzeństwo Lorny całe dni spędzało w szkole. Levinia pracowała pilnie przy organizacji balów. Prosiła Lornę o pomoc, ale ta za każdym razem odmawiała. Zgłosiła się natomiast jako ochotniczka do pracy w wypożyczalni książek przy Victoria Street. Podobało jej się tam. Mogła wyjść z domu i znaleźć się w atmosferze spokoju i skupienia, pasującej do jej nastroju. Okres świąteczny przyniósł nadmiar rozrywek, których Lorna starała się unikać. Bar-nettowie mieli gości ze stanu Washington. Jednym z nich był trzydziestoletni Arnstad; od pierwszego spotkania otwarcie okazywał Lornie zainteresowanie. Pracował na kolei, a Gideon Barnett sprzedawał kolei dużo drewna. Arnstad był bogaty i chętny do żeniaczki. Lorna miała okazję spełnić swoją groźbę i wyjść za niego, ale kiedy pewnego wieczoru wziął ją w bibliotece za rękę, wyrwała mu się, odskoczyła jak oparzona i ze łzami w oczach uciekła. Zaczęła wątpić w to, czy kiedykolwiek pozwoli, żeby po Jensie Harkenie dotknął jej jakiś inny mężczyzna.

Phoebe złożyła Lornie świąteczną wizytę. Do sukni miała przypiętą zaręczynową broszkę od pana Slatterleigha, wschodzącej gwiazdy na firmamencie firmy pana Armfiel-da. Na początku stycznia ogłoszono następne zaręczyny: Taylor DuVal wreszcie się zdecydował i poprosił o rękę Jenny. Ustalono, że ślub odbędzie się latem. Levinia była szczęśliwa. Zajęła się planowaniem najwspanialszego wydarzenia w swojej karierze.

Wokół Lorny kwitło życie, ale ona starała się zamknąć w jak najwęższym kręgu zajęć, kryjąc się ze swoim bólem. Pewnego dnia pod koniec lutego, kiedy Lorna wróciła z wypożyczalni, ciotka Agnes czekała na nią przy wejściu.

- Chodź szybko na górę! - szepnęła.

- Co się stało?

Agnes położyła palec na ustach, złapała Lornę za rękę i pociągnęła na górę, zanim zdążyła zdjąć płaszcz. Zaprowadziła ją do swojej sypialni, zamknęła drzwi i stanęła przed bratanicą, z oczami lśnącymi jak wypolerowane szafiry.

- Zdaje się, że go znalazłam.

- Kogo?

- Twojego syna.

- Lorna znieruchomiała.

- Och, ciociu Agnes... - szepnęła.

- Chodź tutaj.

Agnes wzięła ją za rękę i zaciągnęła do stojącego między oknami sekretarzyka z palisandru. Podniosła kawałek białego papieru i wcisnęła go Lornie do ręki.

- Wydaje mi się, że przez cały czas jest u Hulduh Schmitt, pod tym adresem.

Lorna przeczytała: *Hulduh Schmitt, 850 Hamburg Road, Minneapolis, Minnesota.*

Podniosła na ciotkę surowe spojrzenie.

- Dlaczego ona miałaby go wziąć?

- Nie wiem, ale podejrzewam, że sumienie nie dawało Levinii i Gideonowi spokoju, więc namówili kucharkę, żeby wychowała dziecko.

- Jak się o tym dowiedziałas? Dlaczego myślisz...

- Od kiedy cię stąd wywieźli, systematycznie grzebałam w biurku twojego ojca.

Ciotka Agnes była podekscytowana i bardzo z siebie zadowolona.

- Niemożliwe!

- Oczywiście, że tak. Zanim zdążyłam się w tym wszystkim połapać, minęło trochę czasu. Wiesz, szukałam nazwiska osoby z jakiegoś kościelnego sierocińca, kogoś obcego, jakichś dokumentów adopcyjnych. Przez cały czas nie zwracałam najmniejszej uwagi na nazwisko pani Schmitt, aż wreszcie zrozumiałam... Zaczął jej płacić zaraz po twoim wyjeździe i płaci aż dotąd! Zaczęłam się zastana-

wiać, dlaczego. Przecież już tutaj nie pracuje. Lorna, to wszystko się zgadza, prawda?

Serce Lorny waliło tak szybko, że dziewczyna zrobiła się czerwona na twarzy. Złapała ciotkę za rękę.

- Och, ciociu Agnes, naprawdę tak myślisz? - A ty?

- Mogło tak być, prawda?

Lorna, podniecona, zaczęła chodzić po pokoju.

- Matka przyjechała i dziecko zniknęło. Pani Schmitt odeszła z pracy, kiedy mnie tu nie było. Zgadza się.

- Nikt nie dostrzegł w tym nic podejrzanego. Pani Schmitt od lat straszyla, że odejdzie. Latem w zeszłym roku, kiedy zaczęło się to między tobą a Jensem, połowa White Bear Lake słyszała awanturę, jaką Levinia urządziła w trakcie przyjęcia z powodu kucharki. Wszyscy wiedzieli, że wcześniej czy później to musi się tak skończyć. Mówię ci, że zapłacili jej, żeby odeszła i twój chłopczyk jest u niej.

- Muszę to sprawdzić. - Lorna znów spojrzała na adres. - Natychmiast... jutro! Jeśli to prawda, nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

Uśmiechnęły się, rozmarzone. Ciotka Agnes oprzytomniała pierwsza.

- Co zrobisz, jeśli go znajdziesz?

- Nie wiem. - Lorna padła na krzesło przy sekretarzyku, popatrzyła na kryształową podstawkę na pióro i powtórzyła trochę spokojniej: - Nie wiem.

Jeśli tak jest, co może zrobić? Zabrać dziecko? Wychować je? Pójść do Jensa i powiedzieć mu? Każde z tych rozwiązań niosło ze sobą dziesiątki dylematów, których Lorna nie potrafiła rozstrzygnąć. Najpierw trzeba znaleźć ulicę Hamburg Road i trzeba mieć nadzieję, że podejrzenia ciotki Agnes okażą się prawdziwe.

Pojechała tam nazajutrz tramwajem. Rodzina sądziła, że idzie do wypożyczalni. Dwa razy przesiadała się, jadąc na zachód, do Minneapolis. Wsiadła na placu o nazwie Ridley Court i spytała o drogę w sklepie z czekoladą. Potem

zaczepiła mężczyznę jadącego wozem firmy „Washburn and Crosby”, pełnym worków z mąką. Po godzinie marszu znalazła się na zwirowej drodze. Domy były tam duże, za nimi ciągnęły się pola. Podwórka zamykały niewielkie sto-
doły i szopy. W powietrzu unosił się zapach zwierząt.

Dom z numerem 850 zbudowano z żółtej cegły. Był skromny, wąski, miał wysoki, ciężki dach. Furtka skrzypnęła, kiedy Lorna ją otwierała. Między zwałami śniegu prowadziła wyłożona deskami ścieżka. Lorna była w połowie drogi, kiedy z chodnika położonego na słonecznych schodach podniósł się pies i zaszczekał dwa razy. Lorna stanęła. Pies podszedł do niej machając ogonem, obszedł wkoło i powąchał gumowe buty. Był kudłaty i żółty jak dom. Miał puszysty ogon i lisi pysk.

- Witaj, staruszkule - powiedziała Lorna i pozwoliła psu powąchać swoją dłoń.

Pies spojrzał na nią i pomachał przyjaźnie ogonem. Poszedł za Lorną w kierunku domu. Kiedy stanęła przed drzwiami, jej lęk stał się trudny do zniesienia, a serce waliło jak młotem. Jeśli ciotka Agnes nie pomyliła się, zbliżające się minuty zmienią życie Lorny. Podniosła rękę i zatrzymała się na moment, jak nurek, który nabiera powietrza i ocenia głębokość wody. W gardle jej zaschło, a w ramionach czuła mrowienie.

Zapukała.

Pies schylił się i zjadł trochę śniegu. Z sopli na dachu kapła woda, drażąc po obu stronach drzwi głębokie dziury w śniegu. Gdzieś daleko ryczała krowa. W środku otworzyły się jakieś drzwi. Lorna widziała przez gęstą, koronkową zasłonkę, że ktoś nadchodzi. Potem drzwi wejściowe otworzyły się i stanęła w nich Hulduh Schmitt, ze ścierką w ręce.

- To... panienka Lorna.

- Dzień dobry, pani Schmitt.

Pies wszedł do środka, ale kobiety się nie ruszyły.

- Mogę wejść? - spytała Lorna.

Pani Schmitt zastanawiała się przez chwilę, potem poddała się, odsunęła i machnęła ścierką, zapraszając Lornę do środka.

- Tak; skoro już panienka tu przyszła.

Lorna weszła do zimnego przedsionka, nie większego od spizarni.

- Proszę do środka - powiedziała pani Schmitt i weszła za Lorną, zamykając za sobą drzwi.

W środku było ciepło i pachniało świeżym chlebem. Po prawej stronie Lorna zobaczyła strome schody. Klatkę schodową oddzielał od dwóch pokoiów po lewej stronie niewielki przedpokój. Z miejsca, gdzie stała, widać było prawie cały salon. Z drugiego pokoju dobiegł ją głos kogoś mówiącego po niemiecku. Pani Schmitt odpowiedziała, również po niemiecku.

- Moja matka - wyjaśniła Lornie.

Słyszały, jak staruszka łaje psa, prawdopodobnie za to, że jest mokry. Lorna zerknęła do salonu i obejrzała się na panią Schmitt.

- Jest tutaj? - spytała po prostu.

- Skąd się panienka dowiedziała?

- Ciotka Agnes odkryła prawdę.

- Pani rodzice kazali mi przysiąc, że dochowam tajemnicy.

- Tak, nie wątpię. Jest tutaj?

Hulduh pomyślała o hojnych miesięcznych wpłatach, pozwalających jej na spokojne życie. Nie miała jednak zamiaru ukrywać przed Lorną Barnett dziecka, które dziewczyna wydała na świat. Zrezygnowana uniosła ręce, ale szybko je opuściła.

- Jest w kuchni. Tędy.

Wszędzie panowała nieskazitelna czystość. Meble były stare, ale solidne, ozdobione haftowanymi serwetkami. W kuchni siedziała stara kobieta o siwych włosach i machała szmacianą lalką przed oczami pięknego, złotowłosego chłopczyka, który siedział w podwieszonym krzeselku. Ma-

Je nóżki w bucikach dotykały podłogi. Chłopiec wyciągał pulchne rączki po lalkę. Kiedy pojawiła się Lorna, dziecko zapomniało o lalce i spojrzało w stronę drzwi: miękkie, jasne loczki, oczy błękitne jak norweska noc, pulchna, mięciutka buźka i niewinne usta, śliczne i odęte jak u aniołka. Był tak piękny, że Lorna zapomniała o całym świecie. Podeszła do niego, jakby sunęła po promieniu światła spływającym prosto z nieba.

- Jak ma na imię?

- Daniel.

- Daniel... - szepnęła.

- Mówimy do niego Danny.

Lorna przyklękła przy nim onieśmielona, stęskniona, niepewna, nie odrywając wzroku od jego twarzyczki.

- Dzień dobry, Danny.

Chłopczyk patrzył na nią; nawet nie mrugnął okiem. Rzęsy miał podwinięte i długie, trochę ciemniejsze niż włosy.

Był bardzo podobny do Jensa i wcale niepodobny do Lorny.

Delikatnie wyjęła go z krzeselka. Danny nadal trzymał w rączce lalkę i nie spuszczał z Lorny oczu. Nogi wyciągnął przed siebie, jak pluszowy miś.

-Och, mój śliczny... - szepnęła, tuląc synka do piersi i całując go w skroń. - Wreszcie cię znalazłam.

Zamknęła oczy i tuliła go, pozwalając, by ta chwila uleczyła bolesne rany i dodała jej sił. Danny zaczął mówić:

-Mam, mam, mam.

Uderzał lalką o ramię Lorny, ale nawet się nie poruszyła. Znalazła się w innym świecie. Danny pachniał mlekiem i chlebem i był tak mięciutki, jakby przybył z innego świata. Lorna nie wiedziała, że miłość można odczuwać w taki sposób; uczucie przepełniało ją i było tak potężne, że wszystko, co dotąd czuła, wydało się jej nieważne. Tuląc dziecko, czując jego zapach i dotyk wreszcie była w pełni sobą.

Przysiadła na piętach i postawiła sobie syna na udach. Poczowała przepełniającą ją radość: wreszcie go ma, wreszcie

Danny należy do niej. Chłopczyk włożył jeden palec do ust, rozchylił wargi i pokazał dwa małe zębki w dolnej szczęk. Przez cały czas nie przestawał machać lalką. Zaczął kiwać się na pulchnych nóżkach i wilgotną rączką uderzać matkę w usta. Lorna odchyliła głowę do tyłu i ze śmiechem próbowała łapać wargami drobniutką dłoń.

- Jest piękny - powiedziała.

- I mądry. Umie już powiedzieć „si”.

- Si. Potrafisz powiedzieć „si”, Danny?

W jego oczach pojawił się wyraz szczęścia. Pokazał palcem na duży żelazny piec i powiedział:

- Siii.

- Tak, piec jest si.

- Sii - powtórzył, patrząc na Lornę.

- Mądry chłopczyk! Jest grzeczny? - spytała.

- Jak aniołek. Śpi spokojnie całą noc.

- A zdrowy?

- Tak, chociaż ostatnio był trochę marudny. To dlatego, że wychodzą mu zębki.

- Będziesz miał zębki? Piękne, nowiutkie zębki? Och, Boże, jaki ty jesteś piękny. - Tuliła go, kołysząc się na boki.

Chwila pierwszego zaskoczenia już minęła i Lornę ogarnęła fala radości. - Słodki chłopczyk!

Potem oznajmiła całemu światu:

- Nie mogę uwierzyć, że trzymam go w ramionach!

- Zaślini panience płaszcz. Może się panienka rozbierze?

- Och, nie szkodzi. Niech ślini! Jestem taka szczęśliwa!

Pies aż dotąd poszczekiwał w drugim końcu kuchni. Teraz otrząsnął się i przybiegł, drapiąc pazurami drewnianą podłogę, żeby trącić malca nosem. Danny odwrócił się, krzyknął z radości i rzucił się na zwierzę.

- Bardzo lubi starego Summera. Są przyjaciółmi.

Dziecko schyliło się, podtrzymywane przez Lornę, i złapało psa za szyję, głośno bulgocząc. Małe rączki chwyciły sierść pełnymi garściami.

- Nie! - odezwała się Hulduh Schmitt. Szybko podeszła i złapała dwie pulchne dłonie, zaciśnięte na psiej sierści.

-Bądź dobry dla starego Summera. Danny, bądź dobry.

Chłopczyk otworzył pięści i niezręcznie poklepał psa, spoglądając na Hulduh w oczekiwaniu pochwały.

- Tak, grzeczny chłopczyk.

Były to normalne dziecięce popisy, ale w oczach Lorny świadczyły o inteligencji dziecka. Podczas krótkiej wizyty dowiedziała się, że Danny umie stać na chwiejnych nóżkach, przytrzymując się krzesła, wie kto to jest *Tante* Hulduh i *Grossmutteri* poproszony chętnie pokazuje je paluszkami.

- Miałyśmy właśnie wypić z mamą popołudniową kawę -powiedziała Hulduh. - Jest też świeży chleb, jeśli panienka zechce zostać.

- Tak, bardzo proszę.

Hulduh zastawiła stół sfatygowaną zastawą w tulipany i róże na mlecznobiałym tle. Kiedyś, dawno temu, filiżanki były obwiedzione złotem, ale teraz pozostały na nich już tylko nędzne resztki złotego paska. Hulduh przeprosiła, że nie kładzie obrusa. Wyjaśniła, że boją się z matką, żeby dziecko nie ściągnęło go ze stołu i nie poparzyło się gorącym napojem. Kiedy popijały kawę, Danny raczkował koło stołu, bawił się na podłodze drewnianymi łyżkami, ciągnął za długie spódnice i udawał, że płacze, kiedy chciał dostać się na kolana. Pies powędrował na szmacianą wycieraczkę przy drzwiach wychodzących na tyły domu i zasnął. Danny podszedł do niego, dziubnął palcem czarne wargi Summera i zaczął gaworzyć. Pies podniósł łeb, otworzył oczy i znów zasnął. Hulduh wstała i umyła chłopcu ręczki, po czym włożyła go do wiszącego krzeselka.

Matka Hulduh nie mówiła ani słowa po angielsku, ale uśmiechała się do chłopca i nie spuszczała z niego wzroku, nawet kiedy popijała kawę. Czasem schylała się z trudem, żeby poprawić mu ubranko, dać kawałek chleba z masłem albo szeptać mu w ojczystym języku słowa pełne miłości.

Raz zadała Lornie pytanie. Lorna zrozumiała je, chociaż nie znała niemieckiego. Staruszka wyciągnęła wykrzywiony palec ku niej, potem pokazała na dziecko:

- *Mutter?*

Lorna kiwnęła głową, jedną rękę położyła na brzuchu, potem na sercu i zrobiła smutną minę.

Danny'emu znudziło się w krzeselku, więc pozwolono mu poruszać się na czworakach. Przewrócił się i uderzył głową o stołową nogę. Lorna rzuciła się na ratunek i przytuliła chłopca.

- Och, nie... Nie płacz... Nic się nie stało...

- Danny jednak nie przestawał płakać. Wyrwał się do Hulduh. Kiedy wzięła go, usadowił się na jej kolanach i pozwolił otrzeć sobie twarz. Dostał w nagrodę łyk słodkiej kawy ze śmietanką. Potem oparł główkę na wykrochmalonym fartuchu, osłaniającym piersi starszej pani, włożył kciuk do ust i wbił wzrok w drewnianą ścianę.

- Jest zmęczony. Długo nie spał.

Lorna nie wiedziała, jak długo powinien spać ośmiomiesięczny bobas. Nie wiedziała, co należy zrobić, jeśli dziecko upadając rozbije sobie głowę. Nie wiedziała, skąd nauczyć się tego wszystkiego, co musi wiedzieć matka.

Danny powoli zamknął oczy. Pani Schmitt zanosła go do salonu i ułożyła w kołysce. Kiedy wróciła, ponownie napełniła filiżanki i spytała:

- Co panienka zamierza teraz zrobić, skoro go już znalazła?

Lorna powoli odstawiła filiżankę i spojrzała kucharce prosto w oczy.

- To mój syn - odparła spokojnie.

- A więc chce go panienka zabrać. -Tak...

Hulduh Schmitt pobladła. Zerknęła na matkę, drzemającą w bujanym fotelu.

- Przeszaną przysyłać mi pieniądze. Matka jest stara i ma tylko mnie.

- Tak, ja... Przykro mi, pani Schmitt.

- Dziecko jest z nami szczęśliwe.

- Och, widzę! - Lorna położyła rękę na sercu. - Ale to mój syn. Zabrali go wbrew mojej woli.

Na twarzy starej kucharki odmalowało się zdumienie.

- Wbrew woli panienki?

- Tak. Matka przyjechała tuż po jego narodzinach. Kiedy mi go zabierali, powiedzieli, że muszą go wykapać i więcej go nie zobaczyłam. Kiedy poprosiłam, żeby go przynieśli, nie było ani jego, ani matki. To było niedobre, pani Schmitt, bardzo niedobre.

Pani Schmitt przykryła na stole dłoń Lorny swoją szeroką dłonią.

- Nie, dziecko, masz rację. Nie powiedzieli mi prawdy. Powiedzieli, że panienka go nie chce.

- Och, chcę, ale muszę... - Lorna zerknęła w stronę salonu - muszę znaleźć jakieś miejsce, jakiś sposób, żeby go utrzymać. Muszę... muszę porozmawiać z jego ojcem.

- Niech mi panienka wybaczy, ale bardzo chciałabym wiedzieć.... czy to Jens?

Lorna zrobiła się nagle bardzo smutna.

- Tak. Bardzo go kocham, ale rodzice nie chcieli słyszeć, żebym za niego wyszła. Wie pani, jego rodzina nie ma letniej rezydencji nad jeziorem.

Pani Schmitt zapatrzyła się na kozuch ze śmietany w swojej kawie.

- Ach, życie. Jest ciężkie. Tyle smutku...

Myślały o tym obie. Dziecko spało, starsza pani cicho pochrapywała; jej głowa co jakiś czas opadała.

- Dzisiaj nie mogę go jeszcze zabrać - powiedziała Lorna.

- To dla mnie jakaś pociecha. - W oczach kucharki już pojawiła się tęsknota.

Teraz Lorna położyła dłoń na ręce pani Schmitt.

- Kiedy już się urządzę, będzie pani mogła odwiedzać go tyle razy, ile pani zechce.

Wiedziały jednak obie, że to niemożliwe, biorąc pod uwagę wiek pani Schmitt, wielkie odległości, długą jazdę tramwajem. Poza tym matka, staruszka, nie mogła zostawać sama.

- Kiedy go zabiorę... - Lorna zawahała się. Czuła się odpowiedzialna za los tych kobiet. - Czy poradzi sobie pani bez tych pieniędzy?

Pani Schmitt cofnęła brodę, wyprostowała ramiona i powiedziała do filiżanki z kawą:

- Odłożyłam trochę.

Kiedy Lorna wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia, matka Hulduh obudziła się, otarła kąciki ust i rozejrzała się, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Zobaczyła Lornę, uśmiechnęła się sennie i pokiwała głową na pożegnanie.

- Do widzenia - powiedziała Lorna.

W salonie pocałowała puchatą główkę syna.

- Do widzenia, skarbie. Wrócę po ciebie - szepnęła i zadrżała na myśl, że znów musi spotkać się z jego ojcem.

Rozdział 18

Następnego dnia było bardzo zimno i wiał ostry wiatr. Przygotowując się do wyprawy do White Bear Lake, Lorna bardzo uważnie dobierała strój. Włożyła zupełnie inne suknie niż te, które nosiła ostatnio. Wtedy ubierała się jak dziewczyna, żeby obudzić w Jensie wspomnienia. Teraz nie czuła się dziewczęco ani romantycznie. Wiele przecierpiała, dojrzała, wiele się nauczyła. Stanie przed Jensem jako kobieta walcząca o swoje szczęście w najważniejszym momencie życia. Włożyła wełnianą garsonkę, ciężkie futro z fok, mufkę i prosty berecik. W pociągu było zimno. Lorna otuliła się futrem i patrzyła, jak jej oddech zamarza na szybie. Myślała o spotkaniu z Jensem. „Co powie?” - zastanawiała się. Nie potrafiła jednak wyobrazić sobie przebiegu rozmowy aż tak poważnej. Nie była już rozmarzoną, zakochaną pannicą, flirtującą z pomocnikiem kucharki, wykradającą jedzenie, żeby później zjeść je z nim potajemnie. Jest przede wszystkim matką, i to matką oszukaną. Przypomniała sobie twarzyczkę Danny'ego, z niebieskimi jak woda oczkami, o rysach przypominających ojca. Łzy miłości napłynęły jej do oczu, a przez jej ciało przebiegł skurcz strachu na myśl o tym, że znów mogłaby go stracić. Na stacji wynajęła sanie i człowieka, który zgodził się zawieźć ją na północny brzeg jeziora, do Dellwood. Nogi otuliła ciepłym futrem, na twarzy czuła ukłucia śniegu; nie zwracała uwagi ani na śpiew płóz, szorujących po śniegu,

ani na brzęk dzwonek przy uprzęży, ani na chrapliwy oddech koni. Była pochłonięta myślami o Jensie, Dannym i o sobie.

Dostrzegła warsztat Jensa: wielki jak stodoła, pomalowany na zielono, jak większość łodzi, z białym napisem „Harken - Jachty”. Pod tym znakiem, na metalowej szynie, wisiały ogromne drzwi. Na lewo dostrzegła mniejsze drzwi, z napisem „Otwarte”.

- Jesteśmy na miejscu, panienko - oznajmił woźnica i ściągnął lejce.

- Zechce pan zaczekać?

- Dobrze, proszę pani. Przywiążę Ronniego. Proszę się nie spieszyć.

Ileż to razy, od kiedy poznała Jensa Harkena, podchodziła z duszą na ramieniu do różnych drzwi? Drzwi dla służby, prowadzące do kuchni. Drzwi w szopie, w której powstawała „Lorna D”. Drzwi jego pokoju, do których skradała się w środku nocy, żeby spędzić z nim kilka godzin w łóżku. Otwarte, podwójne drzwi po drugiej stronie budynku, kiedy latem musiała powiedzieć, że ich dziecko zostało wykradzione. Wczoraj drzwi domu z żółtej cegły, z psem leżącym na progu; jakże bała się, że nie znajdzie tam swojego dziecka.

Teraz stanęła przed kolejnymi drzwiami, czując ten sam lęk, ale sto razy większy. Wnętrznosci skręcały się, ostrzegały, że jeśli jej się nie uda, do końca życia nie otrząśnie się po stracie mężczyzny, którego kocha.

Wciągnęła powietrze, uniosła metalowy haczyk i weszła do środka.

Jak zawsze, miejsce pracy Jensa Harkena budziło w niej mnóstwo wspomnień: wilgotny świerk, świeżo oheblowany cedr i płonące drwa. Zobaczyła jacht w budowie i drugi, oddany tu w celu dokonania napraw. Gdzieś w drugim końcu rozległego pomieszczenia ktoś gwizdał jak ptak. Słysząc było też jakąś rozmowę. Głosy odbijały się echem, jak w kościele. Interesy Harkenów, jak widać, idą doskonale. Ktoś zauważył Lornę i powiedział:

- Jens, ktoś do ciebie.

Jens z Davinem wyginali właśnie wręg. Jens odwrócił się i zobaczył Lornę.

Jak zwykle na jej widok zamarł na moment bez ruchu. Dopiero po chwili udało mu się przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Zajmij się tym, Iver - powiedział do jednego z robotników i ruszył ku Lornie. Miał na sobie czerwoną flanelową koszulę, rozpiętą pod szyją, z rękawami podwiniętymi tak, że widać było mankiety ciepłego podkoszulka. Włosy miał dłuższe niż zwykle, kręcone, zaczesane na bok i założone za ucho. Stał przed nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Dzień dobry, Jens.

- Lorna - odparł bez uśmiechu. Zdejmował powoli skórzane rękawice i dopiero kiedy skończył, rzucił na nią okiem.

- Nie przychodziłabym tutaj bez ważnego powodu. -Co?

Trudno było nie zauważyć, że Jens nie jest nastawiony przyjaźnie.

- Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

- Jeśli masz coś do powiedzenia, to mów.

- Dobrze. Znalazłam naszego syna.

Na jedno uderzenie serca ogarnęło go najwyższe zdumienie, ale szybko nad sobą zapanował.

- I co z tego?

- Co z tego? Tylko tyle masz do powiedzenia?

- A co byś chciała usłyszeć? To ty...

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł woźnica, klepiąc się po ramionach, żeby się trochę rozgrzać.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparł Jens i nieprzyjaźnie zacisnął wargi.

- Troszkę zmarzłem. - Woźnica spoglądał to na nią, to na niego, rozumiejąc, że atmosfera jest napięta. - Czy mógłbym zaczekać tutaj? Przywiozłem panią.

Jens kiwnął ręką w stronę piecyka.

- Na fajerce stoi kawa, a na kołkach wiszą kubeczki. Proszę sobie nalać.

Woźnica odszedł, rozwiązując kraciasty szal.

- Chodź - powiedział Jens.

Zaprowadził ją do biura. Była to klitka, trzy i pół metra na trzy, zagracona najróżniejszymi przedmiotami. Jens zatrzasnął drzwi i stanął przed Lorną.

- Dobrze, znalazłaś go. Czego oczekujesz ode mnie?

- Na początek mógłbyś zapytać, jak mu się wiedzie.

- Jak mu się wiedzie? Ha! Teraz pouczasz mnie, że powinienem interesować się jego losem, ale najpierw oddałaś go w obce ręce!

- Nie oddałam! Zabrali mi go i w tajemnicy dali na wychowanie Hulduh Schmitt. Mieszka teraz po drugiej stronie Minneapolis!

- Hulduh Schmitt! - ucieszył się Jens.

-Przez cały czas był u niej. Moi rodzice płacą jej za opiekę nad dzieckiem.

- Czego chcesz ode mnie? Żebym poszedł do Hulduh i wykradł go? Mam pojechać do miasta i pobić twojego tatusia? Raz próbowałem i zostałem wyrzucony na zbity pysk.

- Niczego się po tobie nie spodziewam! Myślałam tylko... - urwała nagle.

Zaczekał chwilę, po czym dokończył za nią z ironią:

- Myślałaś, że może znów zacznę cię błagać, żebyś za mnie wyszła, że pojedziemy, weźmiemy go i będziemy żyli razem, do końca życia ukrywając się przed twoimi znajomymi z towarzystwa?

Lorna zaczerwieniła się, ale Jens nie zamierzał dać jej spokoju.

- Powiem ci coś, Lorno Barnett. Nie chcę być mężem, którego żona się wstydzi. Jeśli się ożenię, to z kobietą, która mnie zaakceptuje. Nie jestem z towarzystwa, ale nie jestem też śmieciem. Kiedy przyjechałem do klasztoru i prosiłem, żebyś wyszła za mnie, ofiarowałem ci całkiem

przyzwoitą przyszłość; nic, czego musiałabyś się wstydzić. Spodziewałem się, że będziesz o mnie walczyła, że wyślesz swoich rodziców do wszystkich diabłów, że będziesz domagała się swoich praw... naszych praw! Ale nie. Jęczałaś, kulilaś się i twierdziłaś, że nie potrafisz znieść tego, że będą nazywali cię latawicą, kiedy staniesz przed ołtarzem, nosząc w sobie moje dziecko. Dobrze, niech tak będzie. Ty nie chciałaś mnie wtedy, a teraz ja ciebie nie chcę.

- Wydaje ci się to całkiem proste, co? Silny, zawzięty Norweg; prawdziwy mężczyzna, którego duma srodze ucierpiała! Spróbowałbyś żyć z takimi rodzicami jak moi! Spróbowałbyś ich przekonać, żeby ustąpili chociaż o milimetr! Spróbowałbyś zakochać się w niewłaściwym człowieku i...

- W niewłaściwym człowieku! To jedno jest pewne!

- Tak, w niewłaściwym człowieku! - krzyknęła jeszcze głośniejsze. - I zająć w ciążę i nosić w sobie bękarta. Zobaczyłbyś, jak to jest, kiedy wysyłają cię na koniec świata, kłamią ci, manipulują tobą, bez chwili przestanku tłumaczą, jak przerażające będzie twoje życie, kiedy ludzie się o tym wszystkim dowiedzą. Spróbowałbyś mieszkać w klasztorze, w gromadzie obojętnych kobiet, które szeptem modlą się o zbawienie, aż masz ochotę wrzeszczeć na nie, żeby spróbowały stanąć przed pokusą i poradzić sobie z nią! Spróbowałbyś jak to jest, kiedy ma się dwie młodsze siostry i co tydzień otrzymuje od matki listy z napomnieniem, że jeśli dowiedzą się o ciąży, będą przerażone i stracą szansę na za-mążpójście, ponieważ twoja hańba przylgnie do nich. Spróbowałbyś wbić w tę twardą, norweską czaszkę myśl, że nie wszystko jest twoją winą, że jesteś tylko człowiekiem, że zakochałeś się, popełniłeś błędy, cierpisz, starasz się wszystko naprawić, ale nie zawsze jest to łatwe. Spróbowałbyś tego, Jensie Harkenie!

Kiedy skończyła, wszystko w niej drżało.

Jens pomachał jej przed nosem dwoma palcami.

- Dwa razy prosiłem cię o rękę, dwa razy! Co mi powiedziałaś?

Uderzyła go po rękę.

- Powiedziałam to, do czego zmuszały mnie okoliczności.

- Odmówiłaś, bo wstydziałaś się mnie!

- Nie! Bałam się!

- Ja też! Ale walczyłem o ciebie! To bardzo kiepska wymówka, Lorno!

- Och, niedobrze mi się robi. Uważasz, że ty jesteś święty. To ja odnalazłam Danny'ego! Powiedziałam pani Schmitt, że go zabiorę i zrobię to, z tobą czy bez ciebie. Jeśli będę musiała, wychowam go sama!

- Odważne słowa jak na dziewczynkę, która truchleje ze strachu na myśl o mamusi i tatusiu. Obiecałaś mi, że go wychowasz, ale kiedy doszło do czego, posłuchałaś najważniejszego przykazania Barnettów: Czcij ojca i matkę, nawet jeśli nie mają racji i niszczą twoje życie!

- Widzę, że popełniłam błąd, przyjeżdżając tutaj.

- Popełniłaś błąd, kiedy nie wsiadłaś wtedy do pociągu. I drugi, jeszcze większy, kiedy odmówiłaś mi w klasztorze. Teraz musisz z tym żyć.

Lorna otuliła się swym dobrym wychowaniem jak futrzanym szalem i powiedziała spokojnie:

- Widzę, Jens, że tak naprawdę nigdy ciebie dobrze nie poznałam. Widziałam tylko jedną stronę, a żona musi żyć również z tą drugą. Nie uwierzyłbyś, jak bardzo przypominasz mojego ojca, a za takiego człowieka jak on nigdy nie chciałabym wyjść za mąż!

Wyszła z godnością i trzasnęła drzwiami. Jens przez kilkanaście długich sekund nie odrywał wytrzeszczonych oczu od drzwi. Potem opadł na krzesło za biurkiem. Najpierw popatrzył na stojące naprzeciw szafki, potem złapał się obiema rękami za głowę i z całej siły odepchnął się na krzesło do tyłu. Warknął głośno i przesunął krzesło do przodu. Kątem oka zobaczył wyciągniętą szufladę. Uderzył ją, żeby się zamknęła. Zacięła się. Uderzył mocniej! Jeszcze mocniej, aż zaczęła go boleć ręka.

- Cholerna dziwka! - przeklął i kopnął szufladę z taką siłą, że wreszcie się zamknęła.

Zerwał się z krzesła i potarł twarz dłońmi. Z wewnętrznego zamętu zaczęło wyłaniać się powoli niezadowolenie z siebie, potem nieszczęśliwa miłość i wreszcie ściskająca za serce myśl, że jego syn ma na imię Danny i że wystarczy dwugodzinna podróż, żeby go zobaczyć.

Wytrzymał trzy tygodnie. Myślał o tym, że spotkanie z dzieckiem nie przyniesie nic dobrego. Będzie miał wielką ochotę zabrać je, wychowywać, nigdy nie oddać.

Wreszcie zwyciężyła ojcowska miłość.

Drzwi otworzyła pani Schmitt. Wyglądała tak samo jak w tych czasach, kiedy razem pracowali w kuchni w Rose Point.

- Tak... - powiedziała. - Powinam się domyślić, że jednak się zjawisz.

- Sporo wody w rzece upłynęło, co, pani Schmitt?

- Możesz wejść do środka. Pozostali krewni chłopca wchodzili. Jak mogli myśleć, że uda mi się go ukryć?

Wszedł za nią do domu. Hulduh obudziła śpiące dziecko. Jens miał wrażenie, że wybuchają w nim i płoną gwiazdy.

Tam, gdzie kiedyś miał serce, teraz płonęło słońce. Wziął niezbyt jeszcze przytomnego Danny'ego z rąk pani Schmitt, podniósł do góry, pocałował i zaczął uspokajać, kiedy chłopiec się rozplakał, drżący i niezadowolony, że go obudzono. Jens tulił go w ramionach: małego, ciepłego ślimaczka, pachnącego sikami. Łagodnie kołysał syna, nosił na rękach, całował w czoło.

Spędził z nim całe popołudnie. Poznał matkę Hulduh, zjadł strucle, napił się kawy i poznawał swojego syna.

- Sądzę, że to jego matka powiedziała ci, gdzie go szukać.

-Tak.

- Prawdę mówiąc, spodziewałam się ciebie wcześniej.

- Nie wiedziałem, czy przyjeżdżać tu czy nie. Trudno będzie go zostawić.

- Ona też tak mówi. Za każdym razem.

Jens nie odpowiedział, tylko popatrzył na obwisłe policzki Hulduh Schmitt i na puciołowatą twarzyczką swojego syna.

- Ona przychodzi w czwartki - dodała Hulduh.

- Bałem się, że może już go zabrała. Powiedziała, że ma taki zamiar.

- Chce, ale co ma z nim zrobić? Jest młoda i nie ma męża. Skąd ma wziąć pieniądze? Moim zdaniem, to twoja sprawa. Powinieneś się z nią ożenić, Jens.

-Ech... Nie mieliśmy żadnych szans. Ona jest taka sama, jak jej ojciec, a ja zaczynałem karierę w kuchni. Powinniśmy to rozumieć od samego początku.

Pani Schmitt pokiwała głową, chociaż nie wyglądała na przekonaną.

- To miły chłopczyk i kocham go, jak nikogo na świecie. Nie przeczę, że dzięki pieniądzom Barnettów żyje mi się lepiej, ale moim zdaniem to przestępstwo, że Danny nie jest z rodzicami.

* * *

W czwartek pani Schmitt powiedziała:

- Był tu twój chłop.

Lorna gwałtownie uniosła głowę, ale po chwili odezwała się z pogardą:

- Długo się zastanawiał.

- Zostawił trochę pieniędzy pod filizanką. Powiedziałam, że ojciec panienki daje mi więcej niż trzeba, ale i tak zostawił te pieniądze. Pomyślałam, że panienka powinna je wziąć.

- Nie, dał je pani.

- Ojciec panienki już mi zapłacił. Nieuczciwie byłoby brać podwójną zapłatę za jedną pracę. Proszę... - potrząsnęła ręką. - Niech panienka weźmie.

Lorna ze złością popatrzyła na zwitek banknotów w ręce pani Schmitt. Cholerny, uparty, norweski osioł! Może sobie te pieniądze wsadzić gdzieś. Zresztą, zapłacił pewnie za to, żeby oczyścić swoje sumienie.

Wzięła jednak pieniądze z ręki pani Schmitt i wsunęła je do kieszeni.

- Kiedy tu był?

- We wtorek.

- Zamierza wrócić?

- Powiedział, że w najbliższy wtorek.

* * *

We wtorek pani Schmitt powiedziała:

- Dałam pieniądze twojej kobiecie.

- Miały być dla dziecka.

- Tak? Nie wiedziałam. Panienska Lorna wzięła je.

Jens wychodząc znów zostawił pod filiżanką banknoty.

Pani Schmitt przyzwyczaiła się do spotkań z nimi w ustalone dni: wtorki i czwartki. Życzyła im jak najlepiej, ale oni najwyraźniej nie potrafili pokonać dzielących ich różnic.

Nadszedł kwiecień. Lorna zadrezczała wszystkim, którzy chcieli jej słuchać, opowieściami o płatnym etacie w bibliotece i o tym, że ma nadzieję dostać tę pracę. Pieniądze od Jensa odkładała.

Zbliżał się maj. Właściciele letnich rezydencji w White Bear przygotowywali się do lata. Dzień przed wyjazdem rodziny Barnettów - wyjazdem, który miał zwiększyć odległość dzielącą ją do Danny'ego - Lorna pojechała ostatni raz odwiedzić synka.

Zazwyczaj pukała do drzwi i wchodziła do środka, nie czekając aż jej otworzą.

W ten ciepły, wiosenny dzień postąpiła tak samo. Zawołała: - Dzień dobry wszystkim! - i weszła przez przedpokój do salonu. Usłyszała, że ręczna wyciskarka przy pralce pracuje i że Hulduh, zajęta pracą, prawdopodobnie nie wie, że ma gościa.

Weszła do kuchni.

Jens trzymał na rękach Danny'ego, a Hulduh prała. Lorna przystanęła, a serce rozpoczęło w jej piersiach dziki taniec.

- Och - powiedziała i zaczerwieniła się. - Nie wiedziałam, że tu jesteś.

- Myślałem, że przychodzisz w czwartki.

- Zazwyczaj tak, ale jutro wyjeżdżam z rodziną nad jezioro, więc przyszedłam. Teraz dojeżdżanie do Danny'ego będzie zajmowało mi więcej czasu i....

Jens stał, trzymając na silnej ręce swojego syna, jasnowłosego jak on sam, i robił się coraz czerwieńszy.

- Mama! Mama! - krzyknął nagle Danny i zaczął wyrwać się ojcu, chcąc dostać się do matki. Lorna postawiła paczkę i podeszła do niego, uśmiechnęła się i pierwszy raz w życiu wzięła Danny'ego z rąk Jensa.

- Dzień dobry, kochanie!

Pocałowała go w policzek i obróciła się wokół własnej osi.

Dwie starsze kobiety patrzyły na nią: *Grossmutter* z fotela na biegunach, a Hulduh znad drewnianej pralki.

- Tęsknił za panią. Codziennie mówił mama.

- Mówiłeś „mama”?

- Mama - powtórzyło dziecko.

- Przyniosłam ci coś pięknego. Patrz!

Usiadła przy stole, z Dannym na kolanach, i zaczęła rozwiązywać paczkę.

- Otworzymy i zobaczymy, co tam jest?

Lorna starała się poradzić sobie ze sznurkiem i z paplającym dzieckiem. Jens przyszedł jej z pomocą:

- Daj, potrzymam go, a ty otwórz paczkę.

Kiedy brał syna z jej kolan, uniosła głowę i napotkała jego wzrok. Poczowała drżenie w całym ciele. Przez ułamek sekundy zdążyła zauważyć świeżo ogoloną twarz, dobrze wyprasowaną koszulę, bardzo niebieskie oczy i przepiękne usta.

Jens powiedział cicho: - Otwórz - a potem zwrócił się do syna: - Patrz, mama coś ci przyniosła.

Kiedy Lorna usłyszała, że Jens nazywa ją mamą, jej palce zrobiły się sztywne jak z drewna. Wreszcie udało się jej rozerwać sznurek i wyjęła małego futrzanego misia z oczami z guziczków i z noskiem ze skóry. Danny wyciągnął do zabawki rączki i Jens posadził go na kolanach Lorny. Dziecko przyglądało się misiowi i nie przestawało paplać.

- Bas - dah, bas - dah.....

- Kupiłam go za twoje pieniądze - powiedziała Lorna, nie podnosząc oczu. - Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego.

-Nie.

- Dotąd nic mu nie przynosiłam.

- Ja też nie.

Chciała spojrzeć mu w oczy, ale się bała. Trudno było zapanować nad uczuciami. Ciągle jeszcze miała mocno zaróżowioną twarz. Kiedy oboje zajmowali się dzieckiem, pani Schmitt prała i prała. W końcu Lorna zaoferowała swoją pomoc.

- Ach, nie, niech się panienka pobawi z dzieckiem. Tak rzadko je pani widuje.

- Bzdura! A pani będzie prała jego pieluszki? Tyle przynajmniej mogę zrobić. Podała dziecko Jensowi, zdjęła kapelusz, podciągnęła rękawy i pomogła uprać w ocynkowanej balii całą stertę pieluch; potem przepuszczała je przez wyżymaczkę, a pani Schmitt kręciła korbą. Kiedy wszystkie pieluszki leżały już w koszu, Lorna spytała:

- Mogę je rozwiesić?

- Sądzę, że w tej pięknej sukni nie powinna panienka tego robić. Cała się panienka zmoczyła.

Lorna otrzepała spódnicę.

- Och, nic nie szkodzi. Naprawdę. Chciałabym rozwiesić pieluszki.

- Skoro panienka chce. Spinacze wiszą w woreczku, na końcu sznurka.

Lorna oparła kosz z pieluszkami na lewym biodrze i uciekła od Jensa. W jego obecności nie mogła się uspokoić. Wyszła tylnymi drzwiami. Był słoneczny, bezchmurny dzień. Pod gołym niebem łatwiej jej było oddychać i odzyskać zdrowy rozsądek. To było całkiem przypadkowe spotkanie. Ona, Jens, Danny: są oddzielnymi istotami, a nie rodziną. Głupio udawać, że jest inaczej.

Lorna postawiła kosz i wyjęła z niego mokrą pieluszkę. Nigdy w życiu nie wieszała prania. W domu robiła to służba. Widziała jednak pokojówki wieszające ręczniki i postąpiła tak samo: znalazła dwa rogi i trzepnęła pieluszką. Powiesiła ją. Wzięła następną. Bardzo jej się to podobało. Wiatr rozwiewał jej włosy, a wilgotna tetra wydymała się jak żagiel, pachnąc ługowym mydłem.

Wieszała trzecią pieluszkę, kiedy w drzwiach pojawił się Jens. Ruszył ścieżką ku niej. Lorna odwróciła się tyłem i wzięła następną pieluchę. Kiedy się wyprostowała, Jens stał przy patyku, na którym zawieszono sznur. Opierał się o niego rękami.

Lorna trzepnęła pieluszką i powiesiła ją.

- A więc przyjeżdżasz tu co tydzień? - spytał.

- Jak wiesz od pani Schmitt.

- Ja przyjeżdżam we wtorki, ale w ten wtorek muszę pojechać do Duluth.

Lorna nie odpowiadała.

- Ktoś stamtąd chce zamówić łódź. Żadnej odpowiedzi.

Lorna powiesiła następną pieluszkę. Jens starał się udawać, że na nią nie patrzy. Po chwili jednak, kiedy uniosła ręce, żeby przypiąć dwa spinacze, wbił w nią wzrok. Jej piersi, pełniejsze niż przed porodem, odznaczały się wyraźnie na tle zielonej trawy. Jej profil i usta wydały mu się ładniejsze niż kiedykolwiek. Miała twarz dojrzałej kobiety, a nie dziecka. Wiatr wyszarpnął jeden kosmyk jej włosów i uderzał nim lekko o policzek Lorny. Pieluszka wydeła się i przykleiła jej do ramienia. Odruchowo odsunęła ją i się-

gnęła po następną. Jens pomyślał o dziecku, które zostawił w domu; o ich dziecku.

- W życiu nie widziałem nic piękniejszego od niego -powiedział szczerze Jens. Był wzruszony.

- Będzie taki sam, jak ty.

- To chyba dobrze?

- Obawiam się, że będzie równie uparty.

- No tak; jestem Norwegiem.

Przez długą chwilę patrzył na odległy las. Potem opuścił ręce, potarł dłonie i zaczął zastanawiać się, co powiedzieć.

Nic mu nie przyszło do głowy. Przesząpił z nogi na nogę i mruknął:

- Do diabła, Lorna... Rzuciła mu krótkie spojrzenie.

- Do diabła, Lorna, i co?

Łopotanie pieluszki podkreślało rytm jej słów.

- Podejrzewam, że masz żal o to, że biorę twoje pieniądze?

-Nie!

- A więc co?

- Nie wiem, co.

Znów upłynęła długa chwila, zanim spytał:

- Twoja rodzina wie, że go odwiedzasz?

- Nie. Myślę, że pracuję w bibliotece.

- Widzisz? Nie chcesz się przed nimi przyznać. Nadal tańczysz tak, jak ci zagrają.

- A czego się spodziewasz?

- Niczego - powiedział i ruszył do domu. - Niczego. Lorna kopnęła kosz i poszła za nim.

- Do diabła z tobą, Jensie Harkenie! - Uderzyła go pięścią między łopatki. - Nie odwracaj się do mnie plecami!

Zatrzymał się, zdumiony. Lorna stała, opierając ręce na biodrach. W jednej ścisnęła spinacz. W piwnych oczach lśniły łzy. Jeszcze nigdy nie była tak piękna.

- Poproś! - rozkazała. - Do diabła, ty zawzięty Norwegu, poproś mnie!

Nie poprosi. Dopiero kiedy stanie się dla niej ważniejszy od rodziców. Może go kochać, jak długo zechce, ale to mu nie wystarczy.

- Jeśli się ich wyprzesz.

- Nie mogę sobie na to pozwolić! Pieniądzy, które dajesz, nie wystarczy dla mnie i dla Danny'ego!

- Pogódź się z nimi.

- Nigdy!

- W takim razie jesteśmy w sytuacji bez wyjścia.

- Kochasz mnie! Nie mów, że nie!

- Co do tego nigdy nie było najmniejszych wątpliwości. Pytanie, czy ty mnie kochasz?

- Czy ja cię Kocham! Jencie Harkenie, to ja cię cały czas ścigałam. Nie możesz zaprzeczyć. To ja przyszedłam do kuchni! Ja przyszedłam do szopy! Ja przyszedłam do twojego pokoju!

- Dopóki nie zaszłaś w ciążę. Potem chowałaś się przede mną i przed wszystkimi znajomymi. Nadal starasz się wszystko ukrywać. Jak sądzisz, jak ja się z tym czuję?

- A jak ty sądzisz, jak ja się czuję, odwiedzając po kryjomu własne dziecko, ponieważ nie mam męża?

- Nadal nie rozumiesz, co powinnaś zrobić?

- Oprócz tego, żeby tu stać i robić z siebie idiotkę? Nie... nie rozumiem!

Nie mógł się powstrzymać: uśmiechnął się. Sytuacja nie była zabawna, ale Lorna wyglądała tak cudownie na wąskiej ścieżce, z rozwianymi włosami, wzburzona. Dobry Jezu, jakże łatwo byłoby zrobić trzy kroki, objąć ją i przytulić, całować ją w świetle dnia i mówić, że odtąd będą wszyscy razem.

A co później? Kłamać? Mówić, że adoptowali dziecko? Po to, żeby zachować twarz?

Albo przyzna się przed wszystkimi, albo go nie dostanie.

Uśmiechał się jednak, ponieważ wyglądała tak ponętnie, a on tak bardzo jej pożądał. Sama przyznała się przed chwilą, że go kocha i że dla niego robi z siebie idiotkę.

- Z czego się śmiejesz?

- Z ciebie.

- Przestań!

- To twoje słowa, nie moje. Jeśli sama czujesz, że robisz z siebie idiotkę, to może nie bez powodu?

Bez żadnego ostrzeżenia rzuciła w niego spinaczem. Odbił się od jego czoła i wylądował na trawie.

- Aj! - krzyknął i cofnął się, sycząc. - A to za co?

- Nie wyjdę za ciebie, nawet gdyby moi rodzice mnie o to błagali!

Jens zrobił jeszcze jeden krok do tyłu i opuścił rękę.

- Oboje wiemy, że do tego nigdy nie dojdzie i tak wróciliśmy do punktu, w którym rozpoczęliśmy tę rozmowę.

Odwrócił się i ruszył w kierunku domu. Po kilku krokach odwrócił się jeszcze raz:

- Od tej pory staraj się przychodzić tu zawsze tylko w czwartki.

Rzuciła w niego następnym spinaczem. Przeleciał nad jego ramieniem i wylądował w trawie. Przez chwilę patrzyli na siebie, zagniewani.

- Postaraj się dorosnąć, Lorno - powiedział spokojnie Jens, odwrócił się i zostawił ją samą.

Zamykając za sobą drzwi, jakby odkręcił kurek w oczach Lorny. Otarła łzy rękawem i podeszła do sznurka, żeby powiesić ostatnią pieluszkę. Wyjęła ją z kosza, strzepnęła i podniosła ręce do góry, a wtedy z jej oczu popłynął potok. Szlochała, aż całe jej ciało drżało; na koniec poczuła się tak słaba i wiotka, jak pieluszka. Upadła na kolana, zgięła się w pół, owinęła mokrą pieluszkę wokół dłoni i kiwała się bezmyślnie.

I płakała... płakała... płakała...

Rozdział 19

To spotkaniu z Jensem Lorna czuła się bardzo nieszczęśliwa. Wreszcie zobaczyła Danny'ego razem z ojcem i tak długo obracała w myślach ten obraz, aż stał się bardziej prawdziwy od rzeczywistości. Wyobrażała sobie, że mieszkają we trójkę na poddaszu nad warsztatem. Na sznurku suszyły się pieluchy Danny'ego. W południe gotowała obiad, a wieczorami wypływali we trójkę na jezioro. W nocy spała z Jensem w wielkim drewnianym łożu.

Świadoma, że to najpewniej nigdy nie nastąpi, często płakała.

Następnym razem, kiedy pojechała do pani Schmitt, Jensa nie było; spotkanie z Dannym nie przyniosło zwykłej radości. Dni, które nastąpiły później, wydawały się puste i bezsensowne; nie prowadziły do niczego, tylko do kolejnych pustych dni.

Pewnego dnia w sklepie w White Bear Lake Lorna spotkała Mitcha Armfielda.

- Lorna?

Słyszając swoje imię odwróciła się i zobaczyła go w przejściu.

- Mitch - powiedziała z uśmiechem. - Mój Boże, Mitch, to ty?

Przez ostatnie dwa lata bardzo urósł. Był wysokim, dobrze zbudowanym, opalonym i przystojnym młodym mężczyzną, a nie skłonnym do rumieńców chłopcem. Uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- To ja.
- Co się stało z tym chudym chłopcem, który uczył mnie żeglowania?
- Nadal pływa. A co u ciebie?
- Też pływam, najczęściej na jednomasztowcu, zwykle sama.
- Zauważyliśmy. Mamy wrażenie, że nie chcesz się pokazywać.
- Rzeczywiście. Ja... - Nie skończyła; odwróciła wzrok, dotknęła miękkich ręczników. Mitch grzecznie zaczekał, ale kiedy cisza przedłużała się, powiedział:
 - Podczas nocnych zabaw i koncertów wszyscy zastanawiają się, gdzie jest Lorna. Szczególnie Phoebe.
 - Jak jej się żyje?
 - Dobrze, ale bardzo za tobą tęskni.
 - Ja też. Wiele czasu spędzałyśmy razem.
 - Czy wolno mi być szczerym, Lorno?
 - Ależ oczywiście.
 - Złamałaś jej serce. Wyjechałaś do szkoły i nie napisałaś do niej ani jednego listu. Po powrocie nie odwiedziłaś jej. Phoebe myśli, że o coś się obraziłaś, ale nie wie o co. Czy to prawda?
 - Nie... och, nie - odparła szczerze Lorna i dotknęła rękawa Mitchella. - Była dla mnie najlepszą przyjaciółką.
 - Więc co się stało?
- Lorna patrzyła na niego bez słowa. Powoli opuściła rękę. Mijały minuty, a Mitchell czekał.
- Wiem, że bardzo jej ciebie brakowało, kiedy zaręczyła się i planowała ślub. Mówiła, że zawsze powierzałyście sobie wszystkie tajemnice. Wiem, że bardzo chciałyby znów przyjaźnić się z tobą.
- Ja też bym chciała - szepnęła Lorna.
- Wyraz jej twarz potwierdzał, że nie kłamie. W oczach miała tak wiele smutku, że Mitchell zaczął jej współczuć. Domyślił się, że zerwanie przyjaźni z Phoebe było dla niej równie bolesne jak dla siostry, chociaż nie znał powodów.

Wyciągnął rękę.

- Miło było cię zobaczyć. Czy mogę powiedzieć Phoebe o naszym spotkaniu?

- Jak najbardziej. Proszę, powiedz jej, że ją kocham. Mitch ścisnął dłoń Lorny.

- Powiem.

Przez cały dzień Lorna zastanawiała się nad tą krótką rozmową. W nocy nie mogła spać. Wstała o świcie i usiadła przy oknie. Patrzyła na wodę i rozmyślała nad tym, dlaczego właściwie odcięła się do Phoebe. Rezygnacja ze wsparcia przyjaciółki w najtrudniejszym okresie życia była wielką głupotą. Czy zrobiła to ze wstydu? Tak, chyba tak. Matka powiedziała, że ludzie będą wstrząśnięci i przerażeni, że nie będą chcieli znać Lorny, która urodziła nieślubne dziecko. Czy Phoebe będzie przerażona? Czy zerwie znajomość z Lorną? Nie. W głębi serca Lorna nie wierzyła, żeby jej przyjaciółka mogła tak postąpić. To dziwne, ale ona sama odcięła się od wszystkich i teraz nie potrafiła zrozumieć, dlaczego.

Następnego dnia Lorna obudziła się z oczami opuchniętymi z braku snu. W sercu czuła jednak ożywienie. Około czwartej nad ranem podjęła decyzję. Wstała szybko, jakby chciała nadrobić stracony czas.

Tak spieszyła się na spotkanie z Phoebe, że nie zjadła śniadania. Zrobiła kompres na oczy, ułożyła włosy w kok „dziewczyna Gibsona”, ubrała się w spódnicę w zielone liście i białą bluzkę. O dziesiątej trzydzieści stanęła w drzwiach Willi Armfieldów. Kiedy Phoebe, przywołana przez pokojówkę, zeszła po schodach i zobaczyła Lornę, zwolniła kroku. Wykrzywiła twarz, jakby miała zamiar się rozpłakać, po czym zbiegła po trzech ostatnich stopniach i rzuciła się Lornie w ramiona.

- Och, Lorna... To ty?

- Phoebe, kochana, tak, tak... Wróciłam.

Tuliły się i cieszyły. Oczy zaszyły im mgłą, ale obie czuły się szczęśliwe.

Phoebe odsunęła się wreszcie.

- Mitch powiedział, że rozmawiał z tobą, ale bałam się mieć nadzieję.

- Rozmawiał ze mną i pomógł mi zobaczyć wszystko w innym świetle. Należy ci się długa rozmowa i sądzę, że nadzedł czas, żeby ją odbyć.

Trzymając się pod rękę, weszły na górę. W pokoju Phoebe nic się nie zmieniło. Widok z okna wieżyczki był, jak zwykle, cudowny, a nad łóżkiem wisiał ten sam włóczkowy baldachim, który Lorna kiedyś zrzuciła i któremu przyglądała się podczas licznych dziewczęcych rozmów.

- Jak miło znów się tu znaleźć! - zawołała Lorna. Podeszła do okna i wyglądała przez chwilę, zanim odwróciła się do przyjaciółki. - Nie pamiętam, kiedy byłam tu ostatni raz.

- Dwa lata temu.

- Ach, tak. Wtedy, kiedy poznałam Jensa. Od tego czasu wiele się wydarzyło.

- Opowiesz mi?

- Tak... wszystko.

- Chodź... usiądź.

Phoebe oparła poduszki o zagłówek, a sobie przygotowała miejsce w nogach łóżka. Zdjęły buciki i usiadły ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw siebie.

Lorna uśmiechnęła się i powiedziała:

- Ty pierwsza. Czuję, że twoja historia jest o wiele szczęśliwsza od mojej.

- Dobrze. Jest przystojny, uprzejmy, denerwujący i pracowity. Kiedy spotkałam go po raz pierwszy, miałam wrażenie, że moje wnętrzości owinęły się wokół tchawicy i duszą mnie, ilekroć próbuję przełknąć ślinę.

Lorna roześmiała się:

- Twój pan Slatterleigh.

- Dennis, tak.

- A więc naprawdę się zakochałaś?

- Tak bardzo, że kiedy się zegnamy, boję się, że umrę.
 - Och, jakże się cieszę. Kiedy ślub?
 - Nie tak szybko, jak bym chciała. Pod koniec czerwca. Chciałam, żebyś była moją druhną, ale bałam się prosić. Trzeba było wszystko planować, szyć suknie, a ty byłaś taka zamknięta w sobie i niechętna...
 - Wiem. Przepraszam, Phoebe. Mitch powiedział, że boisz się, że obraziłaś mnie, ale nie o to chodzi. To ja...właśnie ja... ta sytuacja, o to chodziło.
 - Jaka sytuacja?
 - Często zastanawiałam się, czy rzeczywiście niczego się nie domyślasz... W końcu znasz mnie tak dobrze. - Spojrzała na Phoebe. - Właściwie wiedziałyśmy o sobie wszystko.
 - Chodziło o Jensa Harkena, tego od jachtów, oczywiście.
 - Tak... Oczywiście. Zakochaliśmy się w sobie tego lata, kiedy budował „Lornę D.”.
 - I?
 - Urodziłam mu dziecko.
- Phoebe nie zachnęła się ani nie skurczyła. Wypuściła powietrze, bo z napięcia przestała na moment oddychać. Potem pochyliła się i podała przyjaciółce obie ręce.
- Lorna ujęła je.
- A więc nie byłaś w szkole?
 - Nie. Byłam w klasztorze koło Milwaukee, otoczona zakonnkami.
- Opowiedziała przyjaciółce całą historię, nie pomijając żadnego szczegółu. Kiedy zaczęła wspominać ostatnie spotkanie z Jensem u pani Schmitt, drżała i z trudem powstrzymywała łzy.
- I - zakończyła - zostawił mnie samą na podwórku.
 - Czy mówiłaś poważnie, że nie wyszłabyś za niego, nawet gdyby twoi rodzice cię błagali?
 - Nie - odparła Lorna słabym głosem. - Byłam tak zdenerwowana, że mówiłam, co mi ślina na język przyniosła. Nie marzę o niczym innym, tylko żeby wyjść za niego.

Na chwilę znów pogрузyła się w marzeniach. Phoebe widziała, że w jej oczach pojawił się całkiem nowy wyraz.

- Pamiętam coś, co powiedziałaś mi dawno temu, kiedy go poznałaś. Pamiętasz ten dzień, kiedy wyznałaś mi, że go kochasz? Byłaś tego absolutnie pewna i mówiłaś o tym z wielką powagą. Potem powiedziałaś coś, czego nigdy nie zapomnę. Powiedziałaś, że kiedy jesteś z nim, życie ma sens, a kiedy od niego odchodzisz, czujesz, jakby do twojego serca wkradł się listopad.

- Tak powiedziałam?

- Tak; miałaś takie piękne, smutne oczy. Byłam przekonana, że kiedyś znajdziesz sposób, żeby z nim być, bez względu na to, co mogą powiedzieć rodzice. Wydaje mi się, że powinnaś za niego wyjść. Zawsze tak myślałam.

- Och, Phoebe, tak bardzo chcę... tak bardzo.

- A więc zrób coś.

- Co? On jest tam, ja tutaj, a moi rodzice nie zmienili zdania.

- Oczywiście, że nie. Jeśli będziesz na to czekała, możesz czekać całe życie. Jens miał rację, kiedy mówił, że gdybyś go naprawdę kochała, wyparłabyś się ich. Ja bym tak zrobiła.

- Wyparłabyś się rodziców?

- Dla mężczyzny, którego kocham? Oczywiście.

- Ale Phoebe, Jens powiedział....

- Tak, Jens powiedział, potem ty powiedziałaś, na co on odpowiedział, a ty odparłaś i tak dalej. Oboje byliście zdenerwowani, rozzłoszczeni, uparci i gadaliście głupoty. A przecież się kochacie. Macie dziecko i chcecie je wychowywać. Rodzice powtarzali, że to wstyd i hańba, a ty połknęłaś ich haczyk. Zamiast posłać ich do diabła, odrzuciłaś Jensa.

- Nie, Phoebe! Jak możesz tak mówić?

- Na to wychodzi. Wybrałaś przecież rodziców?

- Nie!

- Och, Lorna, przestań się oszukiwać i posłuchaj Jensa.

Dopóki kryjesz się z miłością do niego, przyznajesz, że nie jest wystarczająco dobry dla dziewczyny z takiej rodziny. Jeśli chcesz go mieć, nie kryj się z tym! Weź Danny'ego od pani Schmitt i... pójdz z nim do rodziców; powiedz: Słuchajcie, albo przyjmiecie moje dziecko i mojego męża, albo mnie więcej nie zobaczycie.

- Raz im tak powiedziałam.

- Tak, ale to były tylko słowa. Nic nie zrobiłaś. Ciągłe mieszkasz z nimi. Nie postawiłaś żadnych żądań. Na twoim miejscu nie byłabym taka bierna! Ja... Ja... - Phoebe podniecała się coraz bardziej. Wstała, gestykulując chodziła wokół łóżka. - Zabrałabym Danny'ego w miejsce publiczne; gdzieś, gdzie...

- Wszyscy by go zobaczyli?

- Tak jest. Może na regaty. I...

- Regaty?

- ... trzymałabym go na rękach i pokazałabym mu tatę w łodzi...

- Gadasz głupstwa.

- ... i powiedziałabym: „Widzisz żagiel tatusia? Widzisz jacht, który zbudował? Znają go w całej Ameryce, a ja przyszłam tutaj, żeby pokazać całemu światu, że zdecydowałam się!”

Słowa Phoebe były tak wstrząsające, że przyjaciółkom zapało dech w piersiach. Patrzyły na siebie, zachwycone wizją dzielnych czynów Lorny.

- Zrobiłabyś to, Phoebe?

- Nie wiem. - Phoebe opadła na łóżko. - Szukałam wyjścia, myślałam... Chciałam ci pomóc.

- Zrobiłabyś to?

Phoebe patrzyła na Lornę, Lorna na Phoebe. Żadna nawet nie mrugnęła.

- Lorna, a ty?

Pomysł był zbyt śmiały, żeby potraktować go poważnie, ale one myślały poważnie, aż z podniecenia zaróżowiły im się policzki.

- To byłoby coś, Lorna. Ty, z Dannym na ręce...
- A mój ojciec na „Lornie D.”...
- Twoja matka widziałaby cię z trawnika przed klubem...
- A Jens będzie kapitanem. Na jakim jachcie?
- Na „Manitou”.
- „Manitou”.

Po chwili milczenia Lorna spytała:

- Czy mówi się, że Jens wygra?
- Nikt nie wie. Mówią, że łącznie z jachtem twojego ojca będzie dziesięć łodzi o płaskim dnie. Mówi się też, że Jens dokonał jakichś modyfikacji na jachcie Tima, ale nie chce ich ujawnić przed czasem i nikt nie może się niczego domyślić. Wszyscy są jednak zdania, że Harken jest wybitnym specjalistą.
- Wygra - powiedziała Lorna. - Wiem, że wygra. Ma to we krwi.
- A co z tobą?

Lorna przewróciła się na plecy, jak dawniej. - Jens chciał, żebyś się ich wyparła. To załatwiłoby sprawę, nie sądzisz? Phoebe klęknęła i zjrzała Lornie w oczy.

- Chyba nie myślisz o tym poważnie?
- Nie wiem.
- Wielkie nieba, ty mówisz poważnie!
- Musisz przyznać, że sensacja, jaką wzbudzę, będzie warta wstydu. Dotąd byłam zbyt miękka. Chcę wyjść za Jensa Harkena.

Phoebe położyła się obok Lorny. Przez dłuższą chwilę milczały patrząc w górę i rozmyślając nad tym dziwnym pomysłem.

- Potrzebuję tylko kogoś, kto stanie przy mnie - mruknęła Lorna. - Zrobisz to dla mnie?
- Phoebe odszukała dłoń Lorny i ścisnęła ją bardzo mocno.
- Oczywiście.

Pomyślała chwilę, zebrała się na odwagę i dodała:

- Powiem ci coś, o czym nie mówiłam nikomu na świecie.

Odwróciła głowę, spojrzała Lornie w oczy i wyznała:

- Jedyna różnica między tobą a mną polega na tym, że ty wpadłaś, a ja nie.

* * *

Może wyznanie Phoebe, że i ona leżała ze swoim kochankiem, a może fakt, że Lornie tak długo nie dane było doświadczyć szczęścia, a może jedno i drugie sprawiło, że zdecydowała się walczyć. Tak czy inaczej, kilka godzin po rozmowie z Phoebe Lorna zdecydowała się, że zrobi tę zuchwałą, niesłychaną rzecz.

Regaty miały odbyć się już za półtora tygodnia. Od kiedy Phoebe podsunęła jej tę myśl, Lorna dniem i nocą o niczym innym nie myślała. Oczywiście wyobraźni widziała siebie, Jensa i Danny'ego; matkę, ojca i dziecko; rodzinę.

Wyobrażała sobie, jak rodzice przyglądają się temu spotkaniu i traciła odwagę.

Wyobrażała sobie, że resztę życia spędzi w tym więzieniu i odwaga wracała.

Podczas następnej wizyty u pani Schmitt Lorna przyniosła ze sobą paczuszkę z maleńkim, granatowo-białym marynarskim ubrankiem.

- Chciałabym, żeby w przyszłym tygodniu ubrała pani Danny'ego w to ubranko. Przyjadę w sobotę, wcześniej niż zwykle, i zabiorę go.

- A więc nadszedł ten dzień?

Lorna dotknęła spracowanej dłoni pani Schmitt.

- Przykro mi, że go pani zabieram. Wiem, że pani też go kocha.

- A więc nie zamierza go panienka odwozić?

- Nie. Mam nadzieję, że wszystko będzie tak, jak wymarzyłam.

- Panienka i Harken.

- Tak. Mam nadzieję. Jest uparty, ale... zobaczymy. Pani Schmitt zdjęła okulary i wytarła je fartuchem.
- Tak powinno być. To niewłaściwe, żebyście prowadzili osobne życie.
- Będę starała się przysyłać pani pieniądze.
- Proszę się o mnie nie martwić. Mam...
- Trochę oszczędności - weszła jej w słowo Lorna. - Tak, wiem, ale i tak będę starała się pomóc pani.

* * *

W sobotę Jens obudził się przed świtem. Z kubeczkiem kawy opuścił poddasze i wyszedł na dwór. Jego kroki dudniły na pomoście.

„Manitou” kołysał się na wodzie, chlupocząc. Jens bezwiednie zaczął kołysać kubeczkiem.

Upił łyk i wszedł na pokład, lśniący od porannej rosy. Rozstawił nogi i kiwał się w rytm fal, uderzających o kadłub. Ruszył przed siebie, po drodze dotykając różnych rzeczy: sznura, płótna, metalu... Upił jeszcze jeden łyk kawy.

Dotknął czegoś. Łyknął. Dotknął.

Na wschodzie niebo pojaśniało. Między wręgami kołysała się woda. Jens kucnął, żeby ją wytrzeć. W takich chwilach czuł obecność swojego ojca. Żałował, że nie mogą być razem, że nie może pokazać ojcu tego, co udało mu się osiągnąć, że nie słyszy jego głębokiego, spokojnego głosu.

Słońce wyjrzało przez wąską szparkę wśród chmur i ozłociło czubki drzew, szczyty masztów i włosy Davina, który wyszedł na pomost boso, z kubkiem w dłoni, we wczorajszej wymiętej koszuli, wypuszczonej na spodnie.

- Wczesnie wstałeś, Jens.

- Nie mogę spać.

- Tak, wiem. Ja też zasnąłem dopiero po północy. Leżałem i myślałem.

Po chwili milczenia Jens spytał:

- Myślisz czasem o ojcu? -Tak.

- Chciałbym, żeby był teraz z nami.
 - Ja też.
 - Dobrze nas przygotował do życia.
 - Też tak myślę.
 - Nauczył nas wierzyć we własne siły. Dzisiaj wygramy albo przegramy, ale to, czego on nas nauczył, pozostanie w nas.
 - Wiem, że bardzo zależy ci na wygranej.
 - A tobie?
 - Też; ale w moim wypadku to co innego. To nie mnie Gideon Barnett będzie chciał poniżyć.
 - Walka będzie zacięta, to pewne.
 - Sądzisz, że jego łódź może wygrać?
 - Oczywiście, że może. Sam ją zaprojektowałem. Jest cholernie szybka; podobnie jak „Gwiazda Północy”. Ale zmiany, których dokonałem na „Manitou”, powinny zapewnić nam przewagę.
 - A co z klubem Minnetonka? Martwi cię któryś z ich jachtów?
 - Nie; największy kłopot to „Lorna D.”. Davin poklepał Jensa po ramieniu:
 - Jeśli będziemy się tu pętać, czas wcale nie upłynie szybciej. Chodź na górę. Cara da nam coś ciepłego na śniadanie. Regaty miały rozpocząć się w południe. Ranek ciągnął się niemiłosiernie. Jens zjadł niewiele, długo się ubierał. Jak zawsze, cieszył się wkładając klubowy sweter. Przysiągł sobie, że któregoś dnia zostanie członkiem klubu. Tim przyszedł ze swojej chaty, wystrojony na biało, uśmiechnięty.
 - A więc dzisiaj będę mógł zabrać swoją łódź i trzymać ją u siebie?
- Jensowi niezłe się od przyjaciół dostało za to, że przez kilka ostatnich dni trzymał łódź u siebie, podobno po to, żeby dokonać koniecznych ulepszeń. Wszyscy wiedzieli, że to, co było do zrobienia, zostało zrobione dużo wcześniej.

- Gdyby ta łódź była kobietą, byłaby rozgrzana do czerwoności od ciągłego pieszczona - powiedział Davin.

- Jeśli Jens nie przestanie polerować boków - odezwał się Ben - trzeba je będzie na nowo lakierować.

Tim się uśmiechnął:

- Może powinienem mu ją odsprzedać. Mógłbym na tym niezłe wyjść.

Zjawili się pozostali członkowie załogi. Cara z dziećmi również weszła na pokład „Manitou”. Popłynęła z nimi do klubu, żeby z trawnika przyglądać się regatom. Płynęli szybko. Wiatr wiał z prędkością piętnastu węzłów i wkrótce wszyscy byli mokrzy.

Wyścigi klasy B już się rozpoczęły. Na trawniku stały tłumy. Mnóstwo ludzi spacerowało po pomoście, przyglądając się przycumowanym jachtom. Kiedy dostrzeżono żagiel oznaczony W-30, podniosły się radosne głosy.

- Posłuchaj, Jens. Zobaczyli twój numer.

Jens uśmiechnął się niepewnie, ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy. Zobaczył „Lornę D.” i Gideona Bar-netta, który razem z załogą sprawdzał otaklowanie. Słyszając wiwaty, Barnett wyprostował się i popatrzył na wodę, żeby sprawdzić, kto podpływa. Jens zauważył, że Barnett natychmiast po odczytaniu numeru odwrócił się i zaczął wydawać załodze rozkazy.

„Manitou” przybił do pomostu. Cara i dzieci zeszli z jachtu. Jens spojrzął na zegarek. Do spotkania kapitanów pozostało jeszcze piętnaście minut, ale na plaży już zaczął śpiewać dziewczęcy chórek. Reporterów i kibiców było mnóstwo. Jens sprawdził flagę klubową, powiewającą na kopule i wskazującą wiatr, popatrzył na chmury, pędzące na zachód, na pomarszczoną, powierzchnię wody. Załoga wyciągnęła na trawnik spinaker, żeby go sklarować. Jens został na pokładzie i kolejny raz sprawdził otaklowanie. Czuł się lepiej, kiedy miał coś do roboty.

Spojrzął na trawnik. Damy w powiewających na wietrze sukniach przytrzymały jasne, kolorowe kapelusze. Dzie-

ci biegały z lizakami w ustach i grały w berka wśród matczyńskich spódnic. Dziewczęcy chórek skończył swoją piosenkę i zaczął śpiewać następny chór. Jens dostrzegł Levinę Barnett i obie ciotki, siostry i brata Lorny. Zapewne będą kibicować Gideonowi. Lorny nie było z nimi.

Wreszcie nadszedł czas spotkania kapitanów.

Zdążając w stronę budynku klubowego, Jens przechodził w pobliżu Barnettów. Czuł na sobie ich spojrzenia, ale nawet na nich nie zerknął.

Blisko budynku klubowego kątem oka zauważył coś znajomego. Jakiś kolor, kształt, sylwetkę: coś, co sprawiło, że się odwrócił.

Tam stała Lorna.

I... i...

Dobry Boże, na rękach trzyma Danny'ego! Danny i Lorna są tutaj, na regatach! Teraz zobaczą ich wszyscy znajomi! Jens patrzył na nich przez chwilę. Zrobił krok w ich stronę, zatrzymał się wstrząśnięty i zachwycony. Jego syn i jego kobieta stoją tu, kilka metrów od niego, patrzą na niego!

Danny, w granatowo-białym marynarskim stroju, nerwowo szarpał czapkę, zawiązaną pod brodą.

Lorna pokazała Jensa palcem; poznał po ruchu jej warg, że mówi:

- Tam jest tata.

Danny przestał zajmować się czapką, spojrzął na ojca i rozpromienił się.

- Tata - pisnął, wyrywając się, żeby pobiec do Jensa.

W piersiach Jensa uniósł się śpiewający skowronek. Nigdy w życiu nie pragnął tak bardzo podejść do drugiej osoby.

Do spotkania kapitanów zostały tylko sekundy. Jeśli się spóźni i nie usłyszy instrukcji, może przegrać.

Za jego plecami ktoś zbliżał się drewnianym chodnikiem. Nagle kroki ucichły i twarz Lorny spochmurniała. Jens odwrócił się i zobaczył Gideona Barnetta, przyglą-

dającego się córce i wnukowi. Przez tłum przebiegł pomruk; Gideon zrobił się szary jak stary żagiel. W tym momencie do Lorny podeszła z uśmiechem na twarzy młoda kobieta.

- Dzień dobry, Lorno! Gdzie byłaś? Szukam cię i szukam. - Phoebe Armfield specjalnie mówiła głośno. - Cześć, Danny!

Nikt nie domyśliłby się, że widzi dziecko po raz pierwszy. Podeszła do Lorny i pocałowała najpierw dziecko, potem jego matkę.

Lorna z ociąganiem odwróciła spojrzenie, a wtedy Jens ruszył w stronę domu klubowego. Za plecami słyszał kroki Gideona.

Spotkanie odbywało się na balkonie na piętrze. Jensowi trudno było skoncentrować uwagę na tym, co mówił sędzia - oschły człowiek w białych spodniach, niebieskim blezer-ku i krawacie, z tablicą w ręce.

- Witam kapitanów! Dzisiejszy wyścig odbędzie się na planie trójkąta i zakończy się po stronie nawietrznej, po dwóch i jednej trzeciej okrążenia. Dziesięć minut przed startem wystrzelimy na znak, że czas się przygotowywać, pięć minut przed startem będzie strzał ostrzegawczy, a potem wystrzał na start. Wszyscy, którzy wystartują zbyt wcześnie, będą musieli zawrócić na linię startu.

Jens czuł, że Gideon Barnett wierci mu wzrokiem dziurę w plecach. Na spotkaniu było dziesięciu kapitanów: po pięciu z każdego klubu. Wszyscy mieli łodzie płaskodenne. Wyścig nie będzie powtórzeniem tego, co oglądano w zeszłym roku.

Spotkanie dobiegło końca.

- Pomyślnych wiatrów, panowie. Załogi na pokład.

Jens odwrócił się i zobaczył, że Barnetta już nie ma.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, jego oczy natychmiast powędrowały ku Lornie. Podejść do niej, czy iść prosto do łodzi? Wokół niej zebrała się grupka młodych ludzi. Rozpoznał członków klubu i jedną z ciotek. Agnes brała właśnie

Danny'ego z rąk Lorny. Jens przystanął, niepewny, z bijącym sercem. Lorna ruszyła ku niemu.

Stał bez słowa i czekał. Lorna podeszła prosto do niego i stanęła tak blisko, że wiatr owinał jej spódnicę wokół kostek Jensa. Wzięła jego spracowaną dłoń w swoje delikatne ręce i powiedziała:

- Pomyślnych wiatrów, Jens.

Jens ścisnął jej dłoń. Czuł, że lada moment coś rozsadzi mu piersi.

-Popłynę... dla ciebie i dla Danny'ego - udało mu się wykrztusić.

Potem ruszył ku „Manitou”. Spieszył się, niemal frunął! Wstąpił na wyżyny, na których mieszkają tylko bogowie. Na pokładzie natychmiast wyczuł, że załoga już wie, że z rozpoczynającymi się zawodami wiąże się jego osobiste rozgrywki. Przyjaciele odzywali się spokojnie, łagodnie się uśmiechali i o nic nie pytali.

Kiedy Jens usiadł przy rumplu i kazał odbijać, załoga „Manitou” od razu się zorientowała, że rozkazuje jej kapitan, który właśnie wygrał coś o wiele ważniejszego niż wyścig klasy A.

- Grot staw! Fok staw!

Mitch podniósł grotzagiel, Davin fok i W-30 na pomarszczonych wodach zatoki North Bay wślizgnął się między rywali. Powoli zbliżali się do linii startu. Dziesięć zwinnych, szybkich łodzi pływało to tu, to tam. Żeglarze przyglądali się rywalom, sprawdzali wiatr i starali się zająć najlepsze miejsce na starcie. Każdy z kapitanów spoglądał na widoczne w oddali żagle, sprawdzał flagę na budynku klubu i wskaźniki na własnych żaglach, wypatrywał śladów wiatru na wodzie i myślał, co zrobić, żeby już na początku zyskać przewagę nad rywalami.

Sędziowie wsiedli do łódek po obu stronach linii startu i przyglądali się niespokojnej flocie. Między szarymi chmurami zaczęły pojawiać się niebieskie plamy; gdzieś widać było słońce bardzo wysoko białe obłoki.

- Zdaje się, że widzę w górze skrawki nieba z białymi barankami - zauważył Jens. - To może zwiastować zmianę pogody. Uważajcie na zmienny wiatr.

Kiedy wystrzelono na dziesięć minut przed startem, Edward wyjął zegarek. Od tej pory na „Manitou” padały tylko słowa konieczne. Łódź pływała tam i z powrotem za linią startu. Przyglądali się innym jachtom, głównie „Lornie D.” i „Gwieździe Północy”.

Wystrzelono na pięć minut przed startem. Edward patrzył na zegarek.

- Pilnuj M-32 - powiedział Davin od fok. - Przepływa na zawietrzną.

Jens minął łódź klubu Minnetonka i popłynął dalej, na upatrzoną pozycję. W chwili, kiedy się tam znalazł, szepnął do Davina:

-Przepląniemy na zawietrzną. Wybieraj! Musimy znaleźć się tam jak najszybciej, kiedy linia łodzi zacznie się rozciągać.

Po chwili pięć, sześć, siedem innych łodzi znalazło się tak blisko, że ich bomby znajdowały się nad pokładami rywali. Minutę przed startem osiem łodzi, oddalonych od siebie o kilkanaście centymetrów, skierowało dzioby ku linii startu. Jens pozostał nieco z tyłu. Żagle zwiślały luźno, a „Manitou” lekko spoczywał na wodzie. Z lewej strony podpływała „Lorna D.”; słychać było okrzyki Gideona Barnetta:

- Z drogi! Z drogi! Dajcie mi miejsce!

Piętnaście sekund przed startem nagle powiał wiatr. Zapanował chaos. Ludzie wołali. Fale pluskały. Jakiś kapitan z klubu Minnetonka krzychał:

- Będziemy za wcześnie! Wyluzować żagle! Edward liczył:

- Dziesięć... dziewięć...

W takielunku pogwizdywał wiatr, gdy wybrano żagle. Łodzie zadarły dzioby. Załogi wychyliły się na odwietrzną. Jachty, zbliżając się do linii startu, zaczęły nabierać prędkości.

Nagle na linii startu pojawiło się wolne miejsce.

- Wybieraj, Davin, mam dziurę!

- ...osiem... siedem...

- Wybieraaaj! Wybieraj! - krzyczał Jens.

Davin wybrał fok. Mitch zajął się grotzagłem. Złapali wiatr, łódź nabrała prędkości.

- ... sześć... pięć „Manitou” przechylił się.

- Wyżej! Wyżej!

- ... cztery... trzy...

Załoga wspięła się na tę stronę, która uniosła się w górę. Wychylili się nad wodę tak, że plecami prawie dotykali pokładu sąsiedniej łodzi.

- ... trzy... dwa...

Padł strzał i „Manitou” przeciął linię startu.

Byli pierwsi. Statek Minnetonki, M-9, został całą długość za nimi; dalej płynął W-10.

Kiedy zbliżyli się do boi od nawietrznej, Edward krzyknął:

- W-10 złapał wiatr od Peninsula Point. Płynie na nas! Ktoś z „Lorny D.” wołał: - Sterburta! - domagając się wolnej drogi.

„Lorna D.” wyprzedziła ich i pierwsza opłynęła znak od zawietrznej. „Manitou” trzymał się tuż za nią.

- Zawracamy! Uwaga na głowy! - krzyknął Jens. Bom przeleciał na drugą burtę, kiedy minęli znak. - Bom spina-kera staw!

Przed nimi widać było znak nawrotu: pomarańczową boję, kołyszącą się na falach. Jens skierował się na nią, płynąc tuż za Barnettem. W oczach miał obraz Lorny, stojącej z Dannym na rękach.

- Na rufie mamy silną falę!

Jens odwrócił się i zobaczył ciemną, skłębioną wodę. Skierował tam łódź i poczuł, że gwałtownie przyspiesza.

Kiedy znaleźli się na trawersie „Lorny D”, Jens krzyknął:

- Miejsce przy boi!

Dostrzegł zawziętą twarz Barnetta.

Przez pewien czas płynęli obok siebie; raz jedna łódź, raz druga wysuwała się nieco naprzód, domagając się miejsca. „Manitou” i „Lorna D.” prowadziły, mijając znak od zawietrznej. Na trzecim miejscu znajdowała się „Gwiazda Północy”.

Wiatr kapryśnie zmieniał siłę i kierunek. Mitch nieustannie pracował przy grotzagli, a Davin przy fokiu.

Kiedy ostatni raz podpływali do znaku od zawietrznej, twarze mieli poważne, a serca zawzięte. Jens i jego załoga zostali na długość łodzi.

„Dla niej, Barnett - myślał Jens, przyglądając się plecami Gideona - dla Lorny i dziecka wygram ten wyścig, a potem na oczach twoich, wszystkich ludzi i Boga pomaszuję klubowym trawnikiem, żeby ich zabrać!”

- Płynię łukiem. Wsunie się od środka!

„Lorna D.” szerokim łukiem opływała boję. Jens krzyknął:

- Stawiać! - i „Manitou” wsunął się między łódź Barnetta a znak, żeby zdobyć przewagę.

- Grot staw! W górę, szybko!

Ostatni raz popłynęli pod wiatr. Płynęli dziób w dziób. O zwycięstwie zadecydują centymetry. Zbliżając się do mety, kapitanowie wiedzieli, że najważniejsza jest teraz szybka łódź, a nie taktyka czy zmiana kierunku wiatru.

- Wychylcie się jak najdalej! Trzymajcie się choćby palcami u nóg! - wrzeszczał Jens.

Załoga wychyliła się na nawietrzną tak, że fale muskały ich szyje. Na ustach czuli smak wody i smak zwycięstwa, kiedy wysunęli się do przodu. Byli już tak blisko, że można było dostrzec pistolet na stole sędziowskim.

Jens słyszał wiwatujący tłum. Czuł w rumplu siłę łodzi. Widział boję klubu, wyłaniającą się zza linii silnych, drżących ciał, zwisających na nawietrznej, trzymających się lin.

Woda spryskiwała im twarze, kiedy obejrzeni się przez ramię na „Lornę D.”, którą wyprzedzili o dwie długości. Podpłynęli prosto do linii łodzi, z których obserwowano regaty. Zobaczyli sędziego w łódce. Sędzia trzymał sznurek, którym odpali pistolet.

Płynąc na wiatr, przecięli linię mety.

- Pierwsze miejsce: W-30! - zawołał sędzia. Ryk tłumu zagłuszył jego słowa. Sędzia wołał przy każdej podpływającej łodzi, ale załoga „Manitou” nie słuchała go.

Spuścili żagle... rozluźnili napięte mięśnie... i pozwolili sobie na radość. Rzucili się do kapitana.

- Udało się! Udało się!

- Dobra robota, Jens!

Davin najmocniej ścisnął brata:

- Udało ci się.

- Udało się nam!

- Dobra robota, kapitanie - powiedział Mitch Armfield. Dziękuję, że wziąłeś mnie na pokład.

- Jesteś świetnym żeglarzem, Mitch. Bez ciebie byłoby po nas.

Teraz, już po wszystkim, trudno było uwierzyć w wygraną. Dokończyli to, co rozpoczęło się dwa lata temu, od karteczki w łodach Gideona Barnetta. Dopiero teraz poczuli, jak byli napięci, obolali, drżący. Jensowi pozostało jeszcze wiele do zrobienia.

Łódź ze spuszczoneym żaglem skierował ku Lornie, czekającej na brzegu. Znalazł ją bez trudu. Stała pośrodku trawnika, w pełnym słońcu. Nadal trzymała na ręce Danny'ego, a drugą machała nad głową. Obok niej stała Phoebe. Ach, ten uśmiech, to przywitanie - tylko to się liczy. Nie trofea, czekające na stole pod wielkim wiązem, nie tłumy, napierające ze słowami pochwały, nie fotoreporterzy ani orkiestra dęta, ani nawet bogaci członkowie klubu, którzy będą chcieli zamawiać łodzie.

Tylko Lorna Barnett i to, co chciała mu powiedzieć, przynosząc tu dzisiaj ich dziecko.

Patrzył na nich, aż podплыnęli tak blisko portu, że musiał odwrócić wzrok. Musiał wydać ostatnie polecenia, zabezpieczyć łódź, osuszyć żagle. Na „Manitou” wdarli się ludzie, zadając pytania, ściskając ręce, gratulując. Jens odpowiadał, ściskał dłonie, dziękował nie spuszczać oka z Lorny. Z każdą chwilą zacieśniała się łącząca ich więź. Jens zwijał liny. Dziesiątki rąk klepało go po plecach. Zauważył, że podплыnęła „Lorna D.”, a nieco później „Gwiazda Północy”. Inne łodzie jeszcze walczyły. Dwaj reporterzy natarczywie dopominali się o swoje prawa.

- Panie Harken, panie Harken...

- Przepraszam, panowie - powiedział, omijając ich. - Jest tu ktoś, z kim muszę się przywitać.

Stała na wzniesieniu. Jej oczy były jak gwiazdy, wskazujące mu drogę. Pochwycił jej spojrzenie i zatrzymał na sobie. Przeciskał się przez tłum, w milczeniu przyjmując gratulacje. Czuł, jak bije mu serce i unosi ku największemu zwycięstwu, ku ciemnym oczom Lorny.

Kiedy znalazł się przy niej, zapomniał o otaczających ich tłumach. Spośród setek ludzi, stojących w czerwcowym słońcu, widział tylko ją.

Zacisnął mocno wielkie dłonie na jej ramionach tuż nad łokciami.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Och, Jens - powiedziała. - Udało ci się. - Tak...

Pocałował ją w usta: krótki, szybki znak potwierdzający, że należy do niego.

- A to kto? Przecież to Danny. Pocałuj nas. Danny, bardzo podniecony, pokazał na pomost.

- Pinać uć?

- Chce popłynąć łodzią - przetłumaczyła Lorna.

- Jasne, że popłyniesz. Zrobimy ci maleńką łódź i będziesz na niej żeglował, kiedy tylko nauczysz się pływać.

Danny wyciągnął dłonie do taty. Jens pocałował różowe usta i położył dużą, szorstką dłoń na jasnej główce chłopca.

- Boże, co za dzień - szepnął, zamknął oczy i ucałował złote włosy.

Wiele wysiłku kosztowało go utrzymanie emocji na wodzy. Znów spojrzął na Lornę.

- Pamiętasz Phoebe? - spytała go.

Kiedy Phoebe składała mu gratulacje, rozległ się głos Davina.

- Dwie piękne kobiety; a gdzie jest moja?

Podszedł do nich prawie w tej samej chwili, co Cara z dziećmi.

- Jest tutaj, złotowłosey wikingu. Jestem z ciebie dumna! - Cara pocałowała męża. - Z ciebie też. - Ucałowała Jensa.

Mały Roland, który dotąd siedział u mamy na rękach, poszedł do ojca, Jeffrey ciągnął matkę za sukienkę, a Jens nie wypuszczał Danny'ego z rąk.

Znalazł wreszcie chwilę, żeby powiedzieć:

- Już znasz Davina, mojego brata... To jest Cara... Cara, chodź tu, kochana.

Objął ramieniem nieśmiało uśmiechniętą bratową:

- To jest Lorna...

Nie trzeba było dodawać, że ich losy będą odtąd ściśle ze sobą związane. Kobiety wymieniły uśmiechy i przywitały się. Potem Davin uścisnął drobniutką dłoń Lorny. Przytrzymał ją przez chwilę i powiedział z uśmiechem:

- Co za dzień! Sam nie wiem, z czego się bardziej cieszyć.

Jeffrey pociągnął Jensa za spodnie:

- Podnieś mnie! Podnieś!

- A, to Jeffrey! - Jensowi udało się podnieść chłopca. Teraz na każdej ręce trzymał po jednym dziecku.

- Popatrz, to twój brat wujeczny, Danny. Nie zdziwię się, jeśli kiedyś będziecie razem żeglowali, tak jak ja i twój tata dzisiaj. Będziecie wygrywali, jak my.

Danny przestraszył się tyłu nowych twarzy. Skrzywił się i zaczął płakać. Chciał do mamy. Dorośli śmiali się. Napięcie zelżało.

Jakiś drżący, kobiecy głos powiedział:

- Żądam, aby mi przedstawiono zwycięskiego kapitana. Czekam już zbyt długo.

Wszyscy odwrócili się i zobaczyli ciotkę Agnes.

Podąła Jensowi dłoń. Byli tak różni, jak dzień i noc: ona sięgała mu najwyżej do łokcia, delikatna, siwiejąca, lekko zgarbiona; on wysoki, opalony, zwinny i mocny.

Podnosząc wzrok na ogorzałą twarz, ciotka powiedziała:

- Nie myliłam się... Bardzo podobny do mojego kapitana Dearsleya. Młody człowieku, to najszcześniejszy dzień twojego życia. Chcę też powiedzieć, że i dla mnie jest to dzień nadzwyczaj szczęśliwy.

Siostry Lorna zbliżyły się z ociąganiem, onieśmielone. Theron przyszedł z nimi. Był tak zafascynowany dzieckiem, że podszedł prosto do Danny'ego.

- Boże, Lorna, naprawdę jestem jego wujkiem?

- Tak, Theronie.

- Jak ma na imię?

- Danny.

- Dzień dobry, Danny. Chcesz do wujka Theron? Pokażę ci lunetę.

Chłopczyk wyciągnął rączki i poszedł do Theron, jakby znał go od urodzenia.

Theron z dumą popatrzył po ludziach. Jenny i Daphne podeszły trochę bliżej.

Lorna ciężko przełknęła i powiedziała:

- Najwyższy czas, żebyście poznały Jensa.

Przez dziesięciolecia opowiadano później o tym, jak Jens Harken poznał rodzinę Lorny Barnett, a ona jego rodzinę, na trawniku przed klubem, po zwycięstwie w regatach pucharowych między klubami White Bear i Minnetonka. O tym, jak Lorna przysła z dzieckiem, ubranym w biało-granatowy mundurek marynarski i jak Jens na oczach setek ludzi pocałował ją. O tym, jak Gideon i Levinia Barnett przyglądali się wszystkiemu z oddali i jak Gid przegrał wyścig, płynąc na łodzi noszącej imię najstarszej

córki. O tym, że Jens Harken pracował kiedyś w kuchni Barnettów. O tym, że regaty zaczęły się pod chmurami, ale zakończyły w słońcu, jakby samo niebo chciało pobłogosławić młodej parze. O tym, że chociaż rok wcześniej Gideon Barnett nie chciał wręczyć Harkenowi pucharu, tym razem dopełnił tej powinności.

* * *

Wszystkie łodzie zawinęły do portu. Orkiestra zamilkła. Na puchar, ustawiony na stole przykrytym białym obrusem, pod wielkim wiązem, padały ruchliwe cienie.

Komandor Gideon Barnett podał puchar Jensowi.

- Gratuluję, Harken - powiedział i wyciągnął rękę. Jens przyjął ją.

- Dziękuję panu.

Silny uścisk dłoni był nieco dłuższy, niż wymagały tego okoliczności. Gideon miał twarz surową, a Jens nie pokazał po sobie radości z odniesionego zwycięstwa. Stał wszak przed dziadkiem swego dziecka. Całe pokolenia Harkenów odziedziczą rysy twarzy, zdolności, a może nawet temperament Gideona Barnetta. Jakoś trzeba będzie przewyciężyć wzajemną wrogość.

- Chciałbym, żeby puchar pozostał w klubie, proszę pana. Tam jest jego miejsce.

Barnett przez chwilę czuł się zakłopotany. Szybko jednak znalazł stosowną odpowiedź.

- Klub zgadza się. To uprzejmie z pańskiej strony, kapitanie.

- Dzisiaj jednak chciałbym się nim nacieszyć, jeśli można.

- Oczywiście.

Jens odwrócił się i uniósł puchar nad głowę. Tłumy odpowiedziały rykiem. Lorna i Danny czekali... Levinia Barnett stała z daleka... Jens wyczuł, że na Gideonie pęka pancierz złości. Czuł to, kiedy ściskali sobie ręce i pierwszy raz od dwóch lat odezwali się do siebie uprzejmie. Zrobili

to na oczach tłumu; z pewnością powtórzą to kiedyś w domowym zaciszu. Na to przyjdzie jednak jeszcze poczekać. Trzeba będzie wiele wybaczyć i zapomnieć o swojej dumie.

Jens zszedł z podium, zapomniał o Gideonie i Levinii Barnettach. Myślał tylko o ich córce. Nadal jednak nie mógł dysponować swoim czasem. Każdy chciał dotknąć pucharu. Potem załoga napiła się z niego szampana. Unosili puchar nad głowy, kiedy Tim, przykryty czarnym fartuchem, robił zdjęcia. Później Jensa otoczyli inni fotoreporterzy. Odpowiadając na ich pytania, ciągle wracał spojrzeniem do Lorny. Ona też nie spuszczała oczu z niego. Kiwała się lekko, kołysząc syna.

Jens wreszcie uniósł ręce, odmawiając odpowiedzi na dalsze pytania.

- Panowie, to był męczący dzień. Proszę mi wybaczyć, ale mam dzisiaj prywatną uroczystość...

Pożegnał się z załogą. Każdemu uściśnął dłoń. Davinowi powiedział:

- Dzisiaj mogę nie wrócić na noc.

-Jens, posłuchaj, my z Carą... Bardzo nam głupio, że zajmujemy twój dom, a twoja rodzina...

- Nic nie mów. Później porozmawiamy. Lorna jeszcze nie powiedziała, że przyjmuje moje oświadczenia. Jeśli mnie tylko puścisz, pójdę ją o to spytać.

Davin ścisnął muskularne ramię brata i powiedział:

- Więc idź.

Czekała na niego, kołysząc się lekko ze śpiącym Dan-nym na ręce. Na brzoskwiniowej sukience, przy rozchylonych ustach dziecka, ciemniała mokra plama. Wiatr już się uspokoił, ale wcześniej zdążył zmierzwić kasztanowe włosy Lorny. Słońce zaróżowiło jej policzki i czoło.

- Chodźmy stąd - powiedział. - Mogę go wziąć?

- Och, tak... zrobił się ciężki.

Jens podał Lornie puchar, a sam wziął śpiące dziecko. Danny na moment otworzył oczy, ale szybko je zamknął i położył głowę na ramieniu ojca.

- Zostawiłam pod drzewem torbę z pieluszkami.

Poszli po nią, a potem wyszli na żwirową dróżkę. Jens prawą rękę położył na ramieniu Lorny.

- Dokąd idziemy? - spytała Lorna.

- Gdzieś, gdzie będziemy sami.

- Ale gdzie?

Jens przywołał dorożkę i pomógł Lornie wsiąść.

- Do hotelu „Leip” - powiedział. Potem spytał Lornę: -Może być?

Jej oczy odpowiedziały wcześniej niż usta:

- Tak.

Lorna postawiła puchar na podłodze, między kolanami. Jens położył sobie dziecko na lewej ręce, a prawą chwycił dłoń Lorny - maleńką, lekko piegowatą od słońca. Uniósł ją do ust i pocałował. Wreszcie mógł pokazać Lornie, co czuje.

- Mój Boże - szepnął. - Nie mogę uwierzyć, w swoje szczęście, w to, że tu jesteś.

Odpoczywał chwilę, mocno ściskając jej dłoń, kciukiem pocierając delikatną skórę, słuchając stukotu kopyt i grzechotania żwiru pod kołami. Wiatr chłodził opaloną twarz. Od pieluszki dziecka na jego spodniach zrobiła się mokra plama. Pomyślał, że ilekroć będzie myślał o niebie, zawsze będzie wspominał tę chwilę. Lorna odwróciła się w drugą stronę; przy ustach trzymała chusteczkę.

Jens dotknął odwróconego policzka, żeby spojrziała na niego.

- Płaczesz?

Lorna, cicho szlochając, przytuliła się do niego.

- Nie mogę się powstrzymać.

- Czas płaczu się skończył.

- Tak, wiem. Tylko... - Nie wiedziała, co powiedzieć. Pociągnęła nosem i otarła oczy.

- Rozumiem. Ja też się tak czuję. Przeszliśmy przez piekło. Trudno uwierzyć, że jesteśmy w niebie.

- Tak... Coś takiego.

Na zachodzie pojawiły się złote smugi. Pachniało mokrymi skałami i roślinami, wilgocią i koniem. Słońce grzało im policzki, ale od prawej strony czuli już chłód wieczoru. Jakiś kamień uderzył w dorożkę od spodu. Gdzieś wysoko śpiewał skowronek. W oddali szczekał pies.

W pewnym momencie Jens powiedział:

- Twój ojciec uściskał mi rękę.

- Tak, widziałam.

-Pogratulował mi... Wiesz co? - Jens patrzył w dół, a Lorna w górę. - Potrzeba będzie na to trochę czasu, ale wydaje mi się, że mury pękną. Widziałem to. Coś się zmieniło. Coś... - Nie dokończył myśli.

- Coś kazało mu zwątpić, czy upiera się przy słusznej sprawie.

- Coś takiego.

- Tym czymś jest Danny - powiedziała. Oboje spojrzeli na śpiącego syna.

- Tak; chyba tak.

- Twój ojciec nie odezwał się dzisiaj do ciebie? -Nie.

- Ani matka? -Nie.

Ścisnął jej dłoń i położył na swoim sercu.

- Ale nie było im łatwo, widziałem to wyraźnie. Twoje obie siostry, Theron, ciotka Agnes... chyba pokochali Danny'ego?

-Tak.

Nie umiał jej pocieszyć.

W hotelu „Leip” powiedział do recepcjonisty:

- Prosimy dwa pokoje.

- Dwa? - Młody człowiek z wystającym jabłkiem Adama i cofniętą brodą spojrział na dziecko, śpiące na ramieniu Jensa, potem na Lornę i znów na Jensa.

- Tak, dwa.

- Proszę. Z przyjemnością. Zwłaszcza że wyjeżdżają goście, którzy przybyli na regaty.

Jens wpisał się do księgi meldunkowej pierwszy i podał pióro Lornie.

„Lorna i Daniel Barnett” - napisała.

Recepcjonista zdjął z haczyka dwa klucze i wyszedł z kontuaru.

- Bagaże, proszę pana?

Lorna podała mu torbę z pieluchami. Chłopak popatrzył na jej zawartość i o nic nie pytając zaprowadził ich do pokojów.

Lorna zaniósła Danny'ego do pierwszego pokoju. Jens wszedł do drugiego. Chwilę później Jens poszedł do Lorny. Wszedł bez pukania i bardzo cicho zamknął za sobą drzwi. Lorna położyła Danny'ego na łóżku i ostrożnie zaczęła go rozbierać.

- Zaczekaj... - szepnął Jens. - Jeszcze go nie budź. Lorna wyprostowała się. Jens położył klucz na toalecie, powoli przeszedł pokój i stanął przed nią. Ujął lekko jej głowę w obie ręce. Kciukami delikatnie gładził policzki, a oczami wpił się w jej oczy. Lorna rozchyliła usta.

- Jens... - szepnęła w chwili, kiedy pochylił głowę i otulił ją ramionami.

Od kiedy zobaczył ją na trawie przed klubem, a ona zobaczyła go wpływającego do portu, czekali na tę chwilę. Tulili się do siebie; ustami, piersiami, biodrami, rękami, ciałami, brali w posiadanie to, czego tak długo nie mogli dostać. Lorna gładziła dłońmi jego plecy, wplotła palce we włosy. On znów ujął w dłonie jej twarz, wsunął palce w kok, wygiął się jeszcze bardziej, kiedy zaczęli się kołysać i pocierać. Całując się, pragnęli osiągnąć niemożliwe: chcieli stopić się w jedno, mieć jedno serce, jedną krew.

Owijali się, okręcali wokół siebie, aż ztratili poczucie odrębności i jak dwie fale stali się jedną.

- Wyjdiesz za mnie? - Tak.

- Kiedy?

- Zaraz, jutro, jak najszybciej.

- Ach Lorna, Lorna... - Zamknął oczy i mocno ją przytulił. - Bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham, Jens; przepraszam, że zadałam ci tyle bólu. Bez ciebie byłam bardzo nieszczęśliwa.

Odsunęła się, ujęła w dłonie jego głowę i dotykała ustami jego warg, policzka, oczu. Między pocałunkami mówiła:

-Taka nieszczęśliwa... Nie miałam racji... Byłam taka zakochana... Bez ciebie życie nie miało sensu... A kiedy zobaczyłam u pani Schmitt ciebie i Danny'ego... Och, moje serce, myślałam, że wolałabym umrzeć, niż widzieć jak odchodzisz.

- Ćśś... Później... Porozmawiamy później. Chodź tutaj.

Pociągnął ją do fotela i posadził sobie na kolanach. Zanim zdążyli porządnie usiąść, ich usta znów się spotkały. Jego dłonie zaczęły wędrować po jej piersiach, biodrach, brzuchu. W górę, do szyi i włosów. Zaczął wyjmować z nich szpilki. Nie bardzo sobie radził, więc mu pomogła. Cztery szpilki upadły na podłogę. Lorna potrząsnęła głową. Rozpuszczone włosy rozsypały się na plecach. Objęła go za szyję i zaczęła całować, jakby był brzoskwinia, którą przed chwilą obrała. Nie przerywając pocałunku, Jens próbował odpiąć guziki na jej plecach, ale znów nie mógł dać sobie rady.

Zniecierpliwiony, przerwał pocałunek.

- Usiądź. Nie mogę sięgnąć.

Usiadła. Na kolanach Jensa rozłożyły się fałdy brzoskwiniowej sukni. Lorna łokciami oparła się na ramionach Jensa i gładziła jego włosy. On zajął się guzikami, a ona jego ustami: pełnymi, pięknymi, delikatnymi ustami, które kiedyś całowały jej usta, piersi i brzuch, i będą ją całowały jeszcze przez wiele lat.

Część guzików została odpięta. Jens uwolnił na chwilę usta.

- Dłonie.

Spoglądali sobie w oczy. Lorna siedziała wyprostowana. Podała Jensowi jeden mankiet, potem drugi. Uniosła ra-

miona. Ściągnął z niej sukienkę i rzucił na podłogę. Zajął się piersiami Lorny.

- Zdejmij sweter - szepnęła.

Sweter wylądował na sukience. Jens rozpiął koszulę Lorny i obnażył ją do pasa. Potem pochylił głowę, żeby pocałować piersi: miękkie, różowe, kształtem przypominające gruszki. Mył je językiem, ujmował szerokimi, szorstkimi dłońmi. Lorna zamknęła oczy, odchyliła się i zaczęła się kołysać zgodnie z rytmem, który obudził się w ich ciałach.

Nagle przestał ją całować. Nadal obejmował dłońmi jej piersi.

- Co z nimi było, kiedy zabrali dziecko? Często się nad tym zastanawiałem.

Lorna podniosła ciężką głowę i otworzyła oczy.

- Obwiązali je - odparła - i po kilku dniach przestały dawać mleko.

- Kto karmił Danny'ego?

- Moja matka przywiozła mamkę.

W ciszy myślał nad jej odpowiedzią. Kciukami gładził jej sutki, zasmucony myślą o tych przerażających chwilach.

- Pewnie bardzo bolało.

- To już nieważne.

Mruknął gardłowo, otoczył ją ramionami i przycisnął do siebie, przytulając twarz do nagiej skóry.

- Dzisiaj o tym nie myśl - szepnęła, czesząc palcami jego włosy. - Nie dzisiaj, Jens.

- Masz rację. Nie dzisiaj. Dzisiaj mamy wieczór tylko dla siebie. Rozepnij halkę - szepnął. - Zanim się dziecko obudzi.

Posłuchała go. Postawił ją na podłodze. Halka osunęła się z ramion, ale zatrzymała na biodrach. Jens szarpnął i halka z szelestem ułożyła się wokół kostek Lorny.

- Jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej.

Była szersza w biodrach i miała wałeczek tłuszczu na brzuchu. Jens dotknął go.

- To nieuczciwe - szepnęła. - Ja też chcę zobaczyć.

Z uśmiechem zdjął z siebie ubranie, potem położył Lor-nę na sukience, spodniach i bieliźnie. Nie martwił się, że nie mają puchowego łoża. Wystarczyło, że mieli siebie.

Dotykali się, pieścili, gładzili, szeptali słowa miłości i obietnic tak poważnych, jakby już składali śluby małżeńskie.

- Już nigdy nie pozwolę ci odejść.

- Nigdy nie odejdę.

- Kiedy urodzi się nasze następne dziecko, będę przy tobie.

- I następne, i jeszcze jedno.

- Och, Lorna, kocham cię.

- Jens, najdroższy, ja też ciebie kocham. Będę ciebie kochała aż do śmierci i codziennie będę ci dawała tego dowody.

Kiedy wszedł w nią, drżał i miał zamknięte oczy. Lorna wciągnęła powietrze i wypuściła je z westchnieniem. Czuli się jak wniebowzięci, kiedy wybijał w jej ciele rytm miłości. Uśmiechali się oboje. Jens splótł swoje palce z jej palcami i przycisnął jej dłonie do podłogi.

- Co będzie, jeśli zajdziesz dzisiaj w ciążę?

- Danny będzie miał braciszka.

- Albo siostrzyczkę.

- Może być siostrzyczka.

- Szczególnie gdyby była podobna do ciebie.

- Jens... - Lorna zamknęła oczy. - Och, Jens... Rozchyliła usta; Jens zrozumiał, że to nie pora na rozmowę.

Lorna wygięła się, krzyknęła z rozkoszy. Jens zdusił jej krzyk pocałunkiem.

W chwili słodkiego odprężenia, kiedy opadł na nią całym ciężarem i czuł obejmujące go ramiona, zobaczył oczyma wyobraźni ich wspólne życie: jasne, słoneczne godziny, zacienione od czasu do czasu łzami. Pogodził się z jednym i drugim, ponieważ na tym polega prawdziwa miłość. Przewrócił się na bok, odsunął z jej twarzy włosy i z czułością dotknął policzka.

- Będzie nam razem dobrze - szepnął. Uśmiechnęła się.

- Wiem.

- Postaramy się pogodzić z twoimi rodzicami.

- Jeśli się nie uda... Dotknął jej ust, żeby ją uciszyć.

- Uda się.

Odsunęła jego palec.

- Nawet jeśli nie, i tak będziemy szczęśliwi.

- Chciałem, żebyś wyrzekła się ich dla mnie i zrobiłaś to, ale nie wiem, czy powinienem tego od ciebie żądać. Moi rodzice nie żyją. Zostali nam tylko twoi: lepsi czy gorsi, ale jedyni. Chcę, żebyś wiedziała, że dzisiaj, czy jutro, czy kiedy tam będziemy sobie ślubowali, w sercu złożę ślub, że zrobię wszystko, żeby się z nimi pogodzić. Nie ze względu na mnie, ale na ciebie i na dzieci.

- Och, Jens - przytuliła go mocno. - Jesteś taki dobry. Jak oni mogą tego nie wiedzieć?

Kołysali się na twardej podłodze, aż usłyszeli krzyk przestraszonego dziecka, które obudziło się w obcym pokoju.

- Och... och - szepnął Jens.

Mały natychmiast przestał płakać i zaczął szybko paplać.

- Witaj, Danny, kochanie. Mama jest z tobą!

Potem zaczęli się potrać, próbując uwolnić się od siebie jak najszybciej, zanim dziecko spadnie z łóżka.

- Patrz! - Lorna uklękła i spojrzała na Danny'ego. - Tutaj jest mamusia... i tatuś!

Jens uklękł obok niej, płacząc się w ubraniach. Lorna zachichotała.

Danny patrzył na nich wielkimi oczami, obrzmiałymi od snu. Na dolnych rzęsach wisały dwie łzy.

- Dzień dobry, kochany. Myślałeś, że jesteś sam? Och, nie. Mamusia i tatuś nigdy by cię samego nie zostawili.

Nadal klęcząc, Lorna pochyliła się, żeby pocałować dziecko.

Danny nic nie rozumiał. Patrzył to na nią, to na Jensa. Jens oparł się łokciami o łóżko i pocałował skarpetki na małych stopkach.

- Dzień dobry, mały - powiedział. - Przepraszam, ale chciałem ci zrobić braciszka.

Lorna uderzyła Jensa po ramieniu.

- Jencie Harken!

Jens uniósł brwi udając, że nic nie rozumie.

- Przecież tak było.

Lorna zaśmiała się i powiedziała do Danny'ego:

- Nie musisz słuchać wszystkiego, co mówi tatuś. Ma okropne maniery, co nie jest zbyt dobre dla twoich małych uszu.

Jens objął ramieniem nagą talię Lorny.

- Tak? A kto to wszystko zaczął? To ty przychodziłaś do mnie. Nie dawałaś mi spokoju. Pokazałaś się dzisiaj na regatach z naszym dzieckiem. Ty położyłaś go na łóżku, chociaż wiedziałaś, że kiedy się obudzi, zobaczy, co dzieje się na podłodze.

Lorna uśmiechnęła się.

- I jesteś ze mnie bardzo zadowolony. Jens odwzajemnił uśmiech.

- Pewnie!

Przez chwilę pławili się w szczęściu, potem każde z nich położyło rękę na mokrej pieluszce syna i przytulili go jednocześnie.

KONIEC